

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Nr 4 (25) Zielona Góra 2008 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754

Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej
Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris nr 4(25) – 2008

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Norman Smużniak

Copyright by
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2007

Redaktor naczelny
Grzegorz Gorzechowski

Redaktor graficzny
Magdalena Gryśka

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Czesław Sobkowiak

Członkowie redakcji:
*Ewa Andrzejewska, Anita Kucharska-Dziedzic, Jarosław Kuczer, Sławomir Kufel,
Czesław Sobkowiak, Maria Wasik, Grażyna Zwolińska*

Stali współpracownicy:
Krystyna Kamińska, Tomasz Mróz, Ireneusz K. Szmidt, Andrzej K. Waśkiewicz, Jacek Wesołowski

Fotografie:
*Grzegorz Hawałej, Eugeniusz Kurzawa, Izabela Lechowicz,
Hanna Olejniczak, Wojciech Pukacz, Ireneusz K. Szmidt*

Wydawca
*Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra*

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 068 451 72 78

Druk i oprawa
Drukarnia FILIP, Zielona Góra

Nakład – 400 egz.

ISSN 1642-5995
Nr indeksu 370754

Adres Redakcji:
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);
e-mail: Wydawnictwo.Prolibris@wimbp.zgora.pl
<http://www.wimbp.zgora.pl>

Od Redakcji

Obecny numer to już drugi zeszyt poświęcony mniejszościom narodowym. Tematyka ta jest jednym z istotniejszych problemów współczesnej Europy. Materiał, który mamy okazję prezentować, to czubek góry lodowej, w żaden sposób nie oddający różnicowania i bogactwa problematyki z tym związanej. Jest zaledwie lokalnym zaznaczeniem i luźnym nawiązaniem. Z problemem mniejszości wiąże się problem inności i nierzadko trudność tolerancji, której idea dla wielu jest czysto teoretyczna. Ksenofobia nieobca jest przecież współczesnym społeczeństwom, to bolączką europejskich polityków, wznoszących peany na cześć przyjaźni i jedności, które w praktyce nie zawsze są realizowalne. Na styku wszelkich granic wisi piętno historii, przemocy i ludzkich tragedii. O nich właśnie pisze Eugeniusz Kurzawa, opisując wypędzenie z III Rzeszy ok. 17 tys. polskich Żydów, z czego 9 tys. zostało deportowanych do Zbąszczyń. Pisze też Kurzawa o powojennej akcji „Wiśła” i wypędzeniach łemków, uznawanych za grupę etniczną narodu ukraińskiego na tzw. „ziemie odzyskane”, z czym nie mógł pogodzić się ten najbardziej znany łemka – Epifaniusz Drowniak, zwany Nikiforem. O wielonarodowym tyglu i wzrastaniu w bliskiej obecności Żydów, Niemców, Ukraińców pisze w opowiadaniu „Wartegau” Wojciech Mielczarek.

Dużo miejsca na łamach numeru poświęciliśmy sprawom polsko-niemieckim – w kontekście mniejszości. O społecznej aktywności Polaków w Berlinie pisze Dorota Cygan. Tematyka Polonii berlińskiej często ostatnio gości na naszych łamach, bo też i temat ten jest bardzo obszerny. Jak ogromna jest to materia do uchwycenia przekonują się autorzy pracujący nad wielowątkową wystawą „Wir, Berliner” („My, berlińczycy”), próbując przedstawić 300-letnią polską obecność w niemieckiej stolicy w każdym możliwym obszarze – co bliżej przedstawia Lidia Głuchowska. Stufurt, virtualne polsko-niemieckie miasto, to idea stworzona przez Michaela Kurzwelly’ego, który w swym artykule przedstawia przejawy jego funkcjonowania. Nikt tu dla nikogo nie jest mniejszością, bo wszyscy są „stufurtecznikami”.

Poza wymienionymi, jak zwykle, publikujemy stałe działy, czytelnik znajdzie też wiele dobrej poezji i prozy.

To już ostatni numer w 2008 roku... Wszystkim Czytelnikom składamy zatem jak najserdeczniejsze życzenia świąteczno-noworoczne. Nowy rok to dla redakcji zmiany, wraca bowiem na stanowisko redaktora naczelnego Sławomir Kufel, który w nawałe obowiązków znalazł czas na pełnienie tej funkcji, a którego będę w pracy redakcyjnej intensywnie wspierał.

Grzegorz Gorzechowski

Von der Redaktion

Die vorliegende Ausgabe unserer Zeitschrift ist, wie die vorherige, auch den Fragen der nationalen Minderheiten gewidmet. Das Thema ist nämlich eines der wichtigsten Probleme im heutigen Europa. Der Stoff, den wir Ihnen präsentieren, ist nur die Spitze des Eisberges, und kann weder die Komplexität noch das Reichthum dieser Problematik widerspiegeln. Er ist eher eine lokaler Akzent und eine lockere Anknüpfung daran. Mit dem Problem der Minderheiten hängt jenes des Andersseins und oft das der schwierigen Toleranz zusammen, deren Idee für viele nur eine Theorie ist. Ausländerfeindlichkeit ist doch auch den heutigen Gesellschaften nicht fremd und bleibt ein wunder Punkt der europäischen Politiker, die Freundschaft und Einheit predigen, Werte, die nicht immer in der Praxis realisiert werden. Alle Grenzgebiete stehen unter dem Bann der Geschichte, der Gewalt und menschlicher Dramen. Eben diese beschreibt Eugeniusz Kurzawa, indem er von der Vertreibung von 17.000 polnischen Juden aus dem Dritten Reich berichtet, von denen 9.000 nach Bentschen (Zbąszyń) deportiert wurden. Kurzawa erzählt auch von der „Aktion Weichsel” und der Vertreibung von Lemken, die man für ethnische Ukrainer hält, in die sog. „wiedergewonnenen Gebiete”, womit sich der berühmteste Lemke, Epifaniusz Drowniak, genannt Nikifor, niemals zurechtfinden konnte. Über den Schmelztiegel der Völker, über das Aufwachsen in direkter Nachbarschaft von Juden, Deutschen, Ukrainern, schreibt Wojciech Mielczarek in seiner Erzählung „Wartegau”.

Viel Platz nehmen in dieser Ausgabe die deutsch-polnischen Beziehungen ein – im Kontext der Minderheiten. Über das gesellschaftliche Engagement der Polen in Berlin schreibt Dorota Cygan. Das Thema der Polen in Berlin taucht in der letzten Zeit oft in unserer Zeitschrift auf, nicht zuletzt seines Umfangs wegen. Davon, wie riesig der Stoff ist, und wie schwer zu umfassen, überzeugen sich die Autoren der umfangreichen Ausstellung „Wir, Berliner”, die versuchen, die 300-jährige Anwesenheit von Polen in der deutschen Hauptstadt in allen möglichen Aspekten zu zeigen. Es berichtet davon Lidia Głuchowska. Stufurt, eine virtuelle, deutsch-polnische Stadt, ist eine Idee von Michael Kurzwelly, der in seinem Artikel darlegt, wie sie sich manifestiert. Niemand ist eine Minderheit hier, denn alle sind „Stufurter”.

Neben den o. g. Artikeln finden Sie, wie immer, unsere ständigen Kolumnen sowie viel gute Poesie und Prosa.

Es ist unsere letzte Ausgabe im Jahre 2008. Unseren Lesern wünschen wir daher alles Gute zu Weihnachten und im Neuen Jahr. Dieses Neue Jahr bringt Änderungen in unserer Redaktion nach sich, den Posten des Chefredakteurs übernimmt nämlich wieder Sławomir Kufel, der trotz zahlreicher Verpflichtungen Zeit auch für diese Funktion gefunden hat. Ich werde ihn natürlich bei der redaktionellen Arbeit nach Kräften unterstützen.

Grzegorz Gorzechowski

Spis treści

Czesław Sobkowiak , Kolęda	6
Dorota Cygan , Przestrzenie energii społecznej: Polacy w Berlinie (Räume gesellschaftlicher Energien: Polen in Berlin)	7
Anna Tokarska , Wiersze [*** <i>Rusz się staruszko...</i> , *** <i>Co słyhać...</i> , *** <i>Wiosna w tym roku...</i> , *** <i>Spójrz jak odchodzą...</i>]	18
Grażyna Zwolińska , Heimatowy klocek	20
Eugeniusz Kurzawa , Zbąszyń – Preludium Zagłady	27
Janusz Koniusz , Wiersze [Przemiana, Rzeka, Prośba do ciała, Na wieczorku poetyckim]	31
Eugeniusz Kurzawa , Łemkowie – wypędzeni z własnej ziemi	35
Ewa Andrzejewska , Opowieść o Nadziei	37
Nadzieja Łukaszewska , Wiersze [Jak dojrzewają wiersze, Zaproszenie]	40
Edward Derylak , Zdążyć przed zachodem	42
Lidia Głuchowska , <i>My, berlińczycy</i> . 300 lat polskości i Polaków w Berlinie (<i>Wir, Berliner</i> . 300 Jahre – Polentum und Polen in Berlin)	47
Halina Bohuta-Stapel , Na Karesa, na Mindiasa... ..	59
Halina Bohuta-Stapel , Wiersze [Gdzie jest mój tabor?, *** <i>Wierzę w Cygankę</i>] ...	62
Wojciech Mielczarek , Wartegau	64
Monika Wielgus „Dzika”, Wiersze [<i>cracked smile and a silent shout</i> ; <i>Once Upon the Sea of Blissful Awareness</i>]	68
Czesław Sobkowiak , Ulica Owocowa i inne widoki	70
NA GRANICY	76
Jacek Wesołowski , Fotka z vipem, część 2. (Ugady po-Graniczne 3) Foto mit dem VIP, Teil 2. (Die nachgrenzartige Un-Reden 3)	76
Jacek Katos Katarzyński , Wiersze [<i>wybiegając do wewnątrz (aus dem Zimmer herein)</i> , <i>przeszedł przez gardło pociągu (er ist durch ein Zughals durchgegangen)</i>]	88
Michael Kurzwelly , Słubfurt – eine Stadt an der Grenze zweier Länder, die es nicht gibt. (Słubfurt – miasto na granicy państwowej, której nie ma)	92
PREZENTACJE „Pro Libris”	102
Norman Smużniak	102
Lidia Głuchowska , Estetyka krzyku i estetyka szeptu. Normana Smużniaka malarstwo alchemicznych formuł (Ästhetik des Schreis und Ästhetik des Flüstertons. Zu Norman Smużniaks Malerei der alchemischen Formeln)	105
KRAJOBRAZY LUBUSKIE	110
Krystyna Kamińska , Santok (Zantoch)	110
Anna Janczys , Szprotawianie w objęciach przyrody według dziewiętnastowiecznej relacji Johanna Gottloba Kreisa	119
(Die Sprottauer in den Armen Natur nach einem Bericht aus dem 19. Jahrhundert von Johann Gottlob Kreis – Zusammenfassung)	125

VARIA BIBLIOTECZNE	127
Gabriela Balcerzak , Czytając Herberta	127
Agata Komorowska , Wiersze [*** <i>uczucia do wzięcia</i> , *** <i>próbowałam zdefiniować chwilę</i>]	134
Dawid Kotlarek , Zielonogórska prasa	136
OBRAZY PROWINCJI SZLACHECKIEJ	139
Jarosław Kuczer , Podróżnik, dyplomata, fundator śląski doby renesansu. Joachim von Berge	139
(Reisender, Diplomat, Schlesischer Stifter der Renaissancezeit. Joachim von Berge – Zusammenfassung)	146
Z TEKI HISTORYKA FILOZOFII	147
Wojciech Rarok , Witelon i pomysł założenia uniwersytetu w Legnicy	147
Ulrike Stark , Wiersz [<i>der schlag deines lides (gdy mrugając zamykasz powieki)</i>] ..	151
Cezary L. Belzyt , Wiersz [<i>zimno (kalt)</i>]	152
RECENZJE I OMÓWIENIA	153
Tadeusz Różewicz, <i>Kup kota w worku</i> (Anna Szóstak)	153
Władysław Łazuka, <i>Gdzie szybki Drawy bieg</i> (Jerzy Grupiński)	156
Per Olov Enquist, <i>Opowieść o Blanche i Marie</i> (Agnieszka Szpyłma)	158
Anna Maria Szewczuk-Szwedo, <i>Wybrana Pani</i> ; Halina Bohuta-Stapel, <i>... i wiersze napisałam i bajkę kiedyś splotę...</i> ; Adam Bolesław Wierzbicki, 429 / 01; <i>Skrypturalik odłożony...</i> (Czesław Sobkowiak)	160
Adam Wiesław Kulik, <i>Leśmian, Leśmian...</i> (Joanna Wawryk)	162
Ian McEwan, <i>Pokuta</i> (Maria Macała)	164
KRONIKA LUBUSKA	165
KSIAŻKI NADESŁANE	169
AUTORZY NUMERU	171

Kolęda

Cóżeś maleńki wśród nocy uczynił
Że tak ci pieluszki ognia kładą
Moc nie truchleje śnieg nie pada
Wszystko co twoje nazywają winą
Ale zjedzą wigilię tego wieczoru
Ciężką i tłustą z grzybami i rybą

Królowie nie niosą tobie pokłonu ni darów
Nie wiedzą jaką iść drogą i za jaką gwiazdą
Gdy jedna po drugiej w piach spada
Do ciebie za daleko już i za trudno
Filozofowie wszędzie nicość głoszą
Nie tkliwa taka kolęda która zatrwąza

Zapomnieli ciebie pasterze zapomnieli
Ulicznicy od rozboju i marihuany
Dziką muzykę w nocy głośno grają
Bo tak już bez sensu wypada
Metal mieć w rękach ziemię pod stopami
Nie śpiewać ale z pustką gadać

Cicha piosenka nuto smutnego wieczoru
Nie ma dla ciebie w naszych domach miejsca
Siana jabłek cukierków zapachu i koloru
Kolędnicy nie idą od domu do domu
Elektryczna w kącie tylko lśni choinka
I żal wielki ten sam od dzieciństwa

Przestrzenie energii społecznej: Polacy w Berlinie

Cóż może być lepszym sprawdzianem polskiej obecności na zatłoczonym rynku kultury niż jej ślad w miejscu niespodziewanym, które z definicji nie jest przeznaczone do reprezentowania kultury polskiej? Pobieźny rzut oka na program platformy artystycznej, znanej z organizowania słynnego pochodu *Karnawał kultur*, jest pod tym względem uspokajający. Z polską obecnością na kulturalnej mapie Berlina nie jest tak marnie, jak się zwykle asekuracyjnie przyjmuje. Polska mniejszość widać zdobywa ten trudny teren powoli, ale bez kompleksów: 30 sierpnia obchodzono tutaj w nawiązaniu do analogicznych imprez berlińskich *Długą Noc Kultury Polskiej*. Znakiem tego polska impreza muzyczno-literacka ma ambicję wpisać się w tutejszą tradycję. Jednak sama obecność na kulturalnej mapie Berlina poza miejscami tradycyjnie kojarzonymi z Polską nie jest tym, co najtrafniej charakteryzuje żyjących tu Polaków. O wiele bardziej pokazują to rozmaite formy zbiorowej energii, które warto opisać na kilku przykładach.

O jak dużej zbiorowości w ogóle mowa? Między stanem wojennym a 1989 rokiem osiedliło się w Berlinie Zachodnim 30 000 Polaków. Dziś ich udział w ogólnej liczbie obcokrajowców ze wszystkich krajów UE wynosi aż 33,8%, czyli 44 461 osób. Dlaczego wyjechali? Najwcześniejsza fala emigracyjna mogła mieć (poza osobistymi) jeden wspólny powód: poczucie, że społeczna energia w komunizmie się marnuje, bo na życzenie aparatu partyjnego ma być

Räume gesellschaftlicher Energien: Polen in Berlin

Was kann ein besserer Prüfstein der polnischen Anwesenheit auf dem hart umkämpften Kulturterrain sein als eine Spur am unvermuteten Ort, der nicht *per definitionem* dazu da ist, ausgerechnet polnische Kultur zu repräsentieren? Ein beiläufiger Blick in das Programm der Plattform, die für die Veranstaltung des berühmten *Karnevals der Kulturen* bekannt ist, bringt in dieser Hinsicht etwas Beruhigendes: Um die polnische Anwesenheit auf der kulturellen Landkarte Berlins ist es nicht so dürrtig bestellt, wie man zur Absicherung gemeinhin anzunehmen pflegt. Die polnische Minderheit erobert anscheinend das schwierige Terrain langsam, aber ohne Komplexe: Am 30. August wurde hier in Anknüpfung an ähnliche Veranstaltungen die *Lange Nacht der polnischen Kultur* gefeiert. Wie man sieht, hat die polnische musikalisch-literarische Veranstaltung den Ehrgeiz, sich in die hiesige Tradition einzuschreiben. Doch allein die Präsenz auf dem kulturellen Terrain Berlins außerhalb der traditionell mit Polen zu assoziierenden Orten ist es nicht, was die Berliner Polen am treffendsten charakterisiert. Vielmehr sind es unterschiedliche Erscheinungsformen der kollektiven Energie, die es hier an einigen Beispielen zu beschreiben gilt.

Wie groß ist denn die Gemeinschaft, von der hier die Rede ist? Zwischen dem Ausnahmezustand in Polen und der Wende haben sich 30 000 Polen in Westberlin niedergelassen. Heute beträgt deren Anteil unter den Ausländern aus allen EU-Staaten 33,8%, d.h. 44 461

tlumiona. Emigracja była więc jedną z możliwych dróg kanalizowania energii społecznej. Jednak jej produktywne wykorzystanie w kraju o ustalonych strukturach musiało być trudniejsze niż można to sobie dzisiaj wyobrazić. Polscy emigranci woleli więc zintegrować się bez śladu niż rzucać się w oczy na tle socjologicznego krajobrazu Berlina jako mniejszość narodowa za bardzo pewna siebie. Z jakimi obawami wiązało się wtedy ich nowe poczucie wolności, można dziś jedynie spekulować. Pewne jest jednak, że strumień energii społecznej Polaków często płynął z powrotem do kraju i polscy berlińczycy nadal jedną nogą tkwili w ojczyźnie. Tutaj natomiast żyli staraniami o uznanie studiów lub praktyki zawodowej bądź zalegalizowanie pobytu. Te konkretne sprawy życiowe nie pozwalały kierować zbyt wiele energii na sferę kultury lub zaangażowanie społeczne. Oczywiście, łatwo nam dzisiaj, patrząc wstecz, tęsknić do stanu idealnego, jednak podchodząc realistycznie trzeba dostrzec, że dzięki pewnym zaangażowanym grupom obecność Polaków w różnych sferach działalności społeczno-kulturalnej w sumie była spora, jeśli wziąć pod uwagę działalność licznych organizacji z otoczenia biznesu, oświatowych, towarzystw kulturalnych, gazet i firm lub sklepów. Z czasem drogi pomysłodawców często się rozchodziły, a niektóre inicjatywy miały charakter efemeryczny. Za to po przełomie roku 1989 zakres działań imigrantów bardzo się rozszerzył. Mogli bowiem rozwijać aktywność w obu krajach, a w dodatku określać swą rolę jako pomost między Wschodem i Zachodem. A kim czują się naprawdę? Kiedy mówią o sobie jako o obywatelach Unii, momentami może przebijają w tym poczucie wyższości nad Polakami pozostałymi w kraju. Często jednak maniera ta miewa pozytywny efekt uboczny, jak choćby wtedy, gdy polscy berlińczycy opowiedzieli się w wyborach za proeuropejskim kursem politycznym i duchem tolerancji. Sygnał, jaki dali, nie mógł być bardziej wyrazisty: nagle niezwykle zmobilizowani rodacy dla zmanifestowania zbiorowej energii stali karnie przez trzy z okładem godziny w kolejce do urny wyborczej. Udział w takim historycznym akcie nie musi koniecznie oznaczać, że mają poczucie misji, by z pozycji emigrantów wytyczać kierunek myślenia własnemu krajowi. Jednak wrażenie tego dnia było budujące, a skumulowana energia społeczna Polaków wręcz namacalna. Jak zatem w ogóle postrzegają swoją rolę w stosunku do własnego

Personen. Warum haben sie ihr Land verlassen? Die früheste Welle der Emigranten konnte – neben persönlichen Motiven – einen gemeinsamen Grund gehabt haben: das Gefühl, gesellschaftliche Energien gingen im Kommunismus verloren, weil sie nach Wunsch des Parteiapparates gedämpft werden sollten. Die Emigration war also ein möglicher Weg der Kanalisierung sozialer Energie. Deren produktive Nutzung allerdings muss in einem Gastland mit gefestigten Strukturen weniger einfach gewesen sein, als man sich das heute vorstellt. Daher zogen die polnischen Emigranten es vor, sich nahtlos zu integrieren, statt in der soziologischen Landschaft Berlins als allzu selbstbewusste Minderheit aufzufallen. Mit welchen Befürchtungen sich damals das Freiheitsgefühl mischte, kann man nur spekulieren. Sicher ist aber, dass der Strom sozialer Energie oft zurück nach Polen floss und die polnischen Berliner immer mit einem Bein im Heimatland lebten. Hier dagegen lebten sie in ständigen Bemühungen um Anerkennung von Studien- und Berufsleistungen oder Legalisierung des Aufenthaltes. Das Alltagsgeschäft ließ ihre Energie gar nicht erst auf Kultur oder soziales Engagement richten. Sicherlich fällt es heute leicht, uns im Rückblick auf einen imaginären Idealzustand zu beziehen, doch realistischerweise war die polnische Präsenz in verschiedenen Bereichen sozialer Aktivität insgesamt recht groß, wollte man die Tätigkeit vieler wirtschaftsnaher Organisationen, Bildungseinrichtungen, Kulturvereine, Zeitungen und Geschäfte berücksichtigen.

Im Laufe der Zeit trennten sich die Wege vieler Ideengeber, und manche Initiativen hatten keinen dauerhaften Charakter. Dafür erweiterte sich der Aktionsradius der polnischen Immigranten nach der Wende enorm. Sie konnten in beiden Ländern ihre Aktivitäten entwickeln und sich zudem als Brückenschläger zwischen Ost und West profilieren. Wie definieren sie sich heute? Wenn sie von sich sagen, sie seien EU-Bürger, lässt das manchmal vielleicht ein Überlegenheitsgefühl über die Daheimgebliebenen durchscheinen. Oft hatte aber dieses Auftreten eindeutig positive Nebenwirkungen, etwa wenn sich die Berliner Polen bei den Parlamentswahlen für eine pro-europäische Politik und den Geist der Toleranz ausgesprochen haben. Ein deutlicheres Signal konnten sie kaum geben: Plötzlich standen sie diszipliniert gute drei Stunden lang vor der Wahlurne an, um ihre kollektive Energie zu manifestieren. Die Teilnahme an einem solchen historischen Akt muss nicht unbedingt bedeuten, dass sie es als ihre Mission ansehen, aus der Position von Emigranten dem

kraju? Najbardziej chyba w tworzeniu sieci kontaktów po obu stronach granicy. Przy tym ich lobbing na rzecz Polski wynika z reguły nie tyle z dbałości o wąsko pojęty interes własny, co raczej z chęci pomocy w likwidowaniu uprzedzeń i barier w kontaktach transgranicznych. Bliski związek emigrantów z krajem, ich wiedza na temat ograniczeń i szans w obcym otoczeniu bardzo wzmacniają energię społeczną, oczywiście pomijając to, że w prywatnym gronie każdy chętnie uprawia kulturę narzekania. W rozmowach polskich przeważa jednak niezależnie od środowiska przyszłościowy pragmatyzm. Nie chodzi o to, by ze swoistym masochizmem bez końca rozводить się na temat trudności, lecz by dzięki kontaktom rozeznaczyć się w możliwościach działania. Badania nad polską emigracją postrzegają to trochę inaczej. Ale nawet jeśli wynika z nich mało budująca konkluzja, że była to emigracja do ciężkiej pracy, pod wieloma względami ograniczona prawnie, i że wszystko to źle wpływało na potencjał zbiorowości emigracyjnej, to oczywiście sami emigranci mają tego świadomość. Kiedy więc w ogólnym bilansie modele migracji analizowane są w aspekcie zależności (osobistych lub prawnych),¹ to ci, o których mowa, w zasadzie podzielają ten sąd. Tyle, że z takiej oceny stanu faktycznego wynika mimo wszystko pozytywny impuls do działania. Polacy są przyzwyczajeni, że nie jest łatwo. To, czy konkretna aktywność kieruje się potem na sprawy potrzebujących pomocy, czy koncentruje raczej na dynamicznych grupach o jakimś potencjale rozwojowym (np. artystach), w ocenie samych Polaków wypada różnie. Na ogół oczekują od siebie jako mniejszości więcej działań. Bo też o samych sobie zwykli mówić, że tam, gdzie dwóch Polaków, tam trzy opinie. Wspólne jest jednak to, że bez względu na przeszkody instytucjonalne w różnych formach polskiego akcjonizmu widać sporą zbiorową energię. I to nie tylko w kręgu prywatnym.

Czy istnieją wśród rodaków prawdziwi idealisci? Dobrym przykładem działania z takich pobudek jest Polska Rada Społeczna w Berlinie. Jej początki sięgają

Heimatland die Denkrichtung vorzugeben. Aber der Eindruck war an diesem Tag erbaulich, und die gebündelte Energie der Exilpolen geradezu greifbar zu spüren. Wie sehen sie überhaupt ihre Rolle in Bezug auf das eigene Land? Sicherlich meinen sie vor allem ihre Rolle beim Aufbau von Netzwerken beiderseits der Grenze. Dabei entspringt ihr Lobbying für Polen in der Regel nicht bloß der Wahrnehmung eng verstandener persönlicher Interessen, sondern kommt von der Absicht, Vorurteile und Barrieren bei grenzübergreifenden Kontakten abbauen zu helfen. Die nahe Bindung an das Heimatland, die Kenntnis der Beschränkungen und Chancen in der fremden Umgebung stärken die soziale Energie der Polen. Natürlich davon abgesehen, dass im Privaten jeder gern die Kultur des Jammerns betreibt. In den polnischen Gesprächen überwiegt allerdings unabhängig vom Milieu Zukunftspragmatismus. Es kommt nicht darauf an, sich selbstquälerisch über die Schwierigkeiten zu ergehen, sondern durch Kontakte den Handlungsspielraum auszuloten. Die Forschung zur polnischen Emigration sieht das allerdings ein wenig anders. Doch selbst wenn daraus die wenig erbauliche Schlussfolgerung folgt, dass dies eine Emigration zur schweren Arbeit und in vieler Hinsicht rechtlich beschränkte war, was insgesamt negative Auswirkungen auf das Potential der Emigrantengruppe hatte, sind sich die Emigranten selbst dessen ja bewusst. Wenn also in der Gesamtbilanz die Migrationsmuster vor dem Hintergrund der personalen oder rechtlichen Abhängigkeiten analysiert werden,¹ teilen die Betroffenen im Prinzip diese Einschätzung. Allerdings folgt aus dieser Analyse des Ist-Zustands trotz alledem ein positiver Impuls zum Handeln. Die Polen sind es gewohnt, dass kaum etwas leicht geht. Ob sich ihre Aktivität dann auf die Belange der sozial Benachteiligten oder eher auf die dynamischen Hoffnungsträger (wie etwa Künstler) richtet, fällt in der Einschätzung der Polen entsprechend unterschiedlich aus. In der Regel erwarten sie von sich selbst als Emigrantengruppe mehr Aktivitäten. Schließlich pflegen sie von sich zu sagen, es gebe immer drei Meinungen, wo zwei Polen seien. Was diese Aktionsformen verbindet, ist eine beträchtliche soziale Energie – und zwar nicht nur im Privaten.

1 Por. Frauke Miera: Zuwanderer und Zuwanderinnen aus Polen in Berlin in den 90er Jahren. Thesen über die Auswirkungen der Migrationspolitiken auf ihre Arbeitsmarktsituation und Netzwerke. Discussion paper FS I 96-106. Wissenschaftszentrum Berlin für Sozialforschung 1996 [Osiedleńcy z Polski w latach 90. Tezy na temat wpływu polityk migracyjnych na ich sytuację na rynku pracy oraz sieć kontaktów. Tezy do dyskusji. Berlińskie Centrum Badań Społecznych, 1996]

1 Frauke Miera: Zuwanderer und Zuwanderinnen aus Polen in Berlin in den 90er Jahren. Thesen über die Auswirkungen der Migrationspolitiken auf ihre Arbeitsmarktsituation und Netzwerke. Discussion paper FS I 96-106. Wissenschaftszentrum Berlin für Sozialforschung 1996.

historycznego momentu roku 1981, kiedy to społeczna energia Polaków rozsądzała polityczne ramy kraju i popychała wielu z nich ku emigracji. W Berlinie ten napęd społeczny plus tradycyjne różnice zdań – niejako same w sobie element samodefiniowania się Polaków – najpierw scaliły, a potem rozproszyły emigrantów, wskazując im różne drogi rozwoju. W Polskiej Radzie Społecznej ze starego składu pozostali ci, którzy chcą się kierować idealizmem w codziennej pracy, gdzie sukcesy są nie tak znowu spektakularne. Praca ta nie daje się bowiem porównać z czymś takim, jak obowiązki reprezentacyjne. W statucie zapisano zobowiązanie do wspierania polskojęzycznych migrantów w kwestiach prawnych niezależnie od ich prawa pobytu, wyznania i światopoglądu. W przełożeniu na codzienną pracę oznacza to skoncentrowanie się nie na emigracyjnej elicie, lecz w najlepszym razie na subkulturach lub mówiąc wprost na defaworyzowanych grupach społecznych. Polska Rada Społeczna działała więc raczej na obrzeżach wielkiej polityki, która z tego rodzaju działalności tylko okazjonalnie próbuje uczynić swą wizytówkę, na przykład wtedy, gdy popularność Polski nagle wzrasta. W chwilę potem wszystko powraca do mało widowiskowej normalności. Poza prawdziwym lub udawanym zainteresowaniem elit politycznych toczy się tymczasem od wielu lat codzienna praca. Energia społeczna ma co prawda to do siebie, że znajduje ujście w różnych kierunkach, ale akurat tutaj nie ulegała rozproszению. Współpracownicy, w większości działający społecznie, musieli się co prawda pogodzić zarówno ze stosunkowo wysoką fluktuacją, jak i z rozbieżnością interesów: gdy jedni woleli się poświęcić obronie interesów kobiet z Europy Środkowo-Wschodniej, zakładając dla nich schronisko, inni z kolei szukali dla siebie miejsca w dziedzinie kultury lub uznawali działalność w Radzie za odskocznnię dla dalszej kariery. Ci, którzy pozostali, musieli na bieżąco liczyć się z cięciami środków na programy socjalne, uczyć się pisania projektów oraz improwizować, a przede wszystkim wytrzymywać konfrontację z biedą społeczną. W efekcie Rada wyrobiła sobie jednak poważanie, którego już nie sposób zlekceważyć, a także ugruntowaną opinię jedynej tego typu instytucji w Niemczech. Osiągnęła to bez medialnego nagłośnienia, gdyż efektywne działania promocyjne trudno pogodzić z codzienną praktyką doradczą, wobec czego po prostu je zaniedbywano. Jako organizacja

Gibt es unter Polen wirkliche Idealisten? Ein gutes Beispiel für das Agieren aus idealistischem Impuls heraus ist etwa die Tätigkeit des *Polnischen Sozialrates* in Berlin. Seine Anfänge liegen in dem historischen Moment 1982, als die gesellschaftliche Energie der Polen den politischen Rahmen ihres Landes sprengte und viele in die Emigration trieb. In Berlin hat dieser soziale Auftrieb zusammen mit den Meinungsdivergenzen – die ja per se zur Selbstprofilierung der Polen gehören – die Emigranten zunächst zusammengeführt und dann auseinandergebracht. Sie gingen unterschiedliche Entwicklungswege. Vom ursprünglichen Mitarbeiterstab blieb im *Sozialrat* derjenige Teil übrig, der dem idealistischen Impuls in der täglichen Arbeit folgen wollte. Denn Erfolge sind dabei nicht gerade spektakulär. Diese Tätigkeit lässt sich eben kaum mit repräsentativen Pflichten vergleichen. In der Satzung festgeschrieben war die Unterstützung polnischsprachiger Migranten in rechtlichen Fragen unabhängig von deren Aufenthaltsstatus, Konfession und Weltanschauung. In die tägliche Arbeit übersetzt hieß es, sich nicht vornehmlich auf die Elite der Immigranten zu konzentrieren, sondern bestenfalls auf Subkulturen, um nicht zu sagen gezielt auf benachteiligte soziale Gruppen. So agierte der *Polnische Sozialrat* eher am Rande der großen Politik, die sich nur gelegentlich mit solchen Projekten zu schmücken versuchte – etwa dann, wenn die Popularität Polens schlagartig zunahm, um sodann wieder in die weniger eindrucksvolle Normalität zurückzukehren. Jenseits des wahren oder geheuchelten Interesses politischer Eliten geht indes seit Jahren die tägliche Arbeit weiter. Die soziale Energie hat es zwar für sich, dass sie sich in verschiedenen Richtungen den Weg bahnt – verpufft ist sie hier aber nie. So mussten zwar die größtenteils ehrenamtlich Mitwirkenden sowohl mit der relativ hohen Fluktuation als auch mit dem Auseinanderstreben von Interessen leben: Manche wollten sich eher der Wahrung von Interessen der Frauen aus Ost- und Mitteleuropa widmen und für die eine Zufluchtstätte gründen, die anderen dagegen suchten im Kulturbereich ihr Betätigungsfeld oder betrachteten die Tätigkeit im Sozialrat als Sprungbrett zur weiteren Karriere. Diejenigen, die geblieben sind, mussten laufend Mittelkürzungen für soziale Projekte in Kauf nehmen, improvisieren und Projektanträge schreiben lernen, vor allem aber immer wieder die Konfrontation mit dem blanken sozialen Elend aushalten. Im Endeffekt hat der Rat aber ein nicht zu unterschätzendes Ansehen und

samopomocowa Polska Rada Społeczna jest najlepszym dowodem na to, że Polacy przy całych przypisywanych im uprzedzeniach względem zorganizowanych form działalności społecznej całkiem dobrze potrafią zmobilizować energię na rzecz osób słabszych. Wiecej: potrafią coś takiego – mimo całej swojej niesystematyczności – realizować przez długie lata. Jak się ma do tego charakter narodowy? Być może akurat w tym wypadku przychodził on im z pomocą – myślenie niebiurokratyczne, działanie trochę na opak, które woli wokół siebie otwartość i improwizację niż sztywną pryncypialność, to akurat cechy bardzo tutaj potrzebne. Codzienna praktyka nie pozostawia jednak miejsca na takie rozważania i wychwalanie siebie, gdyż wobec stale rosnących potrzeb doradczych starania np. o finansowanie księgowości są czymś zgoła innym niż kwestie filozoficzne. Tu chodzi o konkrety typu zagrożenie upadkiem firm jednoosobowych, ochrona praw samotnych matek czy zwykła bezdomność. Wprawdzie informacji zwrotnej pracownicy w zasadzie nie dostają, bo zwykle po udzieleniu porady nie dochodzi do ponownych, już kurtuazyjnych, odwiedzin klientów, ale najwyraźniej niektórzy poszukujący pomocy odczuwają potrzebę przyjścia ponownie, bądź po pomoc psychologiczną, bądź dlatego, że poczuli się tutaj jak w rodzinie zastępczej. Panujący tu klimat jest czymś, czego nie uchwyci żadna autoprezentacja na stronie internetowej. Chodzi w nim o to, by poza górnolotnymi pytaniami o sens można zapewnić konkretną pomoc klientom. Każdy z nich jest przecież przypadkiem szczególnym.

A czy jest coś, co pośredniczy między różnymi formami działalności? Elementem scalającym jest na pewno słowo pisane. W różnorodności publikacji ostatnich 20 lat (w samym Berlinie powstało w sumie wraz z periodykami branżowymi ponad 15 tytułów) przegląda się energia społeczna polskich imigrantów. Gazety i czasopisma emigracyjne spełniają funkcję łącznika między różnymi środowiskami polonijnymi i pokazują, ile energii zbiorowej przyczyniło się do powstania struktur przydatnych, tak dla zwykłych ludzi, jak i dla biznesmenów oraz działaczy kulturalno-oświatowych.²

2 Szczegółową bibliografię tytułów wraz biogramami pracowników zawiera opracowanie Marii Kalczyńskiej i Leonarda Pászka: Niemieckie polonica prasowe. Deutsche Pressepolonica. Opole 2004

den begründeten Ruf erlangt, eine einzigartige Institution in Deutschland zu sein. Erreicht wurde das ohne mediale Verstärkung, denn eine wirksame Öffentlichkeitsarbeit verträgt sich eher schlecht mit täglicher Beratungspraxis und wurde folglich vernachlässigt. Als Selbsthilfeorganisation ist der *Polnische Sozialrat* der beste Beweis dafür, dass Polen bei allen ihnen nachgesagten Vorurteilen gegen organisierte Formen gesellschaftlichen Agierens sehr wohl ihre soziale Energie für Schwache zu mobilisieren verstehen. Mehr noch: Sie verstehen es auch trotz aller Sprunghaftigkeit über Jahre durchzuziehen. Uns wie verhält sich ihr Nationalcharakter dazu? Vielleicht kam er ihnen gerade in diesem Fall zu Hilfe: Ihre etwas quendenkerische, unbürokratische Art, die sich lieber in Offenheit und Improvisation kleidet als in starre Prinzipienreiterei, ist gerade hier sehr willkommen. Die tägliche Praxis lässt aber für solche Überlegungen oder gar Selbstüberhöhung keinen Platz, denn die Bemühungen etwa um eine Finanzierung der Buchhaltung sind angesichts des ständig zunehmenden Beratungsbedarfs alles andere als philosophische Fragen. Hier geht es um Konkretes, wie konkursbedrohte Ich-AG's oder Mutterschutz bei Alleinstehenden, von gemeiner Obdachlosigkeit ganz zu schweigen. Ein Feedback bekommen die Mitarbeiter hier zwar kaum, denn nach einem Beratungstermin folgt in der Regel kein erneuter Höflichkeitsbesuch der Klienten. Doch offenbar haben zumindest manche Hilfesuchende später noch der Wunsch vorbeizukommen, entweder um noch einmal die psychologische Hilfe in Anspruch zu nehmen oder weil es für sie eine Art Familienersatz ist. Das Beratungsklima hier ist etwas, was keine Selbstdarstellung auf der Internetseite wiedergibt. Es geht darum, außerhalb der hochtrabenden Sinnfrage auch konkrete Hilfeleistung an die Klienten zu bieten. Jeder ist doch ein Einzelfall.

Gibt es etwas Verbindendes zwischen den polnischen Aktionsarten in der Emigration? Ein solches Element ist sicherlich das geschriebene Wort. In der Vielfalt von Blättern der letzten 20 Jahre – allein in Berlin sind über all die Jahre zusammen mit den Branchenblättern insgesamt 15 Zeitungen entstanden – spiegelt sich die soziale Energie der polnischen Immigranten wider. Diese Zeitungen und Zeitschriften erfüllen die Funktion, unterschiedliche Lebenskreise und Milieus in der Emigration zu verbinden. Sie zeigen mitunter auch, wie viel kollektive Energie in diese Aufbauarbeit der nützlichen Netzwerke für Nor-

Siecią kontaktową dla osób, których zainteresowanie Polską ma rozmaite podłoże, jest również działające od 35 lat Towarzystwo Polsko-Niemieckie. Deklarując otwartość, próbuje wśród różnorodnych działań kulturalnych nie zaniedbywać strony praktycznej i kieruje ofertę również do biznesmenów. Mogą oni w ramach podróży studyjnych poznać ramy prawne działalności gospodarczej w Polsce, a przy okazji zetknąć się z problematyką kompetencji interkulturowej w zakresie, jaki ich interesuje. I w razie potrzeby skorzystać po powrocie z kursów językowych. Mimo deklarowanej apolityczności Towarzystwo nie może unikać palących tematów z dziedziny bieżącej polityki – kontekst współczesny wręcz sam mu je podsuwa. Dzieje się tak dlatego, że wielu członków jest umocowanych instytucjonalnie w polityce (są członkami Bundestagu bądź pracownikami biur poselskich). Czy jednak ten imponujący kontekst nie powoduje, że energia szeregowych członków nie schodzi jakby na drugi plan? Otóż w zamyśle ma być ona spożytkowana w ten sposób, że w dłuższych odstępach czasu każdy może zaproponować projekt i liczyć na organizacyjne wsparcie. Jedną z takich samorządnych idei doprowadziła w roku 2005 do wyodrębnienia się Kręgu Młodych. W ten sposób dochodzi do głosu najmłodsza generacja, a wraz z nią idee kierowane docelowo do młodych ludzi. Jeśli energia jest zaraźliwa, można mieć nadzieję, że zdoła uaktywnić towarzystwa o podobnym profilu po drugiej stronie granicy. Czyżby było aż tak źle? Poruszające się w kontekstach historii współczesnej Towarzystwo nie może, oczywiście, uniknąć konsekwencji wynikających z tzw. wielkiej polityki, gdy pojawia się jakiś zgrzyt w stosunkach polsko-niemieckich. Tak samo niewiele można poradzić na obojętność zwykłych ludzi zarówno wobec spraw polsko-niemieckich, jak i w ogóle jakiegokolwiek dyskusji publicznej. Są to przecież zjawiska normalne, w dużej mierze powodowane codziennym stresem i dążeniami konsumpcyjnymi. Tym, co można zrobić, jest podtrzymywanie kontaktów z analogicznymi gremiami w Polsce. Zatem energia Towarzystwa posłużyć ma do transgranicznego zwalczania niewidzialnych trudności na linii miast partnerskich Berlin-Warszawa, które w miarę możliwości powinno łączyć coś więcej niż tylko kursujący na tej trasie superekspres. Jest nadzieja, że właściwą receptą okaże się energia obywatelska najmłodszej generacji i że wkroczy ona na teren,

malbürger, Geschäftsleute und Kulturträger eingeflossen ist.²

Ein Netzwerk für Menschen mit unterschiedlich motiviertem Interesse für Polen ist auch die seit 35 Jahren bestehende *Deutsch-Polnische Gesellschaft e.V.* Bei der deklarierten Aufgeschlossenheit soll auch die praktische Seite nicht vernachlässigt werden, etwa dadurch, dass mit dem Kulturangebot auch Geschäftsleute angesprochen werden: Auf Studienreisen können sie einen Einblick in rechtliche Rahmen der Wirtschaftstätigkeit in Polen gewinnen und nebenbei in interkulturelle Kompetenz, soweit sie es brauchen. Bei Bedarf können sie Sprachkurse im Anschluss an die Studienreise besuchen. Als apolitischer Verein vermag sich die Gesellschaft zeitpolitisch brisanten Themen jedoch nicht zu entziehen – vielmehr werden diese immer durch den Zeitkontext vorgegeben. Es kommt daher, dass viele Mitglieder institutionell in die Politik eingebunden sind (über den Bundestag oder die Angeordnetenbüros). Bringt aber dieser ‚hohe Kontext‘ es nicht mit sich, dass die Präsenz der normalen Mitglieder in den Hintergrund tritt? Es ist so gedacht, dass die Energie der Mitglieder insofern eingebunden wird, als in längeren Abständen jeder ein Projekt einbringen und bei der Durchführung mit organisatorischer Unterstützung rechnen kann. Eine solche Selbstbestimmung führte 2005 dazu, dass ein *Junger Kreis* gegründet wurde. Auf diese Weise meldet sich nun die jüngste Generation zu Wort und mit ihr Ideen, die gezielt an junge Menschen gerichtet werden. Wenn Energie ansteckend ist, darf man sich davon eine Aktivierung von Gesellschaften ähnlichen Profils auf der anderen Seite der Grenze erhoffen. Steht es nun wirklich um deren Tätigkeit so schlecht? Die *Deutsch-Polnische Gesellschaft*, die im Kontext der zeitgeschichtlichen Thematik agiert, kann sich natürlich den Konsequenzen der ‚großen Politik‘ kaum entziehen, wenn es in deutsch-polnischen Beziehungen Störungsmomente gibt. Genauso wenig kann sie etwas gegen das Desinteresse der Normalbürger gegenüber den deutsch-polnischen Belangen oder jeder Art öffentlicher Diskussion ausrichten. Es sind ja normale Phänomene, zum großen Teil durch Alltagsstress und Konsumbestreben bedingt. Man kann aber Kontakte zu

2 Zur detaillierten Bibliografie der Zeitungstitel samt Biogrammen von deren Mitarbeitern vgl.: Maria Kalczyńska, Leonard Paszek: *Niemieckie polonica prasowe. Deutsche Pressepolonica.* Opole 2004.

z którego powoli będzie usuwać niektóre postawione tam – 'właściwe' czy 'niewłaściwe' – znaki.

A co robią najmłodszy berliński Polacy? Oczywiście kierują swą ekspansję w nieco inne regiony.³ Na temat przemiany pokoleń młodzi założyciele Galerie ZERO w Berlinie mówią jednak w duchu uspokajającym: ludzie albo się znają i cenią nawzajem albo poznają się i uczą doceniać, mimo że kierunki zainteresowań bywają rozbieżne. Kiedy w roku 2003 powstawało ZERO, średnia generacja polskich emigrantów skupiona była wokół uznanej już w Berlinie Galerie *Miejsce/Der Ort*. W punkcie wyjścia swej działalności nowi postrzegali własne miejsce jako punkt zerowy i zaczęli pracę od podstaw. Mimo że w sposób naturalny identyfikowali się z Polską, nie chcieli uchodzić za typową galerię polonijną i programowo głosili otwartość (i może *understatement*). Przy wyborze prac decydujące było to, żeby reprezentowani byli w jednakowym stopniu uznani twórcy i debiutanci. Tym samym Galeria ZERO stała się od razu punktem odniesienia dla najmłodszej generacji, która postrzega siebie może mniej jako typową Polonię, a raczej jako obywateli świata lub Europy. To nie znaczy, że ma to jakieś programowe przełożenie na profil ZERO. Spektrum działań Galerie wynika po prostu z osobistej drogi artystycznej jej założycieli i obejmuje studio architektoniczne, Polsko-Niemieckie Towarzystwo Literackie WIR oraz działalność wydawniczą. Na ile taka hybryda się sprawdziła? Sukces niekomercyjny jest mierzalny już poprzez sam fakt przetrwania Galerie, bowiem w porównaniu ze średnim okresem trwania, wynoszącym dwa-trzy lata, jej pięcioletni okres istnienia można obiektywnie uznać już za sukces. Trzeźwo na to patrząc nie należy oczekiwać, że siła oddziaływania jednokrotnej wystawy w takim miejscu zaowocuje tym, że nieznanemu artyście z dnia na dzień stanie się gwiazdą. Twórcy galerii to wiedzą. Gwiazdy takie jak Jerzy Koszałka, którego wernisaż *Cosál-Ca Club* odbył się tu w sierpniu br., idą własną drogą i robią własne kariery, zaś Berlin, ze wszech miar atrakcyjny jako lokalizacja, traktują jako interesujący etap rozwoju artystycznego, który może się przyczynić do popularyzacji sztuki polskiej. Inaczej niż galerie komercyjne, ZERO nie bierze artystów pod

odpowiedzialność w Polen pflügen. So soll die Energie der *Deutsch-Polnischen Gesellschaft* gegen unsichtbare Widerstände grenzübergreifend ins Spiel gebracht werden, und zwar etwa auf der Linie der Partnerstädte Berlin – Warschau, die möglichst nicht nur durch den Berlin-Warschau-Express verbunden bleiben sollten. Es bleibt zu hoffen, dass sich dabei die bürgerliche Energie der jüngsten Generation als das richtige Rezept erweist. Dann expandiert die womöglich ins Gefilde, das noch nie betreten wurde. Und macht es langsam frei ist von ‚richtig‘ oder ‚falsch‘ gesetzten Zeichen.

Und was machen die jüngsten Berliner Polen? Sie dringen selbstverständlich in etwas andere Regionen vor.³ Über den Generationswandel sagen die jungen Gründer der Galerie ZERO in Berlin aber versöhnlich: Entweder man kenne und schätze sich oder man lerne sich kennen und schätzen, obwohl Interessensschwerpunkte manchmal auseinander gehen. Als 2003 ZERO entstand, gruppierte sich die mittlere Generation der Exilpolen bereits um die etablierte Galerie *Miejsce/Der Ort*. Am Ausgangspunkt ihrer Tätigkeit sahen sich die neuen Galeristen bei Punkt Null und nahmen ihre Tätigkeit an der Basis auf. Obwohl sie sich naturgemäß mit Polen identifizierten, wollten sie nicht als typische Galerie der Exilpolen gelten und erklärten Offenheit (und *Understatement*) zu ihrem Programm. Ausschlaggebend bei der Auswahl war, dass Debütanten und anerkannte Künstler gleichermaßen vertreten sein sollten. Somit ist die Galerie ZERO zum Bezugspunkt der jüngsten Generation geworden, die sich vielleicht weniger als polnische Bürger, eine typische ‚Polonia‘, definiert, sondern eher als Welt- oder EU-Bürger. Es heißt nicht, dass dies programmatisch Einfluss auf das Profil von ZERO hätte. Das Spektrum der Galerie ergibt sich direkt aus persönlicher Entwicklung bzw. dem Werdegang ihrer Gründer und umfasst ein Architekturstudio, den Verein zur Förderung der Deutsch-Polnischen Literatur WIR und die Verlagstätigkeit. Inwiefern hat sich ein so hybrides Gebilde bewährt? Der nichtkommerzielle Erfolg lässt sich allein schon am Fortbestand der Galerie messen, denn angesichts der durchschnittlichen Überlebensdauer von ein-zwei Jahren ist ihr fünfjähriges Bestehen objektiv gesehen bereits als Erfolg zu werten. Nüchtern

3 Wykorzystano artykuł Lidii Gluchowskiej: Galerie ZERO. Polscy młodzi gniewni w Berlinie. W: *Gazeta Malarzy i Poetów* 2 (59) 2006, str. 6-10.

3 Im Folgenden stütze ich mich teilweise auf den Artikel von Lidia Gluchowska: Galerie ZERO. Polscy młodzi gniewni w Berlinie. In: *Gazeta Malarzy i Poetów* 2 (59) 2006, S. 6-10.

stałą opiekę, lecz wyznacza sobie rolę platformy i elementu nieformalnej sieci, dzięki której być może w przyszłości uda się przekazać artystów dalej – tam, gdzie 'zła' komercja wywrze zbawienny wpływ na ich finanse. Sprawy nie posunęły się jeszcze tak daleko, ale udawanie teraz czystego idealizmu po wsze czasy nie byłoby szczere, a i nie sprzyałoby również twórcom. Wszyscy mają świadomość tego, że drodze do sukcesu towarzyszy ciężka praca. Poza medialnie efektownymi jubileuszami, kiedy na prezentację sztuki jest więcej środków, animatorzy galerii muszą sięgać do sprawdzonych strategii. Należą do nich wytrwałość, ciągłe starania o pieniądze, składanie wniosków na przemian do różnych fundacji, jak również długofalowe planowanie. Czy w Berlinie nie jest wobec tego trudniej? I tak, i nie. Artystów, zwłaszcza tych bez chleba, jest tu więcej niż osób mających stałą pracę. Mimo to akurat Berlin jest miejscem, gdzie sztuka bynajmniej nie czuje się „nie na swoim miejscu”, lecz które wręcz oddycha sztuką. Widać to również po tym, że berlińczycy bez polskich korzeni okazują o dużo większe zainteresowanie polską sztuką, niż to się dzieje w Polsce w przypadku artystów niemieckich. Osobiste preferencje założycieli ZERO prowadzą z kolei czasem do spotkania dwóch egzotyków, np. polskiej ekspresji artystycznej i japońskiego minimalizmu. Czasem też stwarzają po prostu przestrzeń i okazję dla prezentacji eksperymentów muzycznych, takich jak zaplanowana na 8. listopada b.r. w Jadłodajni Filozoficznej w Warszawie muzyczna akcja eksperymentalna z udziałem pioniera muzyki elektronicznej Conrada Schnitzlera, który już po raz drugi we współpracy z ZERO zamierza zaprezentować swoje instalacje dźwiękowe i ruchome obrazy. Filiacje między gatunkami są kontynuacją wielu projektów transgranicznych Galerii ZERO. Należał do nich m. in. zrealizowany w roku 2003 projekt, polegający na konfrontacji w materiale filmowym architektonicznej spuścizny Poznania z krajobrazem miejskim Berlina. W służbie interkulturowego dialogu sztuki miały zostać zestawione ze sobą odbicia obu przestrzeni miejskich, a ich istnienie wyjęte ze sfery społecznego tabu. Odniesienia transkulturowe odnaleźć można również w projekcie podejmującym kwestię stereotypów *Polska żona – niemiecki mąż*, jak również w staraniach o nawiązanie kontaktów między Berlinem a Poznaniem, Wrocławiem i Łodzią. Dalszy kontekst polityczno-społeczny, którego nie

betrachtet wäre nicht zu erwarten, dass die Wirkungskraft einer einmaligen Ausstellung an einem solchen Ort dazu führt, aus einem unbekannten Künstler über Nacht einen Star zu machen. Das wissen die Galeristen. Die Stars wie Jerzy Kosalka, dessen Vernissage *Cosalka Ca Ca Club* hier im August stattfand, gehen ihren eigenen Weg und verfolgen ihre Karriere. Den allemal attraktiven Kunststandort Berlin betrachten sie als interessante Station ihrer künstlerischen Entwicklung, die der Popularisierung polnischer Kunst in Berlin zugute kommen kann. Anders als kommerzielle Galerien, nimmt ZERO keine Künstler längerfristig unter ihre Fittiche. Sie versteht sich vielmehr als Plattform und Teil eines informellen Netzwerkes, durch den die Künstler vielleicht in Zukunft dorthin weiter vermittelt werden können, wo der ‚böse‘ Kommerz seine heilsame Wirkung auf ihre Finanzen ausübt. Noch ist es nicht so weit, aber jetzt für immer den puren Idealismus zu heucheln, wäre auch den Künstlern nicht gerecht. Dass der Weg dorthin mit schwerer Arbeit gepflastert ist, ist allen Beteiligten bewusst. Außerhalb von medial wirksamen Jubiläumsanlässen, wenn mehr Geldmittel für die Präsentation von Kunst vorhanden sind, greifen die Galeristen auf bewährte Strategien wie Ausdauer, ständige Bemühung um Gelder, Antragstellungen abwechselnd an verschiedene Stiftungen sowie längerfristige Planung zurück. Ist es in Berlin nicht schwieriger? Ja und nein. Künstler, namentlich brotlose, gibt es hier mehr als Menschen in fester Anstellung. Trotzdem ist gerade Berlin ein Ort, wo Kunst nicht fehlt am Platz ist, sondern wo die Stadt Kunst geradezu atmet. Man sieht das auch daran, dass Berliner ohne polnischen Hintergrund weit mehr Interesse für polnische Kunst zeigen, als das in Polen in Bezug auf Kunstschaffen der Deutschen der Fall ist. Die persönlichen Vorlieben der Galeristen wiederum führen des öfteren dazu, dass sich zwei Exotiken begegnen, wie etwa die polnische Ausdruckskunst und der japanische Minimalismus. Oder sie schaffen manchmal Raum und Anlass zur Präsentation musikalischer Experimente, wie die für den 8. November 2008 in Warschau in der Jadłodajnia Filozoficzna geplante experimentelle Musikaktion unter Mitwirkung des Pioniers elektronischer Musik Conrad Schnitzler, der bereits zum zweiten Mal mit ZERO seine intermedialen Klanginstallationen und moving pictures zeigen soll. Dieser genreübergreifende Bezug ist Fortsetzung vieler grenzübergreifender Projekte von ZERO. Dazu gehörte auch ein 2003 realisiertes Projekt, das in einem Videofilm das architektonische Erbe

sposób pominąć, zrodził projekty realizowane przed wstąpieniem Polski do Unii, np. cykl tematyczny *EU Series*, w którym chodziło o przekodowanie kontekstu politycznego wraz z jego ładunkiem symbolicznym, tak, by mógł stanowić przyczynek do tworzenia lepszych kontaktów pomiędzy obydwoma krajami. Czy to nie trochę śliski teren? Poprzez częsty element dystansu w odniesieniu do spuścizny kulturalnej, obok aspektów transgranicznych i transprzestrzennych mają właśnie powstawać nowe kompleksy znaczeniowe, nieobciążone polsko-niemiecką historią. Mimo to akcje takie jak przepytywanie przechodniów na temat wydarzeń politycznych w Polsce (2005) nie należą do głównego nurtu zainteresowań Galerii ZERO – na to zbyt czuje się ona związana z duchem sztuki. Bywa, że jej imprezy penetrują obszary 'na styku', np. przez artystyczną refleksję nad oryginałem i falsyfikatem dzieła sztuki jako komentarz do snobizmu rynku sztuki (*Saetchi Collection* artystów z Lubljany, listopad 2008). Albo też poprzez artystyczną interpretację procesów interkulturowego przenikania się światów muzycznych, jak to było w kooperacyjnym projekcie niemiecko-tureckim *Kreuztanbul II* (październik b.r.), w którym przenikały się dźwięki obu metropolii. Ciekawe swoją drogą, czy bardziej Berlin zabrzmiał jak Istambuł, czy odwrotnie.

Jak się wydaje, poprzez taki kontekst międzynarodowy ZERO stawia raczej na uniwersalność przekazu niż na ciągłe wychodzenie naprzeciw oczekiwaniom polsko-niemieckim. To znak czasu. Jeszcze założona w latach 90. Galeria *Miejsce/Der Ort* swoją nazwę wyprowadzała z poszukiwania odpowiedniego osadzenia dla 'egzystencji transgranicznej', pytając o punkt odniesienia dla niej i zahaczając tym samym o kwestie tożsamości. Nie mogła tym samym ominąć przyporządkowania jej do kontekstu historycznego. ZERO natomiast, robiąc emancypacyjny krok poza kontekst dwunarodowy, ale nie zrywając więzów z Polską, nie postrzega kontekstu transgranicznego jako nałożonego na siebie zobowiązania – wybrała tym samym drogę, która polską scenę kulturalną w Berlinie z pewnością zaprowadzić może dalej.

Chyba jednak nie wszystko, co polskie w Berlinie, automatycznie przywołuje znajome od lat dyskusje emigracyjne? Owszem, już nie. Poszukując polskiej aktywności odkryć tu można również skupiska energii wolne od starych znaczeń, np. działalność

Posens mit Stadtbildern Berlins dialogisch gegenüberstellte. Im Dienst des interkulturellen Dialogs der Künste sollten beide städtische Räume reflexiv zusammengeführt und ihre Existenz ein Stück enttabuisiert werden. Kulturübergreifende Bezüge waren ebenfalls in dem Stereotype aufgreifenden Projekt *Polnische Ehefrau – deutscher Ehemann* zu erkennen sowie in der Bemühung, Kontakte zu Poznań, Wrocław und Łódź zu knüpfen. Ein weiterer Zeitkontext, der schwer ignoriert werden kann, brachten Projekte im Vorfeld des EU-Beitritts Polens hervor, etwa der thematische Zyklus *EU Series*, in dem es darum ging, den politischen Kontext mit seiner symbolischen Aufladung neu zu kodieren, so dass er als Beitrag zum Aufbau von besseren Kontakten zwischen beiden Ländern gelten kann. Ist das nicht ein wenig schwieriges Terrain? Das häufige Element der Distanz in Bezug auf das kulturelle Erbe lässt neben den grenz- bzw. raumübergreifenden Aspekten einen neuen, durch die deutsch-polnische Geschichte noch unbelasteten Bedeutungskomplex entstehen. Dennoch gehören Aktionen wie die 2005 realisierte, interaktive Befragung der Passanten zum politischen Geschehen in Polen nicht zu den Hauptschwerpunkten der Galerie ZERO – dafür fühlt sie sich zu sehr dem Geist der Kunst verpflichtet. Es kommt vor, dass die Veranstaltungen von ZERO 'Nahtstellen' durchdringen, an denen sich zwei Phänomene begegnen: Etwa durch die künstlerische Reflexion über das Original und seine Fälschung – als Kommentar zum Snobismus des Kunstmarktes (wie die Vernissage *Saetchi Collection* zweier Künstler aus Lubljana, Oktober); oder etwa durch eine künstlerische Interpretation der interkulturellen Durchdringung musikalischer Welten, wie das beim deutsch-türkischen Kooperationsprojekt *Kreuztanbul II* (Oktober) der Fall war, in dem sich die Klänge beider Metropolen gegenseitig durchdrangen. Interessant wäre übrigens die Frage, ob Berlin mehr nach Istanbul klang oder umgekehrt.

Die Galerie scheint eher auf Universalität der künstlerischen Botschaft zu setzen statt kontinuierlich die deutsch-polnischen Erwartungen zu bedienen. Dies ist ein Signum der Zeit: Die in den 90er Jahren gegründete Galerie *Miejsce / Der Ort* leitete ihren Namen noch aus der Suche nach der Verortung der Grenzgänger ab, suchte nach einem festen Bezugspunkt und berührte damit die Identitätsfragen. Somit vermochte sie es nicht, die Einordnung in den historischen Kontext zu vermeiden. ZERO dagegen, durch ihren Emanzipationsschritt aus dem binationalen Kontext heraus, kappt

odbieraną jako wdzięczną i młodą, bo autoironiczną i podszytą groteską. W tym przypadku przyjaciele literatury i humoru odcięli się tu od czegoś dobrze wszystkim znanego – od ‘rozmówek polsko-niemieckich’, stojących na przeszkodzie nowemu duchowi. Dość tej śmiertelnej powagi, zdaje się mówić to miejsce. Szelmowsko-dowcipny ton był w pewnym momencie faktycznie czymś nowym dla berlińczyków i najlepiej się tu sprawdził. Ale o kim właściwie mowa? Berlińczyk bez polskich korzeni, zapytany o pierwsze skojarzenie z polską obecnością kulturalną w jego mieście, odpowie prawidłowo: Klub Polskich Nieudaczników. O tym, jak duża jest obecnie ich popularność świadczy fakt, że znaleźli się w wydawnym niedawno przez wydawnictwo Suhrkamp *Alfabecie polskich cudów* (*Alphabet der polnischen Wunder*, 2007). Od kiedy działalność Klubu osiągnęła rozmiary większe, niż sami żartownisie na początku myśleli, niektórzy poważni obywatele okazują zaniepokojenie, z jakiej racji Klub przyznaje sobie prawo do reprezentowania Polski.⁴ Zainteresowanie publiczności budziły jego programowe ukierunkowanie na zgryw oraz celowa nieregularność (czyli zawodność). Klub niby można było spokojnie zignorować, bo zbyt mocno odstawał od politycznej poprawności wielu oficjalnych imprez z polskim udziałem, ale z drugiej strony działań zachęcająco, bo któż nie czuje się od czasu do czasu tak, jakby – cytując statut klubowy – był „obcy sobie i swoim czasom”? I tak *Polscy Nieudacznicy* stali się frapujący dla raczej powściągliwego berlińczyka, który nawet, gdy sam nie jest zbyt ambitny, niechętnie to przyznaje i nigdy nie publicznie. Klub zobowiązał się dać odpór fetyszyzmowi perfekcjonizmu i tą rozbijającą deklaracją wypełnił lukę w berlińskiej kulturze zabawy. Przez taką medialną autoprezentację stworzył nową przestrzeń asocjacji z Polską, w której panuje żartobliwy (i zbawienny) dystans wobec odwiecznych dyskusji polsko-niemieckich.

Poszukiwania śladów działalności kulturalnej polskich imigrantów w Berlinie muszą doprowadzić do wniosku, że zanurzenie się w sztukę zamiast trwania w układzie współrzędnych Polska-Niemcy jest konieczną drogą rozwoju polskiej emigracji. Obserwując ten proces można ze spokojem stwierdzić, że polskie drogi są normalne. Widać przy tym, że polska energia zbiorowa napotyka na podobne

zwar die Verbindung nach Polen nicht, aber empfindet die grenzübergreifende Beziehung nicht mehr als selbst auferlegte Verpflichtung – damit wählt ZERO den Weg, der die polnische Kunstszene sicherlich weiter bringen kann.

Aber doch nicht alles Polnische in Berlin ruft automatisch die seit Jahren in der Emigration bekannten Diskussionen auf den Plan? Es stimmt, nicht mehr. Bei der Erkundung polnischer Aktivitäten in Berlin kann man auch andere ‚Energiezentren‘ entdecken – etwa eine jung wirkende, weil selbstironisch reflektierte und mit Groteske „unternähte“ Kulturaktivität. In diesem Fall haben sich Literatur- und Spaßfreunde von etwas Bekanntem abgekoppelt, nämlich vom ‚deutsch-polnischen Basis-Sprachführer‘, der dem neuen Geist im Wege steht. Schluss mit dem tödlichen Ernst, scheint der hier gemeinte Ort zu sagen. Der schalkhaft-witzige Ton war irgendwann in der Tat etwas Neues für die Berliner und hat sich hier auch am besten bewährt. Von wem ist aber eigentlich die Rede? Ein Berliner ohne polnischen Hintergrund, nach seiner ersten Assoziation mit kultureller Präsenz Polens gefragt, beantwortet die Frage richtig: *Club der Polnischen Versager*. Wie hoch die Popularität inzwischen ist, zeigt die Tatsache, dass der Club in das kürzlich im Suhrkamp Verlag erschienene *Alphabet der polnischen Wunder* (2007) aufgenommen wurde. Seit seine Beliebtheit größere Ausmaße angenommen hatte als von den Spaßvögeln anfangs gedacht, zeigt sich manch ein seriöser Bürger besorgt, woher *die* denn das Recht nähmen, Polen repräsentieren zu wollen.⁴ Das Interesse des Publikums weckte die programmatische Ausrichtung auf Spaß und gewollte Irregularität (sprich: Unzuverlässigkeit). Der Club konnte einerseits ruhig ignoriert werden, weil er sich allzu sehr von der politischen Korrektheit vieler offizieller Veranstaltungen mit polnischer Beteiligung abhob. Andererseits wirkte er einladend, denn wer fühlt sich nicht ab und zu so, als würde er – so die Satzung – an seinem ‚Ort und [seiner] Zeit fremd stehen‘? So wurden die *Polnischen Versager* für den eher reservierten Berliner anregend, weil er, selbst wenn er alles andere als ehrgeizig ist, dies nur ungern zugibt und das auch nie öffentlich. Der Club verpflichtete sich, dem Perfektionsfetischismus eine Absage zu erteilen – mit diesem entwaffnenden Bekenntnis füllte er eine Lücke in der Berliner Spaßkultur. Durch diese mediale Selbstdarstellung bildete er einen neuen Assoziationsraum mit Polen, in dem eine witzige (und

4 Por. Kolano Nr. 16, Dez. 2001, S.1

4 Vgl. Kolano Nr. 16, Dez. 2001, S.1

trudności co inne mniejszości, a źródłem niektórych z nich jest po części sama specyfika emigracji. Jednak dynamika aktywności kulturalnej i społecznej grupy imigrantów jest duża. Posiłkuje się ona dodatkowo energią z kraju, wraz z którą przychodzi nowe poczucie własnej wartości. Z jednej strony potrzeba odwagi, żeby dla samorealizacji powoływać do życia same projekty nie generujące zysku i szukać na ten cel środków. Ale z drugiej strony pokazuje to, że twórcom kultury nie stoją na drodze kompleksy ani strach przed konfrontacją. Jeśli nawet niejedną nową inicjatywę przypisać trzeba tej prostej okoliczności, że Polacy stają się bogatsi i nie boją się już ani komercyjnej porażki, ani sukcesu (tak!) – w chwili obecnej w Berlinie działają dwie galerie komercyjne – to w każdej z nich manifestuje się przede wszystkim uwolniona energia społeczna, a nie tylko sam aspekt merkantylny.

Dzieje się tak niezależnie od politycznych irytacji na najwyższym szczeblu. Polska energia społeczna i twórcza, o ile nie jest marnowana albo w walce o dobra konsumpcyjne, albo walce z potworami historii, nadal stanowi największy potencjał tego kraju, który w perspektywie historycznej, niestety, od czasu do czasu uprawiał gospodarkę rabunkową na tych zasobach albo nie korzystał z nich w ogóle z powodu niewydolności systemu. I właściwie to ona mogłaby się znaleźć we wspomnianym *Alfabecie polskich cudów* – by choć raz sumarycznie docenić wszystkie ogniska energii społecznej. Być może w następnym wydaniu?

[Za udzielenie wywiadów dziękuję paniom Sylwii Wiśniewskiej z Polskiej Rady Społecznej, Annie Krenz z Galerii ZERO oraz Paulinie Kleiner z Towarzystwa Polsko-Niemieckiego]

erlösende) Distanz zu allen ewigen deutsch-polnischen Diskussionen herrscht.

Die Recherche nach Spuren kultureller Aktivität der polnischen Immigranten in Berlin muss zu einer Schlussfolgerung führen, dass das Hineintauchen in die Kunst statt des Verbleibens im Koordinatensystem Polen-Deutschland der notwendige Weg der Entwicklung polnischer Emigration ist. Bei der Beobachtung dieses Prozesses kann man beruhigt feststellen, dass polnische Wege normal sind. Es ist daher ersichtlich, dass einerseits die polnische kollektive Energie auf ähnliche Hindernisse stößt wie andere Minderheiten, und dass manche dieser Hindernisse teilweise auch in der Spezifik der Emigration begründet liegen. Doch die Dynamik der sozialen und kulturellen Aktivitäten der Immigranten ist enorm. Sie bekommt auch einen Nachschub neuer Energie aus dem Stamm-land – und damit ein neues Selbstbewusstsein. Einerseits gehört Mut dazu, nur um der Selbstverwirklichung willen lauter Non-Profit-Projekte ins Leben zu rufen und dafür Gelder anzuwerben. Doch andererseits zeigt es auch gerade, dass den Kulturschaffenden keine Berührungsängste und Komplexe im Wege stehen. Wenn auch manch eine neue Initiative dem profanen Umstand zuzuschreiben ist, dass Polen reicher werden und weder vor kommerziellen Misserfolgen noch vor Erfolgen (ja!) Angst haben – derzeit sind ja zwei kommerzielle Galerien in Berlin bereits etabliert – so manifestiert sich in all den Momenten vor allem die freigesetzte Energie und nicht nur der merkantile Aspekt.

Das geschieht ungeachtet aller politischen Irritationen auf höchster Ebene. Die polnische soziale und kreative Energie, wenn sie nicht verschwendet wird – sei es im Kampf um Konsumgüter, sei es im Kampf gegen den Spuk der Geschichte – ist immer noch das größte Potential dieses Landes, das in historischer Perspektive ab und zu entweder leider schonungslosen Raubbau mit diesen kostbaren Ressourcen trieb oder sie durch die Trägheit des Systems ungenutzt liegen ließ. Und eigentlich ist es diese Energie, die in das kürzlich erschienene *Alphabet der polnischen Wunder* gehört – damit einmal alle Räume gesellschaftlicher Energie pauschal gewürdigt werden. Vielleicht in der nächsten Auflage?

[Für die Interviews möchte ich mich bei Frau Sylwia Wiśniewska vom Polnischen Sozialrat, Frau Anna Krenz von der Galerie ZERO und Frau Paulina Kleiner von der Deutsch-Polnischen Gesellschaft e.V. bedanken.]

Übertsetzung vom Autor

Rusz się staruszek
mówię
patrzac w lustro

bo ja
to jest ona
tak skrętnie rozdwojona
a jednak
wciąż się boję
że

luty 2008

Co słyszeć
cóż
pora przyszła i na mnie
a numer telefonu
zapisz w tym zeszycie
bo znowu zapomnę
albo zgubię

nie
nie lekceważę

po prostu
mylę malwę z magnolią
idź już
dobranoc

lipiec 2008

Wiosna w tym roku
nareszcie
nie pachnie
jesienią
kupiłam śliczne sandaalki
naprawdę
i
mogę już odejść

marzec 2008

Spójrz jak odchodzą
pojedynczo
piaszczystej drodze
płascy
oddzieleni
od swych słów i gestów

którzy jeszcze zostali
oczy dogasają
i skóra zeschnięta
szeleści jak pergamin

Heimatowy klocek

Czy w ogóle warto zajmować się mniejszością niemiecką na Ziemi Lubuskiej? Co innego na Opolszczyźnie, gdzie co dziesiąty mieszkaniec twierdzi, że jest Niemcem. To aż 106 855 osób. W porównywalnym pod względem liczby ludności woj. lubuskim Niemców jest jedynie 0,064 proc., czyli 651 osób. Tyle w każdym razie zadeklarowało narodowość niemiecką podczas ostatniego Narodowego Spisu Powszechnego Ludności w 2002 r.

W sumie w naszym kraju, według tegoż spisu., mieszka na stałe 152.897 Niemców, co stanowi 0,4 mieszkańców Polski. 147.094 spośród nich ma polskie obywatelstwo. Policzeni z niemiecką wręcz skrupulatnością polscy Niemcy nie do końca jednak chcą wierzyć w spisowe dane. Przekonują, że może ich być w Polsce co najmniej dwa razy więcej.

Jan (niegdyś Hans) Grzegorzczk z Zielonej Góry, twierdzi, że tak naprawdę w Lubuskiem jest około tysiąca tych, którzy mogą być Niemcami. Nie wszyscy jednak z germańską narodowością się obnoszą. Może są i tacy, którzy o niej nie wiedzą. Poza tym Niemiec Niemcowi nierówny. Są tacy z niemieckiej matki i takiegoż ojca. Są ci z mieszanych małżeństw. Są autochtoni, czyli po prostu „tutejsi”, którzy po wojnie skłaniali się albo ku polskości, albo ku niemieckości. Są Ślązacy z Górnego Śląska, twierdzący „Jo zech je Ślązok”, ale czasem też (z różnych względów) „Ich bin Deutsche”. Do tego – wszyscy pożenieni w ciągu tych ponad 60 lat po wojnie w najróżniejszych narodowych konstelacjach.

Na początku lat 90. ub. wieku część spośród nich spotkała się w Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym

Mniejszości Niemieckiej w Zielonej Górze, które trochę przez przypadek założył właśnie Jan Grzegorzczk. Był potem jego wielokrotnym przewodniczącym.

Czy więc warto dziś zajmować się mniejszością niemiecką na Ziemi Lubuskiej, skoro niemieckość jej członków ma tak różne, czasem wręcz wątpliwe dla chłodnego obserwatora odcienie?

Prof. Krzysztof Borysławski z Uniwersytetu Wrocławskiego, cytowany w tygodniku „Przegląd” z 16 listopada 2008 r., w artykule „Dziś prawdziwych Polaków już nie ma”, utrzymuje, że grupę etniczną tworzą ludzie nie zawsze cechujący się w jednakowym stopniu wspólnym pochodzeniem i kulturą, ale często mający tylko przekonanie o wspólnocie pochodzenia i kultury. Czyli grupą etniczną jest taka grupa, która przechowuje wiarę we wspólne pochodzenie. Choćby i ta wiara niewiele miała wspólnego z rzeczywistością.

Jakby tego było mało, we wspomnianym piśmie następny artykuł ma tytuł „Prawdziwy Niemiec też nie istnieje”. Bo po przebadaniu genetycznych próbek prawie 20 tys. Niemców naukowcy ustalili, że tylko 6 proc. niemieckich mężczyzn pochodzi od strony ojca od Germanów, za to aż 30 proc. od ludów Europy Wschodniej, przede wszystkim Słowian. Na dokładkę badania genetyczne wykazały, że co dziesiąty Niemiec jest... żydowskiego pochodzenia.

Ale to tylko taka dygresja. Dająca jednak chyba do myślenia, jak to jest z tą naszą narodowością, z tak zwana rasową czystością (fatalnie kojarzące się określenie) oraz z tym, kto jest narodową mniejszością i jaką.

Helmut, ty Szwabie!

Gdy w 1945 r. do Zielonej Góry zbliżał się front, pozostali jeszcze w mieście mieszkańcy (głównie kobiety, dzieci, ludzie starsi), mieli całkiem inne kłopoty na głowie niż roztrząsanie niuansów swej narodowej przynależności. Ważniejsze było: Uciekać? Nie uciekać? Jeśli uciekać, to jak, czym i dokąd? Jeśli zostać, to jak się ratować? Dobrej odpowiedzi nie było. Pewne było tylko, że wkrótce Hitler kaput.

Jakbyś się czuła, gdyby było wiadomo, że lada moment wejdą Rosjanie, a może i Polacy, a ty jesteś Niemką? Wprawdzie wdową po Polaku, ale też matką dwunastolatka i prawie trzylatka, którzy mówią tylko po niemiecku. Rosyjskiego i polskiego ty i oni ani w ząb.

Obywatelstwo masz od zawsze niemieckie. Twój starszy syn dostał je w 1943 r. po tym, jak w budynku stojącym na rogu dzisiejszej al. Niepodległości i ul. Kupieckiej przebadano go, czy nadaje się na Niemca. Musiał się rozebrać i wykazać znajomością niemieckiego. Wykazał się. Na imię miał zresztą Helmut, jak na Niemca przystało. Tylko nazwisko po ojcu polskie do bólu. Drzewko. Niemcy wymawiali je Drcewko.

Zgodnie z przewidywaniami niemieckich mieszkańców, Rosjanie przyszli do miasta. Potem zjawili się też Polacy. Niemiecka mama pół-Niemca, pół-Polaka Helmuta znalazła pracę w mleczarni, później w poniemieckiej fabryce, którą przemianowano na Polską Wełnę.

W domu do jedzenia było niewiele. Już wcześniej na znalezionych żarnach mełło się żyto na kaszę. Czasem trafiały się kartofle. Zapłata w fabryce była skromna. Dobrze, że mama Helmuta miała już polskie obywatelstwo, bo gdyby nie ono, pensja byłaby jeszcze skromniejsza. Niemcy mieli przecież planowo zarabiać znacznie mniej od Polaków. Sprawiedliwość po latach wojennego koszmaru musiała przecież być. No, chyba że jakiś Niemiec był niezbędnym fachowcem. Wtedy dostawał też czerwoną kartę reklamacyjną, chroniącą przed wysiedleniem. Biała nie chroniła przed niczym.

Helmut z mamą i braciszkiem mieszkali w pokoiku z kuchnią przy dzisiejszej ul. Botanicznej. Polacy przychodzili na Botaniczną, zaglądali, oglądali, ale nie kazali się wynosić. Helmut przypuszcza, że to dlatego, że mieszkanie było małe, zaniedbane, więc nieatrakcyjne.

Czas biegł. Wokół coraz więcej polskich rodzin. Są też polscy chłopcy w wieku Helmuta. Chodzą do polskiej szkoły. Helmut nie chodzi. Ktoś musi opiekować się malutkim bratem, kiedy mama w pracy. Poza tym nie zna przecież polskiego. Jest wystraszony.

Jakbyś się czuł, gdybyś miał dwanaście lat, nie miał taty (zmarł w 1943 r. na zapalenie płuc), nie znał słowa po polsku, ale wyczuwał, że polscy rówieśnicy wołając za tobą „Szwabi!” nie robią tego bynajmniej z sympatii, chęci zawarcia znajomości i pobawienia się w berka?

Z czasem jednak paru polskich kolegów się znalazło, a i polski język zaczynał być nieco bardziej rozumiały. Helmutowi było tylko przykro, jak mama czasem po przyjeździe z pracy płakała, bo miała nieprzyjemności ze strony Polaków. Nawet odpowiedzieć nie umiała, bo dopiero potem trochę się polskiego nauczyła. Ze słuchu, bo niby jak. 75-letni dziś Helmut od razu tłumaczy, że różna ciemnota zawsze była i jest. Nikt rozsądny w stosunku do jego mamy tak by się nie zachowywał. Rozsądnych wśród Polaków też musiało być niemało, więc mama nie zawsze płakała. Z czasem dorobiła się grona polskich znajomych.

Do Niemiec nie chciała wyjeżdżać, bo tam przepełnienie było i kłopoty z apropozacją, więc co by tam robiła z dziećmi. A tu, w Grünbergu, co to go Polacy na Zieloną Górę przemianowali, miała swoje mieszkanie i nadzieję, że nikt już jej z niego nie wyrzuci, skoro do tej pory nie wyrzucił. Poza tym bała się, żeby nie było jak z dziadkiem. Babcia, czyli mama mamy Wenera, wsadziła go na wózek, bo co miała zrobić, jak nie mógł chodzić. To było wtedy, jak weszli do ich mieszkania Polacy z opaskami i karabinami i kazali zaraz wyjść, choć nie zjedzone do końca ciepłe jedzenie było jeszcze na stole. Przykazali dołączyć do grupy innych Niemców i iść do punktu zbornego. Dziadka wkrótce trzeba było pochować w rowie za Leśniowem, bo taka wyprawa to nie były jednak warunki dla starego człowieka.

W późniejszym okresie już tak z minuty na minutę nie kazano się Niemcom wynosić, a w wagonach jadących na zachód nawet piecyki były i inne „wygody”. Ale w mamie Helmuta ten dystans do wyjazdu już na zawsze pozostał. W jej starszym synu też, skoro nigdy nie chciał na stałe przenieść się do Niemiec, tak jak to zrobił, ale dopiero w 1989 r., jego młodszy brat.

Dziś Helmut Drzewko na pytanie, kim właściwie jest (Niemcem? Trochę Niemcem? Trochę Pola-

kiem?), odpowiada po chwili zastanowienia, że jest po prostu tutejszy.

Zakazany Adolf

Z czasem ci trochę Niemcy, trochę Polacy, autochtoni, ale też rodowici Niemcy, którzy nie uciekli przed zbliżającym się frontem, nie wyjechali sami tuż po wojnie lub nie zostali wysiedleni w okrutny albo bardziej cywilizowany sposób, dostawali polskie obywatelstwo. Regulowała to m.in. ustawa ministra Ziem Odzyskanych z 6 kwietnia 1946 r. Na mocy jej przepisów obywatelstwo polskie mogły otrzymać osoby, które przed 1 stycznia 1945 r. miały stałe miejsce zamieszkania na ziemiach zachodnich i północnych oraz pozytywnie przeszły weryfikację i złożyły deklarację wierności narodowi i państwu polskiemu. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że obywatelstwo polskie można było przyznać nie tylko na wniosek osoby zainteresowanej, ale i z urzędu. Prowadziło to do nadużyć.

Wcześniej, bo dekretem z 10 listopada 1945 r., próbowano wprowadzić zasadę zmiany niemiecko brzmiących imion i nazwisk na polskie. Skończyło się na tym, że zakazano nadawania świeżo urodzonym dzieciom niemieckich imion, takich jak Adolf, Eryk, Bruno, Gerhard, Zygfryd. Bywało, że niemieccy rodzice sami występowali o zmianę niemieckiego imienia swego dziecka, bo obawiali się, że będzie szykanowane przez polskich rówieśników. I tak Hildegarda stawała się np. Haliną. Opisuje to w arcyciekawej pracy „Wysiedlenie czy wypędzenie? Ludność niemiecka w Polsce w latach 1945-1949” prof. Bernadetta Nitschke z Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Kiedy już było można, polscy obywatele, którzy przyznawali się do niemieckich korzeni, starali się zdobyć też obywatelstwo niemieckie. Czasem chodziło im o to, żeby móc wyjechać i urządzić się na Zachodzie. Czasem, żeby podkreślić swoją tożsamość, bo wcale opuszczać Polski nie zamierzali.

Według prof. Bernadetty Nitschke, sytuację ludności niemieckiej w Polsce w okresie wysiedleń i późniejszych wyjazdów można podzielić na trzy okresy. Pierwszy, w latach 1945-49 charakteryzował się brakiem stabilizacji, wynikającym z realizacji polityki, mającej na celu całkowite usunięcie Niemców z terenów przyznanych Polsce po II wojnie św.. Drugi, trwający od 1950 do 1956 r., polegał na próbach unormowania warunków życia i pracy tej grupy

ludności. Charakteryzował się działaniami zmierzającymi do zatrzymania jej najbardziej wartościowej (ze względu na kwalifikacje zawodowe) części. Trzeci okres, po 1956 r., był związany bezpośrednio z przemianami społecznymi i politycznymi w Polsce i przyniósł nowe spojrzenie na ludność niemiecką oraz uznanie jej za mniejszość narodową. Z czasem okazało się, że jest ona największą mniejszością narodową w Polsce.

Przekonani o wspólnocie

Jan Grzegorzczak, od lat 60. ub. wieku mieszkając Zieloną Górę, z mediów dowiedział się, że w 1991 r. w Opolu tamtejszy sąd wojewódzki zarejestrował pierwszą w Polsce organizację obywateli polskich, którzy deklarują narodowość niemiecką. Był to Związek Niemieckich Stowarzyszeń Społeczno-Kulturalnych. Podający te informacje dziennikarze nie wiedzieli chyba, że już w 1956 r. ub. wieku powstało w Wałbrzychu (i długo jak najbardziej jawnie działało) Niemieckie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Jego narodziny wsparł ówczesny Komitet Miejski PZPR z I sekretarzem partii na czele. Wkrótce powstała terenowa grupa Towarzystwa we Wrocławiu. Działała do stanu wojennego. Reaktywowano ją już w listopadzie 1982 r., a więc zanim zawieszono stan wojenny i zanim mogły działać inne organizacje.

Były też różne inne próby integrowania się osób o niemieckim pochodzeniu. Prawdą jest jednak, że dopiero po przemianach ustrojowych w Polsce takie inicjatywy rozkwitły.

Jana Grzegorzczaka, który od 1992 r. miał już paszport niemiecki, zaczęło intrygować, czy w Zielonej Górze znajdzie się ustawowe 15 osób o niemieckim pochodzeniu, żeby utworzyć mniejszościową organizację – A może jest już jakaś zorganizowana grupa, tylko ja o tym nie wiem? – zastanawiał się.

Wczesną wiosną 1994 r., przy okazji pobytu na Dolnym Śląsku, wybrał się też do Opola. – O ile mi wiadomo, w Zielonej Górze nie ma takiej organizacji – powiedział mu ówczesny dyrektor biura ZNSS-K. Po czym spytał go, czy nie podjąłby się zorganizowania Niemców w Zielonej Górze.

Po powrocie do domu Grzegorzczak zamieścił w weekendowym wydaniu „Gazety Lubuskiej” ogłoszenie, żeby osoby zainteresowane utworze-

niem towarzystwa mniejszości niemieckiej przybyły w wyznaczonym czasie do biura, którym wówczas dysponował. Zjawił się tłum, którego się nie spodziewał. Zupełnie wystarczający, żeby (po sprawdzeniu dowodów niemieckiego pochodzenia przybyłych osób) zarejestrować Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Mniejszości Niemieckiej w Zielonej Górze. 21 lipca 1994 r. wpisano je do rejestru stowarzyszeń. Dziś należy do niego około 340 osób. Życiorysy wielu z nich są dowodem na tezę prof. Krzysztofa Boryślowskiego, że grupę etniczną tworzą ludzie nie zawsze cechujący się w jednakowym stopniu wspólnym pochodzeniem i kulturą, ale często mający jedynie samo przekonanie o wspólnotocie pochodzenia i kultury. Ludzie ci mogą nawet nie znać języka mniejszości, do której się przypisują.

No właśnie! Czy rzeczywiście można należeć do niemieckiej mniejszości i nie znać zupełnie, albo prawie zupełnie, niemieckiego języka? Można. Podobnie jak można być członkiem polskiej mniejszości w Kazachstanie, mówić na co dzień po rosyjsku, a z polskiego znać tylko garść podstawowych słów. Nie należy się więc oburzać, że stopień znajomości i posługiwania się językiem niemieckim wśród członków stowarzyszeń mniejszości niemieckiej jest dość niski. Członkowie TSKMN w Zielonej Górze nie są tu żadnym wyjątkiem. Znajomością tego języka mogą się pochwalić głównie osoby starsze, które chodziły do szkół jeszcze przed wojną. Osoby urodzone już po wojnie i wychowane w Polsce z niemieckim mają często wielkie kłopoty. Ich dzieci tym bardziej. To dlatego jednym z ważniejszych kierunków działania organizacji mniejszościowych jest organizowanie kursów języka ojczystego. Nie inaczej postępuje zielonogórskie TSKMN.

Trzeba zaznaczyć dla pełnego obrazu, że grupy Lubuszan poczuwających się do niemieckiego pochodzenia próbowały się też – z różnym skutkiem – zrzeszać się w organizacjach zakładanych np. w Gorzowie Wielkopolskim i Przytocznej. Do utworzenia jednej, wspólnej, wojewódzkiej organizacji jednak nie doszło.

Zbombardować Anglię

Czy można w dzieciństwie znać tylko niemiecki, parę lat później tylko polski, a potem prawie od początku uczyć się niemieckiego? Jan Grzegorzcyk przekonuje, że tak, bo to jego przypadek.

Urodził się tuż przed wojną w polskim Rybniku. Rodzice mówili w domu po niemiecku, w każdym razie zawsze wtedy, gdy on ich słyszał. Poszedł do niemieckiego przedszkola. W czasie wojny w niemieckiej szkole nauczyli go niemieckich żołnierskich piosenek. Szczególnie podobała mu się ta z refrenem „Lecimy bombardować Anglię”. Na pewno wtedy czuł się niemieckim dzieckiem, dumnym z siły niemieckiego oręża. Na imię miał bardzo po niemiecku, bo Hans. Z nazwiskiem wszyscy mieli kłopot. Nauczyciele wymawiali je Grzegorzcyk.

W 1945 r. Hans dowiedział się nagle, że matka umie też mówić po polsku. Ale najpierw wraz z nią i starszym bratem znalazł się w sytuacji, kiedy to front styczniowy zatrzymał się 500 m od ich domu. Ojca już nie było, bo wcielono go do Wehrmachtu.

Styczeń i luty 1945 r. spędzili w piwnicy. W marcu przyszedł rozkaz ewakuowania się z linii frontu. Matka Hansa załadowała co mogła na sanki (był akurat piękny śnieg). Brat je ciągnął, Hans pchał. Resztę spakowała do wora i zarzuciła na rower.

Wyruszyli rano, osłepieni słońcem i bielą śniegu, po dwóch miesiącach w piwnicy, z której wychodzili tylko nocą chytkiem po wodę do studni. Szli pieszo z Rybnika na zachód do babci i dziadka Hansa. Wokół domki, za nimi część odsłoniętego terenu, więc nic dziwnego, że Rosjanie ich zobaczyli. Ostrzelali z karabinu maszynowego. Hans z wrażenia zasłabł. Matka w lament, że zabili. Ale nie. Koło południa kłopot. Słońce stopiło śnieg. Na szczęście udało się wyzebrać jakiś wózek.

Z dziadkami Hans przywitał się po niemiecku. Zagadał do dwóch kuzynów, ale okazało się, że prawie wcale nie znają tego języka. Mówią chyba po śląsku. A matka z dziadkami rozmawia po polsku. Chyba. On w każdym razie nic nie rozumie.

Razem z frontem przyszli Rosjanie. Dziadkowie Hansa usiłowali przekonać jednego z nich, że choć może i tereny są niemieckie, ale cała ich rodzina to Polacy. Babcia poczęstowała wódką. Zrobiło się miło. Cóż, kiedy inni Rosjanie zwiedzieli się, że w tym domu dają wódkę. Nie chcieli uwierzyć, że babcia miała tylko ćwiartkę. Cały dom przerzucili. Ale za to potem na polu dziadków zainstalowali wojskową piekarnię i świeżym chlebem częstowali.

– Broń Boże słowa po niemiecku! – przykazała matka Hansowi, który już był Jankiem.

Janek, żeby móc w ogóle mówić, uczył się w ekspresowym tempie polskiego, śląskiego, a przy

okazji rosyjskiego. W głowie miał blokadę psychiczną, wypierającą coraz skuteczniej niemiecki, który mógł oznaczać naprawdę poważne kłopoty. Może nawet śmierć. Po dłuższym okresie dom rodziców odwiedzili krewni rozmawiający tylko po niemiecku. Hans, czyli Janek, już niezbyt rozumiał, o czym mówią.

Kiedy rodzina wróciła do Rybnika, poszedł do polskiej szkoły. Tu jego czysto polskie imię i także nazwisko nikomu nie sprawiało problemów z wymową. Także tym nauczycielom, którzy uczyli go wcześniej w niemieckiej szkole. Uczniowie w większości też byli ci sami. Mówili po śląsku i po polsku, choć wcześniej tego nie robili.

Zaraz na początku zabrano wszystkich uczniów do Auschwitz. – Zaczęliśmy się wstydić tego, że byliśmy kiedyś Niemcami, bo Niemiec to zbrodniarz – opowiada Jan Grzegorzczak. – To był też czas procesu norymberskiego, szeroko relacjonowanego. Ja jednak nigdy nie zapominałem, że miałem w życiu okres, kiedy nie umiałem słowa po polsku. Kim byłem, jak nazywałem się Hans „Grzegorzczak”? Ja zresztą nigdy nie ukrywałem, że miałem odcinek w życiu, kiedy czułem się Niemcem do tego stopnia, że byłem gotów bombardować Anglię.

Ze Śląska młody Grzegorzczak trafił na studia do Warszawy. Dopiero tu miał okazję zapisać się na lektorat języka niemieckiego. Lekcji tego języka nie było w szkołach na Górnym Śląsku, choć w innych regionach Polski można się było go bez przeszkód uczyć.

W głowie Janka szuflady z niemieckim otwierały się, ale powoli. Wyróżniał się na tle innych studentów dobrym akcentem. Oktober wymawiał jak należy, a nie po polsku. Nie umiał wytłumaczyć, dlaczego jedno „o” w tym słowie wymawia się tak, a drugie inaczej, ale wiedział, że tak jest. Chciał nauczyć się jak najwięcej. Zapamiętał dokładnie wszystkie słowa z podręcznika. Wymyślił też, że na praktykę studentką pojedzie do Niemiec. W tamtych latach był to raczej szalony pomysł, no, chyba że chodziło o zbiorowy wyjazd do NRD. Udało mu się jednak załatwić praktykę w zachodnich Niemczech, a potem w Austrii. Nie pozostało to bez wpływu na znajomość języka.

Nigdy jednak nie zdecydował się zostać za granicą. Ożenił się z Polką. Pracował na wysokim stanowisku w zielonogórskim browarze.

– Gdybym chciał, to też miałbym niemieckie papiery – powiedział kiedyś przy dzieciach.

– To czemu nie chcesz? – zapytał syn.

W 1988 r. Jan Grzegorzczak pojechał więc do ambasady RFN w Warszawie.

– Gdzie się pan urodził?

– W Rybniku.

– Po której to było stronie?

– Po polskiej.

– To nie ma o czym mówić.

– Ale ojca do Wehrmachtu wzięliście! – powiedział i zaczął szukać dowodów na swoją niemieckość.

Za Gierka nie starał się o takie papiery, bo nie były mu do niczego potrzebne. Ale teraz mur upadł. Córka pojechała do Hamburga. Kończyła jej się prawo pobytu: – Tato, zrób coś – prosiła.

Jednak ojca Grzegorzczaka na liście Wehrmachtu nie znaleziono. Dopiero potem okazało się, że jego jednostkę wcielili do obrony francuskiego wybrzeża, więc trzeba było szukać w marynarce. Tymczasem córka alarmowała, że jeszcze trochę, a ją wyrzucą. Pojechał więc Grzegorzczak do dawnego zakładu swego ojca. Dopiero tam znalazł papier wydany przez komitet NSDAP, potwierdzający, że Józef Grzegorzczak jest Niemcem i jako taki może pracować w niemieckim szpitalu.

– Córka mogła spokojnie zostać w Hamburgu, a ja przy okazji dostałem niemieckie papiery – śmieje się. – Dopóki jednak nie miałem tego czarno na białym, dopóki poczta nie przyniosła mi stosownego dokumentu, nie ważyłem się mówić, że jestem Niemcem. Bo po pierwsze mam polskie nazwisko, po drugie z tymi sprawami trzeba ostrożnie.

A ja (pewnie całkiem niesłusznie) chwilami odnoszę wrażenie, że do kwestii niemieckości czy polskości Jan/Hans Grzegorzczak ma jednak pewien dystans. Ale czy może go nie mieć człowiek o tak poplątanym narodowościowym życiorysie?

Sprawa sentymalna

Być może za kilkadziesiąt lat to, czy ktoś czuje się bardziej Niemcem, Polakiem, Ślązakiem, ale też Kaszubem, Mazurem itp. straci obecną rangę. Być może dla prawnuków dzieci obecnych przedstawicieli mniejszości niemieckiej będą to sprawy bez większego znaczenia. Wtopią się wraz z Polakami w jakimś stopniu w europejską wspólnotę. Kwestia narodowej przynależności stanie się bardziej ich prywatną sprawą o sentymalnym charakterze niż

problemem rozgrywanym politycznie, albo i militarnie. Być może nigdy nie powtórzy się to, co stało się z dużą częścią niemieckiej mniejszości w Polsce po wybuchu II wojny światowej. Wtedy to przecież złożona z prawie stu tysięcy polskich Niemców mniejszościowa organizacja Selbstschutz stanęła po stronie niemieckich okupantów. Dokonywała masowych mordów na Polakach (mówi się o 50 tysiącach ofiar). Tworzyła listy osób, mających być wysłanych do obozów koncentracyjnych (90 proc. Polaków, którzy trafili tam podczas wczesnej fazy okupacji niemieckiej, znalazła się tam właśnie w taki sposób).

Dzisiaj czasy są inne. Mniejszości niemieckiej boją się głównie radykalnie prawicowe środowiska, zwłaszcza młodzieżowe. To ich członkowie wywołują skandale podczas niemieckich majowych religijnych uroczystości na Górze św. Anny (w 1988 r. po raz pierwszy odprawiono tam katolicką mszę w języku niemieckim). Wznoszą okrzyki, wsparte zresztą hitlerowskim gestem, „Śląsk Opolski zawsze polski” albo „Niemcy won z opolskich stron”.

Na Ziemi Lubuskiej mniejszość niemiecka nie budzi wśród Polaków większych emocji. Nawet w latach 90. ub. wieku, kiedy odżyły obawy dotyczące trwałości powojennego porządku, mówiło się raczej, że „przyjdą Niemcy i odbiorą”, a nie, że domagać się czegoś będzie mieszkająca tu niemiecka mniejszość. O jej istnieniu wielu polskich Lubuszan nie myślało, albo nawet nie wiedziało.

To całkiem inna sytuacja niż w Opolskiem, gdzie zrzeszające około 56 tys. członków Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców na Śląsku Opolskim pod przewodnictwem Henryka Krolla ma aż 331 kół terenowych, 51 zarządów gminnych i 7 zarządów powiatowych. Z inicjatywy tamtejszego TSKN powołano osiem organizacji, m.in. Niemieckie Towarzystwo Oświatowe, Niemieckie Towarzystwo Dobroczynne, Wydawnictwo „Silesiapress”, a nawet niemiecki Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Pomost”. W siedmiu liceach ogólnokształcących są dwujęzyczne klasy. Działają 25 przedszkoli z językiem niemieckim. Jest 186 takich szkół podstawowych i 55 gimnazjów. Praca z dziećmi i młodzieżą jest tam jednym z ważniejszych zadań. Wszystko po to, żeby organizacje mniejszości niemieckiej nie nabierały coraz bardziej emeryckiego charakteru, a nieznajomość języka nie była przeszkodą w kulturowaniu niemieckości we wszystkich jej wymiarach.

Także tak kontrowersyjnych, jak domaganie się wprowadzania dwujęzycznych nazw miejscowości i języka niemieckiego jako drugiego języka urzędowego tam, gdzie są duże skupiska mniejszości niemieckiej, jak upamiętnianie poległych żołnierzy Wehrmachtu, jak zaliczanie byłym żołnierzom Wehrmachtu służby wojskowej i czasu niewoli do okresu składkowego przy emeryturach oraz danie im możliwości nabycia uprawnień przysługujących inwalidom wojennym i kombatanom II wojny światowej.

Na tle mniejszości niemieckiej na Śląsku Opolskim czy Górnym Śląsku, ta lubuska wygląda bardzo skromnie. Jest niewielka, więc całkiem inne są jej możliwości. Wystarczy wspomnieć, że jako wydarzenie w TSKMN w Zielonej Górze wspomina się dzień, kiedy dzięki dotacji z Konsulatu Generalnego Niemiec we Wrocławiu, można było kupić w 1999 r. kserokopiarke, zresztą używaną. Dzięki niej w styczniu 2000 r. mógł się więc ukazać pierwszy numer miesięcznika „Grünberger Monatsblatt”. Pismo wydawane jest jednocześnie po niemiecku i po polsku. Są w nim nie tylko relacje z życia organizacyjnego Towarzystwa, informacje o podejmowanych działaniach na rzecz członków, ale też np. wiersze niemieckich poetów. Zamieszczono w nim m.in. apel do tych, którzy poczuwają się do związków z narodem niemieckim i jego kulturą, aby pomogli w odbudowie pałacu w Jędrzychowicach, należącego do baronowej Sigrun Freifrau von Schlichting.

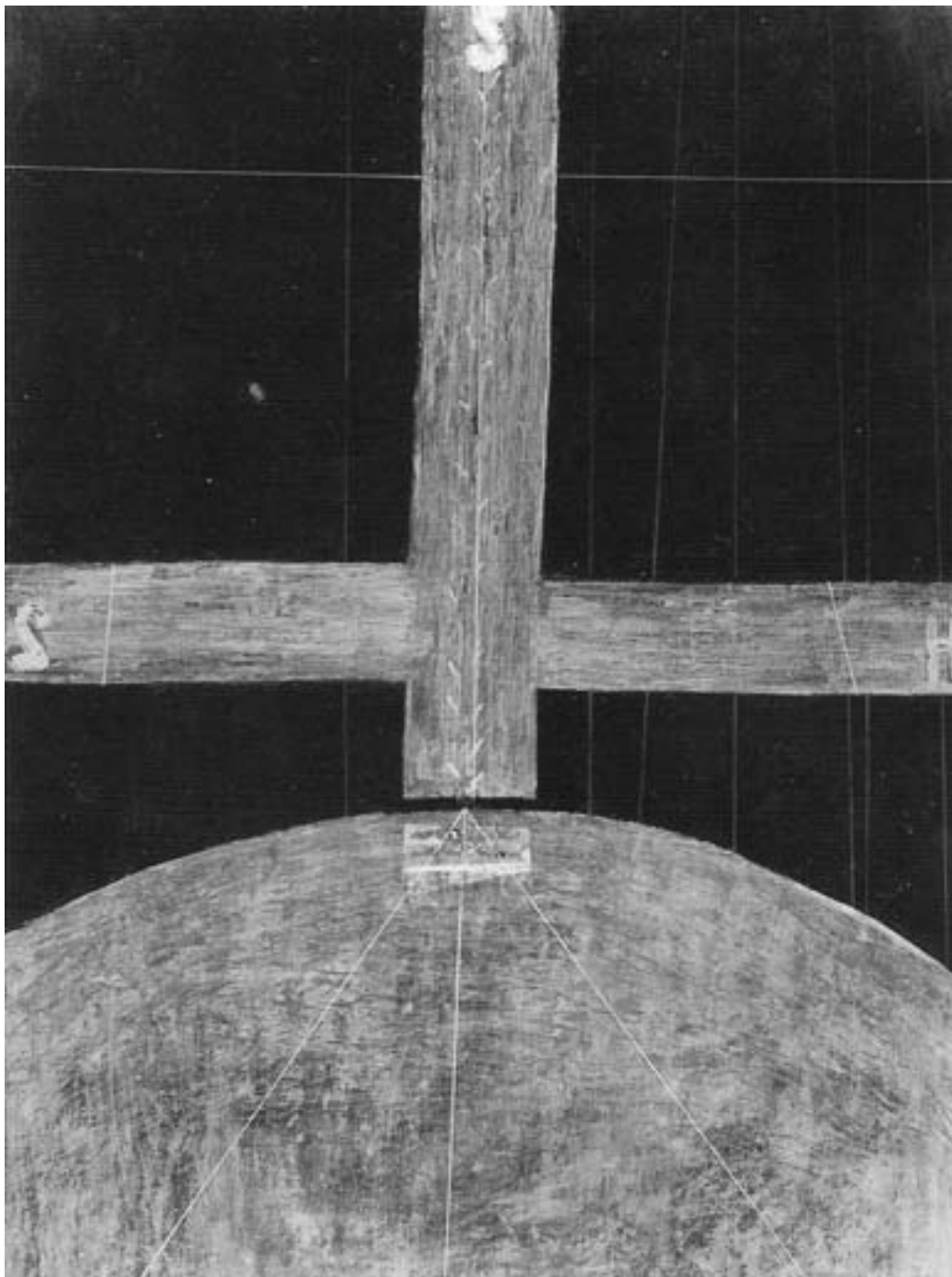
Podobnie jak wszystkie organizacje mniejszościowe, także TSKMN w Zielonej Górze rozumie wagę nauczania języka niemieckiego swoich członków. Kursy językowe są więc stałym elementem działalności. Korzystają z nich „mniejszościowe” dzieci i młodzież, dla których organizuje się też obozy i kolonie z językiem niemieckim. Niektórym udaje się załatwić wyjazd do Niemiec na kolonie lub krótkie stypendium na uczelni niemieckiej.

Mniejszość niemiecka w Zielonej Górze próbuje też wychodzić ze swoimi inicjatywami na zewnątrz. Przykładem mogą być choćby „Niemiecko-Polskie Dni Fortepianu i Śpiewu” w Filharmonii Zielonogórskiej czy Dni Niemieckie organizowane podczas Winobrania. Wiedza o tych działaniach nie jest jednak wśród polskich mieszkańców zbyt wielka.

Czy więc warto w tej sytuacji zajmować się mniejszością niemiecką na Ziemi Lubuskiej? Czy w ogóle jest sens bawić się w takie układanie lubus-

kich narodowych klocków? Tych niemieckich, heimatowych, ale także ukraińskich, greckich, wietnamskich itd. Jest, choćby dlatego, że te klocki są. To nic, że małe w stosunku do polskiego, który dominuje. Dodają kolorytu. Uczą rozumienia potrzeb i poszanowania praw narodowych mniejszości,

a więc i tolerancji, której nigdy za wiele. A przy okazji choćby na przykładzie losów Helmuta Drzewko i Hansa/Jana Grzegorzcyka można zobaczyć, jak poplątane i niejednoznaczne narodowościowo korzenie mogą mieć przedstawiciele mniejszości.



Zbąszyń – Preludium Zagłady

(przypomnienie deportacji Żydów po 70 latach)

O Zbąszyniu mówiono „na całym świecie” tylko raz w jego historii. Zdarzyło się to w końcu października 1938 r., gdy o mieście pisał nawet „New York Times”. I dziesiątki gazet w Polsce i Europie. Opisywano i komentowano wypędzenie z III Rzeszy ok. 17 tys. polskich Żydów, z czego 9 tys. zostało deportowanych do Zbąszynia. Wypadki zbąszyńskie zbulwersowały wielu prawych ludzi Europy i wpłynęły na losy kontynentu. Nazwano je Preludium Zagłady.

Graniczna wtedy stacja kolejowa i pierwsze miasto w Polsce (po wjeździe od strony Niemiec) znalazły się w pamiętnikach Zofii Nałkowskiej, a pisały o Zbąszyniu także znane postacie polskiego życia kulturalnego, wśród nich Zbigniew Mitzner, naczelny redaktor „Dziennika Ludowego”, który swój reportaż z granicy zatytułował „Inferno w Zbąszyniu”. Z losem ówczesnego ośrodka granicznego wiązały się losy tak wybitnych osób jak Marcel Reich-Ranicki, obecnie zwany papieżem niemieckiej krytyki literackiej, jak Emanuel Ringelblum, który przyjechał organizować tu pomoc dla pobratymców (znany był później z tego, że w czasie II wojny stworzył podziemne archiwum getta warszawskiego, uznanego przez UNESCO za światowe dziedzictwo kultury). Wśród wygnanców znalazła się rodzina Herszla Grynszpana, studenta z Paryża, który na wieść o deportacji najbliższych (otrzymał od ojca kartkę ze Zbąszynia) zastrzelił radcę ambasady niemieckiej w Paryżu. Dało to Hitlerowi pretekst do urzędzenia w Niemczech z 9 na 10 listopada 1938 r. słynnej w Europie tzw. Kryształowej Nocy. Z kolei Marek Edelman, ostatni dowódca powstania w getcie warszawskim, wspomina, iż w 1938 r.

działał w Warszawie w Komitecie pomocy rodakom przebywającym w Zbąszyniu

To było Wydarzenie

O Preludium Zagłady mówiono podczas dwudniowego wielowątkowego Wydarzenia (ze względu na rangę i poziom merytoryczny warto o nim pisać wielką literą!), które 28 i 29 października 2008 r. odbyło się w Zbąszyniu. Chodziło o przypomnienie deportacji polskich Żydów z III Rzeszy do Polski, w tym głównie do Zbąszynia w 1938 r. Teraz wypada 70. rocznica tamtych dramatycznych dni. Rocznicą była obchodzona w mieście po raz pierwszy. Bardzo godnie, na wysokim naukowym i artystycznym poziomie. Świadczyły o tym obecność wielu znaczących postaci z kraju i zagranicy.

Wydarzenie nad Obrą sprzed paru tygodni należy też odnotować jako duży sukces społecznego komitetu organizacyjnego, stworzonego kilka miesięcy wcześniej przez grupkę osób pochodzących ze Zbąszynia, ale dziś mieszkających poza nim. Wsparcia organizacyjnego użył komitetowi centrum kultury, szczególnie zaś jego dyrektorka

Katarzyna Kutzmann-Solarek. Dzięki tej współpracy w ciągu dwóch dni, w niepowtarzalnej atmosferze, rozmaite działania toczyły się jednocześnie w Muzeum Ziemi Zbąszyńskiej i Regionu Kozła, na kirkucie (byłym cmentarzu żydowskim na os. Kawczyńskie), na głównym dworcu kolejowym (bo jest jeszcze inny), w Domu Katolickim, kinie i gimnazjum. Jednym z efektów dwóch dni spotkań i rozmów będzie oryginalny pomnik walizki, który stanie na peronie pierwszym dworca kolejowego. 28 października 2008 r. uczestnicy spotkania podpisali zbiorowy akt erekcyjny tegoż pomnika. Być może ukaże się też publikacja zawierająca wygłoszone w Zbąszyniu referaty.

W Domu Katolickim

Obchody 70. lecia wypędzenia polskich Żydów z III Rzeszy zaczęły się od złożenia kwiatów na kirkucie. Potem rozpoczęła się sesja naukowa w... Domu Katolickim, udostępnionym przez miejscowego proboszcza ks. Zbigniewa Piotrowskiego. Tak się bowiem złożyło, że ośrodek kultury był wtedy w remoncie.

Przed wejściem do sali sesyjnej na pl. Rybaki siedział Żyd na walizce. Milczał. Intrygował wchodzących. Zarazem znakomicie symbolizował omawianą wewnątrz gmachu tematykę. Był to Nasko, aktor z Bułgarii, który właśnie odwiedził zaprzyjaźniony teatr „S”. I zagrał świetną, niemą rolę.

Tymczasem w wielofunkcyjnym Domu Katolickim, w auli im. ks. Leona Płotki, toczyła się sesja naukowa. Chęć wypowiedzi zgłosili wybitni znawcy tematu. Z Warszawy przyjechał prof. Jerzy Tomaszewski, emerytowany profesor z Uniwersytetu Warszawskiego, autor podstawowej dla omawianego zagadnienia książki pt. „Preludium Zagłady”. Jej

tytuł jest już teraz powszechnie wykorzystywany do nazwania deportacji 1938 właśnie tym określeniem. Wstępem do Holokaustu. Bo faktycznie rok przed wybuchem wojny hitlerowcy na dużej grupie Żydów „przećwiczyli” swe późniejsze praktyki.

Świetny referat o listach do brata (Salomona) 17-letniej Greta Schiffmann, jednej z deportowanych w Zbąszyniu, przedstawiła prof. Gertruda Pickhan z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie. Zresztą znakomitą polszczyzną. Z kolei Instytut Yad Vashem i Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie reprezentował Witold Mędykowski, który opowiedział o losach wybranych postaci, rodzin, jak przeszły przez piekło deportacji i przeżyły Holokaust znajdując ostatecznie ocalenie w Izraelu. Historię Żydów zbąszyńskich, od najdawniejszych czasów do II wojny, jako tło omawianego zagadnienia, opowiedział prof. Krzysztof Rzepa z Instytutu Historii UAM w Poznaniu, pochodzący ze Zbąszynia.

Przerywnikiem między referatami był bardzo dobrze zrobiony film Marty Małychy, uczennicy miejscowego LO, będący impresją młodego pokolenia w sprawach polsko-żydowskich. Uderzała świetnie dobrana muzyka. Potem jeszcze widowisko słowno-muzyczne w wykonaniu gimnazjalistów pt. „I nie zostanie nikt...”.

Walizka na peronie

Gdy pierwszego dnia zakończyła się sesja naukowa akcja, jeśli tak można powiedzieć, przeniosła się na główny dworzec kolejowy. Tutaj przyjeżdżali w 1938 r. deportowani Żydzi. Tu rozgrywały się ludzkie dramaty. Jednakże obecnie w wielkim holu dworcowym (budynek powstał w 1929 r., jako graniczna, a więc reprezentacyjna stacja II RP, pierwsza w Polsce po wjeździe z Niemiec) jest duży sklep fundacji „Nasz Dom” z tanimi rzeczami, sprzętami. Zysk idzie na młodzież i dzieci. Wizualnie sklep przypomina nieco sytuację z 1938 r. Ludzie dokonywali zakupów – bo punkt „Nasz Dom” tego dnia był otwarty dla handlujących – przemieszczali się wśród starych mebli, ciuchów, luster, obrazków, tobozków i waliz, jak wtedy, ale nad ich głowami wisiała ekspozycja. Fotografiami z nieistniejącego już dworca w Jerozolimie.

Przestrzeń sklepu została bowiem wykorzystana przez dwóch artystów, Wojciecha Olejniczaka (plastyka rodem ze Zbąszynia, ale tworzącego w Poznaniu)



i Erwina Schenkelbacha (fotografika i scenarzystę z Jerozolimy). Schenkelbach zawiesił zdjęcia nieistniejącego dworca w Jerozolimie, Olejniczak pokazał zaś film. Był on wyświetlany w kilkunastu telewizorach jednocześnie (czekających normalnie na sprzedaż w sklepie). Tematyka filmu dotyczyła oczywiście Preludium Zagłady. Na ekranie pojawiał się prof. Tomaszewski, jak i Salomon Schiffmann, w 1938 r. odbiorca listów pisanych ze Zbąszynia przez siostrę Gretę (co wcześniej referowała G. Pickhan).

W trakcie pokazu multimedialnego ogłoszono przerwę, żeby na peronie pierwszym przeprowadzić uroczyste podpisanie aktu erekcyjnego pomnika... walizki. Inspiracją dla pomysłodawcy, W. Olejniczaka, było zdjęcie z deportacji (zresztą powiększone do olbrzymich rozmiarów i umieszczone na ścianie dworca), gdzie przed tłumem wygnanców stoi samotna walizka. Taka właśnie ma stanąć za jakiś czas na peronie, żeby przypominać zdarzenia sprzed 70 lat.

Naturalność sytuacji (rozpoczętej wcześniej zjawieniem multimedialnym w sklepie dworcowym) w pewnym momencie podkreśliły przyjazdy na stację codziennych pociągów osobowych przywożących ludzi z pracy, ze szkoły. Zderzyły się (niezamierzenie) dwa światy.

Żydzi w kościele

W tym czasie w kinie „Obrą” pokazywano filmy pt. „Żydowskie motywy”, zaś w muzeum regionalnym prezentowano dwie wystawy. Pierwsza (z Muzeum Martyrologicznego w Żabikowie pod Poznaniem) to zbiór judaików, druga była współczesnym pokłosiem ogólnopolskiej akcji artystycznej „Kryształowe okna”, w której wziął udział artysta zbąszyński Ireneusz Solarek oraz niemiecka plastyczka Katy Feuerseger. A jeszcze dodatkową ciekawą ekspozycję dotyczącą Żydów przygotowało miejscowe gimnazjum.

Wieczorem w kolegiacie odbył się kończący pierwszy dzień wykład dr Bonnie Harris z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Santa Barnara (USA). Mówiła o kantorze Josephie Cysnerze, deportowanym z Hanoweru do Zbąszynia. Jego losy były zaskakujące. W trakcie kilkumiesięcznego pobytu nad Obrą otrzymał propozycję pracy jako kantor w... Manili na Filipinach. Wyjechał. Potem, po wojnie znalazł się w USA i tam zmarł. Będąc w egzotycznej Manili

stworzył intrygującą ponoć (bo jeszcze nie została zbadana do końca) muzykę żydowską opartą na motywach ludowych... zbąszyńskich. Wątek domagający się rozwinięcia, być może za rok.

O tym opowiadała B. Harris, która następnego dnia leciała na kolejną konferencję do Chicago, gdzie znów miała mówić o Cysnerze i wydarzeniach w Zbąszyniu.

Po wykładzie – szok dla konserwatywnych zbąszynian. – Rewolucja w mieście! – słysząc było szepty. W kościele katolickim, chyba pierwszy raz w jego historii, odbył się koncert muzyki synagogałnej. Wykonawcą okazał się Eliezer Mizrahi z synagogi Pod Białym Bocianem we Wrocławiu.

Cały program pierwszego dnia powtórzono w następnym, przy czym z założenia tym razem odbiorcą była przywieziona do Zbąszynia młodzież z całej Wielkopolski (stąd współudział w organizacji przedsięwzięcia kuratorium oświaty).

Nad Obrą przez 70 lat o tej dramatycznej historii Żydów nie pamiętano. Po wojnie nie było Żydów w mieście, nie było zatem problemu (czytaj: wspomnień i upamiętniania wygnania, poza nielicznymi

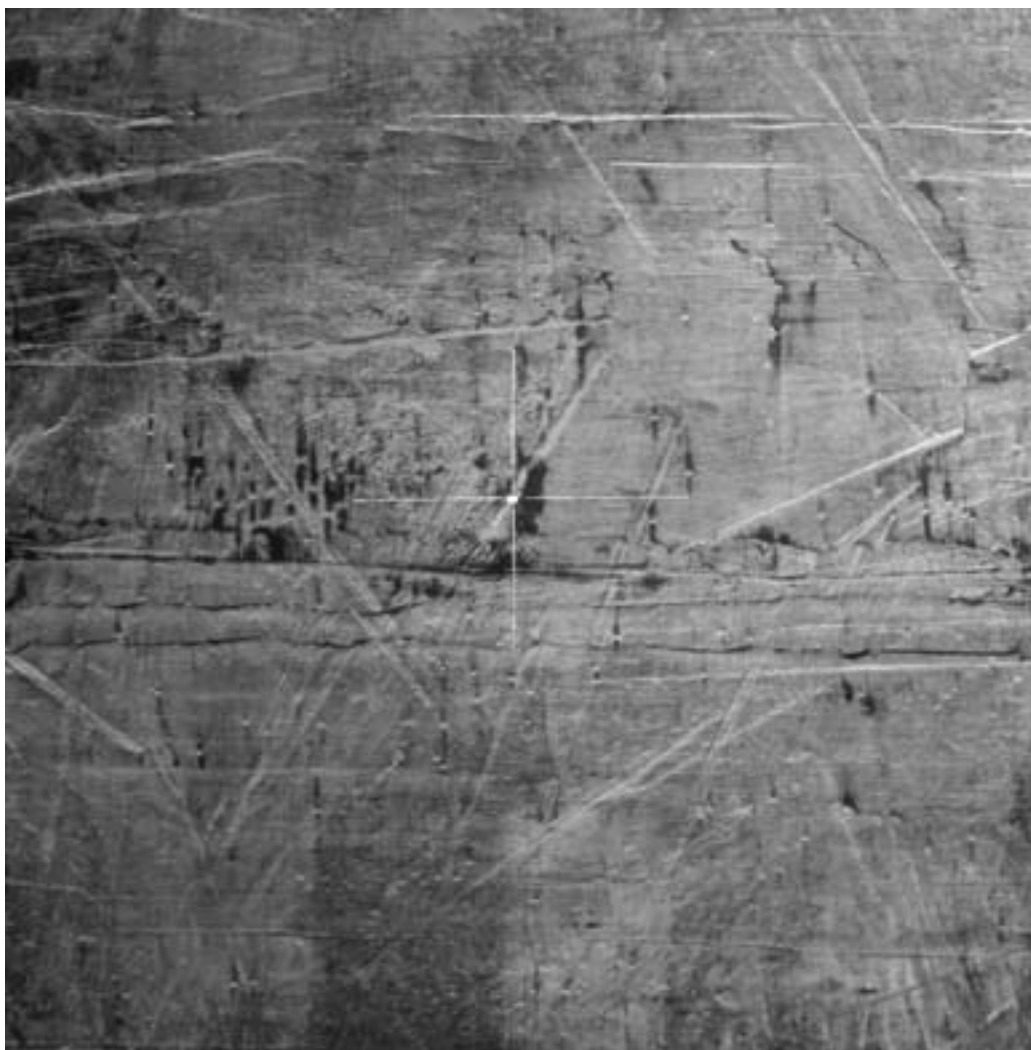


publikacjami prasowymi, m.in. niżej podpisanego i audycjami w radiu). Ani dla władz, ani dla zwykłych ludzi. W tym roku uczyniono potężny wyłom w zbiorowej (nie)pamięci.

Warto tu zauważyć rolę zielonogórskiego licealisty Szymona Płóciennika, który dzięki pracy o Preludium Zagłady i badaniach zbąszyńskiej młodzieży wygrał ogólnopolski konkurs z cyklu „Historia i kultura Żydów polskich” ogłoszony przez fundację Shalom. Uznał on bowiem ów temat za odkrywczy i wart opisania. Dziwił się potem, że tego faktu dotąd nie wygrano w Zbąszyniu... promocyjnie. Był to bowiem jedyny moment w historii miasta, kiedy o przygranicznym ośrodku mówił cały świat, jedyny moment, gdy wydarzenia zbąszyńskie wpłynęły na losy Europy.

– Polacy pomagali w 1938 r. Żydom przetrwać, wspierali ich. Co ważne, było to wydarzenie dramatyczne, ale nikt nie zginął, nie został zabity – mówił Szymon. – Nie rozumiem więc, dlaczego dotąd władze nie chciały o tym pamiętać. W miejsowym muzeum nie ma śladu po tamtych zdarzeniach. Wiele osób nie zna książki prof. Tomaszewskiego „Preludium Zagłady”, w folderach promocyjnych ani na stronie internetowej Zbąszynia nie ma ani słowa o 1938 roku.

Miejmy nadzieję, że teraz to się już zmieni. Szymon ma bowiem rację podkreślając, iż zbąszynianie nie potrafili dotąd pamiętać tamtej przeszłości, ale i „wygrać” dla współczesności owej historii, która zmieniła losy Europy.



Przemiana

Zachłannie patrzę na chłopczyka
na zasuszonych fotografiach
jakby podobnego do mnie
gdy ze smoczkiem zachwyty nad samym sobą
przechodzi z rąk do rąk
niczym rodowe srebra
Oparty o ścianę powietrza
rzuca pod maleńkie stopy
wielką piłkę kuli ziemskiej
i podnosi ręce na znak zwycięstwa

Nieobliczalny czas
nagle przemienił go w starca
do którego za żadne skarby
nie mogę przywyknąć

Rzeka

Heraklit twierdził
że dwa razy
nie wejść do tej samej rzeki
która w każdej chwili
razem ze mną zmienia się nie do poznania
aż zanurzymy się
ona we mnie
ja w niej
by popłynąć do morza martwego

Prośba do ciała

Bądź mężne moje ciało o trzech wymiarach
gdy po dziesięciu plagach egipskich
dopadnie cię zewsząd
czwarty wymiar

Odejdź z podniesioną głową
I równym krokiem
jak na parady

Niech z twojej krtani
nie wyzionie skarga
na odwieczny żywioł nicości

Na wieczorku poetyckim

Ta dziewczyna jest piękniejsza od swoich wierszy
które czyta z wypiekami na twarzy i rękach
Żadna myśl nie dorosła do jej ust
które dowodzą wielkiego smaku Pana Boga
Żadna metafora nie przystoi oczom
które w akcie stworzenia
przesłoniły Stwórcy cały świat
Ubytków w rymach i rytmie
nie zastąpią włosy o barwie dojrzałej pszenicy
które bujnie rozkwitły pod boskim nadzorem

Panie spraw
żeby to twoje dzieło
nie przesłaniało siebie
słowami

Łemkowie – wypędzeni z własnej ziemi

Jakiś czas temu, po przeprosinach prezydenta Kwaśniewskiego za akcję „Wisła”, odezwały się w naszym kraju przywiślańskim głosem wyrażające niezadowolenie z tego powodu. Co by mogło oznaczać, iż niesprawiedliwe wysiedlenie tysięcy mieszkańców południowej części Polski uważane jest przez niektórych z nas za słuszne...

Zainteresowałem się tym tematem po części dzięki przypadkowi. Zachorowałem kilkanaście lat temu na cukrzycę i w efekcie wysłano mnie kolejny raz do sanatorium. Przypadkowo znalazłem się – nie pierwszy raz – w Krynicy (choć mogłem trafić do Kołobrzegu, gdzie też leczą cukrzyków). I tam łażąc w wolnych chwilach po księgarniach, cmentarzach, świątyniach różnych wyznań, spotkałem ów temat.

W Krynicy Zdroju lokalne statystyki odnotowały w 1936 roku 3.500 Polaków, 3.000 Żydów i 2.140 Łemków. Obecnie w uzdrowisku i najbliższej okolicy notuje się tylko około 400 grekokatolików; można ich chyba w znacznej liczbie uznać za Łemków. Gdzie się podziiali pozostali? Niektórzy, nawet nie pytani, zostali w 1944 r. zmobilizowani do Armii Czerwonej. Połowa mieszkańców, nie tylko miasta, ale i pobliskich wsi, pod wpływem propagandy, do 1946 r. wyjechała do Związku Radzieckiego, pozostałą część przesiedlono w 1947 r. na ziemie odzyskane. Wśród nich najwybitniejszego z Łemków, Epifaniusza Drowniaka.

Nazwisko Drowniak niewiele nam powie, podobnie krynickim kuracjuszom, a być może nawet mieszkańcom Krynicy. Wystarczy jednak podać, że idzie o słynnego artystę Nikifora, żeby sytuacja się wyjaśniła. Nikifor Krynicki – tak nazwały go urzę-

dowo, bez jego udziału, w 1962 r., lokalne władze – trzykrotnie był wywożony na zachód Polski i trzykrotnie stamtąd uciekał. Nie mógł żyć bez swoich gór, bez krynickiego deptaka, gdzie tworzył. Czy popełnił jakieś przestępstwa wobec Polaków, że ukarano go w ten sposób? Czy inni jego ziomkowie okolic mieli i mają coś na sumieniu wobec swych przed- i powojennych krajan?

Janusz Michalak w książce „Krynica, Muszyna, Żegiestów, Piwniczna i okolice” (1997) pisze, że „UPA tu, z wyjątkiem jednej sotni przybyłej w 1947 r. z Bieszczadów, nie działała” (s. 38). Tak więc nawet ów sztuczny pretekst o wspieraniu przez mieszkańców nie-Polaków „band UPA” jest w tym przypadku nieskuteczny.

– Pani, a skąd się u was biorą ci prawosławni czy jak im tam, przyjechali tu, ujawnili się, wracają, czy co? – pyta w czasie zabiegu jeden z kuracjuszy panią prowadzącą zabieg, czyli zabiegową. Kuracjusz nie odróżnia prawosławnych od grekokatolików. Zaintrygowano go tylko, że w polskim mieście stoją cerkwie. – A nie wiem – odpowiada zabiegowa, osoba miejscowa, która albo rzeczywiście nie wie, albo nie chce poruszać drażliwego dla Polaków tematu. Starszy pan jednak dopowiada sobie sam. – To pewnie ci

z akcji Wisła. Czy oni mordowali Polaków? – zastanawia się głośno. Wyjaśnięć nie otrzymuje. Przewodniki o tym milczą, zapewne, żeby nie denerwować przybyłych na leczenie.

Życie nie znosi pustki. Ludzkie losy powoli przez lata poukładały się. Liczne drewniane cerkiewki należące przed wojną i przed akcją „Wisła” do grekokatolików zostały przejęte przez kościół katolicki. W mieście można spotkać tablice zapraszające na turystyczny szlak cerkiewek. – Czy na tym obrazku to cerkiew czy kościół katolicki – pyta młody mężczyzna deptakowego artystę plastyka – jak ongiś Nikifor – sprzedającego nawet niebrzydkie pastelowe wizerunki, unikatowych drewnianych podkrynickich świątyń. – To teraz nasze kościoły, ale nazywam to cerkiewkami, bo kiedyś nimi były – wyjaśnia plastyk. Egzotyka lepiej się sprzedaje.

Tylko nieliczne cerkwie obecnie odzyskano, jak choćby wyjątkową, bo murowaną cerkiew pw. Piotra i Pawła w Krynicy. W 1997 r. (w 50. rocznicę wysiedlenia Łemków z Krynicy) jedynie dobra wola ówczesnego biskupa tarnowskiego Życińskiego (a nie prawo pol-

skie) zdecydowała o oddaniu cerkwi w częściowe użytkowanie kościoła grekokatolickiego (zwanego też bizantyjsko-ukraińskim). Obecnie korzystają ze świątyni wierni dwóch katolickich obrządków: rzymskiego i greckiego. Przed cerkwią pojawił się krzyż św. Andrzeja ustawiony w 1997 r., a na nim słowa apostoła „Moli Boga za nac”. A także na ramionach krzyża: „1947 Akcja Wisła” i „Wypędzonym z własnej ziemi”.

Na frontonie świątyni wzruszające próby odzyskiwania zagubionej tożsamości religijnej i narodowej: dwie tablice poświęcone Epifaniuszowi Drowniakowi pochowanemu zresztą na katolickim cmentarzu. „Ta cerkiew była Akademią Sztuki dla Nikifora” – mówi jedna z tablic. Z drugiej, pisanej po łemkowsku, dowiadujemy się, iż artysta urodził się 21 maja 1885 r., zmarł 19 października 1968 r., i że do 1947 r. należał do Bractwa Cerkiewnego w tejże świątyni.

Blizny powoli się zasklepiają. Czasem jednak trzeba je rozorywać – jak mawiał Stefan Żeromski – żeby nie zarastały błoną podłości.



Opowieść o Nadziei

Był rok 1910, gdy młody Atanazy Mazałow opuścił rodzinną Rosję i pojechał szukać lepszej przyszłości w Gruzji. Ta lepsza przyszłość wkrótce zmateriałizowała się w postaci pięknej czarnobrewej Anastazji, z którą związał się na całe życie, z którą przeżył rewolucję, straszliwy głód, wojnę, okupację niemiecką, a potem lata powojennego komunizmu. Co parę lat pojawiały się na świecie dzieci: Wiara, Nadzieja i Miłość, czyli Wiera, Nadia i Lubow (urodzone w latach 1914, 1923 i 1927), w 1930 r. Aleksandra, i wreszcie, w 1938 roku – Wiktor. Nadzieja zobaczyła świat w Rosji, gdy rodzice i siostrzyczka odwiedzali właśnie rodziców Atanazego, mieszkających w wiosce Wierchososień, w pobliżu Orła. Już z dwiema córkami Mazałowowie wrócili wkrótce do Gruzji, gdzie w miejscowości Majkop wiedli w miarę spokojne życie. Nadziejka była pilną uczennicą, po skończeniu szkoły dostała się do Instytutu Nauk, na wydział biologii. Już wtedy próbowała wyrażać swoje przeżycia w formie wierszy, zdobywała nawet za to jakieś nagrody. Przygotowywała się do matury, kończyła też roczny kurs na sanitariuszkę. Nie zastanawiała się, dlaczego władze taki nacisk kładą na uczestnictwo młodzieży w tym kursie. Zrozumiała to wkrótce po maturze, gdy czwartego czerwca 1941 roku Niemcy zaatakowali Związek Radziecki. W ich domu pojawił się wysłannik władz sowieckich i oznajmił rodzicom Nadziei, że zostaje ona oddelegowana jako sanitariuszka do partyzantów. Prerażeni rodzice nie wyobrażali sobie, by ich delikatna, osiemnastoletnia córka mogła sprostać takiemu zadaniu. Była, tak jak rodzeństwo,

mądrym, pracowitym dzieckiem, ale na pewno nie gotowym na samodzielne bytowanie z grupą mężczyzn, wojaków, w warunkach bardziej niż spartańskich. Postanowili ją ukrywać. Trwało to około dwóch miesięcy, gdy 8. sierpnia w ich okolicy dotarła armia niemiecka. Panowała straszliwa bieda, do tego stopnia, że Niemcom nie brakowało robotników do rozładowywania przybyłego pociągami zaopatrzenia dla wojska, bo za taką pracę tubylcy dostawali skarby: po paczce makaronu, lub woreczku mąki. Nadzieja uczyła się w szkole języka niemieckiego, więc kiedy głód stał się nie do zniesienia, zaczęła uważnie śledzić ogłoszenia publikowane w prasie przez okupanta: zachęty do wyjazdu do pracy na terenie Rzeszy. Szczególnie obietnica obfitości jedzenia skłoniła dziewczynę do podjęcia ostatecznej decyzji. Alternatywa była raczej marna, a po jej wyjeździe przynajmniej mogło być lepiej rodzinie, a i ona miała jakąś szansę na przetrwanie – nie bała się oddalenia i ciężkiej pracy, głód był najstraszniejszą perspektywą, jaka ją czekała w rodzinnych stronach.

W pobliżu Świnoujścia był obóz przejściowy, tam zgłaszali się pracodawcy w poszukiwaniu siły roboczej. Nadzieja po miesiącu pobytu zyskała sobie dobrą opinię u obozowego lekarza i wkrótce została zabrana przez jego ojca, Roberta Zimmermana, do pomocy w gospodarstwie i rodzinnej firmie: mleczarni. Drobna, osamotniona, ale zdeterminowana, by przetrwać, obsługiwała rodzinę i pracowników, gotowała, prała, sprzątała wszystkie jedenaście pokoi. Zauważała, że jej wysiłek jest doceniany i szanowany przez pracodawców. Otrzymy-

wała od pani Zimmerman dobre słowo, ale też nowe, porządne rzeczy do ubrania, jedzenia rzeczywiście nie brakowało, a nawet po pracy był czas, by porozmawiać z czterema chłopakami z Polski, też będącymi tu „na robotach”. Jeden z nich, Sylwester, był kierowcą, rozwoził firmowy nabiał do sklepów, do jednostki wojskowej w pobliżu, a po pracy chętnie przebywał z czarnowłosą dziewczyną z dalekich stron. Gospodarze zaczęli ją namawiać na przyjęcie obywatelstwa niemieckiego, doceniali jej wykształcenie i zachęcali, by pomyślała o studiach w Rzeszy. Polski chłopak, który trafił do nich do pracy w 1939 roku miał skończone tylko trzy klasy, ale ciągnęło ją do niego bardziej niż do niemieckiej kariery naukowej... W 1945 roku wysłała pocztą połowę list do rodziny w Gruzji, że żyje, i że prowadzi jej się dobrze, a wkrótce po kapitulacji Niemiec wyruszyła u boku już swojego Sylwestra w poszukiwaniu nowego domu.

Jego poprzedni właściciele właśnie wyjeżdżali. Płakali z żalu, w końcu to w tych skromnych ścianach wychowali się ich, zabici na froncie, dwaj synowie, stąd córka wyruszyła w świat po swoje szczęście. Byli już starzy, a tu nowe porządki na świecie zmuszały ich do wyjazdu z miejsca, gdzie spędzili całe życie. Nadzieja spytała męża, czy nie mogą poszukać innego, może lepszego domu, ale Sylwester nie chciał dalej szukać. Weszli do budynku przy ulicy Długiej, gdzie na piecu w garnku stał jeszcze ciepły obiad. Tak zostali mieszkańcami Świdnicy pod Zieloną Górą.

Nie było czasu na naukę ani na poezję. Mąż jeździł ciągle w trasy, kierowcy byli bardzo potrzebni właściwie wszędzie, Nadzieja została sama, z hektarem pola, o które trzeba było zadbać, z nowymi, też z tułaczki wojennej i powojennej tu rzuconymi sąsiadami, którzy wcale nie byli skorzy, żeby tak po prostu i od razu zaakceptować „ruską”. Pojawiały się kolejne dzieci: Adam, Ewa i Edward, a sytuacja Nadziei się nie zmieniała: mąż daleko od domu, ziemia czeka na obrobienie, dzieci potrzebują opieki. Życie...

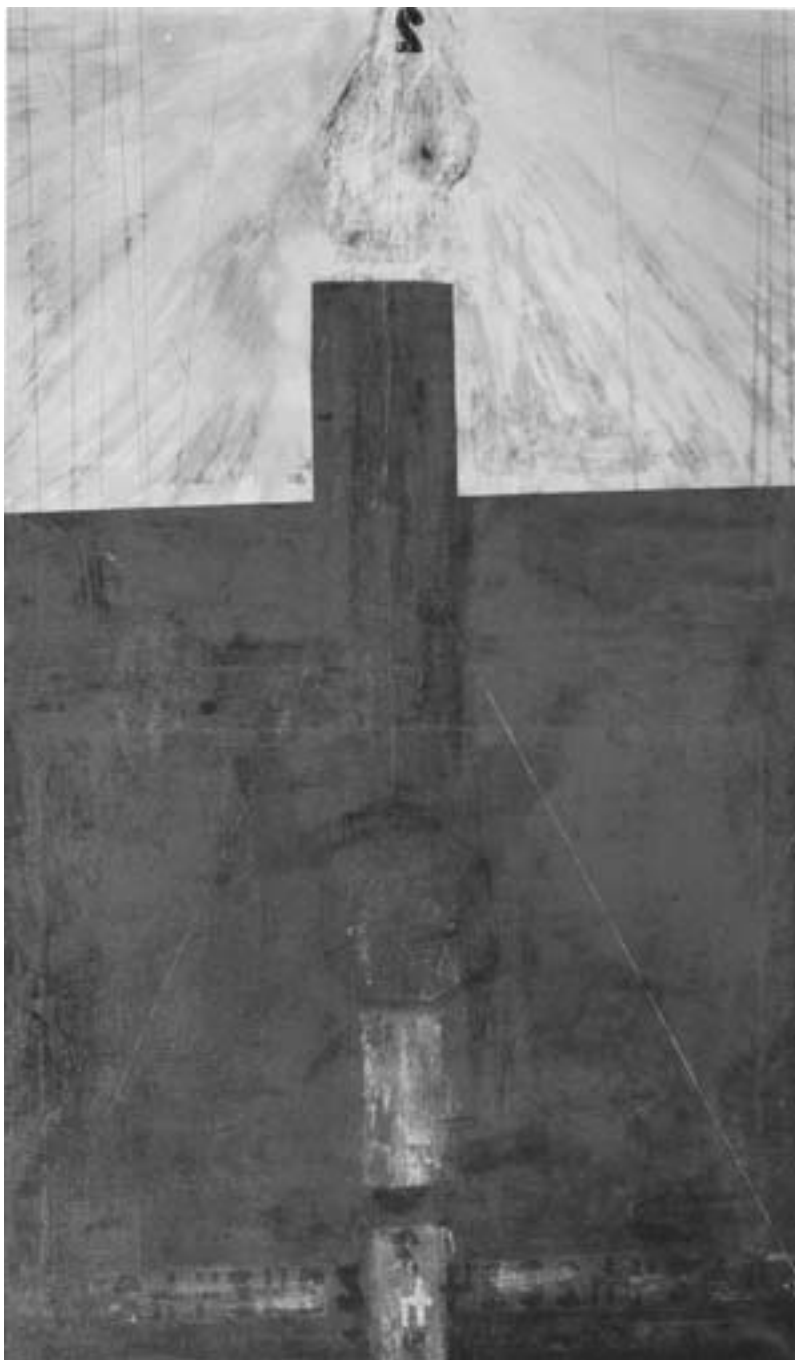
Mąż nie pozwalał na książki. Jego zdaniem to było niepotrzebne i odwracało jej uwagę od obowiązków domowych. Milczała i tęskniła w samotności. Gdyby chociaż móc wyzalic się jakiejś przyjaciółce! Ale piętno „ruskiej” nadal jej towarzyszyło. Tylko czasem, po cichu, gdzieś w latach siedemdziesiątych, zaczęła próbować pisać, ukradkiem, żeby przelać na papier to, co w duszy boli.

Potem zachorował mąż. Teraz już był w domu, ale nie jako pomocnik, tylko jako pacjent wymagający ciągłej opieki. Znów Nadzieja nie miała czasu ani siły na swoje ukochane lektury. Aż w 1984 roku pochowała Sylwestra, i wiersze wróciły – pozwalały wyrazić swój żal i samotność. Czasem, także jeszcze wcześniej, myślała o swojej rodzinnej Gruzji, o powrocie do krainy dzieciństwa. Ale tak bywało tylko przez chwilę, potem przypominała sobie o upływie czasu, o tym, że rodzice nie żyją, a rodzeństwo rozjechało się po świecie – na Ukrainę, Białoruś, wcześniej Kazachstan. Czasem tylko spoglądała na przepiękny kilim stworzony rekami jej utalentowanej siostry, albo wspominała chwile rodzinnej radości, gdy brat i ojciec muzykowali, a i ona próbowała im towarzyszyć na gitarze. Wszystko się zmieniło, realia ekonomiczne i polityczne także. Już chyba lepiej zostać tutaj, przynajmniej blisko do córki, która niedługo po śmierci ojca wyjechała szukać lepszej przyszłości do Niemiec. Blisko synów, którzy związali się z Zieloną Górą, blisko wnuków.

W 1995 roku Nadzieja zobaczyła gdzieś ogłoszenie o powstaniu Uniwersytetu Poezji. Zgłosiła się natychmiast, pokazała swoje wiersze – i usłyszała, że tak się już nie pisze. Rymowane opowieści z jej świdnickiego życia okazały się koślawe jakieś i takie niemodne. Nie po to jednak Nadzieja przeszła w życiu tyle ile przeszła, żeby teraz poddać się z powodu wiersza. Zaciśnęła usta i uważnie wsłuchiwała się w porady wykładowców Uniwersytetu Poezji. Kiedy „uczelnia” ta skończyła działalność, Nadzieja pozostała już w gronie podopiecznych poetki Jolanty Pytel, przystając do Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Coraz rzadziej bywa na spotkaniach, ciężko człowiekowi osiemdziesięcyparoletniemu wyprawić się autobusem do miasta, dotrzeć po stromych schodkach Amfiteatru na spotkanie, a potem, czasem już po zmroku, wracać do Świdnicy. Ale kiedy tylko siły pozwalają Nadzieja wyrusza z domu, żeby słuchać, oglądać, poznawać nowe osoby i zdarzenia. Czasem jest bardzo miło, jak wtedy, gdy wydali jej tomik wierszy, gdy dostała piękne kwiaty i zbierała gratulacje. Czasem ktoś uściśnie rękę i powie dobre słowo. A czasem jest tylko dom, syn za ścianą, ukochane książki – koniecznie popularno-naukowe, najlepiej coś z psychologii, lub z biologii. Już nawet nie rozmyśla o swojej Gruzji, teraz trzeba pomyśleć o dobrym wykorzystaniu tego

życia, które jeszcze zostało. O tych kilku wierszach, które trzeba napisać, o potrzebnym bardzo remoncie w domu, o niedługim doprowadzeniu kanalizacji, o zdrowej diecie, by wesprzeć zmęczone ciało, o pracy dla syna, o zdrowiu córki... Bo poezja poezją,

ale trzeba twardo stać na ziemi. Dokładnie – Ziemi Lubuskiej. I czasem uważnie śledzić w telewizorze doniesienia z nękaną znów wojną krainy dzieciństwa. Szczęśliwej krainy, bo jakże inaczej, krainy dzieciństwa inne nie bywają...



Jak dojrzewają wiersze

Wiersze dojrzewają jak wiśnie
i każdy wiersz ma wiśniowe myślenie
w wierszu wyrzeźbię wiśniowy smak
i kolor wiśniowej czerwieni

W wierszu wyrzeźbię księżyc roześmiany
jak sprowadza lunatyków pod swoje bramy
jak gwiazdy migające przyśpiewują muzom
wszechświata
jak ziemia wiruje wokół swojej osi
od początku świata

W wierszu wyrzeźbię jak kamień mówi
jak domy świecą oknami
jak rzeki uciekają w siną dal
jak chmury płyną za nami

maj 1998, Świdnica

Zaproszenie

Tutaj mój dom na kurzych łapkach
Dach nad głową

Tutaj moje królestwo
Tu mogę dziękować Bogu, że nie śpię
pod gołym niebem

Posiadłość to nieznaczną
z okładem osiemnaście arów
wieczystej dzierżawy

Jeśli tutaj trafisz – udasz się na prawo
czarna wstęga ruczaju, w którym pływają
psie i kocie noworodki
wskaze ci kierunek

Droga przez zagajnik, zdradliwe wyboje
Wiosną sarny i zające zawłaszczają ścieżkę
jeże proszą o rozważne kroki

Wychodząc z lasu zahaczysz o domy
Kotka Murziłka obskakuje płoty
okna świecą na trzy strony świata
Zadymione niebo spada na dach
Gołębie sąsiada z drzew owocowych
startują w przestworza

Syn Adam otworzy ci bramę
nasza psinka Dela przywita
figlarnym szczekaniem

Pogaworzymy sobie o twórczej wolności
przy winku z winogron
i czarnej porzeczeki

Zdażyć przed zachodem

Gdy znaleźli się przed budynkiem dworca, ulica była już pusta i ciemna. Niepewni, niezdeterminowani, ruszyli przed siebie. Kobieta objuczona tobołkami, trzymała za rękę chłopaka. Drugi, znacznie wyższy, ciągnął wózek. Mały na drewnianych kołach, a wyglądał jak tamten duży, który został w ich domu. Pośród zawiniątek spała w nim mała dziewczynka. Stalowe obręcze dzwoniły przeraźliwie. Dźwięki niesły się daleko w otaczający ich mrok. Zmęczeni dwutygodniową podróżą w kolejowym bydłym wagonie, ślinali się na nogach. Przyjemne powiewy wiatru niesły ukojenie. Warkot nadjeżdżającego pojazdu przesunął ich bliżej pokrytego gruzem chodnika. Zatrzymał się gazik. Jeden z wojskowych kiwnął ręką, kobieta podeszła, potem sięgnęła za pazuchę i wyciągnęła dokumenty. Tamten popatrzył na nie, potem na obcych i jeszcze raz na „papier”. Ręką z białą-czerwoną opaską na przedramieniu wskazał im kierunek, w którym powinni iść.

Skręcili w prawo na most. W dole szumiała woda. Stefek przechylił się przez najniższą poręcz, i zanim usłyszał przerażony głos kobiety, spojrzął w ciemną otchłań. Tak dużej rzeki jeszcze nie widział. To nie ich strumyk, co wił się jak jaszczurka po łące. Silna dłoń brata odciągnęła go od barierki. Zebrał cięgi za bezmyślność. U wylotu mostu jarzyły się ogniki papierosów. Kobieta drugi raz wyciągnęła ten sam „papier”, skręcili znowu w prawo, wzdłuż rzeki – tak mówił jeden z tych, których ponure, zmęczone twarze widzieli przy moście.

Weszli do bramy budynku z urwaną na końcu ścianą, i błyskającym światłem na piętrze. Ktoś od środka przekręcił klucz w dużym zamku i zdjął zabezpieczającą drewnianą belkę. W niebieskiej poświacie padającej przez okno bez szyby rozeznali się w zagraconym pomieszczeniu. W zlewie stercały niemyte, pewnie od kilku dni, naczynia – kwaśny zapach unosił się w powietrzu. Podobny rozgardiasz w pokoju. Niedawno ktoś tutaj mieszkał. Porozrzucone sprzęty, ubrania. Lalka na podłodze. Jakby w pośpiechu się wyniósł. Wspólnymi siłami przysunęli dużą, ciężką szafę do niezamykających się drzwi. Po uprzątnięciu łóżek, trójka zmordowanych dzieci zasnęła. W ubraniu. Jak przyszli. Młodszy chłopak, zanim oderwał się od rzeczywistości, jeszcze krótko widział kobietę sylwetkę przy oknie na tle jaśniejszej na zewnątrz poświaty. Jej profil rozpyływał się w mroku. W uszach pojawił się znowu monotonny stukot stalowych kół. „Wstawaj, wstawaj”, usłyszał głos i jednocześnie poczuł niecierpliwe tarmoszenie za ramię.

Stefan obudził się, spojrzął w okno, w którym jeszcze przed chwilą widział rozmywającą się w ciemnościach postać matki. Wahadło dużego zegara w mahoniowej obudowie jednostajnymi ruchami cierpliwie przecinało powietrze – stał w tym samym miejscu od lat. Od czasu jak się wprowadzili. Rozejrzał się posępnie po wnętrzu. Sprzyjały takiemu nastrojowi szare jesienne dni. I cisza w mieszkaniu. Pamięć ożyła odległymi wspomnieniami. I kamienica z na pół urwanym dachem i okopconymi krokwiemi, i gruz na ulicach, i tajemnicze i niebezpieczne ruiny... Jakby sprzed miesiąca, może sprzed roku. Bogactwo szczegółów. I przyjemne, i porażające zarazem. Wciągało. Wtedy zawsze pojawiał się Erwin. Z płową, spadającą na czoło jasną czupryną. I zastygła w powadze, może niepewności, twarzą.

Ich mały, z czerwoną dachówką dom stał na obrzeżach miasta. Lgnął do ściany sosnowego lasu. Stefan z rodzicami i rodzeństwem wprowadzili się po sąsiedzku. Na wiosnę, jak wrócił ojciec. Matka nieprzyjaznym wzrokiem spoglądała między rozłożystymi krzakami bzu na podwórze sąsiadów. Nie kryła do nich niechęci i przestrzegała dzieci, żeby się nie bawiły z tamtymi. Mówiąc, patrzyła wymownie na młodszego syna, albowiem ten urwipoleć często spędzał jej sen z powiek, przepadając na całe dni. Teraz, gdy odnalazł ich Stanisław, uwierzyła, że dadzą radę, że zadowolą się nad Bobrem na dobre. Ten domek bardzo jej się podoba, no a chłopcy czują do ojca większy respekt niż do matki. Tylko to sąsiedztwo. Zastanawiała się, kiedy ich stąd zabiorą. Nawet w myślach, Aschów, nazywała „ich”, „oni”. Nic nie wskazywało, że zdarzy się to szybko. Sąsiad, w sile wieku mężczyzna codziennie rano, zawsze dwadzieścia minut przed szóstą – zegarek można by nastawiać – siadał na stary rower i jechał w stronę miasta. Kiedyś, gdy zagadnęła męża – był urzędnikiem – usłyszała, że Asch jest inżynierem i pracuje przy uruchamianiu elektrowni, że jest potrzebny i nieprędko się go pozbędzie.

Stefek, mając w pamięci przestrogi matki nie szukał towarzystwa po sąsiedzku, w zakazanym miejscu, tylko chodził swoimi ścieżkami zataczając kręgi coraz dalej od domu. Pewnego razu w lesie, nad rzeczką, ku swojemu zdziwieniu odkrył nieczynną fabrykę papieru. Bywał tutaj często. Przepędzany przez stróża zachodził z przeciwnej strony i z zaciekawieniem zaglądał przez szpary. Któregoś dnia stercząc przy dziurze w płocie, usłyszał tuż za sobą kroki. Zadrżał. Odwrócił się i ujrzał chłopca – o dwa, może trzy lata starszego. Tamten stał przed nim kilka kroków i przyglądał się niebieskimi, smutnymi oczami. W lewej dłoni trzymał procę. Stefek zazdrośnie chłonał ją spojrzeniem. Swoją zgubił gdzieś w pociągu. Chłopak wyciągnął rękę i kiwnął głową. W milczeniu podążył za nim. Weszli na skraj polany. Na środku, w odległości dwudziestu, trzydziestu kroków, na wysoko ściętych pniach stały puste butelki. Dopiero co poznany kolega wyciągnął z kieszeni gładki kamień. Przyłożył do skrawka skóry, ścisnął palcami i energicznie pociągnął. Skrajna butelka rozprysnęła się na kawałki. Potem podał chłopięcą broń Stefkowi. Zaświeciły się mu oczy z radości. Bał się, że nie będzie tak dobry, lecz gdy zobaczył uśmiech, wystarczyło odwagi. Ochoczo wyciągnął rękę.

W czasie powrotu do domu, kolega podał mu rękę i powiedział: Auf Wiedersehen. Ze zdziwienia otworzył usta, ale tamten zniknął między drzewami. Wchodząc do domu, mignęła mu jego sylwetka na sąsiednim podwórzu.

Spotykał się z Erwinem Aschem i wspólnie penetrowali hale opuszczonej fabryki. Uczyli się wzajemnie niezrozumiałych dla siebie nowych słów. Tajemnym, ukrytym i zamaskowanym, ociekającym wodą, wejściem opuszczali się w dół, potem wąskim, zbrojonym drewnianymi stemplami, tunelem przedostawali się za ogrodzenie. Wcześniej czy później, musiało to się wydać. Któregoś dnia, ojciec zaniepokojony jego nieobecnością, szukał go wokół domu. Natknął się na nich tuż za ogrodzeniem papierni. Wyszli z tunelu i ścieżką zeszli w stronę domu. Erwin przestraszył się i czmychnął.

Szedł z ojcem w milczeniu. Dopiero przed ogrodzeniem usłyszał, że Aschowie to dobrzy ludzie, chociaż „fryce”. Zapytał, co to znaczy. Zamiast odpowiedzi został ofuknięty. Szybko zapomniał o tajemniczym słowie i dalej bawił się z Erwinem. Pewnej niedzieli, jesienią, poszedł z nim do ich kościoła. Przypuszczał, że to niedozwolone, pachniało nawet grzechem, bo zrobili to o zmierzchu. Stanęli w ciemnym kącie, głowy wtuliли w ramiona i schowali za podniesione wysoko kołnierze. To nic, że Stefek nie rozumiał co mówili ich ksiądz. Czuł, że uczestniczy w czymś zakazanym, mistycznym nawet. Po wyjściu obeszli przykościelny cmentarz. Innym razem wybrali się na duży, z niezliczoną ilością kamiennych i marmurowych pomników. Przemierzając kręte cmentarne ścieżki, Erwin pokazał mu nagrobki, na których wyryte było ich nazwisko. Widniejące pod nimi cyfry były dla Stefka zrozumiałe. Jak i słowa: Großmutter, Großvater.

Po dwóch, może trzech latach „zauważył” Rut – siostrę Erwina. Ukradkiem wodził za nią wzrokiem. Częściej niż dotychczas przebywał w ich domu. Czuł niezrozumiałe drżenie, kiedy zjawiała się w pobliżu. A gdy patrzyła na niego zapominał, nie wiedząc dlaczego, nowopoznanych słów, drżały mu ręce, unikał jej spojrzenia.

Opuszczając łazienkę, Stefan otrząsnął się ze wspomnień jak pies po wyjściu z wody. Bez apetytu zjadł śniadanie; raczej z przyzwyczajenia niż potrzeby. Uzupełnił garścią tabletek i szklanką wody. Powoli wstał, wyprostował się, kręgosłup dbał o to, żeby pamiętać o nim. Czuł łupanie, w złamanej kiedyś, prawej nodze. Dusił go kaszel. Znowu coś strzyknęło w krzyżu, zawirowało nagle przed oczami... – tak zwyczajnie. Jeszcze

żyje. Dokonywał porannego rozruchu jak stary diesel zimową porą. W dzień czuł się lepiej. Wieczorami odhaczał na ściennym kalendarzu kolejny dzień.

Widok za oknem nie nastrojał optymizmem. Żółto-czerwono-zielone liście targane niewidoczną siłą unosiły się w powietrzu, pikowały w dół, kręciły młynka. A on musiał do miasta. Odkąd stanął na czele *Stowarzyszenia właścicieli poniemieckich nieruchomości* był zapraszany na ważniejsze uroczystości w miejskim ratuszu. Ta dzisiejsza – nadanie imienia „lubuska” jednostce wojskowej – z udziałem wojska, będzie w rynku. Tylko pogoda już nie dla niego. Pomyślał o zimnie i zdradliwym wietrze. Zadzwoił po taksówkę.

Im bliżej rynku, tym ciaśniej. I wojsko, i transporter, i czołg, i pełno ciekawskich. Cienki płaszcz ze sterczącym kołnierzem, który miał na sobie, przeszywał zimny wiatr. Stefan przeciskał się bliżej trybuny. Już był u wylotu uliczki na rynek, już widział szereg żołnierzy. Prześlizgnął się między pancerzem, a pokrytą liszajami odpadającego tynku ścianą zabytkowego budynku. Dzieci oblepiły czołg jak najlepszą zabawkę. Przystanął. Jakiś mężczyzna pytał wojskowego, czy może zrobić sobie zdjęcie. Po przyzwoleniu sprawnie wskoczył na pancerz, błysnęła lampa. Oczy świeciły mu chłopięcym blaskiem.

– Chłopaki nie uwierzą – piał z zachwytu – jak im pokażę. – Ochłonął i jakby chciał usprawiedliwić ten niespodziewany zachwyt. – Służyłem tutaj w czołgach, teraz mieszkam w Zakopanem – wypalił jednym tchem.

– Pan też chce zdjęcie? – zapytał go człowiek w mundurze.

– Nie... Mnie już nie potrzeba. – Stefan się uśmiechnął.

Kłaniając się na lewo i prawo, ostrożnie wszedł po drewnianych schodkach. Wszyscy go znali. Siadając na krześle, ścisnął dłonie sąsiadom, tutejszym i tym obcym, zaproszonym.

Wojskowy brezent przeżył się pod naporem wiatru. Stefan z rozrzewnieniem wysłuchiwał dźwięków Mazurka. Przemówienia go nużyły. Rozglądał się po placu wokół nieczynnej teraz fontanny, zaglądał w twarze stojących nieopodal młodych chłopców w mundurach. O czym myślą? Co zostanie w ich pamięci ze słów, jakie potokiem płyną z głośników? Tyłu żołnierzy przez wieki przemaszerowało przez ten rynek – naszyły go refleksje. – W różnych mundurach, mówiących różnymi językami. Najpierw cesarscy Wallensteina gnębili gród i okoliczne wioski kontrybucjami, potem zaciężni Karola Gustawa. Rozlokowali się na kilka lat, dopóki starczyło żywności. „Gościli” także szwależerowie cesarza Francuzów. Żołdacy zachłyśnięci sławą, zgnębieni klęską, topili radości i smutki w alkoholu. Dzisiaj pozostał po nich zapomniany krzyż, pamiątkowa tablica, parę zdań na pożółkłych kartkach. Stąd też pewnie – ciągnął swoje rozważania – wyruszały pancerne kolumny w Drang nach Osten. Zostały koszary z czerwonej cegły. Najdłużej, bo przez całe dziesięciolecie, zadowolili się sowioci.

Nieliczone tysiące żołnierskich butów szlifowało kamienną kostkę na rynku.

Nostalgiczna nuta wypełniała go od środka, gdy wsłuchiwał się w patetyczne słowa o trwaniu polskiego wojska na zachodnich rubieżach, o zapuszczonych przez nie nad Nysą, Bobrem i Odrą korzeniach. Przez całe swoje życie czuł jakąś nić sympatii do munduru, broni. Sam nigdy nie miał hełmu na głowie, w ramiona nie wrzynały mu się cienkie brezentowe paski od plecaka. Nigdy nie uwierały żołnierskie kamasze. Skąd ten sentyment, to zamilowanie? W koszarach gościł dwukrotnie. Kiedy przysięgali jego synowie. Ale kto nie był z takich okazji. Nawet kobiety i dzieci. Może przez pamięć tamtej mroźnej nocy – zastanawiał się.

Obudziła go matka i szeptem powiedziała żeby wstawał. W pokoju było ciemno i lodowato. Nie wiedział, dlaczego ma opuścić ciepłe miejsce pod pierzyną. Dopiero na słowo „ojciec” wyskoczył niepomny wcześniejszych oporów. W kuchni tliła się naftowa lampa. Białe światło ledwie rozpraszało ciemności. Przy drzwiach stał mężczyzna w białym kożuchu. W wysokich zabłoconych butach, z kaburą u pasa. Czarne, kędzierzawe włosy rozsypywały się na głowie. Porwał go z ziemi, jakby nic nie ważył i długo tulił w ramionach. To był ojciec. Pachniał lasem. Powiedział o tym mamie, a ona, ku jego wtedy ogromnemu zdziwieniu, przyłożyła palec do swoich ust i powiedziała: „tss, nie mów nikomu”. Tyle już lat, a jakby wczoraj.

Z głośników płynął potok słów, Stefan wtopił spojrzenie w wyszlifowaną brukową kostkę pod butami żołnierzy. Gdyby te kamienie mogły mówić...

Myślał tak i wtedy, gdy chodził nowo otwartym książęcym traktem. Żeby, choć na chwilę, móc znaleźć się na tej ulicy z pocztówki, jakich dziesiątki ma w domu. Spojrzeć w twarz skrytą za woalką lub w cieniu kapelusza, usłyszeć stukot powozu wtaczającego się na podzamcze pałacu. Albo wejść na poranną kawę do

kawiarni, czy pogawędzić ze starym fryzjerem przy akompaniamencie metalicznego cykania ręcznej maszyny, jaką strzygł ich ojciec. Przemierzyć miasto, kiedy zapalają się uliczne latarnie. Oglądał stare pocztówki zastanawiając się, co gotuje na obiad kobieta nabierając z ulicznej pompy wodę, kogo jest rower wsparty pedałem o krawędź chodnika, gdzie spieszy się mężczyzna przy tuszy..

Na odgłos znanej obcojęzycznej mowy, Stefan się ocknął. Spojrzał w stronę wysokiego oficera w stalowo-szarym mundurze stojącego przy mikrofonie. Wcześniej widział go w pierwszym rzędzie obok słusznej postury mężczyzny, którego – nie miał wątpliwości – pamięta z przysięgi wojskowej na błoniach miasta; był chyba kimś ważnym – pagony pełne gwiazdek i belek. Wtedy na trybunie i grzmiał do mikrofonu o zagrożeniu zachodnim imperializmem: „...stąd do najbliższej jednostki Bundeswehry jest bliżej niż do Warszawy”... Teraz – już bez munduru – ramię w ramię obok Niemca, przed którym nie tak dawno jeszcze ostrzegał. Czy pamięta, co mówił? Jak się wtedy ekscytował!

Stefan wyłapywał zbitki słów, pojedyncze zdania. Nie dlatego, że zapomniał niemieckiej mowy, rozumiał, lecz myśli niesforne uciekały... Co powiedziałaaby matka, gdyby słyszała ten nielubiany język. Zawsze mówiła, że oni tutaj wrócą, w nocy, kiedy najmniej będziemy się ich spodziewać. Wszyscy źli ludzie przychodzą w nocy. Aschów – miał takie wrażenie – polubiła. Pozostałych – nie. Generał niemiecki mówił o Unii, o pakcie wojskowym. O tym, że w pobliskich koszarach w ostatnim roku wojny służył jego ojciec-lekarsz; że nigdy się nie dowiedział gdzie został pochowany. Pewnie w tej polskiej teraz ziemi... – wymownie popatrzył w stronę kombatantów.

„A pozwy o zwrot posiadłości, kamienic!...” – chciał wykrzyczeć Stefan. Dłonie wsparte na kolanach zdradzały. Krew nabiegła do twarzy. Prawie poderwał się z krzesła. Pohamował się jednak w ostatniej chwili. Zawstydzony opadł na siedzenie. Przed oczami znowu pojawił się Erwin, mały chłopak z sąsiedztwa, z którym penetrował nieczynną fabrykę papieru. Smakowali pierwszego papierosa i pierwszy kieliszek bimbrow ukradziony ojcu z piwnicy. Z nim kopał piłkę. Chodził na dziewczyny. I dojrzały już Asch z siwymi długimi włosami – w Zaduszki, przy grobie ojca na tutejszym cmentarzu. Kiedy stąd na stałe wyjeżdżał, był już mężczyzną. Stefan pamięta tamten gorący dzień. Na peron wjechał pośpieszny do Eisenach – jedyny między-narodowy pociąg przejeżdżający przez tę stację. Wysiadło kilku pasażerów. Oprócz trzysobowej rodziny Aschów, nikt więcej tamtego dnia nie odjechał.

Nie uwierzył, że Erwin żąda zwrotu swojego domu. Sprawdził dokładnie personalia, datę opuszczenia kraju, adres w Niemczech – wszystko się zgadzało. Kręcił z niedowierzaniem głową. Nie, on by tego nie zrobił. Przecież byli i... – zawahał się – i są przyjaciółmi. Jest mu bliższy niż brat, który od kiedy osiadł w Hamburgu, prawie się nie odzywa. Aschów u nich, jak naszych Malinowskich. To pewnie ktoś inny o takim nazwisku. Może poczta pomyliła adres, a może... – Podłoga skrzypiała przez kilka nocy pod jego stopami, z nadzieją chwytając się kolejnych możliwości. W końcu nie miał wyjścia. Zadzwoił.

Rozmowa się rwała. Głos Erwina choć twardy, był spokojny. „Stefciu – powiedział pod koniec rozmowy – to jest mój rodzinny dom. Tam się urodziłem. Tam został mój ojciec, moi dziadkowie”. Nie trafiały do niego argumenty, jakimi przekonywał go Stefan, że stać go, aby taki sam dom postawić gdzie zechce, że ma pieniądze, że... Zapadło krótkie milczenie, potem usłyszał: „To jest moje gniazdo...” – i Erwin odłożył słuchawkę.

Od tamtej rozmowy minęło pół roku.

Starszy pan przemarzył na kość, skurczył się w sobie, dławił kaszlem. Żałował, że przyszedł tutaj.

Wieczorem zadzwonił Erwin. Zapytał czy zechce z nim porozmawiać. Jeśli tak, to przyjedzie. Choćby jutro. Stefan był zaskoczony. Czyżby zmienił zdanie? – pomyślał z nadzieją. Nie dowiedział się jednak. Erwin odparł wymijająco:

– Wiesz, Stefciu, nie jesteśmy już pierwszej młodości. W każdej chwili któryś z nas... albo jeden i drugi, może odejść – porozmawiajmy jak starzy przyjaciele.

Umówili się za dwa dni.

W deszczowe południe przed gmachem sądu zatrzymał się samochód z niemieckimi numerami. Wysoki, elegancki, chociaż w podeszłym wieku mężczyzna dostojnym krokiem wszedł do środka. Odszukał na piętrze numer pokoju, jaki podano mu w sekretariacie.

– Nazywam się Erwin Asch – powiedział łamaną polszczyzną podając paszport. – Zdecydowałem się wycofać poemat...

Niezaługo, stojąc na parterze przed wyjściem, mężczyzna patrzył przez szybę na stary chodnik, na który padały pierwsze krople deszczu. Wyjął z kieszeni telefon, odszukał numer i zadzwonił. Potem radosnym głosem powiedział:

– To ja, Erwin Asch... – urwał w pół zdania, gdy usłyszał zmęczony, kobiecy głos – ...jestem umówiony ze Stefanem, przyjechałem z... – Mężczyzna znowu zamilkł, słuchał. Rysy jego twarzy tężały, wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w mokre kamienne płyty za szybą. I stał tak jeszcze długo z opuszczonym ramieniem, z telefonem w dłoni i zbiegającymi wargami i powtarzał do siebie: „Nie zdążyłem. Nie zdążyłem...”

– Źle się pan czuje? – spytała ciepłym głosem przechodząca obok kobieta.

Zaprzeczył ruchem głowy.

czerwiec 2008

(II nagroda w IX. Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej ph. Małe ojczyzny – pogranicze kultur i regionów)



„My, berlińczycy”. 300 lat polskości i Polaków w Berlinie

Raz po raz w Berlinie usłyszeć można żart na temat samoświadomości Polaków, nawiązujący zapewne do wspomnień z podróży do Polski autorstwa Heinricha Heinego. W 1823 roku odnotował on, iż pod względem kulturowo-politycznych sojuszy i domniemyanych bądź negowanych rodowodów, „Polska leży między Rosją – a Francją.” Sąsiednie Prusy Polacy długo postrzegali jako jałowe bagna, które w cywilizacyjnym kontekście można było zignorować. Sytuacja ta zmienia się jednak stopniowo, gdy pośród nich wyłania się wyspa o specyficznym *genius loci*, swą aurą oraz potencjałem kulturowo-ekonomicznym przyciągającą rzesze Polaków. Oni sami próbują wręcz wywodzić nazwę Berlin od słowiańskiego słowa „pero” – pióro, co dokumentuje anonimowy polskojęzyczny tekst z 1884 roku.

Z czasem wyłania się polska autodefinicja z Berlinem w tle. Dziś przybysze z drugiej strony Odry coraz częściej mówią o sobie z dumą – „My, berlińczycy”. Tak też zatytułowano wieloletni projekt naukowo-artystyczny Polskiej Akademii Nauk w Berlinie, którego zwieńczeniem ma być wystawa planowana na wiosnę przyszłego roku (19 marca – 15 czerwca 2009) w centrum stolicy Niemiec, w historycznych wnętrzach Muzeum Berlińskiego – w Ephraim Palais. Epilog ekspozycji – najnowsza sztuka polska rodem z Berlina – zaprezentowana zostanie natomiast w znajdującym się nieopodal Märkisches Museum. W zamierzeniach jest to

„Wir, Berliner”. 300 Jahre – Polentum und Polen in Berlin

Gelegentlich hört man in Berlin einen Witz zur Selbstidentität von Polen, welcher wohl an Heinrich Heines Polenreise-Erinnerungen anknüpft. 1823 notierte er, im Hinblick auf deren kulturpolitische Allianzen sowie angebliche wie wirkliche Genealogien „Polen liegt zwischen Rußland – und Frankreich”. Auf das benachbarte Preußen blickten Polen lange wie auf ein Sumpfland, welches in dem zivilisatorischen Kontext leicht zu ignorieren war. Diese Situation ändert sich jedoch allmählich, als mitendrin eine Insel mit einem spezifischen *genius loci* aufkommt. Deren Aura und ihr kulturpolitisches Potenzial locken Massen von Polen an. Diese versuchen sogar ihrerseits den Namen Berlins vom slawischen Wort „pero” – Feder abzuleiten, was ein anonym polnischsprachiger Text von 1884 belegt.

Mit der Zeit kristallisiert sich eine polnische Identifizierung mit Berlin im Hintergrund heraus. Heute bezeichnen sich die Ankömmlinge von Jenseits der Oder immer häufiger – insbesondere im Hinblick auf ihre neue europäische Identität – mit Stolz als „wir, Berliner”. So wurde auch ein mehrjähriges wissenschaftlich-künstlerisches Projekt der Polnischen Akademie der Wissenschaften in Berlin betitelt, dessen Krönung eine Ausstellung im Frühling nächsten Jahres, in den historischen Innenräumen des Berliner Museums Ephraim Palais im Zentrum der Hauptstadt bilden sollte (19. März – 15. Juni 2009).



Motyw z okładki książki Berlin. Polnische Perspektiven 11.-21. Jahrhundert, Red. Dorota Danielewicz-Kerski, Maciej Górny. Berlin 2008, projekt graficzny: Piktogram Berlin

Motiv aus dem Umschlag des Buches: Berlin. Polnische Perspektiven 11.-21. Jahrhundert. Hrsg. von Dorota Danielewicz-Kerski, Maciej Górny. Berlin 2008. Graphische Gestaltung: Piktogram Berlin

panorama 300 lat polskiej obecności w stolicy Niemiec, jednym z centrów zjednoczonej Europy – największa do tej pory ekspozycja na ten temat. Uwzględni ona szerokie spektrum zjawisk od codzienności poprzez politykę, kulturę i naukę oraz sztuki wizualne i muzykę. Program ekspozycji uzupełnią liczne imprezy towarzyszące poświęcone środowisku współczesnych polskich twórców w Berlinie.

Nie ma być to wykład *ex cathedra* o roli Polaków w rozwoju Berlina od XVIII do XXI wieku, lecz zaproszenie do dialogu, będącego próbą przełamania paradygmatu polsko-niemieckich dyskusji ostatnich lat, uwzględniających przede wszystkim reinterpretację wzajemnych relacji w latach 40. i 50. XX wieku, w tym przede wszystkim kwestii przesunięcia granic i przymusowych migracji po II wojnie światowej. To także – w obliczu redefiniowania pamięci zbiorowej w skali europejskiej – próba rewizji narodowych stereotypów i wskazania na podwójną „sąsiedzką” Berlina. Po pierwsze jest to sąsiedzką w sensie wewnętrznym – Polacy stanowią integralną część społeczno-politycznego uniwersum stolicy, jako współobywatele. Po drugie – w sensie zewnętrznym – Polacy/Niemcy to także geopolityczni sąsiedzi, postrzegający się nawzajem poprzez rzeczywistości i wyimaginowany wizerunek.

Die Zusammenfassung dieser Schau – die neueste polnische Kunst aus Berlin – wird wiederum nebenan, im Märkischen Museum präsentiert. Laut Planung soll es ein Panorama von 300 Jahren polnischer Präsenz in der Hauptstadt Deutschlands, heute einem der lebendigsten Zentren vom vereinigten Europa werden, die bisher größte Ausstellung zu diesem Thema. Berücksichtigt wird hierbei ein breites Spektrum von Kulturphänomenen: vom Alltag über Politik, Kultur und Wissenschaft bis hin zu bildenden Künsten und Musik. Das Hauptprogramm der Schau wird durch zahlreiche, dem Milieu der polnischen Kulturschöpfenden in Berlin gewidmete Veranstaltungen ergänzt.

Gedacht ist das Ganze nicht als Vortrag *ex cathedra* zur Rolle der Polen in der Entwicklung Berlins vom 18. bis zum 21. Jahrhundert, sondern als Einladung zum Dialog, welches des Paradigmas des deutsch-polnischen Diskurses der letzten Jahre überwinden helfen soll. Dieser konzentriert sich vor allem auf die Neuinterpretation der bilateralen Beziehungen in den 1940-50er Jahren, vor allem auf die Fragen der Grenzenverschiebung und der Zwangsmigrationen nach dem Zweiten Weltkrieg. Angesichts der Umdeutung der nationalen Erinnerungskulturen in der gesamteuropäischen Perspektive wird auch ein Versuch unternommen, die nationalen Stereotype kritisch zu hinterfragen. Somit wird die doppelte Nachbarschaft Berlins offenkundig: Zum einen sind Polen als Mitbürger integraler Teil des sozialpolitischen Universums der Hauptstadt. Zum anderen sind sie auch geopolitische Nachbarn, die einander gegenseitig durch das Prisma eines wirklichen und imaginären Bildes wahrnehmen. Die Ausstellung verfolgt ein doppeltes Ziel: Sie ist nicht zu verstehen als Mission, die Deutschen zur polnischen Vision der Geschichte zu bekehren, sondern ihnen zu zeigen, wie sich in der Wahrnehmung des „Anderen“ spiegeln. Zugleich soll es einen Hinweis auf die unbeachteten Aspekte der Gesichte ihrer eigenen Hauptstadt und der des östlichen Nachbarn bilden. Es handelt sich hier um einen ehrgeizigen Versuch, die Asymmetrie im Wissensstand über Polen in Deutschland im Vergleich mit der nicht unproportional umfangreicherer Kenntnis der Rolle Deutschlands in Europa auszugleichen.

Der Ausstellung „Wir, Berliner. Geschichte einer deutsch-polnischen Nachbarschaft“ gingen zahlreiche Diskussionsveranstaltungen und Konferenzen

Cel wystawy jest dwojaki. To nie tyle misja przekonywania Niemców do polskiej wizji historii, co ukazanie im ich samych przez pryzmat „innego”, a zarazem odsłonięcie nieznanych aspektów historii ich stolicy i historii wschodniego sąsiada. To ambitna próba wyrównania asymetrii w stanie wiedzy na temat Polaków i Polski w Niemczech wobec nieproporcjonalnie obszerniejszej świadomości roli Niemiec i Niemców w Europie.

Wystawę „My, berlińczycy. Historia sąsiedztwa polsko-niemieckiego” poprzedziły liczne spotkania dyskusyjne i konferencje naukowe, a jej oficjalnym, uroczystym przedtaktom stała się publikacja „Berlin. Polnische Perspektiven 19.-21. Jahrhundert” („Berlin. Polskie perspektywy od XIX do XX wieku”) pod redakcją Doroty Danielewicz-Kerski i Macieja Górny. Jest to jedyna w swym rodzaju niemiecko-języczna antologia polskich wspomnień, reportaży, relacji i listów dotyczących metropolii nad Szprewą. W sześciu rozdziałach ukazana została panorama polskiego Berlina na przestrzeni wieków – heterogeniczna mozaika świadectw pobytów znanych Polaków w Berlinie, relacje więźniów i robotników przymusowych, dokumenty na temat walki armii polskiej o niemiecką stolicę w 1945 roku oraz subiektywne wspomnienia kilku pokoleń polskich współtwórców berlińskiej rzeczywistości i świadomości. Tu wskazać należy choćby na kilka momentów, takich jak fenomen pośrednictwa między kulturami Europy, reprezentowany przez „genialnego Polaka” – Stanisława Przybyszewskiego, sukces artystyczny polskich malarzy na dworze cesarskim uosobiony choćby przez Wojciecha Kossaka czy udział Polaków w studenckich wystąpieniach roku 1968, zaprezentowany przez Viktorię Korb. Obszerny indeks osobowy pozwala bez trudu odnaleźć m.in. nazwiska tak wybitnych osobistości literackich jak choćby Józef Ignacy Krasiński, Bolesław Prus, Aleksander Wat, Kira Gałczyńska, Józef Czapski, Witold Gombrowicz czy – by wskazać na wielkie odkrycie literacko-kronikarskie ostatnich lat – przypominanego niedawno w Polsce i w Niemczech autora wspomnień „Polak w Berlinie” – Antoniego Sobańskiego. Pierwsza Polka z tytułem profesora historii sztuki, Karolina Lanckorońska, pojawia się w tym kontekście jako świadek wydarzeń wojennych. W odróżnieniu od niej, w ramach wystawy rozszerzającej zaprezentowane w książce spektrum polsko-niemieckich losów, biografie innych

voraus, und zu ihrem offiziellen, feierlichen Präludium wurde die Veröffentlichung „Berlin. Polnische Perspektiven 19.-21. Jahrhundert”, herausgegeben von Dorota Danielewicz Kerski und Maciej Górny. Diese einzigartige Anthologie stellt eine umfangreiche Sammlung polnischer Erinnerungen, Reportagen, Berichte und Briefe über die Spreemetropole dar. In sechs Kapiteln wurde ein Panorama des polnischen Berlin innerhalb der Jahrhunderte skizziert. Es ist ein heterogenes Mosaik der Aufenthaltszeugnisse von bekannten Polen, die Berichte von Zwangsarbeitern und Gefangenen, Dokumente zur Eroberung Berlins durch die Polnische Armee 1945 sowie subjektive Erinnerungen einiger Generationen polnischer Mitgestalter von Berliner Identität und Bewußtsein. Hierbei soll vor allem auf einige Momente hingewiesen werden, wie etwa das Phänomen der europäischen Kulturvermittlung, für das die Person des „genialen Polen”, – Stanisław Przybyszewski steht, ebenso wie der Erfolg polnischer Maler auf dem Kaiserhof, der durch Wojciech Kossak verkörpert wird, sowie die Studentenbewegung 1968, an der sich unter anderen Polen etwa Viktoria Korb beteiligte. Ein umfangreiches Namensregister ermöglicht es, ohne Mühe Namen so berühmter Persönlichkeiten wie u.a. Józef Ignacy Krasiński, Bolesław Prus, Aleksander Wat, Kira Gałczyńska, Józef Czapski, Witold Gombrowicz oder – die große literarische (Neu)Entdeckung der letzten Jahre – Antoni Sobański, zu finden. Die erste polnische Professorin für Kunstgeschichte, Karolina Lanckorońska, erscheint in diesem Kontext als Zeugin des Kriegsgeschehens. Im Gegensatz zu ihr dokumentieren die Biographien von Aristokraten – der Raczyńskis und der Radziwiłłs; Daniel Chodowieckis oder Ignacy Krasińskis, das deutsch-polnische Schicksals in einem übernationalen, kulturbildenden Dialog im Berliner Milieu. Dieser ging der Entstehung der Europäischen Gemeinschaft um Jahrhunderte voraus. Solche Akzentuierung der vernationalen Epoche, welche als aristokratische „Familie Europa” apostrophiert wird, hebt die Unterschiede in der Definition der aus dem 19. Jahrhundert stammenden Kategorie der Nation auf den beiden Seiten der Oder hervor.

Auf dieses Phänomen verweisen die Organisatoren bereits im Prolog der Ausstellung. Dessen Dominante besteht in einem Überraschungseffekt: Ein durchschnittlicher Berliner kann mit den Namen

Die Aktion

WOCHENSCHRIFT FÜR POLITIK, LITERATUR, KUNST
VIL JAHR HERAUSGEGEBEN VON FRANZ PFEMFERT NR.



SONDERHEFT „POLNISCHE KUNST“
VERLAG · DIE AKTION · BERLIN-WILMERSDORF
HEFT 80 PFG.



Stanisław Kubicki, Wieża Babel, ok. 1917, linoryt, zbiory prywatne

Stanisław Kubicki, Turmbau zu Babel, ca. 1917, Linolschnitt, Privatsammlung

arystokratów – Raczyńskich i Radziwiłłów; Daniela Chodowieckiego czy Ignacego Krasickiego, dokumentując ponadnarodowy, kulturotwórczy dialog w środowisku berlińskim, poprzedzający o stulecia ideę Unii Europejskiej. Takie zaakcentowanie epoki prenarodowej, określanej mianem arystokratycznej „rodzinnej Europy”; eksponuje różnice w definiowaniu XIX-wiecznej kategorii narodu po obu stronach Odry. Na to zjawisko autorzy wskazują już w prologu wystawy, którego dominantą jest efekt zaskoczenia. Rodziny Radziwiłłów i Raczyńskich nie kojarzą się przeciętnemu berlińczykowi z niczym. Reichskanzlei (Kancelaria Rzeszy) – dawny Pałac Radziwiłłów – oraz Reichstag – wybudowany na gruntach należących do rodziny Raczyńskich – są tymczasem symbolami powszechnie rozpoznawalnymi. Obie te arystokratyczne rodziny osiedliły się w Berlinie po rozbiorach Rzeczypospolitej. W roku 1796 Antoni Henryk Radziwiłł poślubił pruską księżniczkę Luizę Hohenzollern. Aż do odzyskania przez Polskę

der Radziwiłł und Raczyński nichts verbinden, doch jeder erkennt wiederum solche Sinnbilder wie die Reichskanzlei – ein ehemaliges Radziwiłł-Palais – sowie Reichstag – welcher auf dem Grundstück der Raczyńskis erbaut worden ist. Die beiden Aristokratenfamilien siedelten nach Berlin nach den Teilungen der Polnischen Adelsrepublik um. 1796 heiratete Antoni Henryk Radziwiłł eine preußische Prinzessin Luiza Hohenzollern. Bis Polen wieder ihre Unabhängigkeit erlangte, gehörten die Radziwiłłs und Raczyńskis zur Eliten der Hauptstadt. Die Nachkommen Radziwiłłs wuchsen dank ihrer Verwandtschaft mit den Hohenzollern mit den königlichen Kindern zusammen auf. Die drei ersten Berliner Generationen dieser Familie bewohnten das Hôtel Radziwiłł an der heutigen Wilhelmstraße 77, in dem neben der königlichen Familie die brilliantesten Vertreter der Welt von Kultur und Politik verkehrten, etwa Fryderyk Chopin, Karl Friedrich Schinkel oder Daniel Rauch sowie Felix Mendelssohn. 1874 wurde die Residenz verkauft, und mit der Zeit wurde sie zum Sitz der Reichskanzlers. Als erster amtierte hier Otto von Bismarck, als letzter – Adolf Hitler.

Im Auftakt der Ausstellung wird auf folgende Tatsachen hingewiesen, die die Polen wie die Deutschen überraschen: Antoni Radziwiłł war der erste Komponist der Musik zu Goethes „Faust”; Atanazy Raczyński schrieb die erste Kunstgeschichte Deutschlands in französischer Sprache und galt als der hervorragendste Kunstsammler Preußens; die polnische Prinzessin, Eliza Radziwiłł und den künftigen Kaiser Wilhelm I verband eine sogar in den Filmen aus der Zwischenkriegszeit dokumentierte Liebe; und nicht zuletzt trugen die Radziwiłłs wesentlich zum politischen Leben Preußens bei. In den Mauern ihres Palais (bereits nach dessen Verkauf) fand der größte Friedenskongreß Europas des Zeitraums 1815-1918 statt, geschlossen 1878 mit dem sogenannten „Berliner Frieden”.

Die Ausstellung enthüllt noch mehr paradoxe Symptome dieser Art polnischer Präsenz in Berlin. Es wird dabei daran erinnert, daß der „Prinz polnischer Dichter” der Bischof von Ermland Ignacy Krasicki schloß eine Bekanntschaft mit dem Friedrich den Großen nach dem das Lehnland Ermland an Preußen 1772 fiel. 1773 weihte er den katholischen St. Hedwig-Dom ein. 1786 wurde er zum Mitglied der Preußischen Akademie der Wissenschaften berufen. Auch nach dem Tode Friedrich des Großen unterhielt

niepodległości Radziwiłłowie i Raczyńscy należeli do elity miasta. Potomkowie Radziwiłłów dzięki pokrewieństwu z Hohenzollernami, wychowywali się z dziećmi królewskimi. Trzy pierwsze berlińskie pokolenia tej rodziny zamieszkiwały Hotel Radziwiłł przy dzisiejszej Wilhelmstraße 77, gdzie oprócz rodziny królewskiej gośćmi bywali najwybitniejsi przedstawiciele świata kultury i polityki. Należeli do nich, poza rodziną królewską, choćby tacy artyści jak Fryderyk Chopin, Karl Friedrich Schinkel czy Daniel Rauch oraz Feliks Mendelssohn. W 1874 roku posesję tę sprzedano, a z czasem stała się ona siedzibą kanclerza Rzeszy. Jako pierwszy rezydował tu Otto von Bismarck, jako ostatni – Adolf Hitler.

Inaugurująca wystawę scena skonstruowana jest wokół kilku zaskakujących – tak dla Polaków, jak i dla Niemców – faktów: Antoni Radziwiłł był pierwszym kompozytorem muzyki do „Fausta” Goethego; Atanazy Raczyński napisał pierwszą historię sztuki niemieckiej w języku francuskim i zasłynął jako najwybitniejszy kolekcjoner sztuki w Prusach; polską księżniczkę, Elżbę Radziwiłłównę oraz przyszłego cesarza Wilhelma I łączyła miłość – motyw będący nawet inspiracją jednego z międzywojennych filmów –, i wreszcie: Radziwiłłowie wnieśli istotny wkład w życie polityczne Prus. W murach ich pałacu (już po jego sprzedaży) odbył się największy kongres pokojowy w Europie lat 1815-1918, na którym w 1878 roku ustanowiono „pokój berliński”.

Wystawa odsłania więcej tego typu paradoksalnych przejawów polskiej obecności w Berlinie.

Przypomina, iż „książę poetów polskich” i biskup warmiński, Ignacy Krasicki, po włączeniu lenna warmińskiego do Prus w roku 1772, zawarł znajomość z Fryderykiem Wielkim, a w 1773 roku konsekrował katolicką katedrę św. Jadwigi. W 1786 roku Krasicki został powołany na członka Pruskiej Akademii Nauk i także po śmierci Fryderyka Wielkiego pozostał w dobrych relacjach z dworem pruskim. W 1795 roku Fryderyk Wilhelm II ustanowił go biskupem gnieźnieńskim, a jego następcą – Fryderyk Wilhelm III – przyznał mu Order Czerwonego Orła. Krasicki zmarł w Berlinie w 1801 roku i został pochowany w katedrze św. Jadwigi – znajdującej się dziś w samym sercu Berlina, naprzeciw uniwersytetu Humboldtów, przy słynnej alei Unter den Linden, NB około stu lat później upamiętnionej na obrazie Anny Bilińskiej-Bogdanowiczowej, na świecie znanej też z jej autoportretu na okładce książki „Women Painters”.

er weiterhin gute Beziehungen zum preußischen Hof. 1795 wurde er von Friedrich Wilhelm II zum Bischof von Gnesen ernannt, und Friedrich Wilhelm III hat ihn mit dem Orden des Roten Adlers ausgezeichnet. 1801 starb Krasicki in Berlin und wurde im St. Hedwig-Dom beigesetzt. Dieser liegt heute im Herzen Berlins, gegenüber der Humboldt-Universität, an der Allee Unter der Linden, die NB etwa hundert Jahre später von einer berühmten polnischen Malerin – Anna Bilińska-Bogdanowicz verewigt wurde. Sie ist heute auch dank ihres Selbstbildnisses auf dem Umschlag des Buches „Women Painters” weltweit bekannt.

Daß solche Persönlichkeiten ihre Position in Berlin erlangen konnten oder sogar zu den Sinnbildern des Berliner Salonlebens wurden, ergab sich nicht nur aus dessen gesellschaftlichem und sozialem Rang, sondern vor allem aus der Tatsache, daß sie in Folge von drei Teilungen Polens zu preußischen Bürgern wurden und in der Hauptstadt ihre Talente besser entfalten konnten.

Daß diese Ausstellung Stereotype in der gegenseitigen Wahrnehmung der Polen und Deutschen zu überwinden versucht, wird auch von ihrem assoziativen und unchronologischen Aufbau hervorgehoben, in dem deutliche thematische Dominanten akzentuiert wurden, die dem Betrachter einen größeren Gedankenraum frei lassen als eine traditionelle historische Darstellung. Besonders hervorgehoben werden hier des weiteren einige konkrete Eckpunkte der deutsch (preußisch)-polnischen Geschichte, wie etwa Teilungen Polens, Epoche vom Großherzogtum Posen (1815-1848) – wichtig besonders in Hinsicht auf die Radziwiłłs und die Raczyńskis –, der Völkerfrühling, die Gemanisierungsmaßnahmen des 19./20. Jahrhunderts und die parallel verlaufenden Migrationswellen in Europa. Außerdem werden die Rolle Preußens und Deutschlands in den polnischen Konzepten des nationalen Befreiungskampfes, die bilateralen Kontakte 1934-1938 zur Zeit des Nationalsozialismus sowie die Rolle von „Solidarność” im Prozeß der Demokratisierung Ostdeutschlands im Vorfeld des Mauerfalls akzentuiert.

In diesem Kontext wird der Versuch unternommen, den Begriff „Pole in Berlin” zu definieren. Dabei soll sowohl jede Inanspruchnahme als auch Ausklammerung von Polentum und „Polonia” vermieden werden.



Okladka zeszytu specjalnego czasopisma „Die Aktion”, nr 21/22, 1918 „Sztuka polska” z linorytem Stanisława Kubickiego „Bunt”

Sondernummer der Zeitschrift „Die Aktion“ Nr. 21/22, 1918 „Polnische Kunst” mit dem Linolschnitt „Bunt” von Stanisław Kubicki

To, iż takie osobowości mogły stać się rozpoznawalnymi mieszkańcami Berlina czy wręcz symbolami salonowego życia kultury berlińskiej, wynikał nie tylko z ich międzynarodowej pozycji towarzyskiej i społecznej, lecz głównie z faktu, że w wyniku trzech rozbiorów Rzeczypospolitej stali się oni obywatelami państwa pruskiego i w jego stolicy mogli lepiej zainwestować swoje zdolności.

To, iż wystawa łamie stereotypy we wzajemnym postrzeganiu się Polaków i Niemców, podkreśla także jej asocjacyjny i achronologiczny układ, z wyraźnymi dominantami tematycznymi, pozostawiający zwiedzającemu większą przestrzeń do refleksji niż tradycyjna historyczna narracja. Szczególnie wyeksponowane zostaną konkretne kulminacyjne momenty dziejów stosunków polsko-niemieckich (pruskich), takie jak choćby rozbiory Polski, czasy Wielkiego Księstwa Poznańskiego (1815-1848) (istotne zwłaszcza w kontekście Radziwiłłów i Raczyńskich), Wiosna Ludów, fale germanizacji z przełomu XIX/XX wieku i fale migracji w Europie w tym samym czasie, znaczenie Niemiec w polskich koncepcjach niepodległościowych, wzajemne kontakty w latach faszyzmu, w latach 1934-1938, a także rola „Solidarności”

Des weiteren versuchen die Organisatoren auf einen besonderen Status Berlins auf der Karte polnischer Migrationen – etwa im Vergleich zu Paris, London, Rom oder Chicago – hinzuweisen. Bis in die 1980er. Jahre gehört Berlin nämlich nicht zu den Hauptzielen polnischer Auswanderer. Am Ende der Teilungszeit lockt es vor allem die Bewohner der preußischen Provinz an. Daher gehört Berlin im Bewußtsein der Mehrheit auch nicht zu den Hauptinseln des Polentums im Exil, auch wenn der Charakter der polnischen Emigration in Berlin seit dem Kriege recht in Polen einem radikalen Wandel unterliegt. Seit dieser Zeitspanne beteiligen sich nämlich Polen nicht nur quantitativ, sondern auch qualitativ an der Kultur und Wissenschaft dieser Stadt viel intensiver. Auch ihre Selbstverständnis verändert sich wesentlich, was durch den auffälligen Ausstellungstitel deutlich hervorgehoben wird. Dieser kann als Manifest mehrerer Generationen gedeutet werden, ähnlich wie der Begriff „Berliner”, der doppelt, dh. sowohl in Bezug auf die Deutschen als auch auf die Polen kodiert werden kann.

In der Annahme, daß die Deutschen über Polen relativ wenig wissen, versuchen die Organisatoren auf die markantesten Momente hinzuweisen, statt das Gesamtuniversum der deutsch-polnischen Beziehungsgeschichte in Berlin im Laufe der Jahrhunderte zu schildern. Ein Mittel, um deren Aufmerksamkeit zu wecken, soll der bereits genannte Überraschungseffekt bilden, die Hinweise auf die gemeinsamen aristokratischen Genealogien sowie künstlerischen Erfolge von Polen in Deutschland, die dem Stereotyp des armen und zivilisatorisch rückständigen Nachbarn widersprechen. Im Aufbau der Ausstellung, die auf den Regeln des Dramas basiert, eine wesentliche Rolle spielen Bühnenanweisungen. Diese kurzen, kommunikativen und provokanten Zitate weisen diskret auf die Intention der Organisatoren hin und erleichtern – oder auch nicht – die Antwort auf die Frage: „Wie war es in der Tat?” Im diesem Rahmen finden sich auch rhetorischen Frage nach heute neu zu definierenden Begriffen wie Patriotismus oder Loyalität.

Das Zentrum der Ausstellung wird einer Rekonstruktion und zugleich Dekonstruktion des Begriffs „Pole in Berlin” gewidmet. Sein Bedeutungsfeld umfaßt etwa solche Bestandteile wie: Schlesier, Ostjude, Mazurek, „Spätaussiedler”, „Deutsche mit Doppelpaß”, „preußischer Bürger pol-

w procesie demokratyzacji Niemiec Wschodnich w przededniu upadku muru berlińskiego.

W tym kontekście podjęta zostanie próba zdefiniowania „Polaka w Berlinie”, w założeniach tak, by nie popaść w pułapkę zawłaszczania czy wykluczania do polskości i Polonii.

Ponadto organizatorzy pragną wskazać na odmienny status Berlina na mapie polskiej emigracji w porównaniu choćby z Paryżem, Londynem, Rzymem czy Chicago. Do lat 80 XX wieku Berlin nie należy do głównych jej celów, iż w schyłkowym okresie zaborów przyciąga głównie mieszkańców dzielnicy pruskiej, stąd – w świadomości wielu – nadal nie należy do głównych enklaw polskości poza granicami kraju. Dzieje się tak, mimo iż specyfika polskiej emigracji polskiej w Berlinie zmienia się radykalnie poczynając od stanu wojennego, odkąd to Polacy nie tylko ilościowo, ale i jakościowo w znacznie większym stopniu uczestniczą w życiu miasta, w kulturze i nauce. Także ich autodefinicja ulega istotnym zmianom, co podkreśla wyraźnie intrygujący tytuł wystawy, będący swoistym (wielu)pokoleniowym manifestem, umożliwiającym dwoiste narodowe kodowanie pojęcia berlińczyk.

Zakładając, że współczesny niemiecki adresat o Polsce stosunkowo mało wie, autorzy starają się wskazać raczej na najbardziej wyraziste zjawiska, niż prezentować wyczerpująco uniwersum polsko-niemieckich doświadczeń w Berlinie na przestrzeni dziejów. Istotnym środkiem budzenia zainteresowania ma być efekt zaskoczenia, przejawiający się choćby we wskazaniu na wspólne arystokratyczne genealogie i sukcesy artystyczne Polaków w Niemczech. Stanowią one zaprzeczenie stereotypu ubogiego i cywilizacyjnie zapóźnionego sąsiada. W konstrukcji tej ekspozycji, opartej na zasadzie dramatu, istotną rolę odgrywają krótkie i komunikatywne „didaskalia”, choćby w formie prowokacyjnych cytatów, wskazujące dyskretnie na intencję organizatorów i ułatwiające (?) odpowiedź na pytanie „Jak było naprawdę?”. Także definiowane dziś na nowo pojęcia patriotyzmu i lojalności ujęte zostaną w ramy retorycznych pytań.

Centrum wystawy poświęcone będzie rekonstrukcji, a zarazem dekonstrukcji pojęcia „Polak w Berlinie”. Jego zakres znaczeniowy obejmuje choćby takie elementy jak: Ślązak, „Ostjude” (Żyd ze Wschodu), Mazur, „Spätaussiedler” (późny repatriant), „Niemiec z podwójnym paszportem”, „obywatel

nischer Abstammung” oder – die zur Zeit modische – Bezeichnung „Berliner Bürger mit polnischem Migrationshintergrund”.

Der erste Akt der Ausstellung veranschaulicht die Dynamik der deutsch-polnischen politischen Beziehungen in der Zeit als Berlins von einer Provinzstadt zur Metropole wurde. Diese Dynamik wird durch die Autonomie des Großherzogtums Posen markiert, welche durch Teilungen Polens (1772–1795) und den Wiener Kongreß (1815) initiiert wurde und bis 1848 gedauert hat. Damals verkehrten auf dem preußischen Hof der polnische Adel und die Vertreter freier Berufe. Die „Polenbegeisterung” nach den Novembereaufstand 1930 und die Befreiung von Ludwik Mierosławski aus dem Gefängnis Moabit während des Völkerfrühlings schließen die Phase der gegenseitig positiver Beziehungen ab. Hierbei ist noch zu vermerken, daß 1848–1928 in Berlin etwa 300 polnische Volksvertreter wirkten, die unterschiedliche soziale Schichten und politische Optionen repräsentierten. Diese vereinigten sich 1849 im Landtag, und 1871 im Reichstag zu einem Polnischen Kreis, und befolgten das gemeinsame Regelwerk, u.a. das Gebot der Einstimmigkeit. Somit konnten sie auf die Entscheidung über die „polnische Frage” in Preußen und danach in der Weimarer Republik Einfluß nehmen. Zwischen 1848 und 1945, etwa hundert Jahre lang, kristallisierte sich ein Bild des „ewigen Feindes” heraus – in Deutschland eine negative Polenpolitik der beinahe aller preußischen /deutschen Regierungen, und in Polen der sich ihr gegenüber behauptende „polnische Verteidigungsnationalismus” (so Klaus Zernack). Allgemein bekannt sind einige Tatsachen in Bezug auf den Zweiten Weltkrieg, etwa die Vertreibung von 17.000 polnischen Staatsbürgern jüdischer Abstammung aus Berlin im Vorfeld des Zweiten Weltkrieges (1938). Seltener erinnert man sich an die zumeist institutionell gesteuerte Präsenz polnischer Kultur in der Zeit des Nationalsozialismus, nachdem im Januar 1934 der bilaterale Nichtangriffspakt zwischen Deutschland und Polen unterzeichnet wurde. In Berlin feierten damals zahlreiche polnische Künstler Erfolge. Nach dem Zweiten Weltkrieg kam es erst seit den 1970er in der DDR zur Intensivierung der polnischen Kulturaktivitäten. Die dortige Opposition suchte nach Unterstützung und bezog ihre Verhaltensmuster aus Polen. Beinahe zur selben Zeit wurde Westberlin wegen der Visumsfreiheit zum „polnis-

pruski pochodzenia polskiego", czy modne obecnie określenie – „obywatel Berlina z polskim tłem migracyjnym”.

Pierwszy akt wystawy – „W okowach polityki” – ukazuje dynamikę politycznych kontaktów polsko-niemieckich w czasie, gdy Berlin z prowincji przeraża się w metropolię. Wyznaczają ją z jednej strony rozbiory Polski (1772-1795) i Kongres Wiedeński (1815) inicjujący trwającą do 1848 roku autonomię Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Na dworze pruskim pojawiała się wówczas polska szlachta oraz przedstawiciele wolnych zawodów. „Polenbegeisterung” po Powstaniu Listopadowym i uwolnienie z więzienia w Moabicie Ludwika Mierosławskiego podczas Wiosny Ludów w 1848 roku zamykają – z drugiej strony – fazę obustronnie życzliwych relacji. W tym miejscu warto przypomnieć, iż w latach 1848-1928 działało w Berlinie blisko 300 polskich posłów, reprezentujących różne grupy społeczne i opcje polityczne. W 1849 zjednoczyli się oni w Landtagu, a następnie w roku 1871 w Reichstagu jedno Kole Polskim. Łączył je wspólny regulamin i zasada jednomyślności w głosowaniu. Dzięki temu mogli oni współdecydować o rozstrzygnięciu „kwestii polskiej” w Prusach, a potem w Niemczech. Od 1848 do 1945, przez około sto lat kształtuje się wizerunek „wiecznego wroga” – w Niemczech „negative Polenpolitik” niemal wszystkich pruskich/niemieckich rządów oraz przeciwstawiający się jej „polski nacjonalizm obronny”, jak te zjawiska określa znawca przedmiotu, Klaus Zernack. Powszechnie znane są fakty dotyczące II wojny światowej, jak choćby – w jej przededniu, w 1938 roku – wypędzenie z Berlina 17.000 Żydów z polskim obywatelstwem. Rzadziej wspomina się dziś o oficjalnie sterowanej ekspansji polskiej kultury w okresie nazistowskim, po podpisaniu w styczniu 1934 roku deklaracji o niestosowaniu siły między Niemcami a Polską, gdy w Berlinie gościło wielu artystów polskich. Po wojnie w stolicy NRD ożywienie polskiej kultury następuje dopiero od lat 70. XX wieku. Tamtejsza opozycja szuka wsparcia i wzorców w Polsce. W tym samym czasie Berlin Zachodni, z uwagi na brak obowiązku wizowego staje się „polskim oknem” na zachodnią demokrację. Stypendia Fundacji Forda, znane później jako berliński program artystyczny DAAD, uzyskują m.in. Witold Gombrowicz, Zbigniew Herbert, Adam Zagajewski, Hanna Krall, Ryszard Kapuściński i Olga Tokarczuk. W Berlinie powstają polskie organizacje

chen Fenster” auf die Westdemokratien. Mit Stipendien der Ford-Stiftung, später in das Berliner Künstlerprogramm des DAAD umgewandelt, wurden u.a. Witold Gombrowicz, Zbigniew Herbert, Adam Zagajewski, Hanna Krall, Ryszard Kapuściński und Olga Tokarczuk gefördert. In Berlin entstanden polnische Organisationen und Kulturzeitschriften wie etwa „Wir“, seit Jahren geleitet durch die Schriftstellerin Ewa Maria Skalska. Eine Wende in der Intensität deren Wirkung markiert das Jahr 1989, als die Polen, die Avantgarde des Entkommunierungsprozesses, beginnen immer deutlicher das kulturelle Profil Berlin mitzubestimmen.

Der zweite Teil der Ausstellung, „Viva Polonia: den Stereotypen entgegen” ist dem Alltag der Polen in Berlin gewidmet. Die wichtigsten Akzente bilden hier: „schöne Polin“, „polnischer Landtag“, „polnische Wirtschaft“ und „Pole-Katholik“. Jeder dieser Stereotypen ruft unterschiedliche Sphären der polnischer Sitten hervor: Hinter der „schönen Polin“ versteckt sich das Bild der Familienbeziehungen und der Mythos der Mutter-Polin, die im Dienste patriotischer Tradition und patriarchalischer Werte steht. Der „polnischen Wirtschaft“ wird das breite Panorama der polnischen Unternehmen sowie die Aktivität polnischer Arbeiter in Berlin gegenübergestellt, und als Gegenbild zum „Polnischen Landtag“, Sinnbild des *liberum veto*, des fehlenden Unternehmensvermögens und des sozialen Partikularismus, steht das breit gefächerte Spektrum polnischer Organisationen. Die katholische Kirche wiederum wird hier nicht nur als Träger geistiger Werte, sondern auch als ein Sozialisierungs- und Integrationszentrum verstanden.

Stellvertretend für diese Phänomene werden u.a. die Mischehen und die Familien, die seit Jahrhunderten Berlin bewohnen sowie die freien Beziehungen der jungen Generation, und diejenigen, die in den 1980er Jahren zusammen mit ihren Eltern hierhin eingereist sind und heute nach Polen zurückkehren möchten. Die historische Reflexion wird in diesem Ausstellungsabschnitt von folgenden Ausstellungs-episoden illustriert: eine multimediale Installation von Anna Krenz „Polnische Frau“, eine Dokumentation zur Tätigkeit des berühmten polnischen Schneiders Władysław Berkan, über 60 polnische Restaurants und der sogenannte „Polenmarkt“ – das Phänomen der Wendezeit und des „polnischen Wegs zum Kapitalismus“. Im Hintergrund all dieser Sinnbilder

i czasopisma kulturalne, jak choćby „Wir”, od lat kierowany przez pisarkę Ewę Marię Slaską. Przełom w intensywności ich oddziaływania wyznacza rok 1989, gdy Polacy jako element rozkładowy komunizmu zaczynają na stałe wyraźnie współokreślać kulturowy profil Berlina.

Akt drugi „Viva Polonia czyli na przekór stereotypom” poświęcony jest codzienności Polaków w Berlinie. Najważniejsze akcenty to „piękna Polka”, „polski sejm”, „polska niegospodarność” („polnische Wirtschaft”) i „Polak-katolik”. Każdy z tych stereotypów wskazuje na odmienną sferę polskiej obyczajowości. Symbol pięknej Polki odwołuje się do więzi rodzinnych i mitu matki-Polki, strażniczki tradycji patriotycznej i wartości patriarchalnych. Stereotypowi polskiej niegospodarności przeciwstawia się rozległa panorama polskich przedsiębiorstw i aktywność polskich robotników w Berlinie. W opozycji do wyobrażeń będących echem *liberum veto*, dezorganizacji i partykularyzmu społecznego, ukazane będzie natomiast rozległe spektrum działających w Berlinie od dziesięcioleci polskich ugrupowań. Jako pozytywna strona działalności kościoła katolickiego oświecona zostanie nie tylko jego funkcja duchowa, lecz również integrująca i socjalizująca.

W spektrum prezentowanych w tej części ekspozycji zjawisk znajdują się małżeństwa mieszanе, reprezentatywne polskie rodziny od stuleci zamieszkujące Berlin oraz wolne związki w młodszych pokoleniach, a także ci, którzy w latach 80. XX wieku przyjechali do Berlina z rodzicami, a teraz pragną wrócić do kraju na stałe. Refleksje na temat zaprezentowanych tu zjawisk zilustrują m.in. fragment multimedialnej instalacji Anny Krenz „Polska żona” oraz dokumentacja na temat słynnego zakładu krawieckiego Władysława Berkana, ponad 60 polskich restauracji i polskiego targu – fenomenowi okresu przełomu i „polskiej drogi do kapitalizmu”. Tło stanowić będzie berlińska ulica, dynamicznie rozwijające się miasto, ważne centrum urbanistyczne i kulturalno-polityczne.

Mottem trzeciego aktu ekspozycji jest ironiczne pytanie Witolda Gombrowicza z 1963 roku, które zapisał on jako stypendysta Fundacji Forda: „Berlin postanowił być sobie Paryżem?”. Tu ukazana zostanie sztuka „rodzinnej Europy”, historyzmów i awangardy – film, teatr, kultura słowa. Wyraziste akcenty tworzą – twórczość rodziny Wirpszów czy



Margarete Kubicka, Ulica, 1917, linoryt, zbiory prywatne

Margarete Kubicka, Straße, 1917, Linolschnitt, Privatsammlung

stehen die Berliner Straße, die sich intensiv entwickelnde Stadt, ein wichtiges urbanistisches, kultur-politisches Zentrum.

Als Motto zum dritten Akt der Ausstellung dient die ironische Frage von Witold Gombrowicz, die er 1963 als Stipendiat der Ford-Stiftung notierte: „Berlin beschloß für sich selbst, Paris zu werden?” Präsentiert werden hier solche Kunstbereiche wie „Familie Europa”, Historismen und die Avantgarde: Film, Theater und Literatur. Als markante Akzente sind hier das Schaffen der Wirpsza-Familie, die deutsch-polnische literarische und übersetzerische Leistung Henryk Bereskas sowie mehrere Generationen von Autoren um die Kulturzeitschrift „Wir”. Es wird auch nicht an den polnischen Boheme-Akzenten fehlen. Ins Bild kommen sowohl „der geniale Pole” Stanislaw Przybyszewski, Kulturvermittler der Wende zum 20. Jahrhundert, welcher Kontakte zwischen Kunstzeitschriften und Künstlern im beinahe Gesamteuropa vermittelt hat sowie der „Klub der Polnischer Versager”, der mittlerweile fest in der Berliner Landschaft verwurzelt ist. Dieser

polsko-niemieckie dokonania literackie i translatorskie Henryka Bereski oraz wielopokoleniowego środowiska skupionego wokół czasopisma „Wir”. Nie zabraknie i tutejszej polskiej cyganerii – „genialnego Polaka”, Stanisława Przybyszewskiego, na przełomie XIX i XX wieku pośredniczącego między kulturalnymi periodykami i artystami całej niemal Europy, a także „Klubu Polskich Nieudaczników”, który na stale wrósł już we współczesny krajobraz miasta. Ten fragment ekspozycji wskazuje na szereg paradoksów berlińskiej polskości: Dlaczego Daniel Chodowiecki mógł być Polakiem, będąc jednocześnie Prusakiem i synem francuskiej hugenotki, a Wojciech Kossak – polski malarz narodowy –, w okresie konfliktu polsko-niemieckiego jako nadworny malarz cesarza Wilhelma II, korzystał z udostępnionego mu atelier w berlińskim pałacyku Monbijou? Kto pamięta o polskim wkładzie w awangardę sztuki XX wieku? W jaki sposób w przededniu II wojny światowej i jarzma narodowego socjalizmu w Berlinie rozkwita kultura polska, a triumfy święcą choćby Pola Negri i Jan Kiepura? Trwałość polskiej tradycji kulturalnej w Berlinie symbolizuje „Communitas” polskich naukowców i studentów w metropolii nad Szprewą.

Nie sposób szczegółowo omówić tu całego programu tak obszernej i wieloaspektowej ekspozycji. Warto jednak wskazać na kulturalny, naukowy i polityczny pomost między Polakami a Niemcami w Berlinie, który w sposób wyjątkowy symbolizują dokonania polsko-niemieckiej pary artystycznej – Stanisława i Margarete Kubickich oraz ich rodziny. Wywodzący się ze Śląska Witalis Kubicki był projektantem zachwycających do dziś nowoczesnością śluz w Eberswalde. Jego syn Stanisław wraz z żoną Margarete pośredniczyli między środowiskiem artystycznym Poznania i Berlina, inicjując w 1918 roku wspólne wystawiennicze i wydawnicze inicjatywy poznańskiej ekspresjonistycznej grupy „Bunt” oraz berlińskiej galerii i czasopisma „Die Aktion”. Oboje byli autorami awangardowych okładek i manifestów. „Wieża Babel” Kubickiego, grafika zdobiąca plakat I wystawy „Buntu”, jest symbolem prometejskiej formacji awangardy i utopii nowej, ponadnarodowej wspólnoty. Współpracował on także m.in. ze słynną galerią i z czasopismem „Der Sturm”, w których prócz niego swe prace prezentowali artyści jak: symboliczni protoekspresjoniści – Franciszek Flaum i Stanisław Stückgold, kubista Henryk Marcoussis, konstruktywiści – Teresa Żarnowerówna i Mie-

Abschnitt der Schau weiß auf mehrere Paradoxe des Berliner Polentums hin: Wie könnte z.B. Daniel Chodowiecki ein Pole, zugleich ein Preuße und der Sohn einer französischen Hugenottin sein? Und konnte wiederum Wojciech Kossak, ein polnischer Nationalmaler, zum Hofmaler des Kaisers Wilhelm II werden und das ihm zur Verfügung gestellte Atelier im Berliner Monbijou Palais nützen? Wer erinnert sich noch an den Beitrag der polnischen Avantgarde zur Kunst des 20. Jahrhunderts? Wie war es möglich, das im Vorfeld des Zweiten Weltkrieges, angesichts des Nationalsozialismus, in Berlin die polnische Kultur blühte und solche Künstler wie Pola Negri und Jan Kiepura ihre Erfolge feierten? Für die Beständigkeit der polnischen kulturellen Tradition in Berlin steht die „Communitas” von polnischen Wissenschaftlern und Studierenden in der Spreemetropole.

Es ist unmöglich, hier genau das ganze Programm der so umfangreichen und vielfältigen Ausstellung zu erfassen. Es lohnt sich jedoch, auf eine besondere kulturelle, wissenschaftliche und zugleich politische Brücke zwischen Polen und Deutschen in Berlin hinzuweisen, für die die Tätigkeit des deutsch-polnischen Künstlerpaares Margarete und Stanisław Kubicki und ihrer Familie steht. Der aus Schlesien stammende Vitalis Kubicki entwarf Schleusen in Eberswalde, die bis heute wegen ihre Modernität ins Erstaunen versetzen. Sein Sohn Stanisław zusammen mit dessen Frau Margarete vermittelten zwischen den Avantgardekünstlern in Posen/Poznań und Berlin. 1918 initiierten sie gemeinsame Verlags- und Ausstellungsunternehmen der Posener Expressionistengruppe „Bunt” (Revolte) und der Berliner Kunstzeitschrift und Galerie „Die Aktion”. Beide waren Autoren avantgardistischer Titelblätter und Manifeste. Kubickis Graphik „Turmbau zu Babel”, die das Plakat der ersten „Bunt”-Ausstellung in Posen schmückte, steht für das aktivistische Engagement der Polnischen Avantgarde und für die Utopie der neuen, übernationalen Gemeinschaft. Kubicki ging auch eine Kooperation u.a. mit der berühmten Berliner Galerie und Kunstzeitschrift „Der Sturm” ein, in denen außer ihm nur wenige polnische und polnischstämmige Künstler ihre Werke vorstellen konnten. Zu ihnen gehörten die Protoexpressionisten Franciszek Flaum und Stanisław Stückgold, der Kubist Henryk Marcoussis, die Konstruktivistin Teresa Żarnower und Mieczysław Szczuka sowie der Vater des Op-Arts – Henryk

czyszaw Szczuka oraz ojciec op artu – Henryk Berlewi. To w atelier Kubickich, wywodzący się, podobnie jak Berlewi, z łódzkiej grupy „Jung Idysz” Jankiel Adler, później związany z „Novembergruppe” i „Das junge Rheinland”, namalował swój najśłynniejszy obraz – „Moi rodzice”. Wraz z nim atelier Kubickich zamieszkiwał najpewniej Artur Nacht-Samborski. W 1922 roku Kubiccy reprezentowali Polskę na Kongresie Międzynarodowej Unii Artystów Postępowych w Düsseldorfie, najważniejszym wystąpieniu polskiej awangardy w okresie międzywojennym. Pojawili się tam także m.in. także Adler, Berlewi i Pola Lindenfeld. Później Kubiccy współorganizowali w Berlinie międzynarodową wystawę, na którą zaprosili m.in. przedstawicieli polskiego „Buntu”. Do 1933 roku związani byli oni z „Gruppe progressiver Künstler” z Kolonii i nawiązali kontakty m.in. z Raulem Hausmannem, Augustem Sanderem, Markiem Chagalliem i Kazimierzem Malewiczem. O sile wyrazu obrazów i grafik Kubickiego stanowi ich klarowna konstrukcja. Ideowo i stylistycznie kojarzą się one z dorobkiem Mondriana i Malewicza. Z kolei antropocentryczne i zmysłowe prace Kubickiej sąw świetlistością i metafizyczną aurą dorównują dziełom Delaunaya i Jawlensky’ego. W roku 1934 Kubicki zamilkł jako malarz. W czasie wojny związał się z polskim ruchem oporu, pełniąc misję kuriera do ambasad państw neutralnych w Berlinie. Zginął w niejasnych okolicznościach z rąk gestapo w 1942 roku. Kubicka przeżyła gehennę przesłuchań i prześladowań, chroniąc dzieła męża i jego przyjaciół-artystów – m.in. Władysława Skotarka, Stefana Szmaja, Jerzego Hulewicza, Jerzego Wronieckiego, Poli Lindenfeld, Jankiela Adlera i Franza Wilhelma Seiwerta. Syn Kubickich, S. Karol, jeden z założycieli Wolnego Uniwersytetu, do dziś zamieszkuje dom rodziców w słynnej awangardowej dzielnicy – Hufeisensiedlung, zaprojektowanej przez Dom Brunona Tauta.

Los Kubickich, podobnie jak cała wystawa „My, berlińczycy”, symbolizuje powikłane biografie Polaków w Berlinie i materialno-duchowe dziedzictwo wniesione przez polskich migrantów w życie stolicy Niemiec. Poświęcona im ekspozycja może – jak zakładają organizatorzy –, w odróżnieniu od niektórych współczesnych rekonstrukcji historii i konkurujących ze sobą historycznych monologów, stać się wyraźnym znakiem dialogu polsko-niemieckiego.

Berlewi. Das Atelier der Kubickis war der Ort, an dem der, genauso wie Berlewi, der „Jung Idysz“-Gruppe entstammende Jankel Adler, später Mitglied der „Novembergruppe” und des „Jungen Rheinlands”, seiner berühmtestes Gemälde, „Meine Eltern” malte. Im Atelier der Kubickis wohnte außer ihm einige Zeit wohl auch Artur Nacht-Samborski. 1922 vertraten die Kubickis Polen auf dem Kongreß der Union internationaler fortschrittlicher Künstler in Düsseldorf. Dieser gilt als der wichtigste Auslandsauftritt der polnischen Avantgarde in der Zwischenkriegszeit. Beteteiligt daran waren auch u.a. Adler, Berlewi und Pola Lindenfeld. Anschließend organisierten die Kubickis in Berlin eine internationale Ausstellung mit. Zur Mitwirkung luden sie ihre Freunde aus der Posener „Bunt“-Gruppe ein. Bis 1933 kooperierten sie mit der Kölner „Gruppe Progressiver Künstler” und knüpften Kontakte u.a. mit Raoul Hausmann, August Sander, Marc Chagall und Kasimir Malewitsch. Gemälde und Graphiken Kubickis, deren Stärke in der klaren Konstruktion liegt, sind im Hinblick auf deren Botschaft und Stilistik denen von Mondrian und Malewitsch verwandt. Anthropozentrische und sinnliche Werke Margarete Kubickas gleichen wiederum in ihrer luminösen Ausstrahlung und ihrem metaphysischem Aura dem Schaffen Delaunays und Jawlenskys. Kubicki verstummte 1934 als Maler. Nach der Machtergreifung Hitlers, der Ermordung Erich Mühsams sowie der Emigration Jankel Adlers und Raoul Haumanns wanderte er nach Polen aus. Während des Zweiten Weltkrieges wurde er Kurier der polnischen Widerstandsbewegung zu den Botschaften neutraler Staaten in Berlin. Um 1942 wurde er von der Gestapo ermordet. Kubicka überlebte die Hölle der Verhöre und Verfolgungen, schaffte es aber, Werke ihres Mannes und seiner Künstlerfreunde, u.a. Wladyslaw Skotareks, Stefan Szmajs, Jerzy Hulewicz, Jerzy Wronieckis, Pola Lindenfelds, Jankel Adlers und Franz Wilhelm Seiwerts zu retten. Der Sohn der Kubickis, S. Karol, war einer der Mitbegründer, „die Matrikelnummer eins” der Freien Universität zu Berlin. Bis heute lebt er im Haus seiner Eltern in der berühmten avantgardistischen Hufeisensiedlung Bruno Tauts.

Das Schicksal der Kubickis, welches Kunst wie Politik im gleichen Sinne bestimmten, steht – ähnlich wie die ganze Ausstellung „Wir, Berliner” – für die verwickelten Biographien der Polen in Berlin sowie für das materiell-geistige Erbe der polnischen

W artykule wykorzystałam następujące materiały:

Berlin. Polnische Perspektiven 11.-21. Jahrhundert. Red. Dorota Danielewicz-Kerski, Maciej Górny. Berlin 2008.

Lidia Głuchowska, Avantgarde und Liebe. Margarete und Stanislaw Kubicki 1910-1945. Berlin 2007.

Materiały informacyjne Polskiej Akademii Nauk w Berlinie.

Materiał ikonograficzny zreprodukowany został dzięki uprzejmości prof. S. Karola Kubickiego i PAN w Berlinie.

Einwanderer in der Hauptstadt Deutschlands. Die ihnen gewidmete Ausstellung kann – so die Hoffnung der Organisatoren – im Gegensatz zu einigen gegenwärtigen Geschichtsrekonstruktionen und der miteinander konkurrierenden Geschichtsmonologie ein wichtiges Zeichen des deutsch-polnischen Dialogs werden.

Im meinem Beitrag habe ich folgende Materialien benutzt:

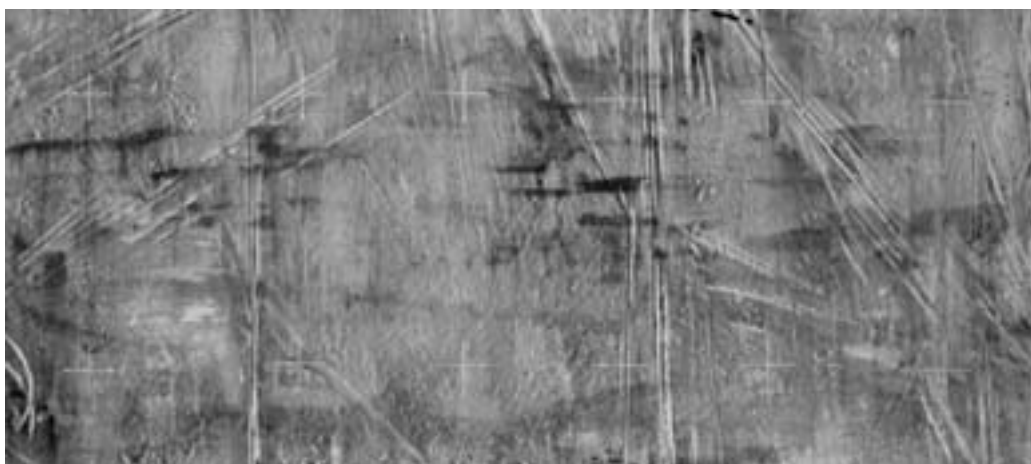
Berlin. Polnische Perspektiven 11.-21. Jahrhundert. Hrsg. von Dorota Danielewicz-Kerski, Maciej Górny. Berlin 2008.

Lidia Głuchowska, Avantgarde und Liebe. Margarete und Stanislaw Kubicki 1910-1945. Berlin 2007.

Informationsmaterialien der Polnischen Akademie der Wissenschaften (PAN), Berlin.

Das Bildmaterial konnte dank der Unterstützung von Herrn Prof. S. Karol Kubicki und der Polnischen Akademie der Wissenschaften (PAN), Berlin, veröffentlicht werden.

Übersetzung:
Lidia Głuchowska, Dorota Cygan



Na Karesa, na Mindiasa...

W drodze na cmentarz parkuję samochód na pustym o tej porze Placu Słowiańskim. Chcę przyjrzeć się deptakowi o poranku, w ostatni dzień święta Bachusa, gdy uliczni sprzedawcy dopiero co rozkładają swoje stragany. Uświadamiam sobie, że zapomniałam o śniadaniu, więc mam cel – zakup jakiegoś winobraniowego specjału.

Jest chłodno, choć świeci słońce. Dodatkowo mrozi mnie bransoletka dyndająca nad kostką mojej lewej nogi, no i sandałki są ciut przewiewne, jak na tę porę dnia.

Przewoźna kuchnia już dymi, kupuję aromatyczny bigos i ostrożnie niosę talerz do pustego stołu. Wtedy ją spostrzegam – kobietę nieokreślonego wieku, też niefortunnie obutą w sandałki. Dla rozgrzewki stepuje wokół tobołka ze sterczącymi trzonkami patelni, chucha w dłonie. Kupuję jeszcze jedną porcję bigosu i przywołuję ją ruchem ręki, wskazując miejsce na ławeczce obok mnie.

Kobieta podchodzi niepewnie.

– Powróżyc?...

– Nie, zjeść ze mną śniadanie!

– To dla mnie? – pyta wskazując porcję „smakołyku”.

– Yhm – odpowiadam, przełykając kęs.

– Nie trzeba było kupować – odpowiada ni to z przyganą ni to z wyrzutem, ścisząc głos.

Czuję, że jedzenie staje mi w gardle.

– Nieświeże? – pytam też ściszonego głosem

– Nie, ale lepiej było dać mi pieniądze, kupiłabym coś dla dzieciaków – mówi, a jej oczy wykonują zadziwiający manewr – prawie wznosi się do góry, a lewe łypie ku leżącym na stole pieniądzom. Dotychczas sądziłam, że taką sztukę potrafi wykonać tylko kameleon. Muszę mieć zdziwioną minę, bo moja rozmówczyni wyjaśnia:

– To tak od dziecka, z tym prawym zawsze tak było, ja nic nim nie widzę – mówi, ukazując w pełnym uśmiechu zdekompletowane uzębienie. Przypomina mi chudą kotkę, która okociła się w ogródku mojego taty. Najpierw ostrożnie, a potem z coraz większym apetytem zjada wraz ze mną parującą porcję bigosu.

– To co, powróżyc? – pyta przymilnie i zachęcająco, ocierając usta po jedzeniu.

– Ja też umiem wróżyć! – mówię z przekonaniem. – Mam propozycję, powróźmy sobie nawzajem!

Cyganka usiłuje przeniknąć wzrokiem warstwę makijażu na mojej twarzy, lustruje loki poddane naturalizacji przy pomocy czarnej farby, przez chwilę krzyżujemy spojrzenia naszych burobrazowych oczu.

– A to ty, kochana, masz coś z Cyganów? – pyta.

– Tak mówią. Ale nie wiem, czy to prawda, czy tylko takie gadanie. Gdy byłam studentką, to podczas imprez andrzejkowych robiłam za Cygankę i też wróżyłam. A choć to było ponad trzydzieści lat temu, to wciąż pamiętam, jak się wróży, piękna! – mówię, a ona słucha uważnie.

– Taka prawdziwa wróżba cygańska to nie to samo, co taka dla zabawy – oświadcza tonem profesjonalistki. – Jakbym tylko zechciała, to bym mogła na ciebie, kochana, uroki rzucić i wtedy ten mały pech, co ci teraz dokucza, już by cię nie opuszczał. Ale tobie, kochana, dobrze z oczu patrzy, to ja ci tego nie zrobię – mówi z życzliwym uśmiechem.

– Mały pech, mówisz?... A co to za pech? – pytam

– A to połów tu na kartę pieniądź drobny, to ci powiem – zachęca.

– Słuchaj, ja ci dam tę złotówkę po prostu ot tak, dobrze?

– Ot tak to ja od ciebie nie wezmę, ja umiem wróżyć – oświadcza tonem urażonego fachowca.

Uśmiecham się, kiwam głową, słucham bajania, przeplatane go zręcznym zadawaniem „pytań pomocniczych”. A potem opowiadam jej o mojej mamie, która nauczyła mnie wróżb przejętych od jej babki, której babką ponoć była prawdziwa Cyganka. I mówię jej, że o moim jakoby romskim pochodzeniu napisałam wiersz i że Romowie z Tarnowa za ten wiersz przyznali mi nagrodę w konkursie literackim. (Pamiętam, jak bardzo ucieszyłam się na wieść o nagrodzie, a jednocześnie było mi trochę nieswojo, bo zdaję sobie sprawę, że większość dzisiejszych Romów, zamieszkujących w Polsce, nie rozbija się mercedesami, lecz są to ludzie żyjący dość skromnie... Tacy jak moja rozmówczyni.) Cyganka prosi mnie, bym jej ten wiersz powiedziała. Recytuję nagrodzony „Gdzie jest mój tabor?” Po wysłuchaniu całości chwilę milczy po czym kręci głową:

– I za to Cyganie dali ci pieniądze? – pyta szczerze zaskoczona.

– Tak, dostałam całkiem przyzwoite honorarium. Na stole leży malutka jego część, weź i dziesiątkę i dwudziestkę, to dla ciebie!

– Bez wróżby nie biorę – mówi honorowo. – A jedna taka z naszych też pisała, nazywali ją Papsza – dodaje.

– I chłopca miała okropnego, bił ją i wyzywał.

– A czytałaś coś z jej wierszy?

– A gdzie tam. Umieć czytać, ale nie mam kiedy. Dzieciakom trzeba dać jeść, o najstarszą córkę zadbać, choć już narzeczonego ona ma – mówi z dumą.

– A ile córka ma lat?

– Czternaście.

– A pozostałe dzieci? – pytam.

Wylicza po kolei. Lista jest długa.

– Niełatwo z taką gromadką – stwierdzam.

– Dzieci to przecież cygańskie szczęście, to cygańskie skarby! – komentuje, a jej zdrowe lewe oko rozbłyskuje radośnie. Sięga po papierosa, wyciąga do mnie rękę z talią kart. Przez moment lustrujemy wzrokiem masze szczupłe dłonie – moje uzbrojone w srebrzone tipsy, a jej spracowane, o spierzchniętej skórze. Karnację mamy identyczną, choć moją doprawiam na solarium.

– Wyciągnij trzy karty – wydaje mi polecenie.

Kręcę przecząco głową.

– No to przynajmniej odpędzę od ciebie pecha!

Sięga ręką mojej głowy.

– Mogę? Trochę zaboli – mówi, pociągając mnie lekko za czuprynę. Między palcami zostaje jej kilka moich włosów. Kładzie je na talii kart, przykrywa dziesięciozłotowym banknotem i mruczy:

„Na Karesa, na Mindiasa,

nie na rok, nie na dwa,

a na całe życie!”

– Przepraszam – wtrącam – mam wrażenie, że powinno być na Hadesa, na Midasa, prawda?

Kręci głową z dezaprobatą.

– Jak ja mówię, to wiem, co mówię! A poprawiać nie należy, bo pech cię nie odstąpi!

Nigdy! No i muszę teraz jeszcze raz – wyciąga rękę po dwudziestozłotówkę i patrzy na mnie pytająco.

– Przecież wszystkie pieniądze ze stołu są twoje, weź je sobie, ja chcę podzielić się z tobą moim romskim honorarium – powtarzam.

– A w Boga ty wierzysz? – pyta.

– Tak.

– A, to dobrze – mówi zgarniając dwudziestozłotówkę. – „W imię Ojca i Syna...”

– Czy nie przeszkadza ci to, że nie jestem katoliczką? – przerywam jej znów.

– Nie?? A niby kim? – w jej głosie brzmi zdziwienie.

– Jestem prawosławna, bo widzisz, moja rodzina jest ze wschodu. W moje romskie pochodzenie trochę wierzę, a trochę wątpię, ale mam pewność, że ochrzczono mnie w obrządku prawosławnym. Babcia ma też napis na nagrobku wyryty cyrylicą, mama już nie, ale i u niej na grobie jest krzyż prawosławny. Jadę zaraz na cmentarz zapalić jej znicz...

– To niby ty jesteś taka trochę ruska? – pyta mnie wyraźnie zaskoczona.

– Trochę białoruska, ale tylko trochę, bo tata i Polak i katolik – wyjaśniam.

– A, to mi nie przeszkadza, można być przecież dobrym człowiekiem, nawet jeśli jest takim... – tu zawiesza głos, nie mogąc znaleźć odpowiedniego określenia.

...mieszańcem? – kończę za nią.

Spuszcza wzrok, wzrusza ramionami, uśmiecha się przepraszająco.

– Nie chciałam nic złego powiedzieć, ale ja wiem, kto ja jestem, a ty kochana, to jakby trochę nie bardzo... Ale ciuchy możemy takie same nosić, no nie? Może miałabyś, kochana, coś, czego już nie nosisz, to ja chętnie... Ja tu często przyjeżdżam, aż z Legnicy, mam tu krewnych, to przenocują. Najgorzej jest z butami, bo spódnice czy płaszcze, jak dadzą za duży, to sobie przerobię, ale butów nie da rady, a ty masz taką stopę jak ja, to co, przyniesiesz mi coś kiedyś? – pyta przymilnie.

Przyglądam się jej twarzy, moja rozmówczyni musi być ode mnie sporo młodsza, bo nie widzę w jej włosach ani cienia siwizny, a kolor ich jest taki, jaki ja miałam kiedyś tam, zanim musiałam zacząć je podbarwiać.

– Dałam ci przecież pieniądze, to sobie coś kup!

– Jakie pieniądze!? – pyta. – Ja, kochana, nie zabrałam tobie żadnych pieniędzy, możesz mnie, kochana, nawet zaraz zrewidować, ja nic nie mam!

– Nie zabrałaś, ja ci je po prostu pozwoliłam wziąć, możesz je przeznaczyć na co zechcesz. Ale nie wypieraj się, że ich nie masz, ok?

Spuszcza ze wstydem głowę.

– Cyganka ci obiecuje, kochana, że pech się od ciebie odwróci – mruczy lekko zmieszana.

Zostawiam moją rozmówczynię przy pustych talerzach. Słońce zaczyna przyjemnie grzać, na deptak napływają coraz liczniejsze gromadki ludzi. Odwracam się i macham jej ręką na pożegnanie. Przyspieszam kroku, ale po kilkunastu metrach moja wróżka dogania mnie.

– Już nic ci nie dam, piękna, lecę na grób mamy – mówię stanowczo.

Kręci głową:

– Ja nic już nie chcę, mam dla ciebie dwa złote, przecież musisz kupić znicz – podaje mi ogrzaną w dłoni monetę. – A jakbyś mogła podarować mi kiedyś książkę z twoimi wierszami o Cyganach, to ja przeczytam, przeczytam, twoje przeczytam... A te pieniądze, to one do ciebie wrócą, wrócą, zobaczysz!

– Te, do których przyznajesz się, że je wzięłaś?

– Ano... tak – uśmiecha się i spuszcza wzrok.

Idę szybkim krokiem w kierunku samochodu i błogosławię w duchu rozsądną Cygankę, która w połowie dziewiętnastego wieku zdecydowała się oddać jeden ze swoich cygańskich skarbów na wychowanie do bogatego dworu w miejscowości Leszczana na Podolu, jak głosi nasza legenda rodzinna. Na Karesa, na Mindiasa, niech jej duszyczka do woli tańczy w cygańskim niebie! Cieszę się, że nie muszę stać na zimnym deptaku z przenośnym kramikiem, cieszę się, że mogę wsunąć się w wygodny, ciepły, miękki fotel samochodu.

(A te trzydzieści jeden złotych bardzo chętnie przyjmę w postaci honorarium za mój artykuł... W kwocie netto. No, żeby spełniła się cygańska wróżba...)

Gdzie jest mój tabor?

Moja matka jest szarooka,
a ojciec zarost ma
tak rudy jak wiewiórka...
Rzut oka w lustro –
– czyż ja –
– to naprawdę
ich córka?
Spod kruczej czupryny błyskają
oczu węgielki dwa...
Skąd u mnie oczy Cyganki?
Czy ja –
– to naprawdę ja?

Niebieskookie ciotki
gdaczą” ...tak, tak, tak, to się zdarza,
gdy matka, drogie dziecko,
zapatrzy się w kominarza...
Tak, tak, moja mała, tak, tak...”
A mama mówi inaczej,
a mama odpowiada
ze śmiechem,
że loczki te i oczy
mam ja
na cześć sąsiada,
co mieszkał-był za ścianą...
I śmieje się, figlarka,
więc babcię molestuję –
– czy ja –
– to naprawdę ja?

A babcia: *Moja babka
miała na imię Roza
i była cygańskim dzieckiem,
bo z cygańskiego taboru
oddano ją wprost do dworu,
gdy niemowlęciem była!*

Eh, wielka słów jej siła,
bo wierzę w babcine bajanie,
bo w bajkę wierzyć chcę!
A babcia rzeczowo dodaje,
że bardzo dobrze wie,
gdzie dwór ów stał – to Leszczana

hen tam, na podolskiej ziemi,
po lewej stronie Buga...
*...Chodź, wnusiu, pojedziemy –
– pokażę ci dwór w ruinie
i wiem, że wisi na ścianie
w jednym z włościańskich domostw
j e j portret. Cud-malowanie,
wypisz-wymaluj jak ty!”*
I mówi, że syn owej Rozy
stolarzem był wyborowym
*... znam ludzi, u których w izbie
stał wielki stół dębowy,
zrobiony przez Rozy syna,
jedźmy tam choćby dziś!*

(z tomiku W TONACJACH DUR I MOLL)

* * *

Wierzę w Cygankę Rozę,
wierzę w jej syna stolarza
i męża guwenera...

No cóż, czasem się zdarza
dziwna historia rodzinna,
jak ta, co ją opisałam...

Czy ćwierć krwi Cyganką jestem,
z cygańską duszą i ciałem?

A może ja jestem tylko
starszą, naiwną panią,
którą najbliżsi krewni
od lat dziecięcych „cyganią”?

2007

Wartegau

Zbudził go krzyk biegnących za ścianą dzieci. Tupocząca zdartymi obcasami fala spływała po schodach, na chwilę spiętrzyła się z hałasem przed ciężkimi drzwiami, po czym rozlała po wydeptanym szkolnym podwórku. Światło przebijające się przez wąż lipkę zasłaniającą okno miało żółtozielonkawą barwę. Było inne niż w domu. Tam, na zachodzie - jak mówiła kobieta - ranki były błękitne jak góry piętrzące się w oddali. Błękitne i białe jak połacie śniegu zalegające jeszcze w czerwcu na ich północnych zboczach. Lipa filtrująca na zielono słoneczne światło, wędła, mimo że kobieta co dzień ją podlewała. Jej pokryte meszkiem liście żółkły, opadały i każdego ranka kilka walało się jak zmięte zwitki papieru na pomalowanej olejną farbą podłodze. Za oknem znów hałasy, zaskrzypiała pompa, dźwięknęły wiadra stawiane na cementowej cembrowinie. Polewają się wodą - pomyślał, słysząc piski dziewczyn. Ona też je słyszała. Zastukały na posadzce podkute obcasiki. Wybiegła na słońce rozdzierając gębę. Jak zwykle ostry krzyk starej nauczycielki obudził w dzieciakach strach. Niewiele zrozumiał, tylko - „... ciarachy!... bękarty!...” . Do niego też tak czasem mówiła i wtedy milkł wystraszony jak dzieci za oknem. Jej krzyki przerwał ostry brzęk dzwonka. Koniec przerwy. Znów tupot zdartych butów i trzaskanie drzwi zamykanych klas. Przeciągnął się na szeleszczącym słomą materacu. Dobrze mu było. Lepiej niż dzieciakom wpatrzonym w czarne tablice, nad którymi rozpościerał skrzydła orzeł i czerniały zakurzone prostokąty po zdjętych zimą portretach Gomułki. Bolesne wysiadanie w ciasnej tawce miał już za sobą. Ojciec zwolnił go dwa tygodnie przed zakończeniem roku szkolnego i przywiózł do niej, bo nalegała na to w listach. Zawsze go do niej przywoził, nigdy nie przyjeżdżała do niego. Nie lubiła zachodu, granicy i gór. Powtarzała - „To jest niemieckie, oni kiedyś tam wrócą”.

Usiadł na łóżku i sięgnął po książki stojące karnymi rzędami na kruchej etażerze. Zdmuchiwał kurz z tomów *Potopu*, *Chłopów* i *Krótkiego kursu leninizmu*. Na granatowym grzbiecie książki wybito złotymi literami „Józef Stalin”. Nic mu to nazwisko nie mówiło. „Długa, więc pewnie nudna” - pomyślał, kartkując tom i zniechęcony odłożył na półkę. Ze ściany popatrzyła na niego smutnymi oczami Matka Boska. Farba zbrązowiła ze starości i na zapadniętym policzku ledwie dojrzał bliznę po szabli. Tylko ramy obrazu i wytłaczana korona z blachy mimo upływu lat zachowały złocistą barwę. Kobieta kiedyś opowiadała o granatach, które uciekający przed Rosjanami Niemcy wrzucili do domu przez okna. Mówiła, że zabiły jej ojca i zrujnowały mieszkanie. Podobno tylko ten obraz pozostał nietknięty na podziurawionej odłamkami ścianie. Dotknął dębowych desek łóżka i wyczuł palcami dziurkę o ostrym, postrzępionym brzegu. „Odłamki granatu - jak one mogą wyglądać?”. Wepchnął palec w otwór i syknął z bólu. Zeschnięta zadra wcisnęła się głęboko pod paznokieć i chwilę trwało nim wyrwał ją zębami. Potem patrzył jak na czubku palca powoli formuje się czerwona kropelka krwi, by spłynąć wzdłuż poślinionego paznokcia.

Szybciej niż zwykle skończyła lekcje i zaciągnęła go do miasta. Szli skrótem, piaszczystą miedzą między polami poprzerastanych chabrami zbóż. Ona jak zwykle z przodu, on jak zwykle z tyłu. Patrzył jak grzęzną w suchym piasku obcasy jej podniszczonych wyjściowych czótenek. Kiwnęła ręką w kierunku drewnianego

domu wznoszącego się jak wyspa w morzu dojrzewającego żyta – „Tam się dwóch z lasu po wojnie ukrywało. Przyszli po nich o świcie. Jednego zabili na progu a drugi uciekł w zboża. I tyle go widzieli”. Zaśmiała się pod nosem na myśl o czołgającym się w gęstwinie kłosów mężczyźnie. Na moment przysiedli na miedzy wytrzępując z butów kamyki. „Kto po nich przyszedł?” – spytał. Popatrzyła ze zdziwieniem – „Jak to kto? Ubowcy z Pabianic. Oni zawsze przychodzą o świcie, wtedy się najmocniej śpi”. Chwilę myślał o złych ludziach, którzy wrzaskiem budzą o świcie. „Jak ich nazwała? Ubowcy z Pabianic”. Później zagadnął – „A co się stało z mężczyzną, który uciekł w zboża?”. Obojętnie skinęła głową gdzieś w bok: „Przygarnęła go kochanka, miała dom tam, przy drodze na Widawę”. Wsunął sandały na nogi, wstał i wspiął się na palce. Daleko, ponad zbożami, przed ścianą sosnowego lasu jaśniały strzechy chałup. To tamtędy biegła droga na Widawę. „W którym domu mieszkała?” – spytał. Przetarła chusteczką zakurzone buty – „To nieważne gdzie żyła ta dziwka. I tak go po miesiącu wydała”. Popatrzyła w jego zdziwione oczy – „Nic z tego nie rozumiesz. Jak oni cię wychowują? O czym wy rozmawiacie w domu”. Wzruszył ramionami – „O niczym, o ich pracy”. Milcząc ruszyła w kierunku wystającej na tle błękitnego nieba kreski – wieży kościoła. Kawał drogi przed nimi. Zrezygnowany człapał patrząc na jej pochylone plecy. „I co się z nim stało, gdy go wydała tym..., tym... No jak im było... Ubowcom?” „To co zwykle się dzieje” – rzuciła przez ramię. „Zatłukli go w śledztwie”.

Minęli cmentarz i weszli w kwartał starych czynszówek. Droga z kocich łbów lekko wypukła, na jej brzegach rynsztoki ociekające zlewkami. Z wrośniętej w ziemię chałupy wyszła skurczona kobieta. Z rozmachem chlusnęła mydlinami wprost pod ich nogi. Tłuste muchy z bzyczeniem wzniosły się wysoko, zawirowały jak tuman kurzu i z powrotem opadły na gnijące odpadki. Gorąco. Z zazdrością patrzył jak kobieta wyciska z przydrożnej pompy strugi wody. Gdy odeszła pochylona pod ciężarem wiadra nabrał zimnej wody w dłonie i przeemył spocone policzki. Ona cierpliwie czekała obok. Chwilę odpoczywali. I znów ścierała z butów kurz swoją haftowaną chusteczką. „To parchata, żydowska dzielnica. Mieszkali tu przed wojną. Kiedyś prawie całe miasto do nich należało. Moški nam mówiły – wasze ulice, nasze kamienice. I co im po kamienicach? Poszli wszyscy do gazu”. Nacisnął ramię pompy i złapał w dłonie strużkę. Gdy wypił spytał – „Poszli do gazu tak jak dziadek?”. Chwilę milczała zastanawiając się co odpowiedzieć – „Nie. Dziadka Niemcy do Mauthausen zabrali w czterdziestym roku. Wtedy brali polskich nauczycieli i księży. I zatłukli go w kamieniołomie. Żydów wywieźli do getta później. A potem zagazowali w Oświęcimiu. Wszystkich jak stali” – mężczyzn, kobiety i dzieci. Przypomniawsobie zdjęcie dziadka przyklejone do tekturowej strony rodzinnego albumu. Wysoki, barczysty mężczyzna. Stał z pistoletem w dłoni celując do wyłowionego z Warty olbrzymiego suma.” Jak mogli go zabić w tym kamieniołomie, czym to zrobili?” – myślał. To był dziadek po którym pozostała fotografia. A Żydzi? Żydzi nie istnieli, nawet ich zdjęć nie oglądał. Byli więc dla niego abstrakcją nie do wyobrażenia. „Wszystkich zabili, dzieci też? Nikt im nie pomógł?” – dziwił się. „Nikt nie pomógł tak jak ta..., no ta kochanka partyzanta który uciekł w zboże?” Popatrzyła na niego ze zdziwieniem – „A kto by tam Żydowi pomagał. Za to była śmierć dla całej rodziny. Zresztą Żydzi bez bicia mówili gestapowcom kto ich ukrywał”. Znów zamilkła, a później, jakby tłumacząc się, powiedziała – „W trzydziestym dziewiątym rabini w Pabianicach pokłonami witali Niemców. Zresztą ludzie się ich bali bo podobno upuszczali z niemowląt krew na macę. Zamykali dzieci w nabitych gwoździami beczkach i toczyli po bruku. Więc nikt ich nie żałował...” Rabini, maca, beczki – nic z tego nie rozumiał. A ona obróciła się na pięcie i wykrzywiając stopy na wypukłych kamieniach poszła tam, gdzie stare lipy zacięniały kościół. Pobiegł za nią.

Zlizywał kulkę kwaśnych, jagodowych lodów czując jak rożek z wafła mięknie w spoconej dłoni. Lody przeciekły spływając strużką po palcach. Za paznokciem ciemna obwódka zakrzepłej krwi po wbitej pod paznokcie drzazdze. Zabołało. Ona mówiła, że Żydzi wydawali Polaków bez bicia. Bez bólu. A mężczyzna z którym ściszonym głosem przed chwilą rozmawiała nie wydał nikogo. Ten pan w białej koszuli i czarnych skórzanych rękawiczkach. Gdy skończyli rozmowę mężczyzna z szacunkiem pocałował jej dłoń i zniknął za rogiem jak zjawą. „Dlaczego on nosi w upał czarne rękawiczki” – spytał. „Ma oszpecone dłonie” – odpowiedziała. „Niemcy w śledztwie wbijali mu pod paznokcie drzazgi. Ale przeżył wojnę i nikogo nie wydał”. Znów poczuł ból w miejscu, w które wbiła się zadra. „Nikogo nie wydał?” – spytał z niedowierzaniem. „Nikogo, mnie też nie wydał”. Roztąjała kulka lodów zsunęła się z wafła i z plaśnięciem upadła na chodnik. „Kończ już to lizanie” – zniecierpliwiona pociągnęła go za lepką rękę do kościoła.

Wewnątrz chłód, w mroku kilka starych bab klepało różańce. Przyklęknął – tak jak go uczyła – przed ołtarzem, ale pociągnęła go do bocznej nawy. Stanęli przed obrazem wychudłego mężczyzny w pasiastej bluzie. Zapadnięte policzki, wygolona czaszka i gorejące oczy za okularami w drucianych oprawkach. „To Maksymilian Kolbe, nasz święty” – szepnęła mu do ucha. „Zginął w Oświęcimiu. Zabili go w obozie jak twojego dziadka. Oddał życie ratując od śmierci innego więźnia”. Pochyliła się by zapalić świeczkę. „Zginął za Żyda?” – spytał. „Mówiłaś, że w Oświęcimiu gazowali Żydów”. Stężała i warknęła zniecierpliwiona – „Za parcha? Za Polaka zginął, za naszego głupi dzieciaku. Nie gadaj tyle i pomódł się za dziadka”. Więc klęknął mamrocząc pod nosem – „Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...” Recytował szeptem modlitwę, nie wiedząc właściwie, po co to robi. Przecież nie znał mężczyzny, którego nazywała jego dziadkiem. Nie znał mężczyzny celującego z pistoletu do sumy. Nie wiedział co to jest Mauthausen i jak zabija się ludzi w kamieniołomach. Nic nie czuł, może poza zdziwieniem, słuchając jej opowieści. Więc znudzony odbębniał *Ojcie nasz* tak jak na odczepnego recytował w szkole wyuczone na pamięć wiersze. Tak jak baby mamroczące w bezzębnych ustach różańcowe frazy w mroku kościoła – tuż za jego plecami. Palec znów zakął przypominając o zdrze, zaboląły kolana od chłodnej posadzki. Przez witraż czerwono przebiło się słońce. Zerknął jak ona modli się dotykając dłonią piersi. Poczuli się uwięzieni. Byle szybciej wystąpić się z tych murów na słońce. Rozjaśniony blaskiem świec Maksymilian patrzył na niego z wyrzutem.

„A czemu ciebie gestapowcy nie wywieźli?” – zagadnął gdy schodzili z pól do wsi. „Znałam niemiecki i tacy jedni załatwili mi pracę w gminie. Tu było Wartegau. Jednych wysiedlali, innych zabijali, a ich miejsce zajmowali niemieccy koloniści. Niemcy potrzebowali tłumacza i dlatego przeżyłam te lata. Trochę pomagałam swoim, ale to skomplikowane, nie zrozumiesz. Zresztą nie mogę o tym mówić. Kiedyś przysięgałam, że będę milczeć”. Popatrzył na nią z podziwem. W końcu zrozumiał dlaczego tak niewiele mówi, dlaczego rzuca kilka zdań i odchodzi nie czekając na odpowiedź – to przysięga, którą złożyła przed laty sznurując jej usta. „Ile lat będziesz o tym milczeć” – zapytał. Uśmiechnęła się – „Przysięgałam trzydzieści”. Chwilę liczył w pamięci – „Minęło dopiero dwadzieścia. Niewiele wiesz” – odpowiedziała z przyganą: „Od czterdziestego piątego minęło dwadzieścia pięć lat. Tyle lat a ja ciągle noszę w sobie tamten strach. Tyle krwi, tyle zdrad, tyle obcych...” Posmutniała, nieśmiało dotknął jej chłodnej dłoni. Weszli między domy trzymając się za ręce.

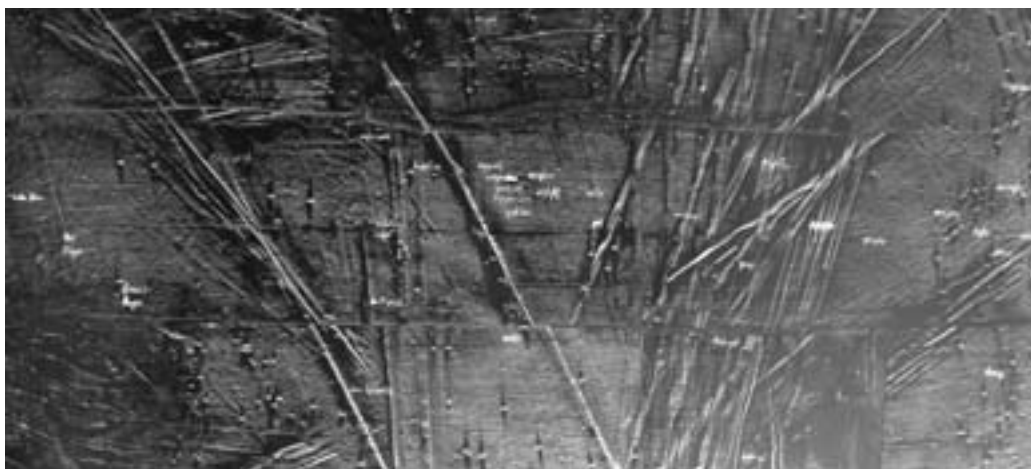
Dzień się kończył. Wieczór przyniósł ze sobą ciszę i chłód. Kobieta zabiła kaczkę. Patrzył jak z podciętego gardła krew skapuje do emaliowanej miseczki. „Jutro czernina. Dobrze ci zrobi”. Popatrzyła na niego z troską. „Mizerny taki jesteś, chudy. Tak jak twój ojciec za okupacji. Ciągłe chorował z niedożywienia”. Na myśl o czerninie z gęstej kaczki krwi poczuł mdłości. Przypomniał sobie opowieść o Żydach. „Do czego im była potrzebna krew? Jak się to nazywało? A, maca”. Ptak się wykrwawił. Zlała ciemną ciecz do słoika i dołąła octu. Potem usiadła na progu, trzymając kaczkę między zaciśniętymi kolanami i oskubywała z pierza. Wiedział, że za chwilę opali ją nad błękitnym płomieniem denaturatu. Poczut dreszcz na myśl o smrodzie palonego, skwierczącego pierza, który tkwi godzinami w kątach kuchni mimo otwartych na oścież okien. „Mogę pójść pod cmentarz na jeżyny” – spytał. „Możesz, tylko zbieraj z brzegu i nie wchodź do środka. To przeklęte miejsce, niemieckich kolonistów tam grzebali. Groby się zapadają i jeszcze wciągną cię do środka – między stare kości”.

Ciężkie, przejrzałe owoce same wpadały do dłoni. Chłopi bali się i nienawidzili starego cmentarza – nikt nie zbierał tu jeżyn. Ich krzaki strzegły grobów jak zwoje porzucanego, kolczastego drutu. Przedzierał się przez zarośla ostrożnie odczepiając kolce od nogawek spodni. Kusila go tajemnica ukryta w ich gąszczu. Zapadnięte groby, kości – przypominał sobie opowieści kolegów o tajemnicach cmentarza. To było wiosną, na zachodzie, w mieście w którym mieszkał. Krztusząc się od dymu popalał z nimi wykradzione ojcu papierosy i słuchał historii o czaszkach ze złotymi zębami, które wykradali ze zrujnowanych niemieckich katakumb. Po grzbiecie przebiegł mu dreszcz emocji. Posykurując z bólu rozgarnął krzaki jeżyn. Był odkrywcą nieznanego ładu. Jak Robinson Crusoe poznawał metr po metrze wyspę, na którą rzucił go tego wieczora los. Badał dżunglę. Za kolczastymi krzakami pokrzywy i spróchniałe drzewa oplecione linami bluszczy. W półmroku niewiele widział. Nagle potknął się o coś twardego. Sięgnął ręką między zbutwiałe liście. Palcami wyczuł zasmarowane błotem, wyrte w kamieniu nieznane litery. A niżej daty: 1914-1944. „Ale tajemnica!” – pomyślał. „Czego tu się bać”. Podobne nagrobki wygrzebywały z ziemi koparki, gdy budowano nowe boisko w jego szkole. Później robotnicy pokruszonymi odłamkami płyt zasypali stojący za płotem bunkier. W mieście u podnóża gór wszystko było

prostsze. Stare groby były tylko budulcem, gruzem do zasypywania dziur. Tam, na zachodzie stare groby nie niosły w sobie historii opowiadanych przez ludzi historii. Były jak przydrożne kamienie, jak stare śmieci odnajdywane na strychach. Były niczyje. A tu wszystko poplątane, powiązane ze sobą w niezrozumiały sposób – niemieccy koloniści i odłamki ich granatów, rabini i ubowcy z Pabianic, Matka Boska w złotej koronie i pęknięta płyta, przy której przykleknął. „Jak ona nazwała ten kraj? Wartegau. To chyba od Warty, w której jej mąż wytwił sumę”. Zapiekło pod nogawką, podrapał, ale parzący ból wrócił. Odsłonił chudą, bladą łydkę – mrówki, wielkie czerwone mrówki. Cmentarz był ich królestwem. Krążyły kolumnami, dywizjami, armiami po cmentarnych alejach zamiast ludzi, którzy uciekli wrzucając wcześniej granaty do sypialni babki. A teraz naruszył ich porządek, zakłócił ćwierć wieku spokoju, więc oblażyły go, parząc boleśnie. Podskakując jak pajac na nagrobnej płycie ściągnął spodnie i strzepywał z siebie niewidoczne robactwo. Ciemniało, najwyższa pora by przedrzeć się przez kolczaste krzaki i biec do domu. Czuł zmęczenie, obciążał go ten dzień.

Ciemne plamy po jeżynowym soku nie dawały się zmyć. Zniecierpliwiona zanurzyła jego dłonie w miednicy pełnej mydlin – „Trzeba szorować porządnie. O tak!”. Syknął z bólu. Dotknęła podpuchniętego palca – „Co ci się stało? Nic, to tylko zadra” – mruknął z niechęcią. „Wydfubałem rano ale ciągle boli”. Popatrzyła uważnie na opuszek – „Spuchło, widocznie kawałek drewna został pod paznokciem. Albo brud jakiś. Zaleję spirytusem bo będzie się miesiącami jątrzyć i oblezie ci paznokiec”. Z kuchennej szafki wyjęła ciemną buteleczkę i kłęb waty. Zapiekło, nie była delikatna. Chlipnęła pod nosem gdy wycierała opuchliznę śmierzdzącym spirytusem. Rozbawił ją jego ból – „Bądź mężczyzną. Nie ma co się pieścić. Gdy przed wojną przyjechałam tu uczyć ludzie sikali na rany. Nie znali innych sposobów na bród we krwi”. Owinęła opuszek mokrym kłębem waty – „Potrzymaj chwilę”. Posłusznie usiadł na stołeczku i patrzył jak wylewa z rozmachem mydliny za próg, a potem mozolnie szoruje na kolanach drewniana podłogę.

Leżał w łóżku skulony. Wieś już spała, nawet zniewolone łańcuchami kundle skończyły ujadanie. Nie mógł zasnąć, palec pulsował bólem. „Mówiła, że pod paznokciem został brud. Odpadnie, oblezie mi paznokiec” – myślał z niepokojem. Przeczuiwał, że miała rację. Ostra drzazga jak zastrzyk zatruta go starym brudem. Bolało. Ale jeszcze nie wiedział, że zabierze ten ból i szpetotę do domu. Po wakacjach zawiezie go na zachód i będzie nosił pod skórą miesiącami i latami. Będzie go osłaniał czarnymi rękawiczkami jak spotkany pod kościołem mężczyzna. Przed nim życie z wbicią w ciało zadrą z Wartegau niespodziewanie przypominającą o sobie ćmiącym kluciem w sercu, lękiem i nienawiścią. Będzie z zadrą zasypiał i budził się mokry od potu nad ranem. Czasem zapomni o niej – zapracowany, zakochany, pijany. Czasem zapomni, wyruszając w podróż. Lecz gdy wróci do siebie, zadra znów odezwie się bolesnym pulsowaniem. Znów zbudzi go nad ranem niespodziewanym lękiem. Zbudzi nieoczekiwanym łomotem serca. Zaszeleściło pod oknem. Drgnął strachliwie. Ale to tylko zwiędły liść chorej lipki opadł na podłogę.



cracked smile and a silent shout

tchórzę. wyzywam się na pojedynek i tchórzę.
zapijam się colą, wodą, herbatą, sokiem.
alkohol jest be.
bo mówię po nim za dużo.
i zazwyczaj tego nie żałuję. tylko się boję.
tchórzę. wytchórzam się. bo boję się.
[rzygam słodkim. lukrem. cukierkiem. czekoladką
tą co ją zjadam co rano, żeby tylko goryczy nie czuć.]
i mówię stanowczo za mało i nigdy do końca.
bo nikt tak na prawdę do końca nie spyta

Once Upon the Seaof Blissful Awareness

filmem. życie. filmem mi się stało.
nieostre ujęcia. kadry spoza linii wzroku.
żabie perspektywy i udawane dialogi do lustra.
i ludzie jacyś tacy podstawieni. oczekujący ważnych
rzeczy z mojej strony.
kłamstwem jestem. teraz okrutnym. kłamstwem.
naplułabym sobie w twarz.
ale boję się toksycznej śliny.
lubię. naprawdę lubię. ale to jest nie fair kiedy przegrywam.
z gryzącym dymem.
innym stanem
umysłu.
z nieśmiałością słów.
jestem w filmie.
w którym co niektórym powierzono nieme role

Ulica Owocowa i inne widoki

Günthersdorf

Günthersdorf, to niemiecka nazwa dzisiejszego Zatonia. Z Zatoniem łączy się wspaniała historia, ale i tragiczna z ostatniej wojny. Wieś jest pięknie położona, przepływa tu potok Brzeźniak, rosną wysokie drzewa. Nie dziwne więc, że księżna Dorota de Talleyrand (nazywana także księżną żagańską) w 1841 roku wprowadziła się tu do istniejącego już od dwóch stuleci pałacu, który przebudowała w stylu klasycystycznym. I polubiła go. W tym pałacu, jego salach, a raczej salonach i pokojach, w przylegającej doń z prawej strony dużej oranżerii, ogrodzie z pawiami i zmyślnie ukształtowanym parku bywał mój ojciec, o czym niejeden raz w długie zimowe wieczory opowiadał. Tu bywały również takie znakomite postacie ówczesnego świata jak: Franciszek Liszt, Wiktor Hugo, Ryszard Wagner, car Mikołaj, niemiecki cesarz i inni. Można sobie wyobrazić muzykę, przyjęcia i wysublimowane rozmowy, ich spacerów po parku i ogrodzie. Albo wypadów do lasu i na rozległe pola. Tak się złożyło, bo zawsze się jakoś składa, raz dobrze a innym razem odwrotnie, że w Zatoniu większość wojennych lat spędzili moi rodzice na tzw. robotach przymusowych. Może i dobrze, że w tej okropnej zawierusze wojennej tu właśnie los ich pokierował, choć to nie były sielskie lata, pełne ciężkiej roboty, ale gdzie indziej, kto wie, czy nie cierpieliby z powodu wojny większych niedogodności i trudnej do zniesienia biedy. Tu zaś był jako taki mieli zapewniony. Poza tym poznali inny świat, kulturę, obyczaje, politykę i rzeczy praktyczne. Otarli się o Europę, bo

pracowali tu także Włosi, Francuzi. Ale nie o tym chcę się rozpisywać. Paradoksalnie w Zatoniu rozstrzygnięto się moje być albo nie być. To, że teraz tę prozę piszę. Oczywiście w moim życiu później też miały miejsce zdarzenia niemal graniczne, ale to już inna bajka. A w Zatoniu natomiast mogła zostać przekreślona sama możliwość mojego pojawienia się na świecie. Jednak było napisane, że mam się narodzić. Raz mój ojciec wszedł w konflikt z Niemcami i zapewne tylko od postawy władarza Metzy zależało co się z nim stanie. Różnie mogło być. Metza zresztą wkrótce został powołany na front i nie wrócił spod Stalingradu. Drugi raz, kiedy w styczniu 1945 roku do Zatonia weszli Rosjanie, na przystłowiowej nitce zawisło życie mojego ojca. Jak udało mu się wyjść, a raczej ująć nie drażnionym spod serii kul z kałasznikowa tego nie potrafię zrozumieć. Właśnie z losem człowieka tak jest, że można pytać siebie i Opatrzność, dlaczego tak a nie inaczej wszystko się potoczyło. Dlaczego tak się potoczyło, że musiałem pojawić się na świecie ?

Edek

Moim najbliższym kolegą w latach dzieciństwa był Edek. Inaczej nie byłoby dzieciństwa. Taka jest prawidłowość. Do tej pory przywołałem jego osobę zaledwie dwa razy. I trzeba powiedzieć, że dość zdawkowo. A przecież ta moja z nim przyjaźń ma swoją wagę i kto wie, czy nie zdeteminowała biegu całego mojego życia poprzez jeden drobny fakt. Jesteśmy rówieśnikami, więc razem przechodziliśmy

te same wczesne koleje życiowe. Kiedy przyszedł czas na szkolną edukację nauczycielka posadziła nas w jednej ławce i tak już przez wszystkie lata zostało. Ja siadywałem po prawej stronie, on po lewej. Jego dom był blisko naszej szkoły w Jaromierzu. By stanąć na jej schodach dosłownie wystarczyło przejść przez wiejską, piaszczystą ulicę, po której od wiosny po późną jesień z rana i pod wieczór codziennie odbywały się wielkie wzniecające kurz przemarsze krów i konnych zaprzęgów na pola i łąki. Ja zaś za każdym razem przed godziną ósmą najpierw zachodziłem do jego domu przed lekcjami, a i często po lekcjach. Był to typowo wiejski o glinianych ścianach dom, kryty słomą. Okna małe, szybki pojedyncze, bardzo nisko, prawie przy ziemi, niski był sufit, też gliniany, żarówka paliła się nad samą głową, przestępować trzeba było wysokie progi. Rano najczęściej mój kolega jeszcze jadł śniadanie, w czym się nie bardzo spieszył. Ku zmartwieniu swojej mamy apetyt miał raczej wątpliwy, był bowiem niejadkiem, a poza tym jedynakiem. Niezbyt wyrośnięty jak na swoje lata i szczupły. Moje pobyty wykorzystywała jego mama w ten sposób, że nakładała i mnie na talerz jakieś danie obiadowe, albo poranną mleczną zupę, by widząc jak mi to wszystko smakuje kolega również bardziej się do jedzenia garnął. Słuszną metodą, nieprawdaz. Rzecz była w tym, że Edek miał przesytny i nadmiar smakowitego jedzenia, sosów, tłuszczu, mięsa i słodczy. A mnie tego właśnie brakowało. Czasami u niego odrabiałem zadania domowe, trochę od niego spisywałem, a trochę on ode mnie. Generalnie był dobrym uczniem, może nawet lepszym ode mnie. Na zdjęciu komunijnym też stoimy obok siebie. Można powiedzieć, że mieliśmy wiele wspólnych doświadczeń. Kiedy przeszliśmy pierwszą i drugą i trzecią klasę, tu w Jaromierzu, przyszło nam dalej, do czwartej już klasy chodzić dwa kilometry pieszo do szkoły w Kopanicy. I chodziliśmy. Czy to śnieg, czy deszcz. Podobnie zresztą na naukę religii. Czasami minął nas osobowy lub ciężarowy samochód, przejechał traktor, co wykorzystywaliśmy, uwieszeni z tyłu jego burty podjeżdżaliśmy kawałek drogi, najczęściej jednak wskakiwaliśmy na furmanki. W końcu nogom, nie chciało się ciągle iść i iść. Kiedy jednak szliśmy, to wypełnialiśmy sobie czas wzajemnym odpytywaniem się z różnych nowinek i wiadomości o wszelkich dziedzinach życia i świata. Prowadziliśmy zresztą specjalne zeszyty, takie jakby mini encyklopedie, w których zapisywaliśmy stolice

państw, nazwy rzek, gór, aut, prezydentów, pisarzy, tytuły książek, słynnych ludzi, liczby i tajemnice. Gdy tylko coś wpadało w moje lub jego ucho z głośnika czy od ludzi, to natychmiast trafiało do tego zeszytu. Edek miał tę przewagę nade mną, że jego rodzice prenumerowali gazetę „Gromada”, gdzie zawsze coś ciekawego i sensacyjnego dodatkowo udawało mu się wyczytać. Nasza pasja nie była typowa, ale bardzo inspirująca do poszukiwań wiadomości różnego rodzaju. Przydawała się w szkole. Gdyż od czasu do czasu potrafiliśmy czymś zabłysnąć na lekcji. Najważniejsze miało się wydarzyć którejś wiosny. W związku z zadaniem domowym z języka polskiego wpadł do naszych głów, chyba w tym samym momencie, pomysł napisania wiersza. I napisaliśmy, czym wzbudziliśmy w szkole niemałą sensację, bo kto mógłby przypuszczać, że tacy chłopcy, z prostych rodzin, zdobędą się na taki wyczyn. Bez przesady. Wyczyn to nie był. Takie sobie rymowane wierszyki. Ale zarazem ważne wierszyki, gdyż pierwsze. Z tego powodu trzeba mieć je w poważaniu. Ja napisałem o jabłonce, może wiersz gdzieś się zachował, bo powinien, a Edek o rybce, którą porównał do błyszczącej szybki. Bardzo odkrywczo i pięknie. Mogę powiedzieć, że do tego momentu z Edkiem doszliśmy razem, krok w krok. Później z konieczności nasze drogi się rozeszły, bowiem wyjechałem z rodzicami do Zawady. Dopiero w liceum powróciłem znowu do wierszy, a to za sprawą głównie poznania Mietka, który przyznał mi się pewnego razu, że i on zawraca sobie głowę czymś podobnym. Edek przysłał mi jeszcze z raz lub dwa to co napisał, a później zajął się gospodarowaniem na ziemi, którą odziedziczył.

Poemat „Domy”

Poeci pozostający ze sobą w bliskim kontakcie często dzielą się świeżo napisanymi rzeczami. Z jednego głównie powodu – by znaleźć potwierdzenie, pierwszą ocenę, poddać czytelniczej obiektywizacji własny tekst. Nie lubię tego słowa „tekst”, ale niech tak będzie. Kiedyś, jeszcze przed debiutem, wiele moich rzeczy natychmiast po napisaniu, czyli następnego dnia, czytał oczywiście Mieciu. No bo kto inny by mógł. Nie starałem się zbytnio manifestować tego co robiłem. Już nie pamiętam co mi mówił, i nie pamiętam co ja mówiłem o jego pisaniu. W każdym razie Mieciu był bardzo uporządkowany, miał swoje

wiersze porządnie niebieskim atramentem wpisane do zeszytu na kratkę. To, że był w liceum ktoś taki, rówieśnik o tych samych zainteresowaniach, bardzo mi i myślę, że również jemu pomogło. Choćby w tym, że mieliśmy odwagę przedstawić się na jednym z majowych kiermaszów książek nie komu innemu, bo samemu Andrzejowi Waśkiewiczowi, któremu później długo zawracaliśmy głowę, dając swoje wiersze do oceny. To też dużo, a nawet bardzo dużo pomogło. W końcu marzyliśmy o przyszłości literackiej. Czytała przez pewien czas moje wiersze również Jola. We Wrocławiu Jacek. Uwagi, krytyczne jak i pochlebne, są na początku drogi bardzo potrzebne. W październiku i listopadzie pisałem czterostronicowy poemat „Domy”. Siedziałem nad nim sporo dni i godzin, choć to żaden argument, bo nie to jak długo coś się robi stanowi o wartości tekstu. Ale siedziałem. Aż do momentu, kiedy miałem już tego serdecznie dość i nie mogłem nawet patrzeć na efekt swojej pracy. Dziesiątki korekt, skreśleń, usunięć jakichś fragmentów, liter, uzupełnień rzeczy. Budziłem się w środku nocy, czytałem i pisałem, wcześniej rano lub jeszcze przed snem, to samo. Jeszcze raz i jeszcze raz. Czy to nie wariactwo? Bywały dni, że czułem się zadowolony z tego, co udało mi się zrobić, a innym razem zupełnie odwrotnie. Tkwiłem w przysłowiowym piekle. Te zniechęcenia, wręcz skrajne, przybijały mnie do samego dna, jednak nie szły na marne, bo w końcu niektóre fragmenty przepracowałem, wzmocniłem logikę refleksji poetyckiej, dobitność obrazowania, tak to nazwę. No, ale ciągle nikt tego poematu nie czytał. Posłałem więc swoją rzecz Kazikowi do Francji, który niejedną raz słowem mnie wspierał in plus. Co tym razem będzie, zastanawiałem się. Dzwoni po dwóch dniach telefon, właśnie w momencie kiedy wróciłem z Zielonej Góry, i od razu poznaję głos Kazika. Przeczytał poemat trzy razy, ale mówi, że nie trafia do niego, jakiś hermetyczny, nie udaje mu się go odebrać. Jego treści itp. Coś ze swej strony mówię, objaśniam, że chodzi np. o ogród botaniczny we Wrocławiu, gdzie młody student ze swoją koleżanką chodził podziwiać cuda natury. No i dzień współczesny, zagrożony, zupełnie inny, inne lata. Kryzys świata, wartości, degradacja życia. Fakt pozostaje faktem, że konfrontacja wypadła niekorzystnie dla mnie. I tak właśnie bywa. Pomiedzy tym, co się twórcy wydaje, a odbiorem bywa niekiedy bardzo duży rozdział.

Dzisiaj

Dzisiaj ani jedna linijka nie zrobiła mi niespodzianki. Nie chciała mnie podnieść na duchu. Jestem zmęczony. Żaden pomysł w głowie. Po kilkunastu dniach kopalnianego eksploataowania wyobraźni nastał czas posuchy. Teraz o posuchę zresztą łatwiej. Wiele rzeczy wokół się dramatycznie dewaluuje. Najogólniej mówiąc: świat jest odzierany ze złudzeń i to niesamowicie intensywnie na wszystkich możliwych polach. Więc jak przecisnąć się przez ten natłok hiobowych wieści z poezją, która chciałaby jeszcze mieć na uwadze piękno.

Jubileusz Szylkina

W zasadzie nie lubię jubileuszy, gdyż za wiele w nich jak na mój gust podniosłej celebracji, nużącego niekiedy wyliczania czyichś zasług oraz zdobnictwa leksykalnego i obracania całego życia w anegdotę. Pochwały, hymny, mowy pochwalne, laudacje, gratulacje. A ujmując rzecz dosadnie – kadzenie. To wszystko może być puste. Nieuzasadnione dodawanie wartości. Oczywiście jubileusz jubileuszowi nie jest równy. Wszystko zależy od smaku i poczucia formy no i samego jubilata. Jeśli z przesadą i ponad miarę wynosi się daną osobę, to może przynieść skutek odwrotny od zamierzonego. Wręcz ocierać się o nieprzyzwoitość. Z drugiej jednak strony ta forma docenienia czyjejś pracy wobec zgromadzonej publiczności jest jedną z piękniejszych, gdyż jakby nie było zwieńcza czyjś dorobek życiowy. Trzeba dużo się napracować, aby taka uroczystość mogła mieć miejsce. No i wiek jest też nie bez znaczenia. Jeśli w wieku pięćdziesięciu lat ktoś urządza sobie jubileusz, to moim zdaniem ośmiesza się. Tu niezbędną jest senioralność, bo chodzi w takich obchodach zawsze o moment, kiedy księga losu jest już w miarę dopełniona. Życie okazuje się być księgą na ukończeniu, można więc i o podobną w druku się postarać. I tak też bywa. Pisarze mają okazję i przywilej zademonstrowania całościowego obrazu swojej twórczości. Tak było z udziałem Michała Kaziowa, Janusza Koniusza, a niedawno również Henryka Szylkina. Ta uroczystość jak i poprzednie została przygotowana w Bibliotece i miała przebieg odpowiedni, ton właściwy. Akurat taki jak trzeba. Bez przeciągania przysłowiowej struny. Autor został doceniony i uszanowany (także

wydaną „Jesienną księgą losu”), zaprezentowany poważnie i dowcipnie, śpiewano pieśni Moniuszki, wzniesiono toasty, przemawiano na szczęście nie za długo, a i sam autor nie snuł głębszych wywodów, które by mogły nużyć, lecz zwięźle, jakby migawkowo, ogólnikowo, tak jak potrafił, odpowiadał na pytania swojego kolegi z lat pionierskich życia literackiego, czyli Janusza Koniusza. Gadać przecież dużo nie ma sensu, bo wszystko w zasadzie już zostało powiedziane, zrobione, a raczej napisane w wydanych książkach Tej rozmowy słuchałem z zainteresowaniem. Henryk Szyłkin z perspektywy całego przeżytego życia mówił, co dla niego było ważne i poważne, np. na pierwszym miejscu stawia prawdę. Czuło się, że rozmawiają bliscy sobie koledzy, którzy wiele spraw literackich i kulturalnych wspólnie dokonywali. Ten jubileusz był zasadny. Po pierwsze, Szyłkin tu jest od pionierskiego początku, a po drugie wypowiedział w poezji prawdę o swojej krainie dzieciństwa, Santoce, przywołał całościowy jej obraz. Jakby przywrócił jej życie. To jest ważne i tyle zawsze wystarczy. Dobrze dobrane wiersze, które czytała Małgorzata Wower, przenikało piękno przyrody, żal jej utraty, patriotyzm i osąd moralny, będący reakcją na współczesny świat. Te trzy wartości prowadziły twórczość Henryka Szyłkina. Niekiedy może nieco staroświecko, ale nie szkodzi.

Widoki jesieni

Jest taki moment w każdej jesieni, który można uznać za kwintesencję piękna. Wszystko w nim jest. Ludzkie oko aż śmieje się do niego. Jesień emanuje pięknem odchodzenia, jakby chciała rozpaczliwie zwrócić uwagę na wartość istnienia, uprzytomnić nam jaki rozgrywa się dramat. I wszyscy ją widzimy, wywołuje zachwyt, zarazem z zachwytem o niej mówimy, podczas, gdy to wstęp do umierania. Nie tak dalekiego. A później jesień już bez złudzeń, gorzka, poniszczona, butwiejąca, wskazuje, że to już koniec. Z człowiekiem podobnie jak z opadającymi liśćmi. Patrzę, leżą całe ich sterty, dywany złociste i czerwone. Za kilka dni będą już tylko szerniałe, wytrawione z kolorów, brudne, puste. Lepiej odwrócić głowę.

Domowe wino

Świat, jeśli się na czymś wspiera, to niewątpliwie na rzeczach podstawowych. One są jego filarami,

fundamentami, kolumnami. Bez nich nic nie jest gwarantowane. Także w sferze kulinariów. Kiedyś jedzono prosto, to co urodziła ziemia, to co się wyhodowało. Chleb ze smalcem, jakiego dzisiaj nie uświadczysz, bo reklama wmówiła ci jogurty w plastikowych pudełkach, jakieś mixy i inne okropności. Nikt nie dosypywał konserwantów. Dzisiaj nawet butelkowana woda je zawiera. Za daleko świecie zaszedłeś. Będziesz się boleśnie cofał zostawiając po sobie trupy. Jeśli coś ma jeszcze sens, to zwyczajność, prostota, potwierdzająca, że pijemy wodę, oieramy ziemniaki, kroimy cebulę, kroimy jabłka, czosnek, marchew, myjemy okno, palimy w piecu, przekopujemy ogród własnoręcznie. Ale do rzeczy. Dzisiaj doniosły dzień, bo wino w butli już przestało fermentować, więc je ściągnąłem, młode wino, a jaki pierwszej klasy smak, nie butelkowany ze sklepowej półki, po drodze rozcieńczany wodą, po którym miewa się ból żołądka. Aby takie domowe wino pić, podziwiać jego kolor, to trzeba nieco się jednak napracować, a nawet sporo napracować, a nie każdemu się chce. Podstawowe rzeczy zawsze wiążą się z wkładem osobistej pracy, wydaje się nam złudnie, że kupione farbowane ciasteczka są lepsze i świadczą o naszej nowoczesności. A to prawdą nie jest.

Dzwon

Słyszę jak bije dzwon. Komu bije? Całym sobą. Mocno. Pełnią swojej poezji i nie tylko poezji. Kiedyś w dzieciństwie również słyszałem, dobiegał o stałej godzinie z kopanickiego kościoła aż na rozległe łąki, gdzie pasły się krowy. Bywało też, że nagle się odezwał, najczęściej z powodu czyjejś śmierci. Nigdy mimo swoich wtedy dziecięcych lat nie ignorowałem tego dźwięku. Wyzwalał we mnie powagę. Momentami trwogę. Próbowaliśmy z kolegami go naśladować. Jednak pomiędzy dzisiaj a wtedy wiele się zmieniło. Kiedyś bicie dzwonu ludzie słyszeli i słuchali tego dźwięku, uderzeń i melodii Zamyślali się. Niektórzy nawet liczyli ilość uderzeń. Zadawali pytania, patrzyli po sobie. Bo dzwon bił i zawsze bije w ważnym momencie. Coś obwieszcza całemu światu. Teraz zdaje się już tylko sam dzwon wiedzieć o czym powiadania i dlaczego, jaka to jest myśl, zdarzenie i sprawa, jaki moment w istnieniu świata. Opuścił centralne jego miejsce, choć najwięcej wie

o tym co ważne. Samotny jest w tej swojej funkcji. Ludzie traktują go jak jedną z wielu rzeczy. A przecież jedną z wielu nie jest.

Metafizyczne

To, co zakryte czy można zobaczyć, wiedzieć. Wypełnia mnie od czasu do czasu taki rodzaj tęsknoty, zapewne metafizycznej, tkliwej, wyciszającej, że chciałbym nie tylko pojąć realność tego innego świata, ale i całkowicie już tylko jemu zawierzyć. Tu sól tylko, niewypełnienie, lęk o każdy dzień. Drogi pełne nocy. A tam?

Stół

Pośrodku pokoju stół. Tu, na białym obrusie, stawiamy kolację wigilijną, obiadem częstujemy gości. Teraz leży na nim kilka rzeczy. Przypadkowo znalazły się na stole. Nie tworzą symbolicznego obrazu, nie są w tym względzie reprezentatywne. Żadną martwą naturą wartą kontemplacji. Nie dają podstawy do uogólnień, poza tym, że zawierają ślady mojej codzienności. Kryształowy, pusty wazon, cukierniczka, a w niej maleńka łyżeczka, szklany świecznik, żółta świeczka już sporo wypalona, pilot do telewizora, pismo „Odra” i „Pegaz Lubuski”, wydruk mojego poematu „Domy”, „Jesienna księga losu” poświęcona Szyłkinowi, „Rzeczpospolita”, koperta z przesyłką z Żar. I okulary. Rzeczy w pewnym nieładzie. Tak jak i całe nasze, moje życie, które nie przybiera dostojnej formy myśli, gestów i cyzelowanych czynności.

Śnieg

Nagle, w kilka chwil, wszędzie zrobiło się białe. Zobaczyłem. Śnieg na gałązkach jabłoni, na czerwonych jabłkach jeszcze nie zerwanych, na płocie, na parapecie, na kłódach sosnowego drewna, na drodze, polu i łące. Odmienił się krajobraz. Zrobiło się delikatnie, subtelnie. Gdyby człowiek potrafił tak radykalnie się zmienić. Aż przemienić. Co musiałoby się wydarzyć?

Pod wieczór

Smutek sprzyja myśleniu. Sprzyja i sprzyja, i kroki wiodą na bezdroża

W literaturze i nie tylko

Cenię w literaturze nie rutynę i jedynie formalną sprawność, ale manifestację życia, jego dotknięcie, doświadczenie, ból. O to winno chodzić pisarzowi. Oczywiście musi być jeszcze cyzelowanie formy, zajmujący kształt, pozbawiony banalności koncept. Jest idealnie, gdy te dwie sfery się spotykają w połowie drogi. Nie przeważają jedna drugiej. Ta zasada okazuje się być ważna nie tylko w sztuce, ale potwierdza się jak najbardziej w codziennym życiu. I tak jak pewną dysharmonię obserwuję w życiu niektórych autorów, tak też widzę ją następnie i w tekstach.

W Gorzowie

Tyle lat tutaj, na prowincji, jak na wygnaniu, w tym urokliwym lubuskim krajobrazie (który podobno lubuski nie jest). Dziesiątki książek, zrecenzowanych lokalnych autorów z Winnego Grodu a także z Gorzowa. Teksty i wiersze pomieszczone w „Pegazie Lubuskim” i „Lamusie”. A dopiero niedawno udało mi się zasłużyć na spotkanie autorskie w Bibliotece im. Papuszy. Nowy jej gmach robi pewne wrażenie. Jest w nowym stylu urbanistycznym, nowoczesny. Kiedy wchodziłem do środka jednak miałem poczucie pustki. I o ironio losu na życzenie Irka na spotkaniu autorskim wystąpiłem w roli krytyka. Przy okazji dowiedziałem się, iż podobno mam dwa domy. Cóż za rewelacja. Chętnie bym ten drugi przynajmniej zobaczył. Autor chytrej plotki obecny był na spotkaniu, tym razem nie zanedbano przeszkadzał. Na prowincji trudno być krytykiem. Każdy krytyczny osąd od razu skutkuje towarzystwem, co miałem sposobność na własnej skórze przećwiczyć. Poza tym wielu ma tendencje megalomańskie. Megalomania uniemożliwia sensowną rozmowę. Wiadomo, brak konfrontacji robi swoje. Podobnie było podczas tego spotkania, gdyż nie byłem zanedbano zachwycony poezją pewnego miejscowego, młodego autora. Czyż da się być uczciwym, pisząc w superlatywach o wydaniu nie zasługującym na aplauz. Coś trzeba wybrać. Jakiś dziwny też nawiedza niektórych poetów zwyczaj dyskusowania z autorem recenzji. Tą drogą schodzi się na manowce czystego subiektywizmu. Krytyka powinno się szanować i traktować jako instytucję autonomiczną. Nie dla siebie pracuje. Toż spełnia on

rolę usługową, w czym nikt nie może go wyręczyć. Działa za każdym razem na rzecz autora, bowiem upowszechnia jego dzieło. Kiedyś krytykowi słusznie stawiano wódkę, a nawet obiad, bo przecież mógł zignorować czyjaś książkę. Tutaj, na prowincji, wszystko co się czyta jest raczej średnie, przeciętne z małymi wyjątkami i odchyleniami od normy. Co nie znaczy, że na jednakowym w każdym przypadku poziomie. Pewien autor zapragnął swego czasu zostać laureatem Nagrody Nike. Nieustannie o tym opowiadał, szeptał o tym planie tu i ówdzie, ale na planach jego sukces się skończył. Dowartościowywał w ten sposób swoje wynoszenie się nad innych. Wybitne rzeczy zdarzają się, jeśli w ogóle zdarzają, aż nader rzadko. Warto zastanowić się raczej nad tym, co chce się zrobić, stworzyć, powiedzieć aniżeli głosić własną, niekwestionowaną wielkość.

Grzyby

Zawadzkie chłopaki w pewne jesienne, październikowe, jeszcze ciepłe popołudnie, zadzwoniły do drzwi mojego domu. Wychodzę, a tu kosz pełen grzybów. Nie za dużo chcą za to wszystko, tyle ile uznają za słuszne, ile dam, będzie dobrze, wiem, że nie mogę wyprawić ich z kwitkiem, kiedy widzę, że mają wielki apetyt by porządnie napić się piwa.

Ulica Owocowa w Zielonej Górze

Krótką to ulicą, a jaką ważną. Owocowa. Zna ją w tym mieście chyba każdy. Osobliwy to zakątek, plac targowy, ludzi osobliwe spotkania i rozmowy. Dla mnie to ostoja swojskości. Enklawa wyłączona ze świata degeneracji i zdziczenia obyczajów. Kolory i zapachy. Gwar. Czy można jej urokliwy klimat zbagatelizować? Zawsze lubiłem iść na tę ulicę, tu gdzie targowisko. Tu w porze lata i jesieni można kupić prawdziwe grzyby i czarne jagody, przywiezione

przez zabiedzonych zbieraczy niemal prosto z lasu, gdzieś spod Żagania lub Szprotawy. Stara kobieta rozłożyła garstkę szczawiu na gazecie. I czeka na chętnego, kto kilka złotych zapłaci. A obok niej klęczy żebraczka z Rumunii. Nieco dalej emerytowany nauczyciel sprzedaje pomidory, a także piękne, cięte mieczyki. Ostatnie to miejsce, gdzie ktoś powie, jakie zioło zastosować na ból żołądka, jaki miód pić, kiedy serce chore. Tu zjawiają się ludzie, z dalszych i bliższych okolic, znający życie, którzy wiele przeszli, w każdym osobna opowieść. Co się im udało, co potracili. Prości, zwyczajni, pomysłowi, mają się różnych zajęć żeby przetrwać. Za każdym razem na Ulicy Owocowej odnoszę wrażenie, że znajduję się w innym świecie. Jakby bardziej ludzkim, choć wiadomo, że nikt nikomu za darmo niczego nie da. Niekiedy młoda kobieta odezwie się przyjaźnie. Ktoś przekroił jabłko na pół i zachęca, by spróbować. Patrzę na kwiaty, słoiczki miodu, butelki z Inianym olejem, na różne rośliny, ogórki, główki czosnku nie chińskiego, chrzan, koper, pomidory, młode ziemniaki, na całe bogactwo świata. Czuję oddech wsi, codziennej pracy, oddech pól, ogrodów, sadów. Choćby na kilka sekund zatrzymuję się przed zbiorowiskiem staroci, żelastwa, pojedynczych tyżek, mosiężnych misek, jakichś kluczy, pompek, klamek, zamków, jakichś unikalnych części do rzadkich już mechanizmów, których nigdzie się już nie uda się kupić, poza tym miejscem. Tchnie z nich duch dawności, duch rzeczy kończących swój żywot. Sprzedawca wie w czym rzecz. Przez jego placyk, który zajmuje, przepływa czas, różne epoki. Na tym targowisku zapominam na kilka przynajmniej chwil o dramatycznym obliczu świata, zdającego się nie wiedzieć już co ze sobą począć. Za każdym razem spoglądam w okno domu stojącego w pobliżu. Kojarzy mi się to okno z mieszkaniem Ani, która od lat tu już nie mieszka. Patrzę. I mimowolnie reaguję nostalgicznie.





NA GRANICY

Jacek Wesółowski

Fotka z vipem, część II

(Ugady po-Graniczne III)

Posłałem Józiowi wydrukowaną część pierwszą *Fotki z vipem* oraz drugą w komputeropisie. Po paru dniach patrzę do Sieci, jest mail. „Dziękuję-gratuluje. No ty to główka jesteś. Umiesz coś zrobić z niczego, od Niemców naumiałeś się. Tylko ten donos na Ulrichsa nie podoba mi się. I że tak w ogóle się pomniejszasz. Przed ludźmi trzeba szpanować, mój

Jacek Wesółowski

Foto mit dem VIP, Teil 2.

(Die nachgrenzartigen Un-Reden 3.)

Den ersten Teil von Foto mit dem VIP habe ich an Sepp schon gedruckt geschickt, den zweiten als Computerscript. Es sind paar Tage vergangen, ich sehe im Netz e-mail: „Ich danke-gratuliere. Du hast ein Köpfchen, kannst du etwas aus nichts machen, von den Deutschen hast du es gelernt. Dass du Ulrichs anzeigst, gefällt mir aber nicht. Und allgemein, dass du sich selb-

drogi, bierz przykład z Mistrza Witolda. Chociaż i tak Pupa i tak, vide „Rok Gombrowiczowski”. Uściski grandialne. Józek”

No masz ci los. Ale „fotografujmy” dalej. Najpierw:

Jacek Kaczmarski

W roku 1988 mój ówczesny przyjaciel Olo Berlin, zwany Sasza, czasowo bezrobotny reżyser teatralny i filmowy, zorganizował w kilońskim Centrum Kultury „Pumpe” recital Jacka Kaczmarskiego. Bard Solidarności przyjechał z Monachium, gdzie podówczas był etatowym pracownikiem Radia Wolna Europa. Koncert był wspaniały, nic że strasznie długi, bo najpierw Kaczmarski opowiadał po polsku treść każdej piosenki, potem Olo tłumaczył to Niemcom na niemiecki, wreszcie Poeta śpiewał. Całość nagrał dla mnie na video inny przyjaciel z tamtych czasów (dziś podobno właściciel pensjonatu na Mazurach). Po koncercie wszyscy wyżej wymienieni wraz ze swoimi kobietami (Kaczmarski był solo) udaliśmy się do mojego mieszkania przy Starej Szosie Lubeckiej. Było to w dzień urodzin (a może imienin?) mojej ówczesznie żony Łucji, co znalazło swój wyraz artystyczny w prywatnym dodatku do publicznego koncertu Jacka. Oczywiście zaraz przeszliśmy na ty. Treści rozmów nie zapamiętałem, widocznie były raczej błahe. Piło się i jadło normalnie, jak to na imieninach. Uderzyło mnie, że Jacek nie zabrał z samochodu gitary. Ale po dwóch-trzech godzinach ucztowania mówi: „Wiecie co, ja skoczę na dół po gitarę. To coś dla solenizantki zaimprovizuję”. I rzeczywiście, śpiewał potem Jacek coś w rodzaju „czastuszek”, śmiesznej raczej i dość surrealistycznej treści, w której powtarzał się wariantowy refren. Coś w rodzaju:

Człowiek robi w życiu nie to,
Lecz tamto, co musi!
Uchu, uchu, uchu, imieniny Lusi!

albo

Takie u tatusia,
Inne u mamusi.
Uchu, uchu, uchu, imieniny Lusi!

W kilkanaście lat później przeczytałem w „Przekroju” wywiad z Jackiem, chorym na raka gardła.

st klein machst. Vor den Leuten muss man sich wichtig tun, nimm dir den Meister Witold als Vorbild. Obwohl sowieso ein Popo, siehe „Das Gombrowicz-Jahr”. Tausend Küsse. Josef”

Na ja, tja. Wir setzen unseres „Fotografieren” fort. Zuerst:

Jacek Kaczmarski

Im Jahr 1988 organisierte mein damaliger Freund Alex Berlin, genannt Sascha, der gerade zu Zeit arbeitsloser Theater- und Filmregisseur war, ein Konzert von Jacek Kaczmarski in dem Kieler Kulturzentrum „Pumpe”. Der Barde der „Solidarnosc” kam aus München, wo er gegenwärtig im Radio Freies Europa angestellt war. Das Konzert war toll, es störte niemanden, dass es schrecklich lang dauerte, weil zuerst Kaczmarski auf Polnisch Inhalt jedes Liedes erzählte, dann übersetzte es Alex für die Deutschen ins Deutsche und erst danach sang der Dichter. Das Ganze hat für mich ein anderer damaliger Freund (heute, höre ich, solle er Besitzer von einem Hotel in Masuren sein) auf Video aufgenommen. Nach dem Konzert fuhren alle oben Erwähnten mit ihren Frauen (Kaczmarski war solo) zu meiner Wohnung in die Alte Lübecker Chaussee. Es war der Geburt- (oder der Namenstag) meiner damals Ehefrau Lucja, was sein künstlerischer Ausdruck in einem privaten Zuschlag zu dem öffentlichen Konzert von Jacek fand. Natürlich duzten wir uns gleich. Was da geredet wurde, weiß ich nicht mehr, offensichtlich nichts Besonderes. Es wurde normal gegessen und getrunken, wie es zum Namenstag üblich ist. Nicht üblich war, dass Jacek seine Gitarre nicht gleich mitgenommen hat. Erst nach zwei-drei Stunden beim Tisch sagte er: „Wisst ihr was, ich bringe jetzt schnell das Gitarrenchen. Singe vielleicht etwas für das Geburtstagsmädchen”. Und dann improvisierte Jacek tatsächlich etwas wie die russische „Tschastuschki”, mit einem ziemlich surrealistischen Text, in dem sich ein Kehrreim in Varianten wiederholte. Etwas in der Art:

Der Mensch macht nicht immer,
Was er gerne mag!
Uhu, uhu, uhu, Lucis Namenstag!

Oder
Papa hat 'ne Katze,
Mama einen Sack.
Uhu, uhu, uhu, Lucis Namenstag!

Było kilka zdjęć. Schudł, szcerniał, wyszlachetniał. Głęboko zapadły mi jego słowa, że w chorobie przekonał się do ludzi, o których nie był w ogólności najlepszego zdania. Wielu nieżyczliwych czy wrogo do niego nastawionych w jego środowisku (jako „bezkompromisowiec” rąbał prawdę prosto w oczy) okazało mu współczucie, a nawet pomoc w chorobie, także finansową. Wcześniej ich nie cenił, byli nawet tacy, którymi gardził.

Mistrz Wajda i Bruder Malachias

O Jacku Kaczmarskim wyszło mizernie, wcześniej już napisałem większy kawał o Klausie Staecku, który przewidziałem na koniec tego to tekstu, więc kogo by jeszcze wybrać z moich vipów? Niech będzie o dwóch Ludziach Filmu.

Na imprezie kulturalnej w Polskim Instytucie Kultury w Berlinie (jeszcze zanim przeniósł się do nowej elegantszej choć mniejszej siedziby i nie nazwał prostszym mianem) widzę starszego pana w szarym garniturze, rozmawiającego z moją towarzyszką, od której oddaliłem się na chwilę. „Mistrzu” – ona zwraca się do niego. Podchodzi bliżej: Andrzej Wajda. Ostatnio widziałem go live w 1981 roku na „solidarnościowym” spotkaniu w Warszawie. Od tych czasów schudł, posiwiał, ale poznałem od razu, bo widziałem w telewizji, gdy odbierał Oscara. Dołączyłem się, przedstawiłem. Pochwaliłem się, że w jednej książce sąsiadują ze sobą nasze teksty – wspomnienia o Łodzi. „Ach, to miło mi bardzo” – rzekł Wajda. „Łódź... Proszę pana, to jest przykre, przykre... To miasto nie ma szans, nigdy nie miało i teraz nie ma... (zamyślił się) Przepraszam, ale żona mnie wzywa... Do widzenia państwu, życzę wszystkiego dobrego...” I pobiegł do żony, pani Krystyny Zachwatowicz, która kiwała na niego spod okna, otoczona wianuszkami Polaków – a może też i Niemców. (Przypomniałem sobie teraz, co to była za impreza: Wystawa poświęcona Janowi Zachwatowiczowi, architektowi powojennej odbudowy zburzonej Warszawy; pani Krystyna miała słowo o ojcu – obok ówczesnych ojców dwóch miast, prezydentów dwóch stolic Piskorskiego i Dieppgena.)

Dlaczego miasto Łódź nie ma szans? Jakich szans? Na co? Co autor filmowej *Ziemi obiecanej* miał na myśli? Nie wiem, domyślałem się stereotypu. Nie zdążyłem Andrzejowi Wajdzie podziękować ani

Mehr als dutzend Jahre danach las ich im Wochenblatt „Przekroj” ein Interview mit Jacek; er hatte Halskrebs. Es gab einige Fotos von ihm: er wurde schlank, zierlich, krankartig veredelt. Es hat mich tief berührt, als er sagte, dass er in seiner Krankheit die Auffassung über die Leute geändert habe, von denen er im Allgemeinen früher nichts Gutes hielt. Viele von denen, die ihm früher Schaden zugefügt haben, die ihn gehasst haben (als ein kompromissloser „Wahrheitsliebhaber” war er in seinem Kollegenkreis eher nicht beliebt), unterstützten ihn während seiner Krankheit und nicht nur geistig, auch finanziell. Früher hat er viele von ihnen gering geschätzt oder sogar verachtet.

Meister Wajda und Bruder Malachias

Das Stück über Jacek Kaczmarski ist mir wohl nicht sehr gut gelungen, von früher habe ich schon ein paar Seiten zu Klaus Staeck, mit denen ich den Text abzuschließen beabsichtige, wen also soll ich noch aus meinen VIPs nehmen? Ich schreibe über zwei Leute des Films.

Auf einer kulturellen Veranstaltung im Polnischen Kulturinstitut (noch vor dem Umzug unter die neue Adresse und vor der Namensverkürzung) sehe ich einen älteren Herrn mit grauen Anzug in einer Unterhaltung mit meiner Begleiterin, die ich für eine Weile verlassen habe. „Meister” – sagt sie zu ihm. Ich komme näher: Andrzej Wajda. Das letzte Mal hatte ich ihn live 1981 auf einem in Warschau von „Solidarnosc” organisierten Treffen gesehen. Seitdem ist er schlanker und grau geworden, ich erkannte ihn aber sofort, weil von kurzem er im Fernsehen bei der Oscar-Verleihung zu sehen gewesen war. Ich schließ mich an, stellte vor. Brüstete mich, dass in einem Buch unsere Texte nebeneinander publiziert sind – in einem Buch über Lodz. „Oh, ich freue mich sehr” – sagte Wajda. „Lodz... Herr Wesolowski, es ist aber traurig, dass die Stadt keine Chancen hat... nie gehabt... (er versank kurz in den Gedanken) Verzeihen Sie mir, bitte, aber meine Frau braucht mich... Auf Wiedersehen, ich wünsche Ihnen alles Gute...” Und lief zur Frau Krystyna Zachwatowicz, die von einigen Polen – oder vielleicht auch Deutschen umgeben, ihrem Ehemann mit dem Hand zuwinkte. (Es ist mir jetzt eingefallen, was für eine Veranstaltung war das: Eine Ausstellung, Jan Zachwatowicz gewidmet, dem Architekten des Wiederaufbaus des im Krieg zerstörten Warschaus; Frau Zachwatowicz sprach zu ihrem Vater, neben zweien Vätern zweier Hauptstädte: Piskorski und Dieppgen, damals regierende Bürgermeister.

za film o mieście dzieciństwa, ani za film o Pałacu Paca. Pałacem Paca, na zmianę ze Straszynym Dworem, nazywam moją Starą Plebanię w Białowicach, rocznik 1765. Pod jej ciekłym dachem mieszka ten sam genius loci, co w Zamku Wajdowskiej *Zemsty*. Jest to mój ulubiony film Największego Polskiego Reżysera; oglądałem go ze sto razy, przez co Fredrowskiego tekstu nauczyłem się na pamięć (Wajda usunął tylko jeden większy fragment – okazało się bez znaczącej szkody dla całości intrygi).

To było na początku lat 2000. Dziesięć lat wcześniej siedziałem w przytulnej knajpcie w hamburskiej dzielnicy Flottbek. W 1985, gdy zapadła decyzja o pozostaniu na Zachodzie, szukałem etatu na zachodnioniemieckich uniwersytetach. Bezskutecznie, tu nie Ameryka. Szukałem równocześnie profesjonalnej galerii, z którą mogłbym współpracować na stałe w swym nowoodkrytym zawodzie artysty plastyka. Znalazła się wreszcie taka w Dortmundzie, przeniesiona później do Kolonii, ale wcześniej „kupił” mnie pan Gerd-Wolfgang Essen, właściciel Galerie in Flottbek w Hamburgu. Przyrzekł mi sobie do „malarstwa wyobraźni”,

Warum hat Lodz keine Chancen? Was für Chancen? Auf was? Was meinte der Autor des Films *Gelobten Land* damit? Ich wusste es nicht, dachte an ein Stereotyp. Die Zeit war zu knapp mich bei Andrzej Wajda zu bedanken: weder für den Film über die Stadt meiner Kindheit noch für den über mein „Geisterhaus“. So nenne ich mein Altes Pfarrhaus in Balowice-Billendorf, Jhg. 1765. Unter seinem undichten Dach wohnt derselbe genius loci, wie im Schloss aus der Wajdas Verfilmung von *Die Rache*. Ich habe den Film hundert Male gesehen, kenne den Komödientext von Aleksander Fredro auswendig. (Wajda hat nur ein größeres Fragment weggelassen – das hat dem Text allerdings nicht geschadet.)

Das war Anfang 2000er Jahre. Zehn Jahre davor saß ich in einer gemütlichen Kneipe in Hamburger Stadtteil Flottbek. 1985, als es sich entschied, dass ich im Westen bleibe, suchte ich eine Arbeitstelle an den Bundesrepublikanischen Universitäten. Vergeblich, keine USA. Gleichzeitig suchte ich eine professionelle Galerie, mit der ich als frisch gewordener bildender Künstler meine Chance bekommen könnte. Es fand sich endlich eine in Dortmund, die später nach Köln



które w sztuce współczesnej preferował. Miał bogate zbiory historyczne sztuki od Petera Brueghla Starszego do Otto Dix'a i Kate Kollwitz i zaraz wziął mnie do dużej wystawy *Okropności wojny. Wojna i rewolucja w twórczości artystów pięciu wieków*. Tytuł pochodził od słynnej teki rysunków Goyi, z której kilka grafik pokazywanych było na wystawie: najpierw w Hamburgu, potem w Berlinie Zachodnim w 1985/86 roku. Do Berlina poleciałem samolotem, w obawie przed ernerdowską służbą graniczną. Może mnie capną i odstawią za Odrę? – myślałem, normalny sen emigranta, na jawie. Potem była propozycja rychłej indywidualnej wystawy w galerii Flottbek w kooperacji z zaprzyjaźnioną panu Essenowi galerią w Paryżu. Szczerze, lecz niepolitycznie napomknąłem o moich problemach paszportowych, wobec czego pan Essen wstrzymał się na razie od działań w sprawie. Natomiast stałem się niejako jego doradcą (chyba przez mój tytuł i życiorys naukowy) oraz stałym gościem na wernisażach in Flottbek. Z galerii szło się do pobliskiej knajpki greckiej na przyjęcie na koszt galerysty. Po pięciu latach takich kurtuazji zapytałem bez ogródek pana Essena: „Czy i kiedy przewiduje pan u siebie moją wystawę indywidualną?” W odpowiedzi usłyszałem: „Herr Doktor Wesolowski, powiem panu szczerze... Nie zrobię panu indywidualnej wystawy. Pan jest człowiek niepewny. Pan jest nazbyt zmienny. Wczoraj był pan profesorem polonistą, dzisiaj jest pan artystą, poznałem pana jako malarza obrazów, teraz pan robi koncepty, wystawy jako całościowe instalacje. (To robiłem od początku, ale uszło to uwadze pana Essena – uwaga moja, J.W.) Gdzie i przy czym pan będzie za 10 lat? Może pan w ogóle sztukę porzuci? Wyjedzie gdzieś na antypody? Ja inwestuję na całe życie moich artystów a zwłaszcza na po śmierci”. W 10 lat od tej rozmowy zmarł pan Essen, wspominał go z szacunkiem... Jesteśmy więc w greckiej knajpce w Hamburgu, początek lat 90. Wokół mnie toczyła się ożywiona rozmowa przy stole, natomiast parę osób dalej, pod oknem siedział samotnie jeden pan i jadł – milcząc. Nakładał sobie kopiaste porcje i jadł metodycznie, systematycznie. Danie po daniu pochłaniał jedzenie. Było to w rażącym kontraście z jego fizjognomią: twarz tego pana była całkowicie pozbawiona tak zwanej tkanki miękkiej: tylko kości i wężłaste mięśnie obciążone skórą. Wszystko to grało, gdy poruszał szczękami. Takie też były ręce, obsługujące nóż i widelec. Rany

umsiedelte, aber bevor das geschah, „kaufte“ mich Herr Gerd-Wolfgang Essen, Besitzer der Galerie in Flottbek in Hamburg. Er ordnete mich der „Vorstellungsmalerei“ zu, einer Gattung, auf die er sich in der Gegenwartskunst spezialisierte. Er hatte sehr umfangreiche Sammlung aus der Kunstgeschichte von Peter Brueghel der Ältere bis Otto Dix und Kate Kollwitz und sofort nahm er mich in eine große Gesamtausstellung auf: *Die Schrecken des Krieges. Kriegs- und Revolutionsdarstellungen in der Kunst aus fünf Jahrhunderten*. Der Titel stammte von der berühmten Mappe von Goya, aus der einige Grafiken in der Ausstellung gezeigt wurden: zuerst in Hamburg, dann in West-Berlin 1985/86. Nach Berlin flog ich mit Pan American, ich hatte Angst von den DDR-Grenzkontrollen. Vielleicht schnappen und liefern sie mich hinter Oder ab? – dachte ich, wie in einem klassischen Emigrantentraum. Dann bekam ich das Angebot einer baldigen Einzelausstellung in der Galerie Flottbek und gleich danach in einer Galerie in Paris, mit derer Besitzer Herr Essen öfter zusammengearbeitet hatte. Ehrlich und undiplomatisch erwähnte ich meine damaligen Pass- und Visumprobleme und Herr Essen verschob die Förderung „des viel versprechenden polnischen Künstlers“ auf später. Als promovierter Humanist wurde ich aber zu einem Berater der Galerie Flottbek und einem Stammgast auf ihrer Vernissagen. Nach der Ausstellungseröffnung wanderte man zu einer griechischen Kneipe in der Nähe, wo auf die Kosten des Galeristen gegessen und getrunken wurde. Nach fünf Jahren solcher Ehre stellte ich Herrn Essen die direkte Frage: „Ob und wann beabsichtigen Sie mir eine Einzelausstellung zu machen?“. Die Antwort war: „Herr Doktor Wesolowski, ich sage ganz ehrlich... Ich mache Ihnen keine Einzelausstellung. Sie sind für mich zu inkonstant. Gestern waren Sie ein Polonistikprofessor, heute sind sie ein Künstler, ich habe Sie als Maler von Bildern kennen gelernt, jetzt machen sie Konzepte, Installationen. (Das habe ich vom Anfang an gemacht, Herr Essen hat es übersehen – Bemerkung von mir, J.W.) Wo und wobei sind Sie in zehn Jahren? Vielleicht gehen Sie überhaupt von der Kunst weg? Irgendwohin zu den Antipoden? Ich investiere in meine Künstler für ihr ganzes Leben und besonders danach“. Zehn Jahren nach diesem Gespräch starb Herr Essen, er bleibt in meiner dankbaren Erinnerung bewahrt... Wir sind also im griechischen Kneipchen in Hamburg. Um mich laufen fröhliche Gespräche und etwas entfernt, am Fenster, sitzt ein einsamer Herr und frisst – schweigend. Er fraß methodisch und systematisch Eines nach dem Anderen,

boskie, myślę sobie, Kafkowski Hungerkünstler (dost. „artysta głodu”, polskiemu czytelnikowi opowiadanie znane jest pt. *Głodomór*). Tylko że mächtig je, a tamten właśnie nie jadł. Zapytałem pana Essena, kto to zacz. „To znajomy aktor” – odpowiedział. Wymienił nazwisko, nie zapamiętałem. Niemcy nie starają się zapamiętać mojego nazwiska, jakiś Polak na „-ski”, u mnie działa wzajemny mechanizm.

W kilkanaście lat później oglądam słynne *The Name of Rose* Jeana-Jacquesa Annaud wg Umberta Eco. W filmie roi się od ludzkich pokurczów, które do ról średniowiecznych mnichów wyszukał do międzynarodowej obsady filmu i z przeraźliwym talentem podcharakteryzował reżyser. Stanowią one smaczne (!) tło dla głównych postaci: młodego Adso z Melk (Christian Slater) i jego wspianego Mistrza (Sean Connery). Oglądam to *Imię róży* po niemiecku i co widzę? Mój Głodomór z Flottbek, imię i nazwisko aktora Volker Prechtel, gra w filmie klasztorного bibliotekarza, brata Malachiasza, który pod względem „straszności” wyglądu ustępuje tylko Ronowi Perlmanowi (ten gra kalekiego na ciele i umyśle brata Salvatore, konsumenta szczurów, byłego dulcynianina, spalonego w finale filmu na stosie). Tego ostatniego ucharakteryzował Annaud na szekspirowskiego Kalibana – nic dodać nic ująć. W filmie jest scena uroczystego posiłku mnichów w klasztornym refektarzu – jedzącego brata Malachiasza kamera wszakże nie pokazuje.

Klaus Staeck

Z Klausem Staeckiem rzeczywiście zrobiłem sobie prawidłową fotkę, ale nie tak dawno temu w Berlinie i zdjęcie jest z fleszem, więc wyglądamy obaj jak zombies i nie nadajemy się do publikacji.

Poznaliśmy się jako aktorzy kampanii wyborczej Björna Engholma w 1992 roku na spotkaniu w mieście Pinneberg koło Hamburga. Dziś już nikt nie pamięta, że Engholm, młody wówczas, wybijający się polityk, „niemiecki John Kennedy”, był wtedy kandydatem socjaldemokratów na urząd kanclerski, konkurentem Helmuta Kohla. Wkrótce usunął się z polityki w związku z „afarą Barschela”, też niewielu pamięta, ostatnio ukazała się w RFN książka, przypominająca te sprawy z perspektywy ponad dwóch już dziesięcioleci, rewidująca ówczesne sądy i oceny.

Trafiłem tam przez przypadek: organizatorzy mitingu potrzebowali Polaka, który umiałby coś

langsam und gefühllos. In einem krassen Kontrast zu seinem Aussehen: sein Gesicht war weniger als mager, bestand aus Knochen und Muskeln, sonst nichts. Das alles bewegte sich maschinell, wie auch seine Hände, die mit Messer und Gabel gnadenlos operierten. Mein Gott, dachte ich, ein Kafkaesker Hungerkünstler (aus der gleichnamigen Erzählung), nur dass er mächtig frisst und bei Kafka aß er eben nicht. Ich fragte Herrn Essen, wer ist das. „Das ist ein Schauspieler, ein Bekannte von mir” – war die Antwort. Herr Essen erwähnte seinen Namen, ich habe ihn nicht behalten. Die Deutschen bemühen sich nicht, sich meinen Namen zu merken, ein Pole mit „-ski”, denken sie, bei mir funktioniert derselbe Mechanismus bei den Namen der Deutschen.

Ein Dutzend Jahre danach sehe ich den berühmten Film *The Name of Rose* von Jean-Jacques Annaud nach dem Roman von Umberto Eco. In den Film wimmelt es von Missgestalten, die Annaud für die Rollen der mittelalterlichen Mönche unter den Schauspielern aller Länder aussuchte und sie in der „Küche des Films” talentiert auf menschliche Merkwürdigkeiten stilisiert hatte. Sie bilden einen schmackhaften (!) Hintergrund für die zwei Protagonisten: den jungen Adso von Melk (Christian Slater) und seinen großartigen Meister (Sean Connery). Ich sehe mir den *Namen der Rose* in deutscher Fassung und erkenne auf Bildschirm meinen Hungerkünstler aus Flottbek! Sein Name ist Volker Prechtel, er spielt den Bibliothekar Bruder Malachias; in der „Schrecklichkeitsstufe” steht er ein Stück hinter Ron Perlman (der spielt den Bruder Salvatore, einen sowohl geistig als körperlich Behinderten, einen Rattenfresser, einen angeblichen Ketzer, der im Film den Feuertod stirbt). Den letzten hatte Annaud zum Shakespearschen Kaliban gemacht – nichts mehr, nichts weniger. Im Film gibt es eine Szene, wie die Mönche im Refektorium speisen: die Kamera zeigt aber dabei den Bruder Malachias nicht.

Klaus Staeck

Mit Klaus Staeck machte ich mir tatsächlich ein Foto, das war aber vor zwei-drei Jahren in Berlin, wir sehen aus wie zwei Zombies, für die Öffentlichkeit ungeeignet.

Wir lernten uns 1992 in Pinneberg bei Hamburg kennen – als Akteure der Wahlkampagne von Björn Engholm. Heute erinnert sich kaum jemand an den damals noch jungen Politiker, der zu jener Zeit ein Kanzlerkandidat sein sollte, ein Kohl-Konkurrent. Er war

zagadać w dyskusji panelowej. Zwrócili się do profesora Buscha, szefa kilońskiej slawistyki (mnie się właśnie dwuletni kontrakt na pisanie książki skończył na uniwersytecie) i profesor mnie podał, bym coś zarobił. Zresztą nic nie zarobiłem, nawet za podróż mi nie proponowali zwrotu, wróciłem do Kilonii z kimś z SPD jego samochodem. (Tak zawiązała się ważna dla mnie na wiele lat znajomość: Bernhard Schwichtenberg.) A vipowi Staeckowi dali diety, zaraz się upomniał, oczywiście hotel i podróż miał zapłacone.

Zachowałem wielki plakat tej imprezy, formatu A0, czerwono-czarno-biały. Tylko tekst, bez obrazka. Tak oto pokażę go czytelnikowi, przetłumaczysz na polski:

DLA BJÖRNA ENGHOLMA

INICIATYWA WYBORCÓW W KILONII
KLEINER KUHBERG 28-30

DYSKUSJA PANELOWA
„WSPÓŁŻYĆ Z OBCYMI – NAUKA W LAS”
KLAUS STAECK
GRAFIK

KATHARINA TREBITSCH
PRODUCENTKA FILMOWA I TELEWIZYJNA

DR JACEK WESOŁOWSKI
LITERATUROZNAWCA

DYSKUSJĘ PROWADZI ANDREA KUNSEMÜLLER,
DYREKTOR „DNI FILMOWYCH PÓŁNOCY”

3. MARCA 1992, PINNENBERG

WTOREK, GODZ. 20.00
HOTEL „CAP POLONIO”, FAHLTSKAMP 48

WSTĘP WOLNY

Na tożę spotkanie wzięłem książkę z plakatami Klausa StaECKa, żeby mi podpisał. Daję mu, a on powiada, że tu już jest dedykacja: „Drogiemu Jackowi z najlepszymi życzeniami – Susanne”. Zapomniałem, że dostałem tę książkę w prezencie. „No to ja ci się dopiszę”. I dopisał:

„Przyłączam się – Klaus StaECK”.

eine große Hoffnung der Sozialdemokraten, man nannte ihn „der deutsche John Kennedy”. Bald verschwand er aus der Politik infolge des so genannten „Falls Barschel”, heute weiß auch kaum jemand, worum es ging; vor kurzem erschien in der BRD ein Buch, dessen Autor die damalige Fakten und Urteilen von neuen analysiert und revidiert.

Ich fand mich dort durch einen Zufall: die Organisatoren der Veranstaltung brauchten einen Polen, der imstande wäre, in der Podiumsdiskussion auf Deutsch zu gackern. Sie wandten sich an Professor Busch, den Chef der Kieler Slawistik (mein Vertrag an der Uni war gerade zu Ende, ich schrieb zwe Jahre lang ein Buch über die „deutsch-polnische Literatur”) und der Professor empfahl mich, damit ich etwas verdienen konnte. Übrigens verdiente ich nichts, sogar die Reise wurde mir nicht erstattet, ich fuhr zurück nach Kiel mit jemandem aus SPD in seinem Wagen. (Dadurch schloss sich eine wichtige für mich langjährige Bekanntschaft: Bernhard Schwichtenberg.) Und VIP-StaECK bekam sogar Spesen, die er sofort verlangte, Hotel und Reise wurden schon voraus bezahlt.

Ich habe das Veranstaltungsplakat für mein Archiv bewahrt. Rot-schwarz-weiß, kein Bild, nur Text, so zeige ich ihn dem Leser:

FÜR BJÖRN ENGHOLM

WÄHLERINITIATIVE KIEL
KLEINE KUHBERG 28-30

PODIUMSDISKUSSION
„MIT FREMDEN LEBEN – NIE GELERNT”

KLAUS STAECK
GRAPHIKER

KATHARINA TREBITSCH
FILM- UND FERNSEHPRODUZENTIN

DR. JACEK WESOŁOWSKI
LITERATURWISSENSCHAFTLER

3. MÄRZ 1992, PINNENBERG

DIENSTAG, 20.00 UHR
HOTEL „CAP POLONIO”, FAHLTSKAMP 48

EINTRITT FREI

Potem Staeck zaprosił mnie na głośną imprezę w Bitterfeld, mieście jego urodzenia, zniszczonym wraz z całą okolicą przez ambicje przemysłowe władców NRD (odkrywkowe kopalnie węgla brunatnego plus towarzyszące industry). Zapraszając mnie, Polaka, spodziewał się, jako współorganizator i główny motor owej imprezy, że może coś napiszę o niej. Ale ja wtedy jeszcze do pisania do polskiej prasy kulturalnej po przerwie od 1981 roku miałem 10 lat. Nie publikowałem nic (prawie) poza zapisami *Dziennika* w katalogach. Więc teraz Staeckowi napiszę, ale krótko.

Było w maju (1992). Klaus Staeck, we współpracy ze znanym berlińskim krytykiem sztuki i art-curatorem Christophem Tannertem i z jeszcze jednym luminarzem (Jürgen Blume? – nie pamiętam) zorganizował „III Konferencję Bitterfeldzką”! Die 3. Bitterfelder Konferenz – nazywała się impreza i była przewrotnym nawiązaniem do słynnych „Konferencji Bitterfeldzkich”, organizowanych przez kierownictwo partyjne i państwowe Niemieckiej Republiki Demokratycznej dla wytyczenia dróg socjalistycznej kulturze wschodnich Niemiec. Die 1. Bitterfelder Konferenz odbyła się w 1959 roku, die

2. Bitterfelder Konferenz w 1964. Temat „III Konferencji” był taki sam jak dwóch poprzednich: „Co my mamy robić?” Tylko, że wtedy kazała SED, a teraz zebrani w bitterfeldzkim Pałacu Kultury Ludu Pracującego artyści i humaniści mieli sobie sami odpowiedzieć na pytania o przyszłość sztuki i kultury w Niemczech (zjednoczonych), czy też tylko owe pytania postawić. Na tym polegała przewrotność, a raczej przewrotowość „III Konferencji Bitterfeldzkiej” w stosunku do dwóch poprzednich. Organizatorzy podkreślili tę przewrotność przez to, że salę konferencyjną z rzędami krzeseł pozostawili pustą, także samo pusty był wielki stół prezydialny na proscenium. Obrady odbywały się za kurtyną, za kulisami, na zapleczu. W prezydium i na mównicy występowały znane postacie ze Wschodu i Zachodu Niemiec. Wśród prezydujących siedział, obstawiony butelkami piwa, A.R. Penck, który od czasu do czasu puszczał cenny bon mot, niekoniecznie w ścisłym związku z tym, o czym akurat mówiono. W kuluarach Konferencji wdaliśmy się potem w rozmowę o komunizmie, Penck (właściwe nazwisko Ralf Winkler) spędził w NRD prawie tyle lat, co ja w Polsce Ludowej. Z tej okazji nabazgrał mi swego „jaskiniowego człowieczka” na dwóch pocztówkach plus

Ich nahm ein Buch von Staeck mit seinen Plakaten mit, wollte ein Autogramm von ihm. Als ich ihm das Buch zur Unterschrift gebe, sagt er: „Da steht schon eine Widmung und zwar: Dem lieben Jacek mit den besten Wünschen – Susanne.. Dann schreibe ich dir etwas dazu”. Und er schrieb: „Ich schließe mich an – Klaus Staeck”.

Dann wurde ich von Staeck nach Bitterfeld eingeladen. Es war im Mai (1992). Klaus Staeck organisierte, zusammen mit dem namenshaften Berliner Kunstkuratoren Christopher Tannert und noch mit einem anderen Kulturprominenten (Jürgen Blume? – es scheint mir) die „3. Bitterfelder Konferenz”, eine Veranstaltung, die in den deutschen Medien „hüben und drüben” ziemlich präsent war. Staeck hoffte wahrscheinlich, dass ich etwas für die Publikation (auf Polnisch) bastle. Zu dem Zeitpunkt hatte ich aber vor mir noch 10 Jahre, bis ich wieder begann, für die polnische kulturelle Presse zu schreiben, ich publizierte nur *Tage-Buch*-Texte in meinen Katalogen. Ich schreibe also für Staeck jetzt etwas darüber.

Bitterfeld ist zuerst dafür bekannt, dass die Stadt mit der ganzen Umgebung zu Opfer der Herrscher der DDR wegen ihrer industriellen Ambitionen zerstört wurde (Tagebaus mit dem begleitenden industry). Solche Ortschaften gibt es viele in Ostdeutschland. Bitterfeld aber ist nicht nur aus dem ökologischen Grund bekannt, sondern noch mehr aus einem kulturpolitischen. In der Stadt wurden durch die DDR-Partei- und Staatsführung die berühmte 1. (1959) und 2.. (1964) Bitterfelder Konferenzen organisiert; sie sollten die Wege der sozialistischen Kultur bestimmen. Die „3. Bitterfelder Konferenz” knüpfte an diese Formel an – nach wie vor lautete die Frage: „Was sollen wir tun?” Die Unterschied war nur, dass damals die in dem Volkspalast in Bitterfeld gesammelten DDR-Künstler und -Humanisten von der SED instruiert worden waren uns jetzt mussten die Schaffenden sich selbst die Fragen zur Zukunft der Kunst und der Kultur in Deutschland (jetzt vereinigten) beantworten, oder sie mindestens stellen – sich selbst. Hier lag die Perfidität der Situation, ihre „Umwälzung”. Das gerade wurde von der Organisatoren der „3. Bitterfelder Konferenz” sehr kreativ klar gestellt, in dem der Konferenzsaal leer gelassen wurde, leer stand auch der lange Konferenztisch auf der Vorbühne – die Debatte fand hinter der Vorhang, hinter der Kulissen statt. Unter den Redner gab es viele prominente Persönlichkeiten sowohl aus „alten” als auch aus „neuen Länder” der Bundesrepublik Deutschland. Am Präsidialtisch saß u.a.

autograf, jedną na pamiątkę zachowałem, drugą sprzedałem jednemu amatorowi za 200 DM. Bardzo krępujące było na Konferencji wystąpienie Güntera Ueckera, bo określił się jako artysta, będący właściwie dużym, dobrze prosperującym przedsiębiorstwem, które, jeśli płaci okazałe podatki, to niech te pieniądze idą na cele kulturalne, zamiast ginąć w ogólnym kotle budżetowym i dalej nie wiadomo, co się z nimi dzieje. Pozostało mi też w pamięci wspańskie retoryczne przemówienie pastora Friedricha Schorlemmerna z Wittenbergi, znanego „Bürgerrechtlera” byłej NRD, autora wielu książek na temat problemów Niemiec wschodnich do i po 1990 roku. O czym był mówił, nie pamiętam, tylko że wspominał Grassa i jego niepopularne przestrogi, co to za zgryzoty będą po zjednoczeniu. „Grassandra przepowiedziała” – powtarzał Schorlemmer efektowny anagram. To było 15 lat temu.

Po Bitterfeld dłuższy czas nie widziałem się ze Staeckiem, parę razy mieliśmy kontakt pocztowo-telefoniczny. Potem było owo spotkanie, gdy powstały fotki, w Weißensee. Dwa lata temu rozmawiałem z nim w Akademii der Künste Berlin – Klaus Staeck jest aktualnym prezesem tej szacownej instytucji; miałem okazję o niej obszerniej pisać w „Odrze”, nr 4/2007. Był tam też mały ustęp o Staecku, Redakcja mi to personalium z niedomyślnych dla mnie powodów ścięła. Często ścinają albo przerabiają w różnych redakcjach, nawet dopisują autorowi. Lubię ten „Pro Libris”, bo nic nie przerabiają mi, czasem najwyżej przecinek dostawiają, czasem niepotrzebnie. Wracając do StaECKa. StaECK od lat mieszka i pracuje w Heidelbergu, lecz z racji rozlicznych swoich aktywności kulturalnych i politycznych w Berlinie bywa często gęsto.

Klaus StaECK jest artystą plakatu, lecz istota jego pracy nie jest natury estetycznej – jak u znanych twórców polskiej szkoły plakatu: Świerzego, Starowieyskiego, Sadowskiego, Pągowskiego, Stasysa Eidrigeviciusa, Walkuskiego, lecz jest natury społecznej. I politycznej. Inna szkoła niż polska – plakatu. Mistrzem StaECKa jest John Heartfield, znany ze swoich fotomontaży społecznych i politycznych (zwłaszcza w latach 30. przeciwko Hitlerowi; Heartfieldowi zawdzięczał również dużo nasz Bronisław Linke), o czym StaECK sam mówi i pisze w swoich katalogach i książkach. Plakaty StaECKa to są paroles polityczne i społeczne, wyrażane w gatunku sztuki plastycznej, jaką jest plakat.

A.R. Penck (Künstlername von Ralf Winckler), von mehreren Bierflaschen umgeben, der ab und zu, nicht unbedingt zum Thema, wertvolle bon mots warf. Mit Penck haben wir später im Hotelzimmer unsere Erfahrungen aus zweier Kommunistischen Staaten gewechselt; er hat seine in der DDR ungefähr so lange gesammelt, wie auch ich meine in Volkspolen. Aus diesem Anlass hat er mir auf zwei Postkarten seinen „Höhlenmännchen” plus Autogramm gekratzt, eine habe ich noch, die andere verkaufte ich einem Kunstliebhaber für 200 DM. Sehr stärkend für die Konferenzteilnehmer war der Auftritt von Günter Uecker, der sich als Künstler definierte, der ein großes blühendes Unternehmen unterhält, und wenn er schon hohe Steuerzahlungen leisten muss, wäre es richtig, dass die Gelder für die kulturelle Zwecke direkt verwenden wären und nicht in dem allgemeinen Budgettopf sich auflösen. Eine Rede von Pastor Friedrich Schorlemmer aus Lutherstadt Wittenberg, dem bekannten Bürgerrechtler der ehemaligen DDR, Autor vieler Büchern über die Probleme der Ostdeutschland vor und nach 1990, ist mir auch stark in Erinnerung geblieben.

Worüber er so prächtig sprach, weiß ich nicht mehr, ich erinnere mich nur, dass er die Grassche Ermahnungen zum Vereinigung Deutschland zitierte – fast in allem hatte Grass Recht. „Grassandra hat es vorausgesagt!” – Schorlemmer wiederholte das effektvolle Anagramm im Sinne seiner prächtigen Rhetorik. Das war vor 15 Jahren.

Nach dem Bitterfeldtreff sah ich StaECK ziemlich lange nicht, einige Male hatten wir telefonisch Kontakt. Dann war das Treffen, als die erwähnten Fotos entstanden, in Weißensee. Vor zwei Jahren sprachen wir miteinander in der Akademie der Künste Berlin – StaECK ist der 1. Vorsitzende der schätzenswerten Institution; mein kleiner Aufsatz zur AdK publizierte „Odra”, Heft 4/2007. In dem Text gab es auch ein kleiner Absatz über StaECK, die Redaktion hat mir ihn gestrichen – ich habe keinen blassesten Stern, warum. Oft streichen die Zeitschriftenredaktoren manche Fragmente, manchmal schreiben sie dem Autor eigene Zugaben zu. Ich mag unsere „Pro Libris”, derer Redaktion solche Aktivitäten nicht pflegt, manchmal werden mir einigen Kommas zugeschrieben, nicht immer nötig. Zurück zu StaECK. StaECK seit Jahren lebt und arbeitet in Heidelberg, seiner verschiedensten Aktivitäten wegen ist er oft in Berlin anwesend.

Klaus StaECK ist ein Plakatkünstler, das Wesen seiner Arbeit aber ist nicht ästhetischer sondern gesell-

Staeck jest artystą politycznym we właściwym znaczeniu tego słowa. Nie jest artystą politycznym malarz abstrakcyjny dlatego tylko, że władza ludowa jego kraju nie pozwala mu wystawiać jego „formalistycznych” obrazów. Niekoniecznie jest artystą politycznym inny malarz, malujący nawet bardzo figuralne obrazy, dlatego że inna totalitarna władza uważa jego sztukę za „zdegenerowaną” („die entarte Kunst” w III Rzeszy). Tak jak z drugiej strony niekoniecznie artystą politycznym jest twórca pomników, zamawianych przez rządy i te czy inne partie polityczne, suto opłacany z kas publicznych (casus rzeźbiarz Konieczny w PRL). Ale jest bez cienia wątpliwości politycznym artystą, którego prace czy dzieła realizują wprost program określonej formacji politycznej, ba, konkretnej partii politycznej. Której to partii ów artysta jest aktywnym członkiem. Takim artystą jest Klaus Staeck, a jego partią jest niemiecka, wcześniej zachodnioniemiecka, SPD. Znane były

schafflicher Natur. Anders wie bei den Künstler der „polnischen Plakatsschule”: Swierzy, Starowiejski, Sadowski, Pagowski, Stasys Eidrigevicius, Walkuski. Staecks Meister ist John Heartfield, durch seine politischen und gesellschaftlichen Fotomontagen bekannt (besonders in der 30er Jahren durch die Plakate gegen Hitler; dem Heart hat auch der Pole Bronislaw Linke viel zu verdanken); Staeck sagt das selbst und schreibt davon in seinen Katalogen und Bücher. Die Plakate von Staeck sind politische und gesellschaftliche Parolen, in eine Gattung der Kunst artikuliert: im Plakat.

Staeck ist ein politischer Künstler im vollen Sinne des Wortes. Ein Abstraktionist ist kein politischer Künstler aus dem Grund allein, dass eine sozialistische Volksmacht seines Landes ihm seine „formalistischen” Bilder auszustellen verbietet. Nicht unbedingt ist politisch ein anderer Künstler, wenn er sogar sehr figurative Malerei ausübt, nur deswegen, dass eine braune totalitäre Macht seine Bilder als „entarte Kunst” verfolgt. So



w Niemczech jadowite plakaty „antywyborcze” Staeka atakujące wprost politykę i polityków CDU/CSU, Franza Josefa Straussa i później Helmuta Kohla. Ostro. Przed wyborami, gdy SPD stawiała Johanna Raua przeciw Kohlowi na stanowisko kanclerza Niemiec, Staeck sprokurował plakat z gnijącą gruszką, z napisem: „Najlepszy wybór dla Niemiec”. „Birne”, gruszka – było przezwisko Kohla, od kształtu głowy tego zasłużonego polityka.

„Partyjne” plakaty Staeka stanowią wąski margines „właściwych politycznych”. I społecznych. Staeck, z pozycji socjaldemokraty, uwrażliwionego moralnie, lecz chłodnego intelektualnie klerka reaguje na wszelkie „brudne” zjawiska współczesności. Zajmuje stanowisko: w sprawach wojen na świecie, korupcji wśród polityków, ksenofobii społecznych, znieczulic moralnych, nadużyć w mediach, zagrożenia środowiska naturalnego, oszustw rynkowych. Opowiada, że często go pozywają do sądu różne firmy, bo im psuje interes. „Ale niewiele mogą mi zrobić, jestem prawnikiem, bronię się sam. Zreszta nie o psucie interesu mnie pozywają, tylko że tam jakieś prawa autorskie przekroczyłem, a to że znaku firmowego czyjegoś nadużyłem, takie głupstwa” – mówi Staeck. Sam Staeck nigdy nie powie o sobie „artysta”. Mówi, że jest grafikiem, zawód wykonywany. Zawód wyuczony: prawnik. Swoje plakaty robi w komputerze, stąd dla zawistnych kolegów artystów jest „zręcznym kompilatorem”, „kolażystą”, „nie umie malować”.

Rangę artystyczną wyznaczają Staekowi jego wystawy, katalogi, książki. Starczy wspomnieć uczestnictwo artysty w trzech kolejnych *documenta* w Kassel: 6 (1977), 7 (1982), 8 (1987), miał wielką liczbę wystaw na całym świecie, także w Polsce. Wiele prac Klaus Staeka posiada w swoich zbiorach Muzeum Plakatu w Wilanowie. Oczywiście V.I.P.-em w Niemczech jest Staeck przez to głównie, że występuje w różnych talkshowach telewizyjnych. Występuje nie jako artysta, tylko jako działacz społeczny. To, co formuluje w plakatach, to też głosi przed kamerą.

Pod koniec 2005 roku przysłał mi Staeck imponujący katalog *Nic nie jest załatwione. Klaus Staeck. Retrospektywa* – do wystawy w Phoenix-Fabrikhallen w Hamburgu 2004/05 (była następnie pokazywana w innych miastach niemieckich). Płaska paczka z książką stanowiła dodatek do innej, do rólunu z plakatami. Plakaty przyszły do mojego konceptu

wie von der anderen Seite ist ein Künstler, der Denk- und Ehrenmaler im Auftrag von Regierungen und Parteien schafft, nicht unbedingt politisch (der Fall Konieczny in Volkspolen). Aber ganz ohne Zweifel ist ein Künstler politisch, wenn seine Arbeiten für eine bestimmte politische Orientierung agieren, mehr noch, für eine konkrete politische Partei. Und besonders, wenn der Künstler ein aktives Mitglied dieser Partei ist. So ist eben im Fall Staeck und seine Partei ist die SPD. Bekannt waren in die Bundesrepublik Staecks giftigen Anti-Wahl-Plakate, in denen er stark und direkt die Politik und die Politiker der CDU/CSU angriff, Franz Josef Strauss und dann Helmut Kohl. Vor dem Wahl, als die SPD Johannes Rau gegen Kohl als Kanzlerkandidat stellte, Staeck komponierte ein Plakat mit faule Birne mit Inschrift: „Die beste Wahl für Deutschland”. „Birne” war Kanzler Helmut Kohl in der Bundesrepublik genannt worden, was von dem Kopfgestalt dieses verdienten Politikers stammen sollte.

Die „parteiischen” Plakate von Staeck sind ein Randprodukt zu seiner „wahren politischen”. Und gesellschaftlichen. Staeck, ein Sozialdemokrat mit sensibler Seele und kaltem Verstand reagiert auf alle Erscheinungen unserer Gegenwart, die „dirty” sind. Er bezieht Stellung in Sachen wie Kriege in der Welt, Korruption unter den Politikern, gesellschaftliche Vorurteile, ethischer Indifferenz, Missbräuche in Medien, Umweltbedrohung, Betrugereien in Markt und Wirtschaft. Er erzählt, dass ihn oft verschiedene Firmen vor Gericht anklagen, weil er ihnen das Geschäft verderbe. „Sie können mir nichts tun, ich bin Jurist, verteidige mich selbst. Übrigens sie verklagen mich nicht, dass ich ihrem Geschäft Schaden anfüge, sondern dass ich z.B. Urheberrechte verletze, oder widerrechtlich ein Logo verwende, so ein Quatsch” – sagte Staeck. „Künstler” nennt er sich selbst nie. Er sagt, er sei „Grafiker” – fürs Brot. Von der Ausbildung – Jurist. Seine Plakate macht er im Computer; die neidischen Künstlerkollegen sagen deswegen über ihn: „ein geschickter Zusammenträger”, „er kann nicht malen”.

Den künstlerischen Rang Staecks bezeugen seine Ausstellungen, Kataloge, Bücher. Es genügt die Teilnahme des Künstlers an drei nachfolgenden *documenta* in Kassel zu erwähnen: 6 (1977), 7 (1982) und 8 (1988); er hatte eine Unmenge Ausstellungen in der ganzen Welt, auch in Polen. Viele Arbeiten von Staeck befinden sich im Plakat-Museum in Wilanow/Warschau. V.I.P. ist Staeck natürlich dadurch, dass er in verschiedenen Fernsehtalkshows auftritt. Er tritt nicht

Związki, instalacja pod tym tytułem była częścią ostatniej dużej mojej wystawy, w Muzeum Historii Miasta Łodzi w 2006 roku. Prosiłem go o jego znany w Polsce plakat o solidarności z „Solidarnością” z 1981 roku. Przysłał trzy: ten właśnie, drugi z matką Albrechta Dürera (temat społecznego ostracyzmu wobec ludzi starych, „Czy wynająłbyś pokój tej kobiecie?” napisał Staeck czerwoną czcionką na rysunku z 1517 roku niemieckiego Mistrza), i trzeci, jeden z najnowszych, w sprawie poczynąń prezydenta Busha wobec krajów muzułmańskich. Do mojego konceptu wzięłem matkę. Upominał się później o materiały prasowe o wystawie. „Do mojego archiwum” – powiedział.

Nie tak dawno temu któregoś dnia jadę przez Unter der Linden renaultem i widzę StaECKa jak kroczy różnym krokiem (w roku bieżącym przekroczy siedemdziesiątkę) w stronę Bramy Brandenburskiej (na Placu Paryskim mieści się jego Akademia Sztuk) z wieczną aktówką pod pachą. W drugiej ręce grubą tekę taszczy. Z daleka widzę na tle Kwadrygi ogromnego konia Fernanda Botero, którego wystawa rzeźb kolosów lipiec-listopad w berlińskim Lustgarten. 20 stacji, po całej Europie ten wielotonowy ładunek wożą. Koń Botera gruby, mięsisty, krwisty perszeron. Przeciwnieństwo anatomiczne Klausea StaECKa; jeśli go porównać do konia, to – powie złośliwiec – może do Rosynanta, na którym rycerz z la Manczy wykonywał swoje szarże. Krzyknąłem z samochodu: „Servus, StaECK! Cześć tobie!” Pomachał mi aktówką.

Berlin, 2008 r. (fragment o Klausie StaECKu 2007)

als Künstler auf, sondern als Gesellschaftskritiker. Das, was er in den Plakaten vermittelt, sagt auch vor der Kamera.

Ende 2005 bekam ich von StaECK per Post seinen imposanten Katalog *Nichts ist erledigt. Klaus StaECK. Eine Retrospektive* – zur Ausstellung in Phoenix-Fabrikhallen Hamburg 2004/2005 (sie war dann in anderen Städten in Deutschland gezeigt). Das flache Bücherpaket war eine Ergänzung zur eine Rolle mit Plakaten. Sie wurden für mein Konzept *Verbindungen* bestimmend; eine Installation mit dem Titel wurde zum Bestandteil meiner Ausstellung im Museum für die Geschichte der Stadt Lodz 2006. Ich bat StaECK um sein Plakat über die Solidarität mit „Solidarnosc” aus dem Jahr 1981. Er schickte mir drei: das erbetene, dann das mit der Mutter von Albrecht Dürer (zum Thema der Gleichgültigkeit zu den alten Leuten: „Würden Sie dieser Frau ein Zimmer vermieten?” schrieb StaECK mit dem roten Druck auf der Zeichnung des deutschen Meisters aus dem Jahr 1517) und eines zur Bush-Politik in Nahem Osten, ein von den neusten Plakaten. Für mein Projekt habe ich die Mutter genommen. StaECK wollte von mir die Presse über die Ausstellung. „Für mein Archiv” – sagte er.

Vor kurzem fahre ich mit dem Renault in Unter der Linden und sehe ich StaECK, der munter Richtung Brandenburger Tor einherschreitet (auf der Pariser Platz steht die neue AdK-Gebäude, in dem der 70-jährige amtiert). Unter dem Arm hält er seine ewige Aktentasche, außerdem schleppt er einen schweren Koffer, wie üblich. Nicht so weit entfernt sehe ich auf dem Hintergrund der Quadriga das Koloss-Pferd von Fernando Botero, dessen „Skulpturenfreilichtmuseum” im Berliner Lustgarten für September-November veranstaltet wurde. 20 Ausstellungsorten, die Riesenwerke werden über das ganze Europa gefahren. Dick, fleischig und vollblutig ist das Botero-Pferd. Ein anatomischer Gegensatz zu Klaus StaECK – wenn einer Giftkröte ihn mit einem Pferd vergleichen wolle, dann mit Rosinante, auf dem der Ritter von la Mancha seine Angriffe führte. Ich rief aus dem Wagen zu ihm: „Servus StaECK! Meine Verehrung!” Er winkte mir mit der Aktentasche zu.

Berlin, 2008 (der Fragment über Klaus StaECK 2007)

Übertsetzung vom Autor

wybiegając do wewnątrz

Czego oczekujesz od pustego pokoju?

Dym papierosowy jest tu tak ciężki,
że aż podłoga wymiotuje popiołem sumienia.
Czego oczekujesz
wbity pomiędzy cztery ekrany białych ścian?

Że, łóżko jak czarodziej
filmy wspomnień bezpiecznie Ci wyciemni?

Bracie!
Wolność nie uznaje kredytów!
Każe sobie słono płacić za swoje usługi.
To ona perfidnie uprawia w Twojej głowie

te puchnące nieustannie grzyby zastanowień.
Zbawcza katatonია jest tylko
bolesnym odpoczynkiem.
Amputujesz ją w końcu
spoglądając w stronę drzwi.

Próbujesz zrozumieć narzucony porządek

wiedząc, że wkrótce
to sanktuarium bezpieczeństwa

aus dem Zimmer herein

Was erwartest du vom leeren Zimmer?

Der Zigarettenrauch ist hier so schwer,
dass der Fußboden die Gewissensasche wegbricht.
Was erwartest du
zwischen vier Bildschirmen blasser
Wände versenkt?
Dass, das Bett wie ein Zauberer
dir die Erinnerungsfilme sicher verdunkelt?

Bruder!
Freiheit erkennt keine Kredite!
Sie lässt sich für ihre Schulden hoch bezahlen.
Sie treibt diese permanent schwellenden
Nachdenkenspilze
perfid in deinem Kopf.
Die erlösende Katatonie ist nur
eine schmerzhaft Erholung.
Du wirst sie schließlich amputieren,
in die Türrichtung hinschauend.

Du versuchst, die dir aufgezwungene Ordnung
zu verstehen,
indem du weißt,
dass diese Ermüdung Dich bald

zmęczeniem wypłuje Cię na ulicę.
Tak? I co?
Nie wiesz, że kiedy to się stanie,
stać Cię będzie
jedynie na to, by oddać się
wytresowanej codzienności,
a wtedy odruchy,
niegdyś do perfekcji wyćwiczone,
pękami nerwów
zakwitną w Tobie bezlitośnie.

Czego oczekujesz od strudzonych chodników?

Spojrzeń, takich jak Twoje,
zaborczo wilgotnych,
co dzień spada na nie niemal całe niebo.
One już dawno z motylą łatwością

nauczyły się spijać historie rzeźnych stóp.
W zamian, co najwyżej,
mdło wyrysują schematy zapętleń
lub mapy Bezmięsc od niechcenia nakreślą.

Czego oczekujesz od pustego pokoju?
Dym papierosowy...
chodnik zachmurzony

aus dem Sicherheitssanktuarium
auf die Straße ausspuckt. Ja? Und was?
Du weißt nicht,
dass wenn es passieren wird, wirst du dir
lediglich das leisten können,
sich dem dressierten Alltag zu unterwerfen
und dann werden
die ehemals bis zur Vollkommenheit
geübten Reflexbewegungen,
mitleidslos in Dir mit Nervenknospen aufblühen.

Was erwartest du von ermüdeten
Fußgängerwegen?
Jeden Tag fällt auf sie fast
der ganze Himmel von
Blicken, so wie Deine, eroberungsfeuchten.
Sie haben schon lange her gelernt,
die Geschichten der Schlachtfüße
mit Schmetterlingsmühelosigkeit abzutrinken.
Dafür, werden sie allenfalls
fade Unendlichkeitsschemata
oder Ortlosigkeitslandkarten leichthin aufzeichnen

Was erwartest du vom leeren Zimmer?
Der Zigarettenrauch...
bewölkter Fußgängerweg

przeszedł przez gardło pociągu

przeszedł przez
gardło pociągu
zaropiałe podróżnymi

jak kostka lodu
prześliznął się
między
dotykem
a dotykiem

przemknął pomiędzy
niechcianym
a niechcianym

wagony
rozklekotanych myśli
kiszka stolcowa
sumień i
niedokonanych grzechów

na zewnątrz
potok rwący
wolność wiatru

obowiązek kontynuacji
rozpruwający
delikatne
brzuszek tęsknot i
wtuleń

er ist durch ein Zughals durchgegangen

er ist durch ein mit
Reisenden geeiterten
Zughals durchgegangen

wie ein Eiswürfel
ist er
zwischen dem Anfühlen
und Anfühlen durchgeglitten

zwischen dem Abgemeldeten
und Abgemeldeten
durchgeschlichen

Wagen
der klapprigen Gedanken
Mastdarm
der Gewissen und
unvollendeten Sünden

draußen
ein Sturzbach
eine Windfreiheit

die zarte Sehnsuchts-
und Eindrückensbäuchlein
zertrennende Fortsetzungspflicht

On, jakby stał w miejscu
wobec uległym pędowi
myślchrząstkom
sunął bezszelestnie
aż do bolesnego
kwiku drzwi

rozdarły się
ale krótko
dłonie wiatru
nagłym ruchem
zatkały przerażone usta

On
tylko wyszedł
z klaustrofobicznego pancerza

pozostawił po sobie
chłód przemykający
pomiędzy robakami w hodowli

Tyle,
że po stokroć
dotkliwszy.

Er, als ob still
angesichts der dem Lauf unterwürfigen
Denkensknorpel stünde
hat sich geräuschlos
bis zum schmerzlichen Gequieke
der Tür geschoben

die haben sich zerrissen
aber kurz
die Hände des Windes
haben mit einer plötzlichen Bewegung
den entsetzten Mund gestopft

Er
ist nur aus
dem Klaustrophobiepanzer ausgegangen

hat die zwischen
den Würmern in einer Zucht
durchschleichende Kälte hintergelassen

nur, dass hundertmal empfindlicher

Michael Kurzwelly

Słubfurt – eine Stadt an der Grenze zweier Länder, die es nicht gibt.

Die erste deutsch-polnische
Stadt an der Oder – www.slubfurt.net

Hervorgegangen ist Słubfurt aus den beiden Städten Słub und Furt an der deutsch-polnischen Grenze, mit ihren zwei Kulturen, zwei Sprachen und zwei Realitäten in zwei Ländern.

Słubfurt wurde am 08. November 1999 auf einer gemeinsamen Stadtratssitzung gegründet und dann am 29. November 2000 in das europäische Städteregister eingetragen.

Der Stadtverband Słubfurt setzt sich aus den zwei Stadtparlamenten der beiden Stadtteile Słub und Furt zusammen. Beide Stadtverwaltungen gemeinsam bilden den Słubfurter Stadtrat, aus dessen Mitte im 4-Jahresszyklus der Oberbürgermeister gewählt wird – abwechselnd aus Słub und Furt. Diese Regelung ist allerdings derzeit umstritten, denn bereits unser derzeitiger Bürgermeister, Herr Dr. Władysław Müller, lässt sich weder eindeutig der einen oder anderen Seite zuordnen. Geboren in Słub und aufgewachsen in Furt, studierte er europäisches Recht und Städteplanung am Collegium Polonicum in Słub. Heute amtiert er im neuen Rathaus auf der Stadtbrücke.

Das Zusammenwachsen unserer Stadt ist ein komplexer Vorgang, der heute noch andauert, eine

Michael Kurzwelly

Słubfurt – miasto na granicy państwowej, której nie ma

Pierwsze polsko-niemieckie
miasto nad Odrą – www.slubfurt.net

Miasto Słubfurt powstało z dwóch miast: Słub i Furt na polsko-niemieckiej granicy, z ich dwóch kultur, dwóch języków i dwóch rzeczywistości w dwóch różnych państwach.

Słubfurt został utworzony 8 listopada 1999 roku podczas wspólnego posiedzenia rad miejskich, a 29 listopada 2000 roku – wpisany do europejskiego rejestru miast.

Związek miast Słubfurt składa się z parlamentów obu części miast: Słubu i Furtu. Oba urzędy miast tworzą wspólnie Radę Miasta Słubfurtu, z której grona co cztery lata wybierany jest nadburmistrz – na zmianę, raz ze Słubu, raz z Furtu. Podział ten jest jednak obecnie sporny, ponieważ już naszego obecnego burmistrza, pana dr. Władysława Müllera, nie można jednoznacznie przyporządkować do żadnej ze stron. Urodził się w Słubie, dorastał w Furcie, studiował prawo europejskie i urbanistykę na Collegium Polonicum w Słubie. Dzisiaj urządzuje w nowym ratuszu na moście miejskim.

Zrastanie się naszego miasta ma kompleksowy przebieg, jest procesem, który wciąż trwa. I liczy się w nim tożsamość jego mieszkańców. Wokół Słubfurtu również dzieje się wiele. Globalizacja

prozesshafte Entwicklung. Es hat etwas mit der Identität der Menschen zu tun. Auch Słubfurt ist in große Prozesse eingebettet. Globalisierung der Wirtschaft, Beitritt Polens zur EU, Entmachtung nationalstaatlicher Politik, aber vor allem Sinnkrisen und Ängste der Bürger in einer individualisierten Multioptionsgesellschaft drückten sich in Spannungen und Hektik auf der einen Seite und in Lethargie, Depression und Rückzug auf der anderen Seite aus. Eine Sinnkrise auf beiden Seiten der Oder.

Aber Not macht erfinderisch. Es gründete sich eine kleine Bürgerinitiative, die einen folgenreichen Prozess in Gang setzte. Die TeilnehmerInnen kamen aus Słub und aus Furt, viele von Ihnen waren neu zu uns gezogen und brachten den frischen Blick von außen mit. Wir behaupteten einfach, hier in Słubfurt zu sein. Man verspottete uns, belächelte uns oder ignorierte uns einfach. Aber wir machten weiter, ließen uns nicht beirren und eröffneten ein zweisprachiges Słubfurter Informationszentrum, gründeten den Słubfurter Jugendklub und lebten Słubfurt. Überregional schenkte man uns Aufmerksamkeit. In Polen und Deutschland begann man über die wundersame Stadt Słubfurt an der Oder zu reden, die Touristen fuhren nicht mehr nach Słub oder Furt, sondern nach Słubfurt. Eines Tages bekannte sich auch der Bürgermeister von Furt in einem Interview mit der TAZ (Die Tageszeitung, Berlin) dazu, ein Słubfurter zu sein. Der Prozess verselbständigte sich. Die Politiker von Słub und von Furt erkannten, dass Słubfurt ein Prädikat, ein Gütesiegel, eine Marke geworden war, die es zu nutzen galt.

An der Grenze zweier Länder, die es nicht gibt

Geboren bin ich in Darmstadt, aufgewachsen in Bonn, drei Jahre habe ich in Frankreich und acht Jahre in Poznań, gelebt, bevor ich hierher kam. Das verändert den eigenen Blick auf die Welt. Meine Identität ist durch das Leben in unterschiedlichen Kulturen und Sprachen geprägt. Ein Teil von mir ist mit Polen verwachsen, ein weiterer Teil mit Frankreich...

Ich bin aus Polen nach Furt gekommen, weil Furt an der Grenze zweier Realitäten liegt, weil ich mich in dem Spagat zwischen den Kulturen am wohlsten fühle, weil ich nur über die Brücke gehe und schon in Słub bin.

Aber ich war neu hier, viele Menschen auf beiden Seiten der Oder dachten anders. Ich wollte mich hier

gospodarki, przystąpienie Polski do Unii Europejskiej, osłabienie znaczenia państw narodowych, ale przede wszystkim kryzys egzystencjalny i obawy obywateli rodzące się w zindywidualizowanym multiopcjonalnym społeczeństwie – wszystko to znalazło wyraz z jednej strony w napięciach i nerwowości, a w drugiej w letargu, depresji i wycofaniu. Kryzys egzystencjalny dotyczy obu stron Odry.

Ale potrzeba jest matką wynalazku. Powstała niewielka inicjatywa obywatelska, która uruchomiła proces brzemienny w skutki. Jej uczestnicy pochodzili zarówno ze Słubu, jak i z Furtu, potem przyłączyli się nowi, wnosząc świeże spojrzenie z zewnątrz. Po prostu twierdziliśmy, że tutaj jest Słubfurt. Natrafialiśmy na drwinę, śmiech albo lekceważenie. Ale robiliśmy dalej swoje, nie zbaczaaliśmy z raz obranej ścieżki, otworzyliśmy dwujęzyczne Słubfurckie Centrum Informacji, założyliśmy Słubfurcki Klub Młodzieżowy i dalej mieszkaliśmy w Słubfurcie. Zainteresowanie przyszło spoza regionu. W Polsce i w Niemczech coraz więcej mówiło się o wspaniałym mieście Słubfurcie nad Odrą, turyści coraz częściej przyjeżdżali odwiedzać Słubfurt, a nie Słub albo Furt. Pewnego dnia także burmistrz Furtu przyznał się w wywiadzie dla TAZ (Die Tageszeitung, Berlin), że czuje się słubfurczykiem. Akcja zaczęła żyć własnym życiem. Politycy ze Słubu i z Furtu dostrzegli, że Słubfurt nabrał znaczenia, stał się znakiem jakości, marką, którą można wykorzystać.

Na granicy państwowej, której nie ma

Urodziłem się w Darmstadt, dorastałem w Bonn, zanim tu przybyłem, trzy lata mieszkałem we Francji i osiem lat w Poznaniu. Wszystko to miało wpływ na mój sposób postrzegania świata. Moją tożsamość tworzyło życie w różnych kulturach, używanie różnych języków. Jakaś część mnie wrosła w Polskę, inna została we Francji...

Z Polski przyjechałem do Furtu, ponieważ Furt leży na granicy dwóch rzeczywistości, bo najlepiej czuję się na styku kultur, a tu wystarczy przejść przez most i już jestem w Słubie.

Ale byłem tu nowy, a wielu ludzi po obu stronach Odry myślało zgoła inaczej. Chciałem się tu czuć dobrze, dlatego wymyśliłem Słubfurt, miasto, które najpierw zaistniało tylko w mojej głowie. Jestem głęboko przekonany, że dobry pomysł już sam

wohlfühlen, deshalb habe ich Ślubfurt entwickelt, eine Stadt, die zunächst nur in meinem Kopf existierte. Ich bin zutiefst überzeugt davon, dass eine gute Idee bereits eine neue Realität darstellt, dass bereits mein veränderter Blick meine Umgebung verändert. Trotzdem bin ich kein Träumer, der sich eine Traumwelt erschafft, um sich das Leben angenehmer zu machen. Mich beschäftigt die Frage nach der eigenen Identität, nach Lebensgrundsätzen und Denkstrukturen, die mich geprägt haben. Indem ich mit „Ślubfurt“ einen neuen Lebensraum definiere, stelle ich existierende Strukturen in Frage und biete die Möglichkeit, sich daran zu reiben. Wo liegt meine Heimat? In Bonn, in der Normandie, in Poznań, in Polen oder in Deutschland, in Furt oder in Ślub?

Ich habe beschlossen, meine neue Heimat Ślubfurt zu nennen. Der Begriff ist eine Metapher für einen Lebensraum zwischen den bereits abgesteckten Räumen.

Ich habe mich mit den Städten Ślub und Furt auseinandergesetzt. In beiden Städten ist kaum einer verwurzelt. Der zweite Weltkrieg und die darauf folgende Ost-Westverschiebung der polnischen Grenzen hatte eine Zwangsumsiedlung großen Stiles zur Folge. Ślub war vor dem Krieg Vorort von Furt. Durch den Krieg erst wurden 2 Städte daraus. Die Einwohner von Ślub stammen größtenteils aus den ehemaligen polnischen Ostgebieten, die heute in der Ukraine oder Weißrussland liegen. Sie mussten ihre Heimat verlassen und ließen sich gezwungenermaßen in Ślub nieder. Furt wurde in den letzten Kriegstagen von den Nazis zur Festung erklärt. Die Innenstadt brannte völlig aus und die meisten Einwohner flohen oder fielen dem Krieg zum Opfer. Die DDR-Regierung baute die Stadt neu auf, gründete das Halbleiterwerk und siedelte hier künstlich Menschen aus dem gesamten Gebiet der DDR an. Hinzu kamen russische und deutsche Militärkasernen. Die Menschen wurden mit großzügigen Angeboten hierher gelockt, doch für viele wurde die Stadt nie richtig eine Heimat. Allein aus diesem Grunde ist Ślubfurt ein Angebot für eine Auseinandersetzung mit der eigenen Identität. In diesem Sinne will ich sicherlich einen Beitrag für gesellschaftliche Veränderung leisten.

Wirklichkeit oder Spinnerei?

Ich bin Künstler und arbeite mit Ślubfurt an einer sozialen Plastik. Ich benutze dafür den Kontext des

w sobie tworzy nową rzeczywistość, że już zmiana mojego spojrzenia zmienia otaczający mnie świat.

Mimo to nie jestem marzycielem, który tworzy w głowie wymagowaną rzeczywistość, tylko po to, by czuć się lepiej w życiu. Szukam odpowiedzi na pytanie o tożsamość, o zasady życia i struktury myślenia, które odcisnęły na mnie piętno. „Ślubfurt” definiuje nową przestrzeń życiową, kwestionuje istniejące struktury i pozwala o nich dyskutować. Gdzie jest moja ojczyzna? W Bonn, w Normandii, w Poznaniu, w Polsce czy w Niemczech, w Furcie czy w Ślubicach?

Postanowiłem, że moja nowa ojczyzna będzie nazywać się Ślubfurt. Pojęcie to jest metaforą przestrzeni życiowej zawierającej się w przestrzeni już wcześniej wyznaczonej.

Postanowiłem przyrzeć się obu miastom. Niemal nikt nie czuje się w nich zakorzeniony, ani w jednym, ani w drugim. Druga wojna światowa i będące jej skutkiem przesunięcie Polski na zachód doprowadziły do akcji przesiedleńczej na wielką skalę. Ślub był przed wojną przedmieściem Furtu. Dopiero wojna stworzyła dwa miasta. Mieszkańcy Ślubu pochodzą w większości z dawnych polskich terenów wschodnich, dziś będących częścią Ukrainy czy Białorusi. Zostali zmuszeni do opuszczenia ziemi rodzinnej i osiedlenia w Ślubie. Furt w ostatnich dniach wojny narodowi socjaliści ogłosili twierdzą. Centrum spłonęło doszczętnie, większość mieszkańców uciekła lub padła ofiarą wojny. Rządy NRD odbudowały miasto, stworzyły zakłady półprzewodników, osiedliły sztucznie ludzi z całego obszaru NRD. Doszły do tego rosyjskie i niemieckie koszary. Ludzie przyjeżdżali tu skuszeni hojnymi obietnicami, ale rzadko kto naprawdę związał się z tym miastem. Już samo to czyni ze Ślubfurtu idealne miejsce dla kogoś, kto zadaje sobie pytanie o własną tożsamość. I w tym sensie oczywiście chciałbym wnieść wkład w zmiany społeczne.

Rzeczywistość czy obłąd?

Jestem artystą i pracuję w Ślubfurcie nad plastyką społeczną. Wykorzystuję do tego celu kontekst polsko-niemieckiej przestrzeni miejskiej Ślub-Furtu. Jestem przekonany, że dzięki Ślubfurtowi pojawiają się nowe możliwości i nowe różnice, i że można je wyrazić. Dlatego pracuję między innymi przy zastosowaniu metody konstrukcji rzeczywistości. Lubię

deutsch-polnischen Stadtraumes Słub-Furt. Ich bin davon überzeugt, dass durch Słubfurt Möglichkeiten und Unterschiede hervortreten und ausgesprochen werden können. Dabei arbeite ich unter anderem mit der Methode der Wirklichkeitskonstruktion. Ich arbeite gerne in Netzwerken mit anderen KünstlerInnen zusammen (www.raumumordnung.net) und habe 12 weitere KünstlerInnen bei dem Projekt „Słubfurt City?“ zur Mitarbeit eingeladen. Sie bringen auch für mich neue Aspekte in den Diskurs. Im Juli 2004 wurden die ersten 25 Meter der „Słubfurter Stadtmauer“ auf dem Plac Bohaterów eingeweiht, im Dezember 2007 weitere 25 Meter im Stadtteil Furt am Dreiländereck (Deutschland, Poland, Kaufland). Die Mauer steht auf einem gedachten, mit dem Zirkel gezogenen Kreis, der die Stadtzentren von Frankfurt und Słubice umschließt. Er beschreibt eine Schnittmenge aus den Mengen Deutschland und Polen, die ich Słubfurt genannt habe. Die Mauer ist 50 Zentimeter hoch und kann somit auch als Bank genutzt werden. Sie ist ein Ort der Kommunikation und ein Stolperstein für eine Auseinandersetzung mit diesem gedachten neuen Stadtraum.

In einem leerstehenden Laden in der Grossen Scharrnstraße befand sich 2004 das Słubfurter Informationszentrum, das äußerlich ganz wie eine Touristeninformation aussah. Hier konnte man den Słubfurter Stadtführer mit Stadtplan inklusive einem Film auf DVD über die Stadt Słubfurt erstehen, sowie 10 verschiedene Postkartenansichten, Słubfurter Wein und andere Souvenirs erhalten. Tatsächlich wurden wir dort häufig von Touristen besucht, denen wir die Stadt erklärten. Außerdem gibt es einen als mobile Touristeninformation umgebauten VW-Bus, mit dem ich bereits in Berlin, Poznań, Essen und Linz/Österreich für Słubfurt geworben habe. Der Bus und das Infozentrum werden vom Słubfurter Stadtappen, einem Hahn auf einem Ei, geschmückt. Ich biete Stadtführungen durch Słubfurt an und erkläre meinen Gästen, wie unsere Stadt funktioniert – und häufig glauben sie mir oder halten Słubfurt zumindest für möglich. Nachdem der Słubfurter Jugendklub 2003 zunächst als Kunstprojekt von unserer deutsch-polnischen Künstlergruppe „Projekt Helmut Kowalski“ mit 16 Jugendlichen aus Słub und aus Furt durchgeführt wurde, gibt es ihn nun seit Januar 2006 wirklich, zumindest als zweijähriges Pilotprojekt. Damit ist die erste echte Słubfurter Einrichtung entstanden, bei der Jugend-

pracować w sieciach z innymi artystami (www.raumumordnung.net) i zaprosiłem 12. z nich do współpracy w projekcie „Słubfurt City?“. Wnoszą w dysputę nowe aspekty, także dla mnie. W lipcu 2004 roku miało miejsce odświeżenie pierwszych 25 metrów „Słubfurckiego Muru Miejskiego“ na Placu Bohaterów, w grudniu 2007 kolejne 25 metrów w Furcie, w punkcie zetknięcia trzech „krajów“ (Deutschland, Poland, Kaufland). Mur stoi na wymyślnym, wyrysowanym cyrkiem okręgu zamykającym centra Frankfurtu i Słubic. Wyznacza obszar tego, co wyciąłem z obszaru Niemiec i Polski, i co nazwałem Słubfurtem. Mur ma wysokość 50 centymetrów i może być w związku z tym używany jako ławka. Jest miejscem komunikacji i jednocześnie kamieniem do ogródka wszystkich, którzy chcą wyrazić swój stosunek do tej nowej przestrzeni miejskiej.

W 2004 roku w opuszczonym sklepie przy Grosse Scharrnstraße znajdowało się Słubfurckie Centrum Informacyjne, które z zewnątrz wyglądało zupełnie jak informacja turystyczna. Tutaj można było kupić przewodnik po Słubfurcie wraz z planem miasta i filmem DVD o mieście, a także 10 różnych kartek pocztowych, słubfurckie wino i inne pamiątki. I rzeczywiście, często odwiedzali nas tam turyści, którym objaśnialiśmy miasto. Ponadto istnieje volkswagen-bus, wyglądający jak mobilna informacja turystyczna, z którym reklamowałem już Słubfurt w Berlinie, Poznaniu, Essen i Linzu w Austrii. Bus i centrum informacyjne ozdobione są herbem Słubfurtu: kogutem na jaju. Oferuję usługi przewodnika po Słubfurcie i wyjaśniam moim gościom, jak funkcjonuje nasze miasto – i często mi wierzą, a przynajmniej sądzą, że Słubfurt może istnieć. W 2003 roku powstał Słubfurcki Klub Młodzieżowy, początkowo jako projekt artystyczny prowadzony przez grupę artystów „Projekt Helmut Kowalski“ wspólnie z szesnastką młodych ludzi ze Słubu i z Furtu, natomiast od stycznia 2006 już jako byt realny, przynajmniej w formie dwuletniego programu pilotażowego. W ten sposób utworzona została pierwsza instytucja słubfurcka, w której młodzież z obu miast wspólnie spędza wolny czas, ucząc się niewymuszonego, normalnego stosunku do siebie wzajem.

„Słubfurcki Ratusz“ został otwarty podczas „Olimpiady Słubfurt-Gubien“, 11 lipca 2008 roku. Obaj burmistrzowie, Słubu – Ryszard Bodziacki,

liche beider Städte gemeinsam ihre Freizeit verbringen und im Alltag einen entkrampfenden und normalen Umgang miteinander lernen können.

Das „Stufurter Rathaus“ wurde während der „Olympiade“ zwischen „Stufurt und Gubien“ am 11. Juli 2008 eröffnet. Die beiden Stadtteilbürgermeister von Stuf (Ryszard Bodziacki) und von Furt (Martin Patzelt) nahmen an ihrem neuen gemeinsamen Arbeitstisch im Vorzimmer des Stufurter Bürgermeisters Władysław Müller Platz. Die Ausgabestelle für Personalausweise (Direktor E.Migrant) war völlig überlastet, denn an einem Wochenende mussten über 300 Stufurter Personalausweise fertiggestellt werden.

Stufurt ist ein Prozess, der sich langsam entwickelt. Nach 9 Jahren Arbeit ist der Jugendklub eine der ersten sichtbaren Früchte. So wird es irgendwann auch eine Buslinie oder eine Straßenbahn geben, davon bin ich überzeugt. In gewisser Hinsicht ist Stufurt ein Spiel, bei dem jeder mitspielen darf. Etwa 400 Leute sind nun im Besitz des Stufurter Personalausweises, den man auch über unsere Internetseite beantragen kann. Der Film über Stufurt deutet bereits 2004 den Grenzübergang zum Stufurter Rathaus um, an dessen Eingang die Besucher Schlange stehen, um vom Bürgermeister Władysław Müller Kaffee und Kuchen zu bekommen. Kunst kann ein Spiel sein, das mit Humor arbeitet und so die bestehende Realität skurril erscheinen lässt. Das ist beabsichtigt, denn der verschobene Blick ermöglicht andere Sichtweisen. Trotzdem sind die angebotenen Sichtweisen nicht derart abwegig, dass sie unmöglich sind. Die Idee der gemeinsamen Stadtverwaltung orientiert sich an der bereits praktizierten Zusammenarbeit der beiden Städte Kerkrade und Herzogenrath bei Aachen an der deutsch-holländischen Grenze, die den Zweckverband Eurode gegründet haben und damit eine Plattform für einen gemeinsamen Stadtraum über die Grenze hinweg geschaffen haben. Lokalpolitisch betrachtet bin ich überzeugt davon, dass eine Umbenennung von Furt und Stuf in Stufurt der Stadt eine neue Dynamik und neue Perspektiven nicht nur im wirtschaftlichen und touristischen Bereich bringen würde. Was ich einfordern möchte, ist ein Zusammendenken des Stadtraumes bei allen Entscheidungen, ob sie auf der einen oder der anderen Seite gefällt werden. Infrastrukturell gesehen handelt es sich nämlich bereits um einen Stadtraum. Das Furter Hallenbad ist

i Furtu – Martin Patzelt, zajął miejsca przy wspólnym biurku w przedpokoju burmistrza Stufurty – Władysława Müllera. Punkt wydawania stufurckich dowodów osobistych (pod kierownictwem dyrektora E. Migranta) był całkowicie przeciążony, ponieważ przez jeden weekend trzeba było wydać ponad 300 takich dokumentów.

Stufurt to proces, który toczy się powoli. Po 9 latach pracy Klub Młodzieżowy to jeden z pierwszych widzialnych jej owoców. Jestem pewien, że kiedyś powstanie też linia autobusowa albo tramwajowa.

W pewnym sensie Stufurt jest grą, w którą może grać każdy. Dowód osobisty Stufurty posiada obecnie około 400 osób; wniosek o jego wydanie można złożyć także na naszej stronie internetowej. Film o Stufurcie już w 2004 roku przyczynił się do zmiany funkcji przejścia granicznego, które stało się stufurckim ratuszem. Przed wejściem do niego ludzie ustawiają się w kolejki, żeby dostać kawę i ciastko od burmistrza Władysława Müllera. Sztuka może być grą, która wyraża się przez humor, i w ten sposób pozwala dostrzec absurd rzeczywistości. Taki jest nasz zamiar, ponieważ przesunięcie perspektywy pozwala dostrzec coś nowego. A przy tym owe inne perspektywy, które oferujemy, nie są na tyle dziwne, aby stawały się niemożliwe. Pomysł wspólnej administracji miasta opiera się na istniejącej już współpracy miast Kerkrade i Herzogenrath w pobliżu Akwizgranu, na granicy niemiecko-holenderskiej. Miasta te założyły Związek Celowy Eurode, a tym samym podstawę dla wspólnej, ponadgranicznej przestrzeni miejskiej. Z punktu widzenia polityki lokalnej sędzę, że zmiana nazw Furt i Stuf na Stufurt nadałaby miastu nową dynamikę i nowe perspektywy, nie tylko w gospodarce czy turystyce. Moim celem jest wymuszenie myślenia o mieście jako całości przy podejmowaniu wszelkich decyzji, niezależnie od tego, po której stronie zapadają. Z punktu widzenia infrastrukturalnego mamy tu już bowiem do czynienia z jednym miastem. Basen w Furcie to już basen stuficki. Przy podejmowaniu wszelkich decyzji powinny być brane pod uwagę aspekty istotne dla drugiej strony, i powinno to znajdować wyraz w treści uchwał. Dlatego już dziś bardzo korzystne byłoby utworzenie wspólnego gremium decyzyjnego. Obie strony dowiedziałyby się więcej o swoich problemach, troskach, obawach, sposobach myślenia i pomysłach. To właśnie próbuję wyrazić w swoich stufurckich projektach. I tak w 2000 roku zreali-

schon heute auch das Schwimmbad von Ślub. Bei jeglichen Entscheidung auf der einen Seite sollte man von Anfang an Aspekte der anderen Seite berücksichtigen und in die jeweiligen Beschlüsse einfließen lassen. Deshalb wäre bereits heute ein gemeinsames Gremium für beide Städte von großem Vorteil. Beide Seiten würden mehr voneinander über ihre Probleme, Sorgen; Ängste, Denkweisen und Ideen erfahren. Das versuche ich in meinen Ślubfurt-Projekten zu verdeutlichen. So habe ich 2000 das Projekt „smacznego - guten appetit“ realisiert, bei dem 16 Gastgeber aus Ślub und aus Furt unbekannte Gäste zu einem Abendessen einluden. Zunächst habe ich die 16 Gastgeber gebeten, mir ihren Speiseplan für den 19. Mai um 19 Uhr mitzuteilen. Diesen Speiseplan habe ich dann ohne Angabe von Namen und Adressen in der Gazeta Lubuska und der Märkischen Oderzeitung veröffentlicht. Alle Speisen auf deutscher Seite waren nur in polnischer Sprache angegeben und umgekehrt. Auf diese Weise meldeten sich Ślubur Bürger für ein Essen in Furt an und umgekehrt. Gastgeber und Gäste verbrachten den Abend ungestört und mussten selber Wege finden, über Sprachbarrieren hinweg miteinander zu kommunizieren. Ich bat sie, den Abend in selbst gewählter Form zu dokumentieren und zu reflektieren. Die Ergebnisse wurden 2 Wochen später in der Kneipe des Ślubur Kulturhauses präsentiert und unser Verein richtete für alle ein kleines Buffet aus. Über 100 Leute kamen da aus unterschiedlichsten Generationen zusammen, die sich ansonsten nie begegnet wären.

Ślubfurt ist politisch

Das größte Problem beim Zusammendenken von Ślub und Furt ist jedoch das bis heute starke Wirtschaftsgefälle, das Ängste auf beiden Seiten schürt. So haben viele Furter Angst vor billigen Arbeitskräften aus Ślub und umgekehrt haben viele Ślubur Angst, von dem viel größeren und wirtschaftlich stärkeren Furt erdrückt zu werden. Auch hier würden offene Gespräche in einem gemeinsamen Gremium helfen. Das verlangt natürlich verstärkt nach Zweisprachigkeit in beiden Stadtverwaltungen.

Als Künstler bin ich auch politisch, aber nicht nur. Ein Politiker muss nach Mehrheiten schauen und sich an Spielregeln politischer Konventionen halten. Als Künstler bin ich nur Vertreter meiner eigenen Ideen

zowałem projekt „smacznego – guten appetit“, w ramach którego 16 rodzin ze Śłubu i Furtu zaprosiło do siebie nieznajomych na kolację. Najpierw poprosiłem wszystkie rodziny, aby do godziny dziewiętnastej 19 maja podały mi swoje menu. Te jadłospisy opublikowałem następnie bez podawania nazwisk ani adresów w Gazecie Lubuskiej i w Märkische Oderzeitung. Nazwy wszystkich potraw po polskiej stronie podano po niemiecku i odwrotnie. W ten sposób na kolację w Furcie zgłosili się mieszkańcy Śłubu i odwrotnie. Gospodarze i goście spędzili ten wieczór nie niepokojeni wspólnie, sami musieli znaleźć sposób na pokonanie bariery językowej. Poprosiłem ich, żeby udokumentowali go w sposób wybrany przez siebie, i żeby opisali swoje przemyślenia na jego temat. Wyniki zaprezentowano dwa tygodnie później w kawiarni ślubickiego Domu Kultury, gdzie nasze Stowarzyszenie ufundowało mały poczęstunek. Przyszło ponad 100 osób, przedstawicieli najróżniejszych pokoleń, którzy w przeciwnym razie nigdy by się nie spotkali.

Ślubfurt to sprawa polityczna

Jednak największym problemem we wspólnym myśleniu o Ślubie i Furcie jest do dziś duża różnica w potencjale gospodarczym, która powoduje obawy po obu stronach. I tak furtczycy obawiają się taniej siły roboczej ze Śłubu, zaś ślubczycy boją się, że przytłoczy ich znacznie większy i gospodarczo silniejszy Furt. Również tu przydałaby się otwarta rozmowa we wspólnym gremium. To jednak wymagałoby oczywiście znacznie większego stopnia dwujęzyczności obu administracji.

Jako artysta jestem także politykiem, ale nie tylko. Polityk musi szukać poparcia większości i trzymać się politycznych konwencji. Jako artysta reprezentuję tylko moje własne koncepcje i projekty i mogę tworzyć rzeczy, które nie tak łatwo przepchnąć przez obie rady miejskiej, jak na przykład Ślubfurcki Klub Młodzieżowy. Z drugiej strony działania artystyczne mogą otwierać także polityków na nowe myślenie. Jeśli nadburmistrz Furtu określa sam siebie w mediach jako ślubfurtczyka, jeśli burmistrz Śłubu z entuzjazmem zgadza się na budowę fragmentu muru ślubfurckiego, to mogę to uznać za pewne sukcesy.

Poza tym polityka nie musi być zinstytucjonalizowana. Każdy może uczestniczyć w niej aktywnie,

und Projekte und kann auch Dinge realisieren, die in den Stadtparlamenten so einfach nicht durchsetzbar sind, wie z.B. der Stufurter Jugendklub. Gleichzeitig können künstlerische Interventionen durchaus auch Denkprozesse bei Politikern auslösen. Wenn der Oberbürgermeister von Furt sich in den Medien als Stufurter bezeichnet, oder wenn der Bürgermeister von Stuf mit Begeisterung dem Bau eines Stückes der Stufurter Stadtmauer zustimmt, sind das kleine Erfolge.

Außerdem muss Politik nicht institutionalisiert sein. Jedes Individuum kann einen aktiven Beitrag zur Politik leisten, der über die Rolle als Stimmvieh hinausgeht. Jeder Mensch kann sich kreativ-künstlerisch in den Gestaltungsprozess unseres Lebens einmischen, dazu möchte ich durchaus anregen.

Seit April 2004 habe ich einen Lehrauftrag im Bereich Kulturwissenschaften an der Europauniversität Viadrina. Ich leite ein Seminar unter dem Thema „Stufurt“, bei dem sich deutsche und polnische Studentinnen eigene Projekte für den Stadtraum ausdenken und umsetzen. Eine studentische Arbeitsgruppe übernahm auch die Redaktion der zweisprachigen Stufurter Zeitung „PROFIL“, die in vier Ausgaben vier Tage eines Stufurter Alltags durchspielte. Die Universität hat sich in den letzten Jahren zu einem wichtigen Standbein meiner Arbeit entwickelt. Im Rahmen eines Stufurt-Seminars realisieren polnische und deutsche StudentInnen regelmäßig gemeinsam Projekte. Mit ihrer Hilfe habe ich letztes Jahr das Stufurter Bürgerforum gegründet und dieses Jahr das „Stufurter Oderfest“ durchgeführt, bei dem BürgerInnen beider Städte die Stadt als Spielfläche umgestalteten und ein gemeinsames Fest vorbereiteten.

Stufurt – Erschließung neuer Wirtschaftspotentiale

Bei meiner Entscheidung, Kunst nicht mehr nur im geschützten Raum einer Galerie zu machen, sondern in den öffentlichen Raum zu gehen, war mir bewusst, dass ich alles selber organisieren muss, von der Finanzmittelakquise über die Öffentlichkeitsarbeit bis zur Umsetzung. Nach der Formulierung meiner Ideen stelle ich üblicherweise Anträge bei verschiedenen Stiftungen, Einrichtungen und Fonds. Das ist je nach Profil und Charakter des Projektes unterschiedlich. Das Projekt „Stufurt City?“ wurde u.a. von der Kulturstiftung des Bundes, dem

być kimś więcej, niż tylko mięsem wyborczym. Każdy może angażować się twórczo w procesy naszego życia zbiorowego, i do tego pragnę każdego nakłonić.

Od kwietnia 2004 roku wykładam na wydziale kulturoznawstwa Uniwersytetu Europejskiego Viadrina. Prowadzę seminarium pod tytułem „Stufurt“, na którym polscy i niemieccy studenci wymyślają i realizują własne projekty w przestrzeni miejskiej. Jedną ze studenckich grup roboczych przejęła także redakcję dwujęzycznego stufurckiego czasopisma „PROFIL“, które w czterech wydaniach odśłoniło cztery dni ze stufurckiej codzienności. Uniwersytet stał się w ostatnich latach ważnym forum mojej działalności. W ramach seminarium polscy i niemieccy studenci regularnie realizują wspólne projekty. Dzięki ich pomocy założyłem w zeszłym roku Stufurckie Forum Obywatelskie, a w tym zorganizowałem „Stufurckie Święto Odry“, w czasie którego obywatele obu miast przekształcili je w plac zabaw i wspólnie przygotowywali święto.

Stufurt – odkrywanie nowych potencjałów gospodarczych

Kiedy podejmowałem decyzję, aby nie prezentować sztuki w bezpiecznych murach galerii, lecz w przestrzeni publicznej, zdawałem sobie sprawę, że będę musiał wszystko zorganizować sobie sam, poczynawszy od zdobywania środków finansowych, poprzez pracę z opinią publiczną, aż po realizację. Gdy już sformułuję swoje pomysły, składam najczęściej wnioski do różnych fundacji, instytucji i funduszy. Różnych, w zależności od profilu i charakteru danego projektu. Na przykład projekt „Stufurt City?“ znalazł finansowe wsparcie Federalnej Fundacji Kultury, Biura Kultury w Furcie oraz spółdzielni mieszkaniowej Wohnbau. Trwał cały rok i wzięło w nim udział wielu innych artystów. To właśnie w ramach tego projektu wychodził „PROFIL“, powstało Centrum Informacyjne czy mury miejskie, ale także inne projekty różnych artystów, takie jak na przykład projekt wspierania migracji motyli wymyślony przez parę artystów ze Sieny – Cinzię Cozzi i Bernarda Giorgiego, wycieczki turystyczne do Stufurtu z ekspresowym kursem polskiego dla berlińczyków, autorstwa Judith Siegmund, czy „Próbna przeprowadzka do Stufurtu“ Christiana Hasuchy. W lutym 2005 roku rozpoczął się pierwszy, prowadzony przez artystę z Linzu, Hansa

Kulturbüro von Furt und der Wohnbau Genossenschaft gefördert. Es lief über ein ganzes Jahr und es nahmen viele weitere KünstlerInnen daran teil. Im Rahmen dieses Projektes kam sowohl die Zeitung „PROFIL“ heraus, sind das Infozentrum und die Stadtmauer entstanden, sowie andere Projekte der teilnehmenden KünstlerInnen, wie z.B. ein Projekt zur Förderung der Migration von Schmetterlingen des Künstlerpaares Cinzia Cozzi und Bernardo Giorgi aus Siena, Touristenreisen mit Expresskurs in Polnisch für Berliner nach Stufurt von Judith Siegmund oder „Probewohnen in Stufurt“ von Christian Hasucha. Im Februar 2005 begann das erste Stufurter Tierstimmencasting des Linzer Künstlers Hans Kropshofer, bei dem Stufurter Einwohner den Schrei des Stufurter Hahns imitieren konnten. Der beste Schrei ist seit Mai 2005 über Megaphone stündlich zwischen 7-19 Uhr auf der Stadtbrücke zu hören.

Die meisten Projekte laufen über den Verein Stufurt, den ich gemeinsam mit anderen engagierten Stufurtern gegründet habe. Als kleiner Verein verfügen wir über kein Personal. Deshalb muss jeder die Verantwortung für die Umsetzung seiner Ideen selber übernehmen, wobei andere im Rahmen ihrer Möglichkeiten helfen.

Um auf beiden Seiten als Verein eingetragen zu sein, haben wir de facto zwei gleichnamige Vereine gegründet. Gleichgewicht ist ein wichtiges Element Stufurter Aktivitäten. Aus diesem Grunde ist unser Vorstand doppelt besetzt. So ist z.B. der Vorsitzende des Stuber Vereins stellvertretender Vorsitzender in Furt und umgekehrt. Alle Mitglieder in dem einen Verein sind automatisch auch Mitglieder im anderen. Wir verstehen uns als Netzwerk verschiedener Akteure, deren gemeinsames Ziel die Vernetzung von Stuf und Furt auf unterschiedlichsten gesellschaftlichen Ebenen ist. Es ist also kein Kunstverein, sondern erlaubt eine Auseinandersetzung mit dem Stadtraum auf unterschiedlichsten Ebenen.

Scheitern in Stufurt

Für 2007 hatte ich – zusammen mit Roland Schefferski - der Europauniversität Viadrina die erste Durchführung der „Stufurt Triennale“ vorgeschlagen, bei der im Dreijahreszyklus international Wissenschaftler und Künstler zusammen mit Einwohnern Arbeiten zum Thema Grenze, Identität,

Kropshofer, casting na imitatorów głosów zwierzęcych, podczas którego mieszkańcy Stufurtu mogli imitować głos słubfurckiego koguta. Najlepszy okrzyk od maja 2005 rozlega się co godzinę, od 7 do 19, przez megafony na moście miejskim.

Większość projektów sygnuje Stowarzyszenie Stufurt, które założyłem razem z innymi zaangażowanymi słubfurtczykami. Jako niewielkie stowarzyszenie nie dysponujemy personelem. Dlatego każdy sam odpowiada za realizację swoich pomysłów, w czym inni pomagają mu na miarę swoich możliwości.

Żeby Stowarzyszenie mogło zostać zarejestrowane po obu stronach, musieliśmy de facto założyć dwa stowarzyszenia o tej samej nazwie. Równowaga to ważny element słubfurckich działań. Z tego powodu zarząd jest dwuosobowy. I tak na przykład prezes stowarzyszenia w Słubie jest jednocześnie wiceprezesem w Furcie i odwrotnie. Wszyscy członkowie jednego stowarzyszenia są automatycznie członkami drugiego. Pojmujemy siebie jako sieć podmiotów, których wspólnym celem jest połączenie działań w Słubie i Furcie na różnych płaszczyznach społecznych. Nie jest to więc po prostu stowarzyszenie artystyczne, umożliwia zderzenie się z przestrzenią miasta na najróżniejszych płaszczyznach.

Słubfurckie porażki

Na rok 2007 – wspólnie z Rolandem Schefferskim – zaproponowałem Uniwersytetowi Europejskiemu Viadrina przeprowadzenie „Słubfurckiego Triennale”: co trzy lata naukowcy i artyści z różnych krajów mieliby wspólnie z mieszkańcami przygotowywać prace na temat granicy, tożsamości, migracji, regionalizmu, globalizacji, na miejscu i w kontekście naszej transkulturowej słubfurckiej przestrzeni miejskiej. To wielki projekt, który na przykładzie sytuacji regionalnej miałby inicjować ponadregionalne idee na temat procesu przemian naszych społeczeństw, a jednocześnie mógłby przyczynić się do rozwoju przestrzeni Stufurtu. Niestety, jak dotąd nie mamy odpowiedniego lobby, które potrafiłoby wywrzeć nacisk na rządy obydwu krajów, aby sfinansowały ten szeroko zakrojony projekt. Nasze dotychczasowe wnioski zostały odrzucone.

Nie zawsze łatwo jest zrozumiale wyjaśnić dysponentom środków pomocowych skomplikowane

Migration, Regionalität und Globalisierung vor Ort im Kontext unseres transkulturellen Stufurter Stadtraumes realisieren sollten. Es handelt sich bei der Idee um ein Großprojekt, das am Beispiel einer regionalen Situation überregional Denkanstöße zum Wandlungsprozess unserer Gesellschaften geben kann und gleichzeitig einen Beitrag zur Entwicklung des Stufurter Stadtraumes leisten könnte. Leider fehlt uns bislang die Lobby bei den Regierungen beider Länder, um dieses finanziell umfangreiche Projekt umzusetzen. Unsere bisherigen Anträge wurden abgelehnt.

Es ist nicht immer einfach, die Komplexität der Projekte den Fördermittelgebern verständlich zu erklären, damit sie zu den jeweiligen Codesystemen passen. Das übliche Jonglieren mit abgelutschten Schlagwörtern, die gerade in Mode sind, ist langweiliger Antragsalltag.

Raumstrategie, Partizipation und Nachhaltigkeit

Stufurt ist im Kontext einer spezifischen geographischen und gesellschaftlichen Situation entwickelt worden und kann nur hier in dieser Form umgesetzt werden. Eine schwierige Situation vor Ort ist eine Herausforderung für mich, der ich mich gerne stelle. Es geht darum, Potenziale zu entdecken und Probleme in Chancen umzudeuten. Wenn es gelingt, für diese Umdeutung Mitspieler unter den Einwohnern zu finden, dann kann ein solches Projekt durchaus nachhaltige Prozesse in Gang setzen.

Am Beispiel des Bombodroms – eines militärischen Sperrgebietes nördlich von Berlin – lässt sich vielleicht das Prinzip der Umdeutung deutlich machen. Ein 145 km² großes Gebiet wurde bereits in den 50er Jahren von der sowjetischen Armee beschlagnahmt und bis zur Wende als Testgebiet für Bombenabwürfe genutzt. Nach der Wende übernahm die Bundeswehr die Obhut über das teilweise bis heute noch kontaminierte Gebiet. Kurz darauf wurde bekannt, dass die Bundesregierung plant, hier wieder einen Bombenabwurfplatz einzurichten. Seitdem kämpft die bisher größte deutsche Bürgerinitiative in der Region gegen das Bombodrom.

Als ich eingeladen wurde, mich künstlerisch vor Ort mit dem Problem zu befassen, habe ich versucht, diesen Problemkontext und die Befürchtungen der Menschen in einer touristischen Region in einer neuen Sichtweise zusammenzuführen. So entstand

projekte, tak aby pasowały do danego systemu. Nudna codzienność przy składaniu wniosków to ciągłe żonglowanie sztamowymi hasłami, które akurat są w modzie.

Strategia przestrzenna, partycypacja i długofalowe skutki

Stufurt powstał w specyficznym kontekście geograficznym i społecznym i może być realizowany w tej formie tylko tu. Trudna sytuacja tu, na miejscu, to wyzwanie, które chętnie podejmuję. Chodzi o to, żeby odkrywać potencjał, a problemy przekształcać w szansę. Jeśli uda się zachęcić do udziału w tych działaniach mieszkańców, to projekt taki może skutkować długofalowymi procesami.

Zasadę przekształcania znaczeń można wyjaśnić na podstawie Bombodromu – zamkniętej strefy wojskowej na północ od Berlina. Jest to obszar wielkości 145 km², przejęty już w latach 50. przez armię sowiecką, a potem aż do okresu przemian wykorzystywany jako poligon dla ataków bombowych. Po przemianach odpowiedzialność za ten, częściowo jeszcze do dziś skażony teren, przejęła Bundeswera. Wkrótce potem okazało się, że również Rząd federalny zamierza używać go w poprzednim celu. Od tego czasu największy w Niemczech ruch społeczny walczy o likwidację poligonu w tym regionie.

Kiedy zaproszono mnie, bym zajął się problemem na miejscu, z punktu widzenia artystycznego, podjąłem próbę ukazania tamtego kontekstu i obaw ludzi w tym turystycznym regionie z nowego punktu widzenia. I tak powstał przewodnik wokół „białej strefy”, ułatwiający zwiedzenie w siedmiu etapach terenów wokół tej pierwszej w świecie nowej białej plamy. Można to ująć: wędrówka wokół Niczego. Problemy filozoficzne i egzystencjalne mieszają się tu z wewnętrzną konfrontacją zagrożenia stwarzanego przez wojsko i turystycznego wykorzystania właśnie tego problemu. Przewodnik wraz z mapą został wydrukowany w nakładzie 2000 sztuk i można go zamówić w księgarniach. Na odwrotnej stronie mapy znajduje się około 50 ogłoszeń „mieszkańców pogranicza strefy”, którzy oferują swoje pensjonaty, place kempingowe, sklepy i inne atrakcje osobom wędrującym wokół strefy. Jest wśród nich 3 wykwalifikowanych przewodników, którzy dodatkowo oferują treningi „wyluzowania” oraz „znajdowania

der Wanderführer um die „weisse zone“, bei dem man in 7 Etappen um den weltweit ersten neu entstandenen weissen Fleck wandern kann. Sozusagen wandern ums Nichts. Philosophische und existentielle Fragen mischen sich mit einer Auseinandersetzung der Bedrohung durch Militär und einer touristischen Vermarktung gerade dieses Problems. Der Wanderführer mit Wanderkarte wurde in einer Auflage von 2.000 Stück gedruckt und kann überall im Buchhandel bestellt werden. Auf der Rückseite der Karte befinden sich etwa 50 Anzeigen von „Zonenrandbewohnern“, die ihre Pensionen, Campingplätze, Läden und andere Attraktionen für die Zonewanderer anbieten. Darunter 3 qualifizierte Zonenführer, die zusätzlich Entscheidungstraining oder Konsenstraining anbieten. Menschen der Region haben sich auch mit Ideen aktiv am Entstehen des Wanderführers beteiligt und das erste Volkswanderwochenende um die weisse zone wurde zu einem großen Erfolg. Regelmäßig erhalte ich Anrufe von begeisterten Touristen, die um die weisse zone gewandert sind. 2007 habe ich zusammen mit dem Verein UmLand e.V. das IWF, das Institut für Weisse Zone Forschung gegründet (www.institut.weisse-zone.net). Mit dieser Formel versuche ich, einen anderen Rahmen für wichtige Fragen ländlicher Regionalentwicklung zu kreieren, bei dem Einwohner, Künstler und Forscher gemeinsam nachdenken, spielerisch Neues ausprobieren und umsetzen. Das IWF beinhaltet einen Raum, in dem sich das Dorf Zempow mit seinen Bürgern nicht nur in Filmen der „Videothek Zempow“ selbst spiegeln und einbringen kann. Im Herbst 2008 wurde im Rahmen des Projektes „Blühende Landschaften?“ ein Wanderweg eingerichtet, der ungewöhnliche Blicke auf das Dorf erlaubt. Ein weiterer Prozess hat begonnen, dessen Verlauf vor allem von den Menschen vor Ort abhängt.

Ślubfurt – 1998 begonnen – hat einen Langzeitprozess ausgelöst. Ślubfurt ist heute meine Heimat. Die StudentInnen meines Ślubfurt – Seminars an der Europa-Universität Viadrina, gerade diejenigen, die halb Polen und halb Deutsche sind, finden in Ślubfurt ein Angebot für einen Raum, in dem sie sich zuhause fühlen. Wirklich.

Kontakt: Michael Kurzweily, Güldendorfer Str. 13, EU/D-15230 Ślubfurt, Tel.: +49-335-6641181, +49-171-2668747, mail: arttrans@arttrans.de, web: www.arttrans.de, www.slubfurt.net, www.weisse-zone.net, www.institut.weisse-zone.net

konsensu“. Mieszkańcy regionu aktywnie współuczestniczyli w tworzeniu przewodnika, a pierwszy weekend wędrówek wokół białej strefy okazał się wielkim sukcesem. Regularnie otrzymuję telefony od zachwyconych turystów, którzy przewędrowali trasę wokół białej strefy. W 2007 roku wraz ze stowarzyszeniem UmLand e. V. założyłem IWF, Institut für Weisse Zone Forschung (Instytut Badania Białej Strefy, www.institut.weisse-zone.net). Dzięki tej formule chciałbym doprowadzić stworzenia nowych ram dla kwestii rozwoju regionalnego obszarów wiejskich, w których mieszkańcy, artyści i naukowcy będą mogli wspólnie zastanawiać się, bawiąc się spróbować czegoś nowego, zrealizować swoje pomysły. IWF zawiera w sobie przestrzeń, w której zaznacza swą obecność wieś Zempow, i odwziewiedla ją, nie tylko w filmach gromadzonych w „Wideothek Zempow“. Jesienią 2008 roku w ramach projektu „Kwitające krajobrazy?“ wyznaczony został szlak turystyczny dający niezwykle spojrzenie na wieś. Zaczął się kolejny proces, którego kontynuacja zależy przede wszystkim od ludzi na miejscu.

Ślubfurt – rozpoczęty w 1998 roku – był załącznikiem długotrwałego procesu. Ślubfurt jest dziś moją ojczyzną. Studenti mojego ślubfurckiego seminarium na Uniwersytecie Europejskim Viadrina, szczególnie ci będący pół Polakami, pół Niemcami, odnajdują w Ślubfurcie przestrzeń, w której czują się u siebie. Naprawdę.

Kontakt: Michael Kurzweily, Güldendorfer Str. 13, EU/D-15230 Ślubfurt, tel.: +49-335-6641181, +49-171-2668747, mail: arttrans@arttrans.de, adresy stron: www.arttrans.de, www.slubfurt.net, www.weisse-zone.net, www.institut.weisse-zone.net

tłumaczenie Grzegorz Kowalski



PREZENTACJE

Norman Smużniak

Rocznik 1969. W latach 1989-1991 studiował wychowanie plastyczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Następnie, w latach 1991-1996 kształcił się na Wydziale Malarstwa i Rzeźby Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Dyplom z wyróżnieniem w zakresie malarstwa sztalugowego uzyskał w roku 1996 w pracowni prof. Andrzeja Klimczaka-Dobrzanieckiego. Obecnie jest adiunktem tegoż profesora w Instytucie Sztuk Pięknych Uniwersytetu Zielonogórskiego oraz w pracowni malarstwa i rysunku Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu.

Ważniejsze wystawy indywidualne: 1996 – wystawa podyplomowa – galeria „W pasażu”, Wrocław; 1998 – „Unglaube”, Zamek książąt głogowskich, Głogów; 1998 – „Ohne Liebe”, Wojewódzka Biblioteka im. C.K. Norwida, Zielona Góra; 1999 – „Lamenti”, Państwowa Galeria Sztuki, Legnica; 2000 – wystawa z okazji inauguracji roku akademickiego ASP, Wrocław; 2000 – „Ignis Fatuus”, Galeria „Pod sceną”, Legnica; 2001 – Rücker GMBH, Gifhorn, Niemcy; 2001 – „Opium Dei”, Akademia Sztuk Pięknych, Wrocław; 2002 – „Mondo cane”, Filharmonia Wrocławska; 2002 – „Mare tenebrarum”, hotel „Radison SAS”, Wrocław; 2002 – „Neonlicht”, Galerie „Pokusa”, Wiesbaden, Niemcy; 2003 – „Endlose Welten”, Haus Fischer, Neuss, Niemcy; 2003 – „Zeitlose Welten”, Biblioteka im. Ossolińskich, Instytut Willy Brandta, Wrocław; 2004 – „Malarstwo”, Muzeum Archeologiczne, Uelzen, Niemcy; 2005 – „Die Reise – Out of time”, Galerie „Pokusa”, Wiesbaden, Niemcy; 2008 – „Millisekunden – When the poets dreamt of angels”, Galerie „Pokusa”, Wiesbaden, Niemcy.

Ważniejsze wystawy zbiorowe: 1993 – „L'Act Unique”, Lille, Francja; 1995 – „Wernisaż w 5”, pokaz w TV Wrocław; 1997 – XXII Przegląd Plastyki Zagłębia Miedziowego, PGSz, Legnica; 1997 – VII Ogólnopolski Przegląd Malarstwa Młodych „Promocje '96”, PGSz, Legnica; 1998 – XVII Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego, Szczecin; 1998 – „Egeria'98”, BWA w Ostrowie Wlkp.; 1999 – Krajowa Wystawa im. Eugeniusza Gepperta, BWA, Wrocław; 1999 – „Contact 2”, Privatgalerie Sibylle von Oppeln, Wiesbaden, Niemcy; 1999 – „En Block”, Ludwigs-Maximilian Universität, Monachium, Niemcy; 2000 – wystawa malarstwa pracowników ASP we Wrocławiu, BKK Brunszwik, Niemcy; 2000 – II pokaz „En Block”, galeria „Na Odwachu”, Wrocław; 2001 – „Eröffnung 2001” – Rücker GMBH, Gifhorn, Niemcy; 2001 – wystawa malarstwa, Blansko, Czechy; 2002 – „Natura rzeczy”, Biuro Wystaw Okręgu Warszawskiego ZPAP, Warszawa; 2003 – Einladung Somer Art. – Galerie „Pokusa”, Wiesbaden, Niemcy; 2003 – Triennale Sztuki „Sacrum”, Częstochowa, „Ku cywilizacji życia”; 2004 – Wystawa malarstwa artystów Euroregionu Nysa, Muzeum Ziemi Jaworskiej, Jawor; 2004 – „Dialog 2”, Artfabrik, Wuppertal, Niemcy; 2004 – „WinterArt”, Galerie Pokusa, Wiesbaden, Niemcy; 2005 – Wrocław - Gdańsk-wystawa malarstwa pracowników ASP we Wrocławiu, ASP w Gdańsku; 2005 – „Śląskie lato w Toskanii”: Palaggio di Parte Guelfa, Florencja, Włochy; 2005 – XXV Przegląd Plastyki Zagłębia Miedziowego, PGSz, Legnica; 2006 – „Figura a struktura” Galeria „El”; 2006 – „Wieżowce Wrocławia ” wystawa z okazji 60-lecia ASP we Wrocławiu, Muzeum Narodowe, Wrocław; 2007 – Wystawa zbiorowa portretów , Scottish National Portrait Gallery; 2008 – Wrocławska Akademia Sztuk Pięknych prezentuje malarstwo – grafikę – rzeźbę, Górny Pałac Sztuki, 3 lipca, Kraków; 2008 – Wystawa Wrocławskiego Designu; malarstwo (wystawa towarzysząca), Miejska Galeria Sztuki, Galeria Willa, Łódź.

Wyróżnienia i nagrody: 1996 – stypendium Ministra Kultury i Sztuki; 1997 – Nagroda Ministra Kultury i Sztuki – „Promocje'96”, PGSz, Legnica; 1997 – Nagroda KGHM „Polska Miedź” S.A., PGSz, Legnica; 1999 – wyróżnienie – Wystawa im. E. Gepperta, BWA, Wrocław; 2005 – wyróżnienie – XXV Przegląd Plastyki Zagłębia Miedziowego, PGSz, Legnica;

Opracowała Lidia Głuchowska

Norman Smużniak

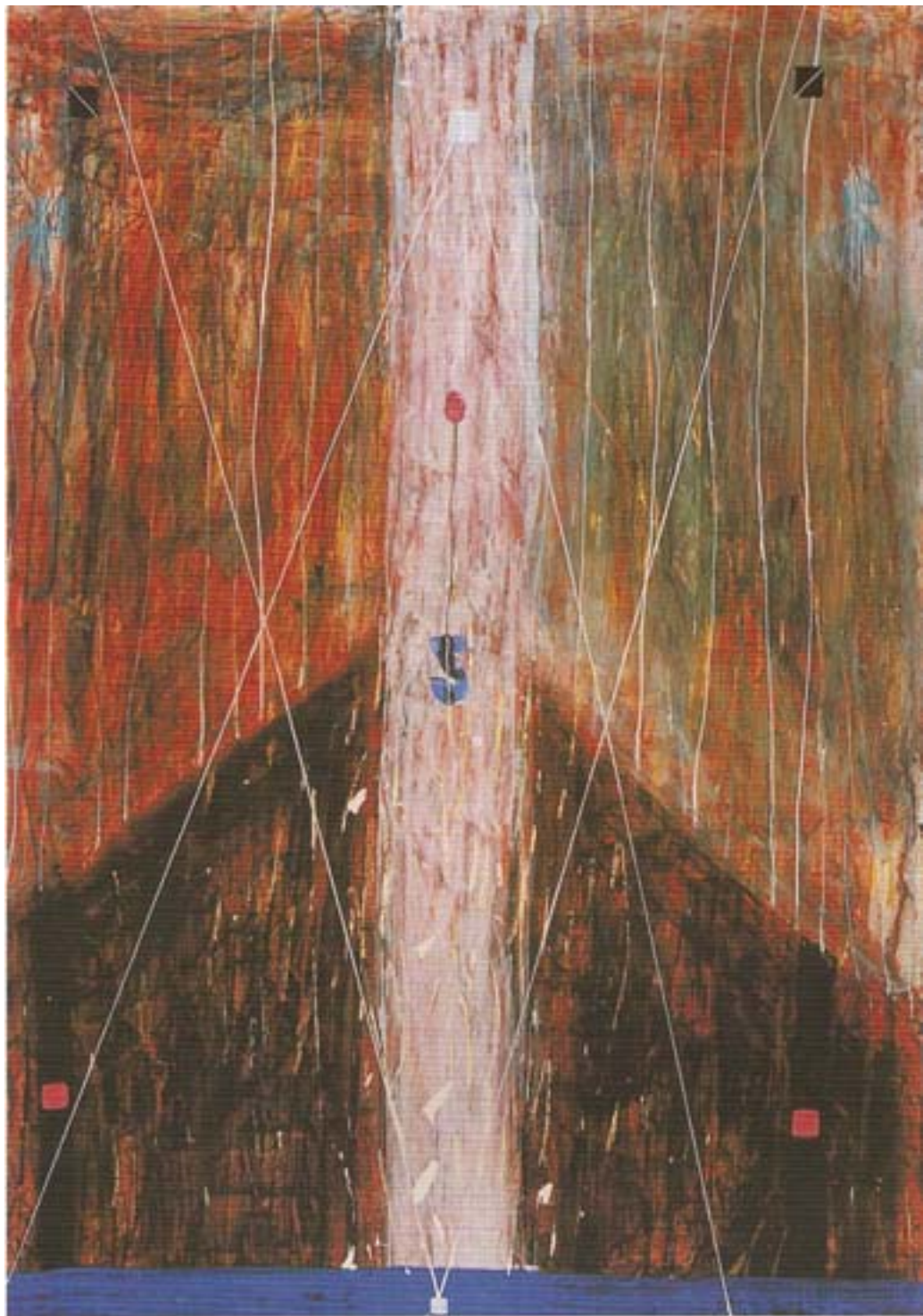
Jahrgang 1969. In den Jahren 1989-1991 studierte er Bildende Kunst an der Adam Mickiewicz-Universität in Poznań, von 1991 bis 1996 am Fachbereich Malerei und Bildhauerkunst der Akademie der Künste in Wrocław. 1996 Diplom mit Auszeichnung im Bereich Staffelmaleri in der Werkstatt von Prof. Andrzej Klimczak-Dobrzaniecki. Zur Zeit Adjunkt beim o.g. Professor an der Universität in Zielona Góra und in der Werkstatt für Malerei und Zeichnung an der Akademie der Künste in Wrocław.

Wichtigere Einzelausstellungen: 1996 – Postgraduierten-Ausstellung – Galerie „W pasażu“, Wrocław; 1998 – „Unglaube“, Fürstenschloss Głogów; 1998 – „Ohne Liebe“, Wojewodschaftsbibliothek in Zielona Góra; 1999 – „Lamenti“, Staatliche Kunstgalerie Legnica; 2000 – Ausstellung zum feierlichen Semesterbeginn an der Akademie der Künste in Wrocław; 2000 – „Ignis Fatuus“, Galerie „Pod sceną“, Legnica; 2001 – Rücker GmbH, Gifhorn, Deutschland; 2001 – „Opium Del“, Akademie der Künste, Wrocław; 2002 – „Mondo cane“, Philharmonie Wrocław; 2002 – „Mare tenebrarum“, Hotel „Radison SAS“, Wrocław; 2002 – „Neonlicht“, Galerie „Pokusa“, Wiesbaden, Deutschland; 2003 – „Endlose Welten“, Haus Fischer, Neuss, Deutschland; 2003 – „Zeitlose Welten“, Ossolineum-Bibliothek / Willy Brandt-Institut Wrocław; 2004 – „Malarstwo“, Archäologisches Museum, Uelzen, Deutschland; 2005 – „Die Reise – Out of time“, Galerie „Pokusa“, Wiesbaden, Deutschland; 2008 – „Millisekunden – When the poets dreamt of angels“, Galerie „Pokusa“, Wiesbaden, Deutschland;

Wichtigere Sammlausstellungen: 1993 – „L'Act Unique“, Lille, Frankreich; 1995 – „Wernisaż w 5“, Fernsehsendung im TV Wrocław; 1997 – XXII Przegląd Plastyki Zagłębia Miedziowego, PGSz, Legnica; 1997 – VII Festival der Jungen Malerei „Promocje '96“, PGSz, Legnica;; 1998 – XVII Festival Zeitgenössischer Malerei, Szczecin;; 1998 – „Egeria'98“, Galerie BWA in Ostrów Wlkp.; 1999 – Eugeniusz Geppert - Landesausstellung, Galerie BWA, Wrocław; 1999 – „Contact 2“, Privatgalerie Sibylle von Oppeln, Wiesbaden, Deutschland; 1999 – „En Block“, Ludwigs-Maximilian Universität München, Deutschland; 2000 – Ausstellung der Mitarbeiter der Akademie der Künste Wrocław, BKK Braunschweig, Deutschland; 2000 – II. Ausstellung „En Block“, Galerie „Na Odwachu“, Wrocław; 2001 – „Eröffnung 2001“ – Rücker GmbH, Gifhorn, Deutschland; 2001 – Ausstellung der Malerei in Blansko, Tschechien; 2002 – „Natura rzeczy“, Biuro Wystaw Okręgu Warszawskiego ZPAP, Warszawa.; 2003 – Einladung Somer Art. – Galerie „Pokusa“, Wiesbaden , Deutschland; 2003 – Kunst-Triennale „Sacrum“, Częstochowa, „Ku cywilizacji życia“; 2004 – Ausstellung der Malerei von Künstlern der Euroregion Neisse, Muzeum Ziemi Jaworskiej, Jawor; 2004 – „Dialog 2“, Artfabrik, Wuppertal, Deutschland; 2004 – „WinterArt“, Galerie Pokusa ,Wiesbaden, Deutschland; 2005 – Wrocław- Gdańsk- Ausstellung von Mitarbeitern der Akademie der Künste in Wrocław und Gdańsk; 2005 – „Śląskie lato w Toskanii“: Palaggio di Parte Guelfa, Florenz, Italien; 2005 – XXV Festival der Bildenden Kunst der Region Legnica, PGSz, Legnica; 2006 – „Figura a struktura“ Galerie „El“; 2006 – „Wieżowce Wrocławia “ Ausstellung zum 60. Jubiläum der Akademie der Bildenden Künste Wrocław, Nationalmuseum Wrocław; 2007 – Sammlausstellung von Porträts, Scottish National Portrait Gallery , ; 2008 – Akademie der Künste Wrocław präsentiert Malerei – Grafik – Bildhauerei, Górny Pałac Sztuki, 3 Juli, Kraków; 2008 – Ausstellung des Designs aus Wrocław; Malerei (begleitende Ausstellung), Städtische Kunstgalerie, Galerie Willa, Łódź.

Auszeichnungen und Preise: 1996 – Stipendium des Ministers für Kultur und Kunst; 1997 – Preis des Ministers für Kultur und Kunst – „Promocje'96“, PGSz, Legnica; 1997 – Preis des Holdings „Polska Miedź“ S.A., PGSz, Legnica; 1999 – Auszeichnung – E. Geppert-Ausstellung, Galerie BWA, Wrocław.; 2005 – Auszeichnung– XXV Festival der Bildhauerkunst der Region Legnickie Zagłębie Miedziowe , PGSz, Legnica.

Übersetzt von Dorota Cygan



Protagonist, 1998, akryl, tempera, karton, 100 x 70



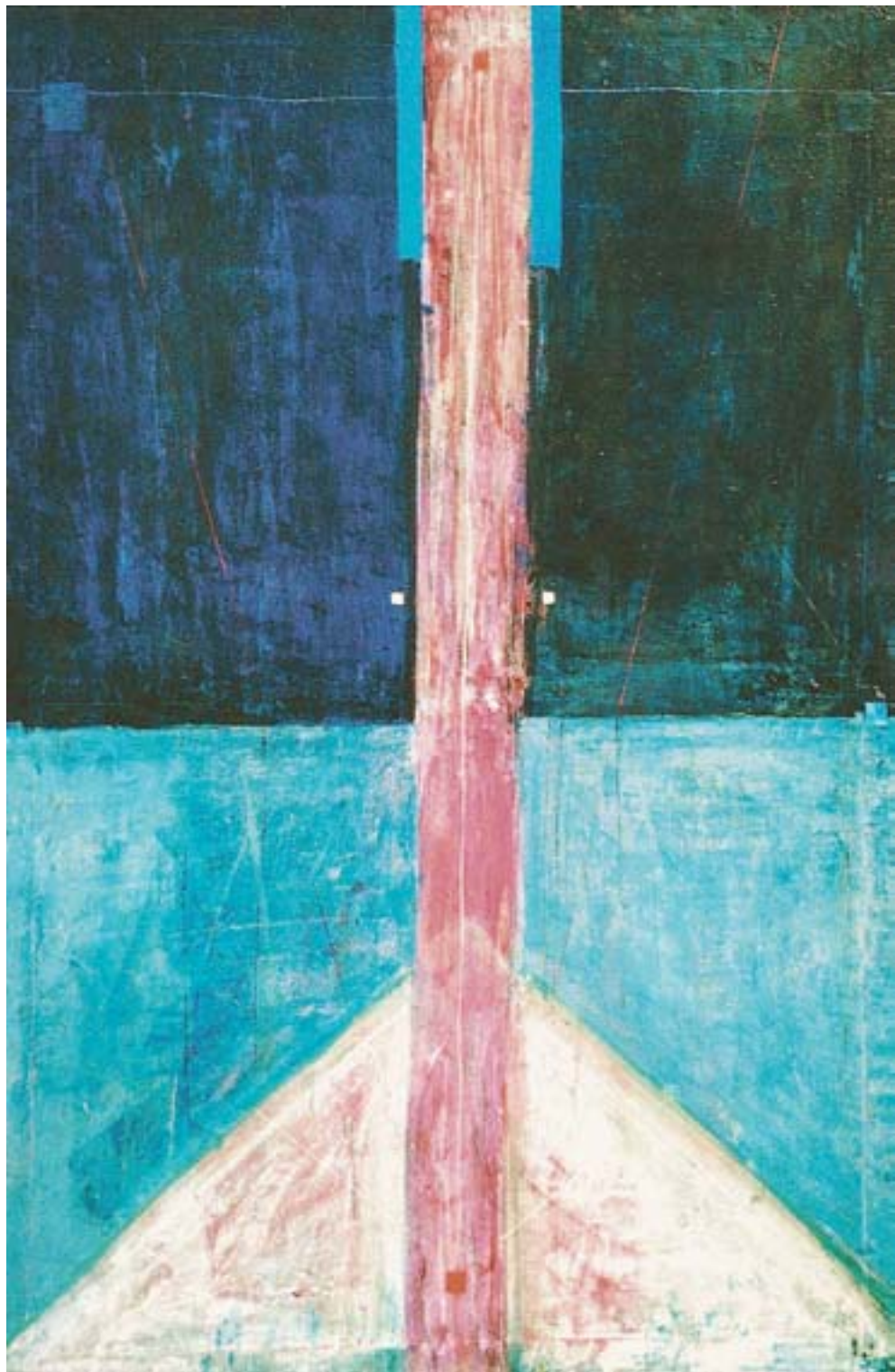
Bez tytułu, 1999, technika olejno-żywiczna, 150 x 200



Open air, 2007, technika olejno-żywiczna, 100 x 200



Le soleil rouge, 1998, akryl, karton, 100 x 70



Seraphina, 1999, olej, karton, 70 x 180

Lidia Głuchowska

Estetyka krzyku
i estetyka szeptu.
Normana Smużniaka
malarstwo
alchemicznych formuł

Malarstwo Normana Smużniaka intencjonalnie, poprzez wielojęzyczne tytuły i zakorzenienie w międzynarodowym kodzie kulturowym wskazuje na uniwersalne, ponadnarodowe aspiracje autora. Jego sukcesy wystawiennicze nie tylko w kraju, ale i za granicą, w tym głównie w Niemczech, od lat są tego potwierdzeniem.

Mimo intelektualnej i optycznej dyscypliny, mimo ascetycznej redukcji literackiej narracji i wyciszenia barw, jest to malarstwo dionizyjskie, malarstwo buntu i zmagania z namiętnością i cierpieniem, ze schematyzmem wizualnego kodowania świata i konwencjonalnością znaków językowych. To lakoniczny komunikat o ogromnym ładunku ekspresji, w którym dominuje poetyka *understatement*, tłumionego krzyku moderowanego elegancją i ascetyzmem form.

Imitatio mundi, naśladowanie świata przez selekcję odgrywa tu rolę marginalną. Nie anegdotyczny mimetyzm, lecz symboliczne aluzje ukryte za niemal niefiguratywnym wyobrażeniem stanowią *conditio sine qua non* tej wyrazistej stylowo i intelektualnie twórczości. To malarstwo formuł otwartych – tak w sensie ideowym, jak i plastycznym, sceptycznie poddające w wątpliwość oczywistość werbalnych i obrazowych definicji rzeczywistości.

Lidia Głuchowska

Ästhetik des Schreis und
Ästhetik des Flüstertons.
Zu Norman Smużniaks
Malerei der alchemischen
Formeln

Durch mehrsprachige Titel und eine Verwurzelung im internationalen Kulturcode verweist die Malerkunst von Norman Smużniak intentional auf einen universellen, übernationalen Anspruch des Autors. Seine Ausstellungserfolge im In- und Ausland, vor allem in Deutschland, sind hierfür seit mehreren Jahren eine Bestätigung.

Trotz intellektueller und optischer Disziplin, trotz asketischer Reduktion des Narrativen und der Zurücknahme des Farblichen, ist das eine dionysische Malerei – die Malerei des Aufbegehrens und des Kampfes gegen die Leidenschaft und den Schmerz, gegen den Schematismus der visuellen Kodierung der Welt und gegen die Konventionalität der sprachlichen Zeichen. Es ist eine lakonische Botschaft von einer ungeheuren expressiven Aufladung, in der die Poetik des Understatements dominiert – eine Poetik des gedämpften, durch seine Eleganz und formale Askese moderierten Schreis.

Das *Imitatio mundi*, die Nachahmung der Welt durch Auslese, spielt hierbei eine marginale Rolle. Eine unerlässliche Voraussetzung dieses stilistisch und intellektuell prägnanten Werkes bildet nicht die ergeben mimetische Darstellung, sondern symbolische Anspielungen, die sich hinter dem nahezu Nichtfiguralen verbergen. Es ist eine Malerei der

Fakturowe bogactwo, mięsista, opalizująca, rozedrgania i haptycznie namiętna materia, mimo swej plastyczności lekka i rozpraszająca światło, kryje doniosłość treści eschatologicznych, sakralnych i niedopowiedzenie. Kunst Normana Smużniaka tkwi także w sile warsztatu, stosowaniu indywidualnych, eksperymentalnych technik – od gwaszu i oleju po techniki własne, w tym eksponowanie walorów podłoża, jak choćby blachy.

W pracach sprzed dziesięciu lat ten już wówczas dojrzały artysta, operował syntetycznym oszczędnym idiomem malarskim z pogranicza geometrycznej abstrakcji i figuracji, zapadającym w pamięć dzięki wyrazistym kontrastom czystych, jednotonowych barw oraz redukcji i syntetyczności dekonstruowanych w tytułach motywów jak „Ogród miłości” czy „Paysage” (oba z 1998 roku). Prostota, czytelność i skala tych dzieł pozwalają uznać je za ogromne piktogramy, przeznaczone do oglądu z dystansu.

Pieta, Golgota, Vir Dolorum, Ecce Homo – powszechnie rozpoznawalne tematy chrystologicznej ikonografii pojawiają się tu w oryginalnej, nowoczesnej interpretacji, uderzającej sumarycznością i optycznym czy myślowym skrótem, podkreślonych także lakonicznym tytułem. Tytuły wczesnych cykli prac – „Krzyż” czy „Geometrii” – najczęściej obcojęzyczne – konotują treści uniwersalne – „Protagonist”, „Seraphimo”, „Lux mundi”, „Gottesblut” (1998), „Erhaben über Welt und Zeit”, „Everyone I love is dead” (wszystkie z 1999 roku). Niekiedy zamiast oswojonej formuły międzynarodowego kodu kulturowego, jak choćby Trinität (Trójca Święta, Trójjednia) pojawia się zagadkowa „Quaternität” (1997/98) – czwórjedność. Symbole cienia, płomienia czy kropli niekiedy uzupełniają tu sugestywne inskrypcje. W cyklu „Lux Aeterna” tytułowe światło nie jest imitowane za pomocą optycznej iluzji światłocienia, lecz – jak we wczesnym malarstwie chrześcijańskim, z którym spokrewnione jest ideowo, sugerowane są za pomocą nobilitujących przedstawiane symbole antyrealistycznych ekwiwalentów malarskich – złota i srebra. „To niezwykle zjawisko malarskie – ‘mundus intelligibilis’ spaja się z idea – ‘mundus sensibilis’ całego cyklu „Lux Aeterna” (Karol Smużniak). Ten artystyczny komunikat wpisuje się w system binarnych opozycji – spójność-fragment, światło-cień, sacrum-profanum. Fizyczny byt dokumentowany, a raczej sugerowany jest tu metaforycznie, a torso

otwartym Formeln – so im ideellen wie im bildnerischen Sinne – welche die Offensichtlichkeit der verbalen und bildhaften Wirklichkeitsbegriffe skeptisch hinterfragt.

Der Reichtum an Faktur und die sinnliche, schimmernd-flackernde und greifbar leidenschaftliche Materie, die trotz ihrer Plastizität leicht und lichtstreuend wirkt, bilden eine bedeutende eschatologische und sakrale Substanz sowie offene Stellen in sich. Norman Smużniaks Meisterschaft steckt auch in seiner handwerklichen Stärke: Er benutzt individuelle, experimentelle Techniken: von der Guasch über Öl- bis hin zur eigenen Maltechnik wie die Hervorhebung des Untergrunds, etwa Blech.

In den Arbeiten von vor 10 Jahren bediente sich der bereits reife Maler eines kompakten, kargen Idioms an der Grenze zwischen geometrischer Abstraktion und Figuration. Diese Eigenart prägte sich ein – durch ihre augenfälligen Kontraste zwischen den eintönigen Farben sowie durch die Reduziertheit und Kompaktheit der in Bilderunterschriften dekonstruierten Motive, etwa im Falle von „Garten der Liebe” oder „Paysage” (beide 1998). Die Eingängigkeit, Deutlichkeit und Skala dieser Werke lassen sie als riesige Piktogramme interpretieren, die aus größerer Distanz zu betrachten sind. Pietä, Golgatha, Vir Dolorum, Ecce Homo – diese durchweg erkennbaren Themen christologischer Ikonographie tauchen hier in einer originellen, modernen Auslegung auf, die durch Bündigkeit und gedankliche Brücken – unterstrichen zusätzlich durch die lakonischen Titel – augenfällig wirkt. Seine frühen Bilderreihen (*Kreuze* oder *Geometrien*) mit meistens fremdsprachigen Titeln konnotieren eine universelle Bedeutung: „Protagonist”, „Seraphimo”, „Lux mundi”, „Gottesblut” (1998), „Erhaben über Welt und Zeit”, „Everyone I love is dead” (alle 1999). Bisweilen taucht aber an Stelle der gewohnten Formel der internationalen Kulturcodes – wie etwa Trinität – die hintergründige „Quaternität” (1997/98), die Viereinigkeit auf. Die suggestiven Inskriptionen werden noch durch Schatten-, Flammen- oder Tropfensymbole ergänzt. In dem Zyklus „Lux Aeterna” wird das Licht nicht durch die optische Illusion von Helldunkel erzeugt, sondern – wie in der frühchristlichen Malerei, mit der es ideell verwandt ist – durch die antirealistischen Maläquivalente Silber und Gold suggeriert, dank denen die dargestellten Symbole nobilitiert werden. „Dieses einzigartige

odarte ze skóry, ciało okaleczone czy ukazane we fragmentach wyraża krytyczną diagnozę na temat kondycji ludzkiej.

Norman Smużniak deklaruje się niekiedy jako post- czy też neoekspresjonista. I w istocie, jego obrazy tchną aurą rodem z Kirchnera, Pechsteina czy Kiefera – tak za sprawą odniesień do ikonografii chrześcijańskiej czy ogólniej eschatologicznej, jak i siły ekspresji, – choć na próżno by tu szukać efektu bezpośrednich nawiązań. Ta autodefinicja sprawdza się w dorobku Smużniaka raczej w odniesieniu do prac starszych niż tych ostatnich, urzekających raczej bogactwem faktur, dyskretnego operowania subtelnie aplikowanym niansem barwnym i walorem niż rozpoznawalnym motywem. Nowsze jego prace wyróżnia ich wyjątkowo intymny charakter – wynikający z jednej strony z formy, przypominającej struktury krystaliczne, porowate minerały i krople wody oglądane pod mikroskopem, a potem ukazane w zmienionej skali. Z drugiej strony ich intymność, a zarazem ich uniwersalny charakter, konotują tytuły prac, choćby tych z 2007 roku – „A space between”, „Night talking”, „Cosmo”, „Himmel”, „Walking on the moon”, odsyłające nie tylko do najbardziej osobistych sytuacji i doznań, lecz również do kosmicznego wymiaru egzystencji. Materia malarska i formuła słowna przemawiają tu dyskretnym szeptem.

Że obraz, nim stanie się piękną kobietą, pejzażem czy koniem w galopie, jest przede wszystkim płaszczyzną pokrytą farbami w określonym porządku, głosił jeszcze Maurice Denis. Smużniak ma świadomość wartości immanentnie malarskich. Mimo resztek anegdoty literackiej, której echo tu i ówdzie pobrzmiewa w jego pracach, to zastosowanie środków stricte plastycznych decyduje o charakterze tych dzieł. Rozrzutne impasty, grube warstwy farby, tworzące reliefowe powierzchnie, rozbijają monotonię zgaszonych zwykle barw

Jednocześnie Smużniak nie dystansuje się od poglądów o synestezyjności sztuk, sekwencje obrazów o wyrazistej kolorystyce, gradacji tonów i rytmie, określa mianem ‘Muzyki’, może podejmując w ten sposób dialog z abstrakcyjnym malarstwem Ciurlanisa.

Pośredni bilans dokonań artysty zawiera wypowiedź Zbigniewa Kraski z Galerii Sztuki w Legnicy, z roku 2004: „To zimne malarstwo wciągało do wewnątrz jak średniowieczne inkunabuły alchemiczne. Potem nastąpiło *pollockowskie* ocieplenie klimatu, palecie przybyło czerwieni, nierzadko ro-

malerische Phänomen – ‘mundus intelligibilis’ – verschmilzt mit der Idee von ‘mundus sensibilis’ des ganzen Zyklus „Lux Aeterna“, so Karol Smużniak. Die künstlerische Botschaft schreibt sich in das System von binären Oppositionen wie Gesamtheit – Fragment, Licht – Dunkel, Sacrum – Profanum ein. Das körperliche Dasein wird hier durch eine Metapher suggeriert: Ein gehäuteter, verstümelter oder zerstückelt dargestellter Torso drückt eine kritische Diagnose über die *conditio humana* aus.

Norman Smużniak definiert sich bisweilen als Post- bzw. Neo-Expressionist. Und in der Tat atmen seine Bilder eine Aura, die von Kirchner, Pechstein oder Kiefer stammen könnte, so wegen der Bezüge zur christlichen Ikonografie wie wegen ihrer expressiven Kraft, wobei sich die Wirkung einer direkten Bezugnahme ja nicht einstellt. Dieses Selbstverständnis ist eher in Bezug auf Frühwerk und nicht die letzten Arbeiten von Smużniak zu bestätigen, die mehr durch Fakturreichtum, diskrete Handhabung der subtil eingesetzten Farbnuancen und -werte als durch identifizierbares Motiv besticht. Die neueren Arbeiten zeichnen sich durch ein ausdrücklich intimen Charakter aus: Zum einen resultiert dies aus einer Form, die kristallinen Strukturen, porösen Mineralien und Wassertropfen nahe kommt, die unter dem Mikroskop betrachtet und anschließend in modifizierter Skala abgebildet werden. Deren Intimität und gleichsam universeller Charakter werden zum anderen durch die Bildertitel konnotiert, etwa „A space between“, „Night talking“, „Cosmo“, „Himmel“, „Walking on the moon“ aus dem Jahre 2007, die nicht nur auf die intimsten Situationen und Empfindungen, sondern auch auf die kosmische Dimension der Existenz verweisen. Die malerische Substanz und sprachliche Formel artikulieren sich hier im diskreten Flüsterton.

Dass ein Bild, bevor es zu schöner Frau, Landschaft oder zu galoppierendem Pferd wird, zunächst vor allem eine in bestimmter Ordnung mit Farben bedeckte Fläche ist, verkündete bereits Maurice Denis. Norman Smużniak ist sich der immanenten Werte der Malerkunst bewusst. Trotz rudimentärer literarischer Anekdote, deren Echo hier und da anklingt, ist es die Handhabung strikter bildnerischer Mittel, die den Charakter seiner Arbeiten ausmacht. Das großzügige Impasto – ein dicker Farbauftrag, der reliefartige Flächen bildet – bricht die Monotonie der gewöhnlich gedämpften Farbtöne auf.

zedrganej perfekcyjnie, indywidualnie i niuansowo, jak u Richtera." W trzeciej fazie była odsłona „...czysto malarskich peregrynacji artysty" (Zbigniew Kraska) obrazy ówczesne, wyróżnia monumentalny format i kunszt na miarę dawnych mistrzów. Kształty są tu rozmyte, jakby oglądane przez zmoczoną deszczem szybę. Formy pryzmatycznie rozproszone i nieostre kontury, ograniczona skala i temperatura barw, pozwalają jednak dostrzec, że stopniowo wdzierają się tu sygnały realnego, zmysłowego bytu świata.

Andrzej Klimczak-Dobrzaniecki już przed dziesięcioma laty dostrzegł w dorobku Normana Smużniaka umiejętność operowania zredukowanymi środkami wyrazu, które „...robią wrażenie klasycznych, tradycyjnych, wręcz realizacji malarskich, a poprzez swoją coraz konsekwentniejszą rezygnację z odwołań do rzeczywistości kojarzą się jednocześnie z obiektami – przedmiotami artystycznymi. Są pomyślane, zdawałoby się – tradycyjnie, klasycznie, jako organizowany kolorem i formą prostokąt malarski, jednak przez swoje 'żelazne' wyważenie i logikę kompozycyjną, przemyślenia – jeśli chodzi o ciężar – i dyskretną dynamikę działają jak przedmiot funkcjonujący w więcej niż dwóch wymiarach przestrzennych. Ale – co istotne – ich zasadnicza wartość tkwi gdzie indziej – obrazy Normana Smużniaka to w pierwszym rzędzie sztuka subtelnej, ale i z mocą używanego koloru, to sztuka wyrafinowanej, wibrującej materii, ale nade wszystko, to sztuka głębokiej, filozoficznej refleksji." (Andrzej Klimczak-Dobrzaniecki, 24.01.1999)

We wczesnych pracach Smużniaka mimetyczne i kreacjonistyczne pierwiastki, a także wartości literackie, narracyjne i immanentnie malarskie pozostają wobec siebie w równowadze.

„W cyklach 'Ryby', 'Krzyże' i 'Geometria' dyscyplina kompozycji wsparta jest magicznymi głosami cyfr, linii, figur geometrycznych czy brył, a często to tworzy kolor – głęboki, nasycony, niepokojący i opalizujący-rozedrgany". „Redukcja form przedstawieniowych na rzecz koloru, a właściwie przestrzeni barwy, tworzy świat gnostyckiej wyobraźni i takiegoż przeżycia." (Karol Smużniak)

Malarstwo to – czy w swej pierwszej czy w aktualnej odsłonie – skoncentrowane jest wokół kwestii ponadindywidualnych, a zatem aspiruje do kodowania treści absolutnych, a nie dokumentowania przypadkowości. Komunikacja wertykalna dominuje tu nad horyzontalną. Obraz jest symbolem, a nie ilustracją otaczającego świata. Odniesienia osobiste

Gleichzeitig distanziert sich Smużniak nicht von der Auffassung der Kunst als Synästhesie: Die Bildsequenzen mit einer ausgeprägten Farbgebung, Tongraduierung und ebensolchem Rhythmus bezeichnet er als ‚Musik‘ und nimmt damit möglicherweise den Dialog mit der abstrakten Malerei Ciurlianis' auf. Eine Zwischenbilanz der künstlerischen Leistung Smużniaks zog im Jahre 2004 Zbigniew Kraska von der Liegnitzer Kunstgalerie mit folgenden Worten: „Diese kühle Malerei zog hinein wie alchemische Inkunabeln des Mittelalters. Dann erfolgte eine Klimaerwärmung nach Pollocks Art: Die Farbpalette bekam mehr Rot – oftmals perfekt, individuell und nuanciert vibrierend wie bei Richter". In der dritten Phase erfolgte die Enthüllung der „rein malerischen Streifzüge des Künstlers" (so Zbigniew Kraska), und die damaligen Bilder zeichnen monumentales Format und Könnerschaft vom Rang der alten Meister aus. Die Umrisse sind hier verschwommen, als würde man sie durch eine regennasse Scheibe betrachten. Die durch ein Prisma zerstreuten Formen, die Konturen-Unschärfe und die Temperatur bzw. der Farbton lassen jedoch erkennen, dass hier allmählich Anzeichen des realen, sinnlichen Welt-daseins eindringen.

Andrzej Klimczak-Dobrzaniecki bemerkte bereits vor zehn Jahren im Werk von Norman Smużniak die Fähigkeit, reduzierte Ausdrucksmittel einzusetzen, die den Eindruck „klassischer, gleichsam traditioneller malerischer Umsetzung vermitteln und durch den immer konsequenteren Verzicht auf den Bezug zur Realität gleichzeitig mit Objekten bzw. künstlerischen Gegenständen assoziiert werden können. Sie sind, scheint es, traditionell und klassisch konzipiert – als Rechteck, das durch Form und Farbe begrenzt ist. Doch durch ihre ‚eiserne‘ Ausgewogenheit, Kompositionslogik und Durchdrachtheit im Hinblick auf die Gewichtung sowie durch ihre verborgene Dynamik wirken sie wie ein Gegenstand, der in mehr als zwei räumlichen Dimensionen funktioniert. Wesentlich ist jedoch, dass ihr grundsätzlicher Wert auf etwas anderem beruht: Die Bilder von Norman Smużniak sind in erster Linie die Kunst der subtilen, aber stark eingesetzten Farbe; es ist die Kunst einer raffinierten, vibrierenden Materie, und vor allem die Kunst einer tiefen, philosophischen Reflexion (so Andrzej Klimczak-Dobrzaniecki, 24.01.1999).

In den frühen Arbeiten von Smużniak bleiben die mimetischen und ingenios-schöpferischen Elemente

i narracja ograniczone są do minimum, a mimo to obraz ... „Nie tylko przedstawia jakąś ideę, ale jest swoiście gnostyczą biografią artysty, sposobem mówienia o sobie.” (Karol Smużniak)

Dziesięć lat ewolucji twórczej tego malarza to i czas gruntownej zmiany *differentia speciffica* jego formuły malarskiej. To czas wystarczający, by zaprezentować niezwykle rozległą skalę własnych możliwości, rozpiętych pomiędzy biegunowo różnymi sposobami ekspresji – malarstwo krzyku i malarstwo szeptu, estetykę nadmiaru i estetykę ascezy.

W tekście wykorzystałam eseje Andrzeja Klimczaka Dobrze-nieckiego, Karola Smużniaka i Zbigniewa Kraski oraz materiał ikonograficzny ze zbiorów artysty.

mit den literarischen, narrativen und immanenten Werten des Malerhandwerks im Gleichgewicht. In den Bilderzyklen 'Fische', 'Kreuze' und 'Geometrie' wird die kompositorische Disziplin durch Glossen aus Ziffern, Linien, geometrischen Figuren oder Kuben unterstützt, was oft einen tiefen, gesättigten, beunruhigenden und schimmernd-vibrierenden Farbton bildet. Die Reduzierung der dargestellten Form zugunsten der Farbe bzw. des Farbraumes, bildet eine Welt, deren Imagination der Gnosis und dem gnostischen Erlebnis entspringt." (so Karol Smużniak)

Diese Malerei ist, sei es in der frühen, sei es in der jetzigen Gestalt, auf die überindividuelle Dimension konzentriert. Damit zeigt sie ihren Anspruch, absolute Inhalte zu kodieren und nicht das Zufällige zu dokumentieren. Die vertikale Kommunikation dominiert über die horizontale. Das Bild ist ein Symbol, und nicht eine Veranschaulichung der realen Welt. Die persönlichen Bezüge und das Narrative sind auf das Minimum beschränkt, und trotzdem stellt das Bild „nicht nur eine Idee, sondern eine eigentümliche, gnostische Biografie des Künstlers, eine Art, über sich zu sprechen“ dar. (so Karol Smużniak)

Zehn Jahre künstlerischen Werdegangs sind eine Zeitspanne, in der sich eine *differentia speciffica*, eine tiefgehende Veränderung der künstlerischen Formel Norman Smużniaks vollzog. Diese Zeit reicht aus, um ein ungeheuer breites Spektrum seiner Möglichkeiten zeigen zu können, die zwischen zwei entgegengesetzten Polen des künstlerischen Ausdrucks angesiedelt sind: Es ist eine Malerei des Schreis und des Flüstertons, eine Ästhetik der Überfülle und der Askese zugleich.

Im vorliegenden Text wurden Essays von Andrzej Klimczak Dobrze-niecki, Karol Smużniak und Zbigniew Krasko sowie das Bildmaterial aus der Sammlung des Künstlers benutzt.

Übersetzt von Dorota Cygan



KRAJOBRAZY LUBUSKIE

Krystyna Kamińska

Santok

*Zaiste musiał być Pan Bóg w dobrym humorze,
kiedy Santok kreślił w swojej mądrej głowie.*

Jerzy Gąsiorek

Z Gorzowa do Santoka (12 km) dojechać można dwiema drogami. Wygodniejsza, bo szeroka i z lepszą nawierzchnią prowadzi wysoczyzną przez wsie Wawrów, Janczewo i Gralewo. Tuż przed Santokiem, ziemnym tunelem, serpentynowo zjeżdża się w dół do wsi położonej w dole, wzdłuż

Krystyna Kamińska

Santok (Zantoch)

*Gott muss fürwahr in bester Stimmung gewesen sein,
als er Santok in Seinem klugen Kopf plante.*

Jerzy Gąsiorek

Von Gorzów kann man Santok (12 km) auf zwei Strecken erreichen. Die bequemere, breite und besser befestigt, führt durch die Hochebene und über die Dörfer: Wawrów, Janczewo und Gralewo. Kurz vor Santok fährt man den Hügel mitten in einem Erdtunnel, wie in einer Serpentine herunter, in das

Noteci i Warty. Natomiast droga prowadzi prosto na most, z którego znakomicie widać jak tuż obok łączy się dwie duże rzeki: Noteć i Warta.

Druga droga, a w zasadzie ścieżka rowerowa trochę poszerzona dla samochodów, prowadzi tuż przy brzegu Warty. Zawsze wybieram tę drugą, bo widoki z niej niezwykle: szeroka, wolno płynąca rzeka z łagodnie schodzącymi ku niej łakami, z rzędem topól po drugiej stronie, jakby trzymających wartę nad Wartą, zazwyczaj także z wędkarzami, którzy nie tracą nadziei na dobre połowy. Po drugiej stronie tej drogi z trudem mieści się tor kolejowy, a tuż za nim wyrastają wysokie wzgórza moreny porośnięte bujną zielenią i mnóstwem kwiatów od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Tą drogą bezpośrednio wjeżdża się do Santoka, wsi-ulicówki rozciągniętej na odcinku aż trzech kilometrów, wąskiej i długiej, bo z jednej strony rzeka, a z drugiej góry.

Klucz i strażnica królestwa

Początki osadnictwa u zbiegu Noteci i Warty datowane są na VII-VIII wiek, gdy powstało tam grodzisko otoczone ziemną palisadą. Miejsce musiało sprzyjać mieszkańcom, bo gród się rozwinął aż osiągnął średnicę 200 metrów. W X wieku wznieziono potężne jego obwałowania rusztowo-skrzyniowe i umocniono podgrodzie. Wał miał do 16 metrów szerokości i do 12 metrów wysokości. Konstrukcję z dębowych brewion wypełniono kamieniami i piaskiem, a z zewnątrz oblepiono gliną. Gród musiał być solidnie zabezpieczony, bo ciągle narażony był na ataki Pomorzan. Odnalezione podczas prac wykopaliskowych eksponaty świadczą o dostatku mieszkańców, o opanowanej przez nich trudnej sztuce obróbki metalu, o umiejętności rycia wzorów w rogu, o uprawie roślin, o tkaniu płótna, po prostu o tym, że żyli w dostatku.

Pierwsza wzmianka o Santoku znalazła się w 1097 r. w roczniku kapituły gnieźnieńskiej. Gall Anonim w swojej kronice spisanej na początku XII wieku nazwał gród „kluczem i strażnicą królestwa polskiego”.

Niełatwo wyobrazić sobie dawny gród. Obszar, który zajmował, od dawna jest opuszczony, zarosły go chaszczce. Jednak choć badania przeprowadzono na zaledwie niewielkiej jego części, dla archeologów jest tak cenny, że nie zezwolał na jakiegokolwiek jego

entlang der Warthe und der Netze gelegene Dorf. Der Weg führt weiter direkt auf die Brücke, von der man sehr gut die ineinander mündenden Flüsse sieht: die Netze und die Warthe.

Die zweite Strecke ist eigentlich eine etwas für die Autos erweiterte Fahrradrouten, dem Wartheufer entlang. Ich wähle immer diesen zweiten Weg, um der Ansichten willen: Da ist der breite, langsame Fluss mit sanft hinabsteigenden Wiesen und einer Reihe von Pappeln auf dem anderen Ufer, als würden sie Wache halten an der Warthe, da sind auch meistens Angler, die ihre Hoffnung auf einen guten Fang niemals aufgeben. Auf der anderen Seite dieses Weges drängt sich mit Mühe die Bahnstrecke hinein, denn gleich dahinter steigen hohe Moränenhügel empor, voller üppigen Grüns und zahlreichen Blumen, vom frühen Frühling bis zum späten Herbst. Mit diesem Weg kommt man direkt nach Santok, einem Dorf entlang einer Straße gelegen, drei Kilometer lang, eng, zwischen dem Fluss auf der einen und den Hügeln auf der anderen Seite.

Der Schlüssel und die Warte des Königreichs

Die ersten Siedlungen an der Mündung der Netze in die Warthe werden auf das 7.-8. Jahrhundert datiert, als dort eine von einem Wall auf Holzkonstruktion umgebene Burg entstand. Der Ort muss günstig gelegen haben, denn die Burg entwickelte sich, bis sie ein Durchmesser von 200 m erreichte. Im 10. Jahrhundert wurde ein riesiger Kastenwall errichtet und die Vorburg verstärkt. Der Wall war 16 m breit und 12 m hoch. Eine Konstruktion aus Eichenbalken wurde mit Steinen und Sand gefüllt und von außen mit Ton beklebt. Die Burg musste gut geschützt sein, da sie immer wieder Angriffen vonseiten der Pommern ausgesetzt war. Bei Ausgrabungen gefundene Gegenstände zeugen vom Wohlstand der Einwohner, dass sie in der schweren Kunst der Metallverarbeitung geübt waren, die Fähigkeit besaßen, Muster auf Hörner zu meißeln, Acker zu bestellen, Leinen zu weben, kurzum: Dass sie in Wohlstand lebten.

Zum ersten Mal wurde Santok 1097 im Jahrbuch des Gnesener Kapitels erwähnt. In seiner Chronik aus dem Anfang des 12. Jahrhunderts bezeichnete Gallus Anonymus die Burg als „Schlüssel und Warte des Königreiches”.



Warta pod Santokiem

Die Warthe bei Santok

wykorzystywanie turystyczne. Jak wyglądało życie w grodzie, wyobrazić sobie można w Muzeum Grodu Santok położonym tuż nad Wartą, obok przeprawy promowej. Jest tam makieta grodu, a także kilka wydobytych z ziemi obrobionych pni, które przed wiekami tworzyły fragment wału. Jednak z trudem w wyobraźni układam te brewiona w wał o wysokości trzypiętrowego domu i szerokości dwa razy większej niż moje mieszkanie. Gmina planuje zbudowanie fragmentu obwałowania w naturalnej wielkości oraz kilku domów obok przyszłej mariny, na terenie przeznaczonym dla turystów. Dobry pomysł.

W muzeum – obok stałej ekspozycji – oglądam multimedialną prezentację życia w grodzie, przeglądając komiks narysowany przez uczennicę Kamilę Matuszewską pt. „Jak Jasio historię Santoka poznawał” i jestem pełna uznania dla nowych form przybliżenia odbiorcom odległej przyszłości. Czy wiecie, że przez pewien czas w Santoku były aż dwa zamki? Pierwszy, w grodzie, zbudowali Słowianie, natomiast na przeciwnym brzegu rzeki drugi wzniesli Pomorzanie. Był on – jak zapisał Gall Anonim w kronice – „tak wysoki i tak blisko położony chrześcijan, że to, co mówiono lub co się działo w Santoku, mogło być dobrze widziane i słyszane przez pogan”. To zdanie aż się prosi o dołożenie fabuły i o inscenizację. Gdy w 1997 r. obchodzono 1300-lecie grodu, w wielkim widowisku plenerowym pokazano, jak król Bolesław Chrobry zdobył zamek Pomorzan, a oni w popłochu uciekali. Widziałam, jak zamek płonął, jak trup siał się gęsto i było pięknie. 10 lat temu Santok miał swojego własnego rycerza, ale on już wydorósł, zajęło go życie rodzinne. Teraz wśród mieszkańców wracają tęsknoty do miejscowej drużyny rycerskiej i do wielkich widowisk zrodzonych z historii. Za ich kanwę służyć może także wizyta

Es fällt einem nicht leicht, sich die Burg auszumalen. Das Gebiet, auf dem sie stand, ist heute eine von Gestrüpp bewachsene Wüste. Und auch wenn bisher archäologische Forschungen auf nur einem kleinen Teil davon durchgeführt wurden, ist es für die Forscher so wertvoll, dass sie da keine touristische Nutzung zulassen. Wie das Leben in der Burg ausgesehen hat, kann man sich dank dem Museum der Burg Santok vorstellen, gleich an der Warthe, neben der Fährenanlegestelle. Es gibt dort ein Modell der Burg sowie mehrere aus der Erde herausgezogene Pfähle, die vor Jahrhunderten ein Fragment des Walls darstellten. Mir fällt es jedoch schwer, diese Balken vor meinem geistigen Auge zu einem Wall zusammenzufügen, so hoch, wie ein dreistöckiges Haus, zweimal so breit, wie meine Wohnung. Die Gemeinde plant, ein Fragment des Walls in der ursprünglichen Größe sowie mehrere Häuser wiederherzustellen, um sie in der Nähe der künftigen Marina, für die Touristen, zu platzieren. Es ist eine gute Idee.

Im Museum schaue ich mir die ständige Ausstellung an, dann aber auch eine multimediale Darstellung des Lebens in der Burg, ein von Kamila Matuszewska, einer Schülerin, gemaltes Comicbuch unter dem Titel „Wie Hansi die Geschichte von Santok kennen lernte“ und bin voller Anerkennung für diese neuen Formen, in denen die Geschichte den Besuchern näher gebracht wird. Wissen Sie, dass es eine Zeitlang gar zwei Schlösser in Santok gab? Das erste, in der Burg, wurde von Slawen gebaut, das andere, auf dem anderen Wartheufer, von den Pommern. Es war, wie Gallus Anonymus berichtet, „so hoch und so nah am Schloss der Christen gebaut, dass was in Santok gesagt wurde oder passiert war, gut von den Heiden gesehen und gehört werden konnte“. Dieser Satz schreit geradezu nach einer Story und Inszenierung. Als 1997 das 1300. Jubiläum der Burg gefeiert wurde, zeigte man bei einer Aufführung unter dem freien Himmel, wie Bolesław der Tapfere das Schloss der Pommern eroberte und diese zur panischen Flucht zwang. Ich habe das Schloss brennen, sich Leichenfelder ausbreiten sehen, alles wunderbar in Szene gesetzt. Noch vor 10 Jahren hatte Santok einen eigenen Ritter, inzwischen ist er aber erwachsen geworden, lebt sein Familienleben. Unter den Einwohnern wird aber die Sehnsucht nach einem ritterlichen Trupp wach, nach großen Schauen der Geschichte. Ihr Ausgangspunkt

w maju 1124 roku biskupa Ottona z Bambergu, który stąd rozpoczynał chrystianizację Pomorza. Właśnie w Santoku uroczyste i z honorami witał go księżę pomorski Warcisław. Przed kilku laty na pamiątkę tego wydarzenia do santockiego kościoła sprowadzono relikwie świętego Ottona.

Albo: W 1260 roku odbyło się tu wspaniałe wesele Konstancji z rodu Piastów z Konradem z rodu Askańczyków, które kończyło spory o ziemię santocką, bo w ślubnym wianie Piastówna wносиła ją do Brandenburgii. A jednak o ziemię tę walczyli następni polscy władcy. Przemysław II włączył ją w latach 1278-1296, a Kazimierz Wielki w latach 1365-1370. Następnie, po 50 latach rządów Krzyżaków (1402-1454), weszła do Brandenburgii, by pozostać tam aż do 1945 roku. Polska jednak nigdy nie zrezygnowała z Santoka, bo aż do rozbiorów zachowano tytuł kasztelana santockiego. Od 1231 do 1793 r. 61. wysoko urodzonych piastowało ten honorowy tytuł.

Związki Santoka z Polską były tak silne, że gdy w 1919 r. roku ustalano zachodnią granicę odrodzonej Polski, delegacja naszego kraju pojechała na Konferencję Demarkacyjną w Wersalu z memoriałem prof. Adolfa Parczewskiego z Uniwersytetu Wileńskiego dowodzącym, że właśnie Polsce należą się Santok i Drezdenko. Jak wiadomo, argumenty te nie znalazły uznania Konferencji. Santok pozostał w granicach Niemiec.

Ale to już nie był tamten historyczny Santok. W 1731 r. Warta tak mocno wylała, że aż zmieniła koryto i gród znalazł się nie w widłach rzek, a na niskim, często zalewanym brzegu Warty. Mieszkańcy przenieśli się na prawy, wyższy brzeg rzeki, choć jest on bardzo wąski i trudny do zagospodarowania. Od tamtej daty rozpoczyna się historia obecnego Santoka, teraz wsi gminnej.

Romantykę dawnego Santoka przywołał Jerzy Gąsiorek w wierszu *** (Po tylu wiekach...)

*Dziś krzewy i chwasty
i gdyby nie skorupy
ze śladami ozdób
nie dałbym wiary
że kiedyś tu
za palisadą i wałem
gwar aż do zmroku
zwydy nocne
przeganiane świtem
radości i trwogi*

könnte zum Beispiel der Besuch des Bischofs Otto von Bamberg sein, der von hier aus die Christianisierung von Pommern einleitete. Eben in Santok wurde er vom pommerschen Herzog Warcisław mit Ehren begrüßt. Vor einigen Jahren wurden zum Gedenken dieses Ereignisses Reliquien des Heiligen Otto in die Santoker Kirche geholt.

Oder: Im Jahre 1260 fand hier eine grandiose Hochzeit von Konstanz aus dem Geschlecht der Piasten und Konrad, dem Askanier, die die Streitigkeiten um das Zantocher Land beilegte: Die Braut brachte es nach Brandenburg als Mitgift ein. Und trotzdem kämpften später polnische Herrscher um das Land. Przemysław II herrschte darüber in den Jahren 1278-1296, Kasimir III. – von 1365 bis 1370. Dann, nach 50 Jahren der Herrschaft des Deutschen Ordens (1402-1454), ging das Land wieder in Brandenburger Besitz über, wo es bis 1945 blieb. Polen gab allerdings Santok niemals auf, bis den Teilungen Polens wurde der Ehrentitel des Santoker Kastellans aufrechterhalten. Von 1231 bis 1793 durften ihn 61 Hochgeborene tragen.

Santoks Verbindungen mit Polen waren so stark, dass 1919, als die Westgrenze vom wiedergeborenen Polen festgelegt werden sollte, die polnische Delegation zur Grenzziehungskonferenz nach Versailles eine Denkschrift von Prof. Adolf Parczewski von der Universität Vilnius mitgenommen hat, wo Belege zusammengestellt wurden, dass Santok und Drezdenko (Driesen) Polen gehören sollten. Diese Argumente fanden allerdings keine Anerkennung bei der Konferenz. Santok blieb in den Grenzen Deutschlands.

Es war aber auch nicht mehr jenes historische Santok. Im Jahre 1731 trat die Warthe über die Ufer, und zwar so weit, dass sich ihr Bett verschob und die Burg von nun an nicht mehr in der Gabel der zwei Flüsse, sondern auf dem oft überschwemmten Ufer der Warthe stand. Die Einwohner zogen auf das rechte, höhere Ufer, obwohl es sehr eng ist und schwer zu bewirtschaften. Dann begann aber die Geschichte vom neuen Santok, Dorf und Sitz der Gemeinde.

An die Romantik des alten Santok erinnerte Jerzy Gąsiorek in seinem Gedicht ohne Titel ("Nach so vielen Jahrhunderten...") zurück:

*Heute: Gebüsch und Gestrüpp
und wären da nicht*



Połączenie Noteci i Warty

Mündung der Netze in die Warthe

*szepty zakochanych
dymy z palenisk
zapach straw warzonych...*

Z tymi bocianami i z żabami dla nich

Przed Santokiem Warta robi wielkie zakole, ostatecznie wybierając kierunek na zachód. Ze wschodu wpada do niej Noteć. Łagodne złączenie wód tych dwóch rzek to jeden z najładniejszych widoków naszego regionu. Dwie stapiające się niebieskie rzeki pozwalają otaczającym je zielonym łąkom zajmować każdy skrawek ziemi. Najlepiej widać to z balkonu w nowej części Urzędu Gminy. Wchodzi się nań z sali posiedzeń Rady Gminy. Wyobrażam sobie, że gdy spory między radnymi stają się zbyt ostre, wystarczy wyjść na balkon, by poczuć dostojeństwo i spokój dwóch łączących się rzek. Taki widok może złagodzić wszystkie kłótnie.

W centralnym miejscu wsi, między Urzędem Gminy a mostem, niedawno zbudowano promenadę z placem zabaw dla dzieci, z zadaszonym miejscem do grillowania, z ławeczkami do odpoczywania z widokiem na rzekę. Promenada łączy się z przystanią o nabrzeżu palowym, które pozwala bezpiecznie cumować nowoczesnym, plastikowym łodziom. Obok stoi hangar do przechowywania łodzi i sanitariaty dla wodniaków. Choć to, co już jest, wodniacy oceniają wysoko, gmina ma gotową dokumentację budowy prawdziwej mariny i tylko czeka na uruchomienie unijnych dotacji, by ją rozpocząć. Na sąsiedniej działce prywatny inwestor zbuduje hotelik i zaplecze dla wodniaków.

Od 10 lat co roku na przełomie maja i czerwca odbywają się w Santoku Euroregionalne Złoty Wodniaków. Zazwyczaj w zlocie uczestniczy ok. 30

*verzierte Scherben
ich hätte nie geglaubt
man hat hier vor Jahren
hinter der Palisade
bis in die Nacht hören können:
Lärm und Gespenster
weggescheucht am Morgen
Freuden und Ängste
Geflüster der Geliebten
Rauch aus der Feuerstelle
Geruch der frischen Kost...*

Mit Störchen und reichlich Fröschen für sie

Kurz vor Santok fließt die Warthe in einer großen Windung, um letzten Endes die westliche Richtung einzuschlagen. Vom Osten her mündet in sie die Netze. Diese sanfte Verbindung der beiden Flüsse bildet einer der schönsten Aussichten in unserer Region. Die zwei zusammenschmelzenden blauen Flüsse lassen die grünen Wiesen jede einzelne Stelle auf dem Boden um sie herum bewachsen. Am besten ist es vom Balkon des neuen Anbaus an das Gemeindeamt zu sehen. Man betritt ihn durch den Tagungssaal des Gemeinderates. Ich stelle mir vor, wenn die Diskussionen zwischen den Räten zu heftig werden, reicht es, auf den Balkon auszugehen und sich von der Würde der beiden Flüsse überwältigen zu lassen. Dies vermag wohl jeden Streit beizulegen.

In der Mitte des Dorfes, zwischen dem Gemeindeamt und der Brücke, wurde vor kurzem eine Promenade mit einem Spielplatz für Kinder, einem überdachten Grillplatz, Sitzbänken und einem Blick auf den Fluss errichtet. Die Promenade erstreckt sich bis zur auf Pfählen gebauten Anlegestelle, an der moderne Boote aus Kunststoff sicher festgemacht werden können. Daneben stehen eine Halle, in der die Boote aufbewahrt werden können, und öffentliche Toiletten. Auch wenn die Wassertouristen sich über das Bestehende recht freuen, hält die Gemeinde schon alle Unterlagen bereit, um eine richtige Marina zu bauen; es fehlen nur noch die Fördermittel der EU, bevor mit den Arbeiten angefangen werden kann. Auf einem benachbarten Grundstück wird ein privater Investor ein kleines Hotel und technische Anlagen für die Wassertouristen errichten.

Ende Mai Anfang Juni findet in Santok jedes Jahr das Euroregionale Treffen von Wassertouristen statt.

jednostek pływających. Ciągłe najwięcej ich pochodzi z Niemiec, gdzie turystyka wodna jest bardziej rozwinięta niż w Polsce. W Santoku głęboko wierzą, że to się niebawem zmieni. Gorącym rzecznikiem rozwoju tej formy turystyki jest zastępca wójta, Józef Kowalicki, który jako jeden z pierwszych zdobył uprawnienia do prowadzenia motorowych pojazdów wodnych. Na kursach tu organizowanych takie uprawnienia zdobyło już ok. 70 osób. Duża część spośród nich ma własne jednostki i pływa. Santok ma to szczęście, że leży niemal pośrodku Międzynarodowej Drogi Wodnej, która łączy Antwerpię w Holandii z Kłajpedą na Litwie. Wizyty Holendrów czy Niemców wrosły już w tutejszy krajobraz.

Jedną z atrakcji są także rejsy statkiem z Gorzowa do Santoka. Przed laty pływała tu „Joanna”, teraz „Kuna”, ale w lecie poziom Warty często jest zbyt niski, aby tego typu statki mogły się poruszać. Na szczęście wiosną i wczesną jesienią wody jest dosyć, a i temperatura sprzyja rejsom. Warto wybrać się wtedy w taką podróż, która wycisza wszystkie troski. Ze statku najlepiej widać liczne bocianie gniazda na słupach lub dachach domów wzdłuż brzegów Warty. Opisał je Zdzisław Morawski w wierszu „Bociany”:

*Płynęliśmy z Pawłem stateczkiem „Joanna”
Kręto do Santoka, gdzie u Warty brzegu
Na słupach ułożyły swe gniazda bociany.*

*Na pierwszym z młodym
Na drugim z młodymi
Trzecie było puste
Na czwartym wysokim
(gdzieś na sześćdziesiątym szóstym kilometrze
rzeki)*

Bocianica młodym wydzielająca żaby

*Patrzyliśmy z uśmiechem na przyjazne ptaki
Stojąc na pokładzie Niemcy, obok Szwedzi
Urzeczeni widokiem wołali do dzieci:
– Róbcie fotografie, tu żyją bociany
I do nas mówili ze szczęściem w oczach:
– Jesteście szczęśliwi, bądźcie tacy zawsze
Z tymi bocianami i z żabami dla nich*

Skromniejszą, ale za to stałą atrakcją Santoka jest możliwość przepłynięcia promem przez Wartę.



Na promenadzie miejsce do grillowania, w głębi most
Grillplatz auf der Promenade, Brücke im Hintergrund

Üblicherweise nehmen daran ca. 30 Boote teil. Die meisten kommen immer noch aus Deutschland, wo der Wassertourismus doch viel weiter entwickelt ist, als in Polen. In Santok ist der Glaube wach, dies würde sich in Kürze ändern. Ein großer Anhänger dieser Art des Tourismus ist der Stellvertretende Gemeindevorsteher, Józef Kowalicki, der zu den ersten hier gehörte, die eine Berechtigung für den Gebrauch von Motorbooten erlangt hat. Heute sind es schon ca. 70 Personen, die einen solchen Schein nach hier organisierten Kursen entgegennehmen durften. Ein großer Teil von ihnen hat eigene Boote und benutzt sie auch. Santok hat das Glück, fast in der Mitte der Internationalen Wasserstrecke zu liegen, die Antwerpen in Holland und Memel in Litauen verbindet. Die Besuche von Niederländern oder Deutschen sind hier inzwischen ein tagtägliches Ereignis geworden.

Zu den Attraktionen zählen auch Schifffahrten von Gorzów nach Santok. Vor Jahren konnte man solche Fahrten mit „Joanna” vornehmen, heute ist es „Kuna”, doch im Sommer ist der Wasserpegel oft zu niedrig, als dass Einheiten dieser Art den Fluss befahren könnten. Glücklicherweise ist es im Frühling und frühen Herbst niemals der Fall, und auch die Lufttemperatur begünstigt solche Abenteuer. Es lohnt, eine solche Reise vorzunehmen, weil sie alle Sorgen aus der Seele vertreibt. Vom Schiff aus sind die zahlreichen Storchneste auf den Masten und Dächern entlang der Warthe am besten zu sehen. Sie wurden von Zdzisław Morawski in seinem Gedicht „Storche” („Bociany”) beschrieben:



Wieża Jerzgo Gąsiorka

Der Turm von Jerzy Gąsiorek

Kiedyś prom ten służył gospodarzom, którzy na łakach po drugiej stronie rzeki wypasali krowy. Teraz częściej wykorzystywany jest przez turystów, bo tylko nim można się dostać na teren dawnego grodziska, a na brzegu rzeki rozpałić ognisko.

Wieża Gąsiorka

Na szczycie najwyższego wzniesienia nad wsią stoi kamienna wieża, pięknie wpisana w krajobraz. Robi wrażenie bardzo starej, ale zbudowana została dopiero w połowie lat 30. XX wieku. Miała być miejscem ekspozycji wykopalisk z pierwszych penetracji archeologicznych. Prace prowadził wówczas ceniony prof. Wilhelm Unverzagt, ale wyniki jego poszukiwań wykorzystane zostały przede wszystkim w celach politycznych: ideologom rodzącego się hitleryzmu zależało na zdobyciu argumentów na temat germańskości tych ziem. Z prof. Unverzagtem ostro polemizował polski uczyony – prof. Józef Kostrzewski, ale racje polityczne okazały się silniejsze od racji nauki. Hitlerowska manifestacja z okazji zakończenia badań i otwarcia wieży odbiła się szerokim echem w całej Europie.

*Wir fuhren mit Pawel auf dem Schiffchen
JOHANNA
Hinschlängelnd nach Santok, wo am Ufer der
Warthe
Sich Störche Nester auf Pfählen bauten*

*Im ersten ein Junges
Zwei drei in dem zweiten
Keines im dritten
Und im vierten, dem höchsten
(Irgendwo am sechsundsechzigsten
Flusskilometer)
Verteilte die Störchin den Frosch an die Jungen*

*Fröhlich sahn wir die freundlichen Vögel
Mit Schweden und Deutschen vom Deck unsres
Schiffes*

*Aufgeregt riefen sie ihre Kinder
- Schnell mach ein Foto, hier leben noch Störche
Sie sagten uns ohne falsch in den Augen
- Wie seid ihr glücklich, bleibt es auf ewig
Mit Störchen und reichlich Fröschen für sie*

Eine etwas bescheidenere, dafür aber ständige Attraktion von Santok, ist die Möglichkeit, die Warthe mit einer Fähre zu durchqueren. Früher diente sie Landwirten, die ihr Vieh auf dem anderen Wartheufer weiden ließen. Heute wird sie immer mehr von Touristen in Anspruch genommen: Sie bietet die einzige Möglichkeit, die ehemalige Burg zu erreichen, oder ein Lagerfeuer auf dem anderen Ufer zu entfachten.

Gąsioreks Turm

Auf dem Gipfel des höchsten über dem Dorf emporragenden Hügels steht ein Steinturm, der wunderschön mit der Landschaft harmonisiert. Er scheint sehr alt zu sein, wurde aber erst in der Mitte der 30. Jahre im 20. Jahrhundert errichtet. Darin sollten Exponate aus den ersten archäologischen Ausgrabungen in der Gegend ausgestellt werden. Sie wurden damals vom hoch geschätzten Professor Wilhelm Unverzagt geführt, doch die Ergebnisse seiner Forschungen fanden vor allem in der Politik Anwendung: Die Ideologen des aufsteigenden Nationalsozialismus brauchten Argumente über den germanischen Charakter dieser Ländereien. Eine scharfe Polemik mit Prof. Unverzagt nahm der polnis-

Po wojnie wieża długo stała pusta. W połowie lat 60. zainteresował się nią artysta plastyk Jerzy Gąsiorek i choć wtedy musiał pokonać wiele przeszkód, wykupił ją. Pomysł szalony, bo nie było dojazdu, ani wody, ani prądu, dach dziurawy, okna powybijane i tylko wiatr hulał na kilku kondygnacjach tej wieży. Bardzo dużo pracy włożył Jerzy Gąsiorek w jej przekształcenie w pracownię artystyczną. Teraz może tam spokojnie oddawać się swoim pasjom, a ma ich kilka. Przede wszystkim jest rzeźbiarzem, specjalizuje się w tworzeniu tzw. asamblaży. Służą mu do tego przedmioty codziennego użytku lub tylko ich fragmenty, najczęściej zniszczone, wyrzucone na śmietnik. Potrafi tak je złożyć, że oglądający odkrywa nowe wartości, odnajduje ich nowy sens w sferze skojarzeń i poetyckich metafor. Prace Gąsiorka wyrastają z polskiej kultury ludowej, ale są mocno osadzone w kulturze wysokiej. Takimi dziwnymi kompozycjami i prostymi rzeźbami wyposażył pomieszczenia wewnątrz wieży, a także jej otoczenie.

Ze swojej wysokiej wieży ma Gąsiorek wspaniały widok na połączenie Warty i Noteci, na rozlewiska, cudownie ukształtowany teren i przyrodę, która zmienia się wraz z porami roku. Z takiej naturalnej inspiracji powstają jego wiersze i rysunki. Rysowane pastelami widoki Santoka (co roku inne) można oglądać na kalendarzach reklamujących gminę. Wiersze (nie tylko o Santoku) złożyły się na pięć tomów, a gmina opublikowała album z rysunkami i wierszami Jerzego Gąsiorka o Santoku.

W tej wieży artysta spędza czas od wczesnej wiosny do późnej jesieni i zawsze chętnie przyjmuje gości. Nawet tych nie zapowiadanych. A spotkanie z jego pracami i z nim samym, na pewno długo pozostaną w pamięci.

Domy wystrojone w sajding

Idę wolno przez wieś. Widzę nowe domy albo stare już z nowymi dachami, plastikowymi oknami, trawnikami przed wejściem zamiast tradycyjnego ogródka. Santok się zmienia. Z promu, który w minionych latach służył do przewozu krów na pastwiska, korzysta teraz tylko jedno gospodarstwo. Bliskość Gorzowa decyduje o zmianie zajęć mieszkańców: coraz ich więcej pracuje w gorzowskich firmach. Także wielu gorzowian decyduje się na zamieszkanie u brzegu Warty i Noteci, bo dojazd do miasta

che Gelehrte, Prof. Józef Kostrzewski auf, doch die Argumente der Politik erwiesen sich als stärker, als jene der Wissenschaft. Die von den Nationalsozialisten organisierte Feier zum Abschluss der Forschungen, bei der auch der Turm eröffnet wurde, fand ein breites Echo in ganz Europa.

Nach dem Krieg stand der Turm eine lange Zeit leer. In der Mitte der 60. Jahre wurde darauf der Künstler Jerzy Gąsiorek aufmerksam, und obwohl er damals viele Hürden überwinden musste, gelang es ihm letzten Endes, das Bauwerk zu erwerben. Eine verrückte Idee: Zum Turm führte kein Weg, es gab weder Wasser noch Strom, das Dach war löcherig, die Fenster eingeschlagen, nur der Wind tobte auf den mehreren Etagen im Inneren. Jerzy Gąsiorek scheute keine Mühe, um das Gebäude in ein Künstleratelier zu verwandeln. Jetzt kann er schon in Ruhe seinen Leidenschaften huldigen, und er hat mehrere. Es ist vor allem Bildhauer, seine Spezialität sind sog. Assemblagen. Dazu benutzt er Gegenstände des täglichen Bedarfs, oft auch nur deren Fragmente, meistens zerstört, weggeworfen. Er vermag sie so zusammenzufügen, dass man in ihnen einen neuen Wert entdeckt, einen neuen Sinn durch Assoziationen und poetische Metaphern. Die Arbeiten von Gąsiorek entspringen der polnischen Volkskultur, sind aber tief in der Hochkultur verwurzelt. Mit solchen ungewöhnlichen Kompositionen, aber auch mit einfachen Skulpturen hat Gąsiorek das Innere des Turms und dessen Umgebung ausgestattet.

Von seinem Turm aus hat Gąsiorek einen wunderschönen Blick auf die Netzemündung, auf die Überschwemmungsgebiete, die einmalige Landschaft und Natur, die sich mit den Jahreszeiten ändern. Und von dieser Natur sind seine Gedichte und Zeichnungen inspiriert. Von seinen mit Pastellen gezeichneten, jedes Jahr neuen Bildern werden die Werbekalender der Gemeinde verziert. Seine Gedichte (nicht nur über Santok) machen insgesamt 5 Bände aus, die Gemeinde hat ein Album mit Santok gewidmeten Zeichnungen und Gedichten von Jerzy Gąsiorek.

Der Künstler lebt in dem Turm vom frühen Frühling bis zum späten Herbst und freut sich immer über Besucher. Auch die nicht erwarteten. Und ein Treffen mit ihm und mit seinen Arbeiten bleibt lange in Erinnerung.



Warta, Santok, wieża

Die Warthe, Santok, der Turm

wygodny i bliski, a życie w przyrodzie zdrowsze. Naturalny proces przemian.

Jednak przecież trochę żal tamtego grodu, w którym wyrabiano cudownie rzeźbione grzebienie, także wsi nastawionej na hodowlę krów i produkcję siana wywożonego aż do Berlina. Białych domów z tzw. pruskiego muru, które zdobiły krajobraz, zapachu siana po sianokosach, flisaków na Warcie. Ale czy można zatrzymać przemiany? Zatrzymać życie? Jerzy Gąsiorek w wierszu „Santok dzisiaj” ma do samego siebie żal, że ginie dawna uroda tej miejscowości.

*Na brzegu wysokim domy
wystrojone w sajding
obory i stodoły opustoszałe
grają przeciągami
mniej barek na rzece
pociągów na torach
mniej w gniazdach bocianów
i drzew przy drogach
mniej mego zachwyty
za to złości więcej
że dawnego piękna
nie umiem zatrzymać*

Ausstaffiert mit dem Siding

Ich gehe langsam durch das Dorf. Ich sehe neue Häuser, aber auch alte, mit neuen Dächern, Kunststofffenstern, vor den Eingängen, wo es früher kleine Gärten gab, sieht man heute Rasen. Santok ändert sich. Die Fähre, die jahrelang zum Transport von Vieh über den Fluss, auf die Wiesen, diente, wird jetzt nur noch von einem Bauernhof genutzt. Durch die Nähe zu Gorzów ändern die Einwohner ihre Beschäftigung, immer mehr arbeiten in den Gorzower Firmen. Auch viele Gorzower entschließen sich, ans Ufer der Warthe und Netze zu ziehen: die Stadt ist nah und leicht erreichbar, das Leben auf dem Schoß der Natur – gesünder. Das ist alles nur allzu natürlich.

Und doch – es kommt in einem Wehmut auf, wenn er an jene Burg denkt, in der diese wunderschönen geschnitzten Kämme hergestellt wurden, oder aber an das Dorf, auf Viehzucht und Herstellung von Heu eingestellt, das man bis nach Berlin beförderte. An die weißen Fachwerkhäuser, die diese Landschaft verzierten, an den Duft des frisch geernteten Heus, an die Flößer auf der Warthe. Wer könnte aber die Veränderungen aufhalten? Das Leben selbst? In seinem Gedicht „Santok heute” scheint Jerzy Gąsiorek sich selbst vorzuwerfen, dass die alte Schönheit dieses Ortes verschwindet:

*Auf dem hohen Ufer stehen Häuser
Ausstaffiert mit dem Siding
In den leeren Ställen und Scheunen
spielt die Zugluft ihre Melodien
Immer weniger Kähne auf dem Fluss
Züge auf dem Gleis
Störche in den Nestern
Bäume an dem Weg
Immer weniger Entzücken in mir
dafür immer mehr Zorn:
Warum weiß ich nicht einen Weg, die alte
Schönheit
aufzuhalten*

Übersetzt vom Grzegorz Kowalski

Szprotawianie w objęciach przyrody

według dziewiętnastowiecznej relacji Johanna Gottloba Kreisa

Człowiek od początku swego istnienia skazany był na walkę z przyrodą. Toczył ją przeciwko cyklicznie pojawiającym się chorobom, epidemiom, powodziom, pożarom oraz związaną z tymi zjawiskami drożyzną i w konsekwencji wyniszczającym głodem. Dla Europy Środkowo-Wschodniej przemiany pogodowe były nawet bardziej przykre niż dla jej części zachodniej. Jedną z przyczyn było wolniejsze tempo postępu technicznego. W przypadku miast podstawowe znaczenie miały zmiany w zabudowie: zburzenie przynajmniej części murów miejskich, zanik drewnianych domów. Stopniowo zaczęły się pojawiać i rozpowszechniać nowe metody walki z chorobami: oprócz kwarantanny – lekarstwa.

Jednym z miast, którego mieszkańcy przeżyli wszystkie wspomniane „zmienności” natury była Szprotawa, o której pierwsza wzmianka pojawiła się w dokumentach w latach 50. XIII stulecia. Podstawowym źródłem informacji o dziejach miasta

i jego perypetiach związanych z przyrodą pozostaje „Chronik der Stadt Sprottau” autorstwa mieszczanina Johanna Gottloba Kreisa (zm. 1847).

Kronika Szprotawy

„Chronik der Stadt Sprottau” należy do nurtu dziejopisarstwa lokalnego inspirowanego przez władze miejskie i powiatowe¹, funkcjonującego w państwie pruskim i w jego prowincji. Było ono kontynuacją zapoczątkowanego jeszcze w XVI wieku dziejopisarstwa miejskiego, które z początkiem XIX wieku przeżywało swój renesans². Prace powstałe w tym nurcie stanowiły niejednokrotnie podstawę pierwszych opracowań monograficznych poszczególnych miast. W przypadku Szprotawy była nim praca Felixa Matuszkiewicza „Geschichte der Stadt Sprottau”³. W bardzo podobnej konwencji napisane zostały także inne kroniki śląskie, w tym również zielonogórskie⁴.

1 O roli władz miejskich w powstawaniu lokalnych kronik zob.: C. Grünhagen, Über Städtchroniken und deren zweckmässige Förderung für die Communalbehörden mit besonderer Rücksicht auf Schlesien, Breslau 1865.

2 Na temat dziejopisarstwa śląskiego zob.: H. Markgraf, Die Entwicklung der schlesischen Geschichtsschreibung, „Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens”, 22 (1888).

3 F. Matuszkiewicz, Geschichte der Stadt Sprottau, Sprottau 1908.

4 J.G. John, H.A. Pilz, Kronika lub krótkie opisanie dziejów Zielonej Góry z lat 1222-1881, tłum. i oprac. J. Kuczer, Zielona Góra 2005; Dawna Zielona Góra, oprac. J. Dąbrowska-Burkhardt, Zielona Góra 2004. Na tłumaczenie czeka kolejna kronika Zielonej Góry, która znajduje się w Archiwum Państwowym w Zielonej Górze: Akta miasta Zielonej Góry: C.A. Bergmüller, Chronik der Stadt Grünberg von Jahre 1800 bis zum Jahre 1860, sygn. 528 i 529. Na temat kroniki J.G. Johna, H.A. Pilza oraz kroniki C.A. Bergmüllera pisał Jarosław Kuczer, Kronika czy krótkie opisanie...?, „Pro Libris” 1 (2004); tenże, Kronika Carla Augusta Bergmüllera w świetle nowożytnego dziejopisarstwa miejskiego w Europie i na Śląsku, [w:] Zielona Góra na przestrzeni dziejów. Przemiany społeczno-kulturowe, red. D. Kotlarek, P. Bartkowiak, Zielona Góra 2007.



Karta tytułowa oryginalnego tekstu autorstwa J.G. Kreisa

Kroniki śląskie, stanowiące rodzaj „pamięci zbiorowej”⁵, łączyło przedstawianie przede wszystkim tych wydarzeń, które wiązały się z dziejami danego miasta, w szerszej perspektywie z dziejami ówczesnego Śląska. Autorzy akcentowali najważniejsze z nich, czerpiąc informacje zarówno z wcześniej powstałych opisów ich małych ojczyzn, jak i z zachowanych w archiwach czy bibliotekach miejskich dokumentów. Przywoływano najczęściej akty nadania przywilejów miastu i mieszkańcom, wypadki wojenne rozgrywające się na terenie miasta czy w jego pobliżu (zwłaszcza wojny śląskie), wizyty

poszczególnych władców i książąt, stosunki religijne, przy czym większą uwagę naturalnie poświęcano protestanckim wyznawcom. Wydarzenia te przedstawiane były niezwykle szczegółowo. Autorzy podawali „dokładne” dane dotyczące liczby mieszkańców, daty dzienne i często także godziny, przytaczali rozmowy mieszkańców, jak również legendy przekazywane drogą ustną. Do tak skrupulatnie opisywanych wydarzeń należą także „katastrofy” powodowane przez okrutną siłę przyrody pozostającą w dużej mierze poza kontrolą człowieka. Szprotawska kronika obfituje w opisy pożarów, huraganów, powodzi, epidemii, trzęsień ziemi.

„Chronik der Stadt Sprottau” powstała w latach 1830-1832. Takie daty widnieją na stronie tytułowej rękopisu, który zachował się do dziś w trzech egzemplarzach⁶. Jej autorem był radca policyjny, członek miejskiego magistratu, Johann Gottlob Kreis. Kronika składa się z dwóch części, z których pierwsza obejmuje okres od X wieku do końca XVIII stulecia, natomiast druga część dotyczy pierwszych trzech dziesięcioleci XIX wieku. Prezentacja wydarzeń kończy się na 1830 roku. Wiele opisów dotyczących XIX stulecia Kreis przywołał jako bezpośredni świadek, dlatego też zostały one przedstawione najbardziej szczegółowo.

Kronika powstała z inspiracji władz miejskich. Prowadzona między szprotawskimi a legnickimi urzędnikami korespondencja na temat pracy świadczy o sporym zainteresowaniu władz powiatowych. Zadekretowana została burmistrzowi miasta, Karlowi von Reder, członkom magistratu, zgromadzeniu radnych miejskich oraz mieszkańcom miasta.

Źródłami informacji o przeszłości miasta były dla Kreisa dokumenty w archiwach, starsze kroniki dotyczące historii Śląska oraz – na co warto zwrócić uwagę – „stara szprotawska kronika”, o której niewiele wiadomo, oprócz tego, że pochodzi z XVIII wieku a jej autor powoływał się na jeszcze starszą kronikę⁷. Praca Kreisa zachowała się w całości i stanowi bodaj najciekawsze osiągnięcie szprotawskiej tradycji dziejopisarskiej.

5 M. Czapliński, Niemieckie kroniki lokalne na Środkowym i Dolnym Śląsku w XIX i na początku XX w., „Sobótka” 3 (2004), s. 397.

6 Archiwum Państwowe w Zielonej Górze: Akta miasta Szprotawa: Chronik der Stadt Sprottau: I-ter Theil von den frühesten Zeiten bis zum Schluß des 18-ten Jahrhunderts und II-ter Theil vom Anfange des 19-ten Jahrhunderts bis zum Schluß des Jahres 1830 von Johann Gottlob Kreis Polizei-Rathmann zu Sprottau, 1830-1832, sygn. 1422 i sygn. 1423. W Archiwum znajdują się dwa egzemplarze, natomiast trzeci, będący własnością Urzędu Miasta w Szprotawie, znajduje się w zbiorach Mieczysława Pozaraszczyka, opiekuna Izby Historii w Szprotawie.

7 M. Boryna, Anonimowa kronika Szprotawy z XVIII wieku, „Szprotawa i okolice & Bory Dolnośląskie”

Ponieważ szprotawianie wykazywali coraz większe zainteresowania dziejami ich małej ojczyzny, niemal cała treść kroniki została na ich prośbę przedrukowana na łamach „Sprottauer Wochenblatt für wissenschaftliche, technische und örtliche Nachrichten” w latach 1854-1855. Dzięki temu z treścią dzieła Kreisa mogło zapoznać się szersze grono czytelników. Zgodę na przedruk wyraziły władze miejskie, które popierały inicjatywy prowadzące do wzmacniania więzi lokalnej między mieszkańcami miasta. Poznanie historii doskonale temu sprzyjało.

Rola przyrody w opisach J.G. Kreisa

Do istotnych elementów obrazu przeszłości miasta należały wspomniane opisy różnego rodzaju nieszczęść nawiedzających szprotawian. Wydarzenia te przedstawiał Kreis skupiając się przede wszystkim na ich konsekwencjach dla życia mieszkańców czy też zabudowy miasta. Wątki katastroficzne pojawiają się w kronice w najmniej spodziewanych momentach. Wynika to z przyjętej formy kronikarskiej. Kreis umieszczał je niekiedy w środku relacji o wojennych wypadkach. Nierzadko po prostu tylko wspominał o konkretnym wydarzeniu, jak to miało miejsce w przypadku powodzi 1752 roku: „Opuszczamy teraz na pewien czas sprawy ewangelików i wracamy do 1752 roku, w którym to roku, 12 lipca, miał miejsce wielki wylew Bobru, i przechodzimy do 1754 roku, w którym wydarzyła się w Szprotawie warta odnotowania egzekucja...” Wtrącenia o tragicznych wydarzeniach nie tylko dostarczały czytelnikom Kreisa informacji o tym, jakie plagi nawiedziły w przeszłości Szprotawę, ale także przybliżały im życie codzienne i trudy ich przodków, którzy zmagali się musieli, podobnie jak współcześni autorowi kroniki, z pożarami czy chorobami.

Niektóre z tych nieszczęść były wymieniane – z racji ich wzajemnego kauzalnego związku – jedno po drugim, jak na przykład susza i pożar, deszcze i powódź, niektóre natomiast – nie mając ze sobą związku – opisane zostały razem z racji wystąpienia w jednym roku bądź w przeciągu krótkiego czasu. Najlepszym tego przykładem była wzmianka Kreisa o „najstraszniejszym podczas wojny trzydziestoletniej” roku 1633, kiedy to miasto nawiedziły jednocześnie pożar, dżuma, grabież, „nadmierzająca” drożyzna oraz ogromne kontrybucje i kwatunki wojskowe.

Na przestrzeni 430 lat, o jakich traktuje kronika przedrukowana na łamach szprotawskiej gazety, występowały te same katastrofy. Niski poziom higieny w mieście, brak odpowiedniej kanalizacji, skupienie mieszkańców w obrębie murów miejskich oraz drewniana zabudowa miasta, do pierwszej połowy XIX wieku narażały ludność miejską i wiejską z okolic Szprotawy na występowanie wspomnianych nieszczęść. Sytuacja poprawiła się, zresztą jak w wielu innych miastach Śląska, dopiero w ciągu XIX stulecia.

Przedstawione poniżej przykładowe opisy szprotawskich nieszczęść ukazują zarówno typowe cechy śląskiego kronikarstwa, jak i stanowią źródło informacji o życiu w dziewiętnastowiecznych miastach, o sposobach radzenia sobie ich mieszkańców w trudnych sytuacjach.

Pierwsza wzmianka o katastrofach spowodowanych przez naturę w kronice szprotawskiej pojawiła się w opisie wydarzeń XV stulecia:

Wiek piętnasty, w którym na terenie Niemiec pojawiła się dżuma, klęska głodu i trzęsienie ziemi, przyniósł te same nieszczęścia także krajom przygranicznym; autorzy wcześniejszej kroniki zanotowali, że wielkie trzęsienie ziemi, które spotkało w 1433 roku cały Śląsk, odczuli również mieszkańcy Szprotawy. W 1436 roku zapanował ogromny głód, który zmusił ludzi do jedzenia trawy i chwastów z pól. Następnie pojawiła się dżuma, która trwała wraz z klęską głodu przez wiele lat.

Tak skonstruowane opisy pojawiają się bardzo często na kartach kroniki.

Burze i huragany

Do często wymienianych przez Kreisa nieszczęśliwych wypadków zaliczały się pioruny i błyskawice. Pojawiały się one najczęściej łącznie z opisem burzy. Niekiedy miały tragiczne konsekwencje, bowiem kończyły się wypadkami śmiertelnymi. Autor wspominał także o szkodach powstałych w zabudowie miasta.

Jedno z tragiczniejszych w skutkach uderzeń piorunu wydarzyło się w 1570 roku, kiedy to śmierć poniósł dzwonnik Johann Wenzel znajdujący się na wieży kościoła parafialnego.

Nieszczęśliwie zakończyła się także burza z towarzyszącymi jej piorunami w dniu 13 maja 1826 roku. Piorun trafił w dom piekarza Wolframa, niedaleko bramy miejskiej. Uszkodzone zostały



Strona tytułowa Sprottauer Wochenblatt z przedrukowanym tekstem kroniki

prawie wszystkie okna domu, ale największą tragedią była śmierć 6-letniego syna Wolframa, Carla Friericha Wilhelma, który znajdował się wówczas w domu ze swą siostrą. Tej ostatniej nic się nie stało, ale chłopiec został mocno zraniony. Ogłuszony, wydawał się na pierwszy rzut martwy. Dopiero bardzo szybka pomoc lekarska dała nadzieję na powrót do zdrowia. Nie wrócił jednak do przytomności. W ciągu kilkunastu dni zmarł. Ten sam piorun wprawdzie nic nie zapalił w domu, ale trafił do piwnicznej piekarni. Przechowywana tam mąka okazała się niezdadną do spożycia. Tragicznie zakończyła się także burza 1711 roku, kiedy to piorun uśmiercił czeladnika, przybywającego w izbie, natomiast w 1800 roku śmierć poniosła młoda dziewczyna, córka szewca Kuttke.

Obiektem, w który najczęściej uderzał piorun była wieża kościoła parafialnego, i tak w 1711 roku, oprócz wielkich szkód w całym mieście, zerwana została połowa dachu tegoż kościoła. Ponownie w wieżę najważniejszego miejsca modlitwy w Szprotawie trafił piorun w 1721 roku, nie czyniąc jednak żadnych szkód.

Pod datą 4 lipca 1797 roku Kreis zapisał, że nocą około godziny 24.00 piorun trafił w stodołę

Gottfrieda Königa. Na szczęście właścicielowi nic się nie stało, ale stodoła cała spłonęła.

„Straszna wichura”, której towarzyszyły nadzwyczajne pioruny i błyskawice, nadeszła 22 kwietnia 1828 roku wieczorem o godzinie 7.30. Jednocześnie mnóstwo gradu, który miał kształt jacek gołębi, wyrządziło wiele szkód w mieszkaniach szprotawian. Ostatecznie tylko niewiele domów pozostało bez uszkodzonych okien. Wiele ucierpiały pola, ogrody i drzewa owocowe, ponieważ te ostatnie właśnie rozkwitały. Grad zniszczył sporą część kwiatów. Zalane zostały mieszkania, ponieważ woda rurami wlewała się do wnętrza domów.

Większość opisanych przez Kreisa wypadków uderzeń piorunów kończyły się nieszczęśliwie dla szprotawian. Niewątpliwie najbardziej przeżywane było odejście najbliższych, ale zniszczenie piekarni czy stodoły niejednokrotnie oznaczały utratę źródła utrzymania rodziny czy też zapasów, a więc głód.

Wylewy Bobru i Szprotawy

Powodzie nawiedzały szprotawian i mieszkańców okolicznych wsi bardzo często, bowiem miasto ulokowane jest przy zbiegu dwóch rzek: Szprotawy i Bobru. Ich wylewy wyrządzały wiele szkód zarówno w samym mieście, jak i na okolicznych polach niszcząc plony i pozbawiając tym samym jedzenia ich właścicieli. Bardzo rzadko kończyły się śmiercią szprotawian, dlatego też do wyjątków należy opis powodzi z 1781 roku, kiedy to dwóch rybaków, Aßmann i Sommer, przewozili łódką kobietę i trzech mężczyzn. Nagle łódka przechyliła się. Trzej mężczyźni utonęli, a kobieta uratowała się dzięki temu, że miała na sobie szeroką spódnicę. Dwaj rybacy zdążyli wyskoczyć z łodzi, zanim ta się przewróciła.

Jednak największy wylew Bobru, jaki kiedykolwiek miał miejsce w okolicy Szprotawy, przypaść na dzień 4 lipca 1804 roku. Był on wynikiem „czarna-stodniowego deszczu, który spadał strumieniami z nieba”. Szczegółowo opisane skutki tych powodzi były dla mieszkańców opłakane, ponieważ wiele budynków zostało zniszczonych. Dewastacji uległy przede wszystkim mosty nad Bobrem oraz młyny. Sporo osób poniosło duże straty finansowe wskutek zalania ich własności. Na przykład zalany został prawie całkowicie ogród fizyka i doktora miejskiego Knothe, a pole Christiana Berndta po powodzi nie nadawało się już do orki. Szczegółowo Kreis przy-

taczał także liczby ofiar. O ile w samej Szprotawie nie było żadnej ofiary, to w jednej z podszprotawskich wsi utopiło się dwoje ludzi i pięć krów. Pierwszą ofiarą był czeladnik młynarski, który pracował w młynie w Dzieńmiarowicach, a drugą pracownica tego młyna. Oboje płynęli z artykułami spożywczymi z miasta Łódka, która została wyrzucona przez rzekę. W mieście całe Przedmieście Głogowskie przypominało morze. Powódź ta pociągnęła za sobą bardzo słabe zbiory, a więc także znaczny wzrost cen na zboże, o wysokości których Kreis szczegółowo poinformował czytelników.

Ponowna powódź wskutek wylewu Bobru miała miejsce w 1736 roku, podczas jarmarku. Ponieważ w mieście było wówczas dużo wozów, zostały one rozebrane na kawałki i w ten sposób wyniesione poza obręb Szprotawy. Jak wynika z tego opisu mieszkańcy miasta i jej goście potrafili sobie radzić z niespodziewanymi sytuacjami całkiem dobrze.

Okazją do wzmianki o powodzi był nawet wysoki poziom wody, który w przypadku powodzi z roku 1795 wynosił 6 cali i tym samym przewyższył poziom powodzi z roku 1766.

Trzęsienia ziemi i upały

Były one zjawiskami bardzo rzadko nawiedzającymi ziemie szprotawskie, niemniej w kronice wzmianka o nich pojawiła się już na początku, w odniesieniu do XV wieku. „W przerażeniu” mieszkańcy Szprotawy przeżyli trzęsienie ziemi 5 lipca 1443 roku. Innym razem Kreis przytoczył godzinę (sic!) trzęsienia ziemi. Mieszkańcy Szprotawy odczuli je 1 kwietnia o godzinie 2 rankiem. O konsekwencjach autor nie pisał.

O upałach natomiast Kreis pisał względnie rzadko. Jedną z ciekawszych wzmianek była następująca: „Szczególnie warty uwagi był rok 1590 wskutek nadzwyczajnego skwaru, który sprawił, że aż 38 tygodni nie padało”. O „nadzwyczajnym upale” pisał Kreis także w odniesieniu do 1819 roku. Wówczas, w dniach 5-7 lipca, termometr wskazywał 31 stopni. Można przypuszczać, że długotrwałe upały pociągały za sobą kiepskie plony, a te z kolei wzrost cen powodujący niedożywienie mieszkańców miasta i wsi.

Czas epidemii

Epidemie pojawiały się głównie w wyniku działań wojennych. Takim przykładem była dżuma z 1482 roku,

która spotęgowała zło wywołane wojną o sukcesję głogowską. Przyczyniła się ona do strasznej klęski głodu, jaka zapanowała w tymże roku. Kilka lat później, w 1496 roku, ponownie grasowała dżuma w Szprotawie. Kolejne szalały w mieście w latach 1512, 1552, przy czym pierwszej z nich towarzyszyła plaga szarańczy, skutkiem drugiej miała być śmierć 2000 ludzi w okresie od Wniebowstąpienia Chrystusa do Świąt Bożego Narodzenia. O dżumie w wieku XVI Kreis wspominał marginalnie, w podsumowaniu stulecia pisząc: „także w tym wieku mieszkańcy Szprotawy doznali wielkiego zła, bowiem dżuma pojawiła się w połowie tego stulecia”. W 1644 roku dżuma nie miała tak niszczycielskiego charakteru, bowiem autorzy kroniki, co zaznaczył Kreis, ani nie podali liczby zmarłych, ani nie odnotowali jej jako znacznej. Dżuma i głód wystąpiły w Szprotawie także w 1631 roku, natomiast szarańcza w 1731 roku.

Tak jak w przypadku innych nieszczęść, szczególnie przy ich przedstawianiu była największa w odniesieniu do okresu od końca XVIII wieku, o czym świadczy opis wydarzeń związanych z ospą. Otóż 11 kwietnia 1829 roku zapadł na nią wędrujący czeladnik sukiennika, Ferdinand Koßmann urodzony w Rawiczu. Szprotawianie zastosowali kwarantannę. Początkowo wyznaczono osobny pokój dla chorego, który znajdował się w domu sukiennika Springera, ale ponieważ zachorowały także znajdujące się w tym domu kobiety, zamknięto cały dom i obsadzono strażą wojskową. Jak pisał Kreis, była to bardzo kosztowna blokada, ponieważ w domu znajdowało się 18 osób, które do 10 czerwca, czyli do czasu wyzdrowienia czeladnika, musiały być karmione. Na szczęście cel został osiągnięty – choroba nie rozprzestrzeniła się.

Szprotawa w płomieniach

Opisując pożary Kreis przytaczał bardzo często dane dotyczące szkód przez nie wywołanych, zazwyczaj podając liczbę spalonych czy uszkodzonych domów oraz liczbę ofiar. Tak było w przypadku pożaru, który wybuchł 14 lipca 1473 roku. Ponieważ w tym dniu swoje święto obchodziła Małgorzata, pożar nazwany został „pożarem Małgorzaty”. Wybuchł on o godzinie 8.00 w budynkach klasztornych i, zgodnie z relacją policyjnego radcy, „Szprotawa straciła 282 domy, ponadto spalił się klasztor, kościół parafialny, zamek, Brama

Głogowska i oba przedmieścia, tylko 2 małe budynki zostały przez pożar oszczędzone. Przy tym dwie osoby, młodzieniec i dziewczynka, spłonęły”.

Kolejny pożar wybuchł w Dzielnicy Głogowskiej 11 maja 1630 roku, dokładniej w szpitalu o godzinie 6.00 po południu. Wówczas „w popiół zostały obrócone” między innymi: szpital, kościół św. Jerzego, dom szewca, stodoła ceglana i wiele innych budynków, w sumie miały być 32 pogorzeliska.

Od końca XVIII wieku opisy pożarów charakteryzowały się większą szczegółowością. Kreis podawał już nie tylko daty i ewentualnie skutki tych nieszczęść, ale także dokładnie starał się opisać miejsce, w którym pożar powstał, i wymienić poszczególne domy, które ucierpiały w jego wyniku. I tak w odniesieniu do 1796 roku w kronice znajduje się dość obszerna relacja o dwóch wielkich pożarach. Pierwszy wybuchł z nieznanej przyczyny o godzinie 18.00 dnia 15 stycznia w stodole należącej do szpitala. Dalej Kreis pisał: „Ta stodoła nie stała na miejscu, gdzie obecnie stoi szpital, lecz daleko pod górę, na rogu ewangelickiego cmentarza. W stodole tej znajdowała się słoma, a ponieważ nadciągał dość silny wiatr, płomień przenoszony przez słomę rozprzestrzenił się dalej zapalając po drodze stodołę ogrodnika Krauze oraz folwark pana Ostera. Wspomniana stodoła i folwark spłonęły całkowicie”.

Uwagi końcowe

Jedną z ważniejszych konsekwencji wymienionych wyżej katastrof był następujący po nich wzrost cen, dotkliwie odczuwany przede wszystkim przez najbiedniejszą część mieszkańców miasta, wsi oraz dzieci. Wylewy rzek pociągały za sobą utratę pólów przez chłopów, pożary zabierały im dach nad głową a epidemie dziesiątkowały społeczeństwo lokalną. Dlatego też informacje o drożyznach przytaczane były przez Kreisa niemalże równie często jak nieszczęścia powodowane bezpośrednio przez czynniki przyrodnicze. Po raz pierwszy wzmianka o wzroście cen na produkty żywnościowe pojawiła się w odniesieniu do 1583 roku, kiedy to „ludzie musieli uciec się do niepospolitych środków, wielu także miało umrzeć z powodu głodu”. Drastyczna

w skutkach okazała się drożyzna wywołana powodzią z 1736 roku. Ponieważ woda bobrzańska zalała okoliczne pola, biedniejsi szprotawianie musieli piec chleb z owsa, co kończyło się u nich zawrotami głowy. Ponadto Kreis pisał o sprzedawaniu krwi oraz o tym, że kat musiał pilnować, aby bydło zakopywano na trzy łokcie w ziemię, ponieważ zdarzały się przypadki, że spożywano zdechłe zwierzęta...

Natura potrafiła zadziwić mieszkańców Szprotawy nie tylko pożarami, powodzią, lecz także niespodziewanymi zjawiskami astronomicznymi, jak na przykład zaćmieniem Słońca czy pojawieniem się komet.

W 1706 roku, w środę przed Wniebowstąpieniem w południe można było oglądać zaćmienie Słońca, które było tak wielkie, że w różnych domach paliło się światło.

Komety, jako zjawisko rzadkie, Kreis odnotował tylko kilka razy. Na przykład w 1811 roku pojawiła się wielka kometa wraz ze swoim długim warkoczem.

Fernand Braudel pisał: „Życie człowieka jest nie kończąca się walka na co najmniej dwóch frontach. Walczy o żywność, której nigdy nie dość [...] i przeciwko zdradzieckiej, przyjmującej rozmaite oblicza chorobie, która nań poluje”⁸. W *Chronik der Stadt Sprottau* walka ta zobrażowana została bardzo szczegółowo, przy czym obok chorób pojawiły się także powodzie, burze, trzęsienia ziemi i pożary. W walce tej mieszkańcy miasta i okolicznych wsi zdani przede wszystkim na siebie. Długo pozostawali bezsilni głównie z racji niewielkiego postępu w dziedzinie techniki. Dopiero wiek XVIII, oświecenie, racjonalistyczne podejście do zjawisk natury i podejmowane przez naukowców próby radzenia sobie z siłami przyrody pozwoliły na uniknięcie wielu tragedii. Dlatego wspomniany już badacz życia codziennego mógł stwierdzić, że z wiekiem XVIII kończy się *ancien régime* biologiczny⁹. W mniejszym stopniu dotyczy to mieszkańców środkowo-wschodnich obszarów Europy, w tym również mieszkańców Szprotawy, którzy w XVIII stuleciu jeszcze nie raz silnie odczuli siłę natury. Korzystanie z osiągnięć „wieku rozumu”, jakim było niewątpliwie wynalezienie piorunochronu przez Benjamina Franklina należy już do wieku następnego.

8 F. Braudel, Kultura materialna, gospodarka i kapitalizm XV-XVIII wiek, t. I, Warszawa 1992, s. 66.

9 Tamże, s. 80.

Die Sprottauer in den Armen der Natur

nach einem Bericht aus dem 19. Jahrhundert
von Johann Gottlob Kreis (Zusammenfassung)

Seit dem Anfang seiner Existenz war der Mensch dazu verdammt, gegen die Natur zu kämpfen. Diesen Kampf trug er mit den regelmäßig wiederkehrenden Krankheiten, Seuchen, Überflutungen, Bränden, der damit verbundenen Überteuerung und in der Folge mit vernichtendem Hunger aus. In Mittel- und Osteuropa hatten die Wetterveränderungen sogar noch schlimmere Folgen als jene im Westen. Dies hing unter anderem mit einer langsameren technischen Entwicklung auf diesen Gebieten. In den Städten waren Änderungen im Stadtbau von größter Bedeutung: die Beseitigung von wenigstens einem Teil der Stadtmauern, der Schwund von Holzhäusern. Schrittweise tauchten auf und verbreiteten sich neue Methoden der Seuchenbekämpfung: Arzneien neben der Quarantäne.

Eine der Städte, deren Einwohner all diese „Veränderungen“ der Natur am eigenen Leib erlebt hatten, war Sprottau, die zum ersten Mal in den 50er Jahren des 13. Jahrhunderts erwähnt wurde. Die wichtigste Quelle von Informationen über die Geschichte der Stadt und die mit der Natur verbundenen Wendungen deren Schicksals, bleibt die

„Chronik der Stadt Sprottau“ des Stadtbürgers Johann Gottlobs Kreis. Sie entstand in den Jahren 1830-1832 und besteht aus zwei Teilen: Der erste umfasst die Zeit vom 10. bis zum Ende des 18. Jahrhunderts, der zweite befasst sich mit den ersten drei Jahrzehnten des 19. Jahrhunderts. Die letzten dargestellten Ereignisse fanden im Jahre 1830 statt. Viele Berichte aus dem 19. Jahrhundert sind Augenzeugenberichte von Kreis selbst, deswegen sind sie auch sehr detailliert.

Seine Quellen über die Vergangenheit der Stadt waren Urkunden aus den Archiven, ältere Chroniken zur Geschichte Schlesiens sowie die „alte Sprottauer Chronik“ von der wir nur wenig wissen, außer dass sie aus dem 18. Jahrhundert stammte und deren Verfasser sich auf eine noch ältere Chronik berief.¹ Die Arbeit von Kreis ist vollständig erhalten und bleibt wohl die interessanteste Errungenschaft der Sprottauer Geschichtsschreibung.

Ein wesentlicher Teil des alten Stadtbildes waren Beschreibungen von verschiedenen Unheilen, von denen die Sprottauer heimgesucht wurden. Bei der Darstellung dieser Ereignisse konzentrierte sich Kreis

¹ M. Boryna, Anonimowa kronika Szprotawy z XVIII wieku, „Szprotawa i okolice & Bory Dolnośląskie“.

auf deren Folgen für die Einwohner und den Stadtbau. Es ergibt sich aus der Form des Werkes als Chronik, dass die Katastrophen darin in den überraschendsten Augenblicken auftauchen. Sie wurden von Kreis manchmal inmitten eines Berichtes über kriegerische Auseinandersetzungen eingeschoben. Damit wurden die Leser nicht nur davon informiert, von welchem Unheil Sprottau in der Vergangenheit heimgesucht wurde, sondern auch von der Art des Lebens der Sprottaufer, von deren Mühen, mit denen sie fertig werden mussten – ähnlich wie die Menschen zu Zeiten des Verfassers selbst.

So manches Unglück wurde direkt nach einem anderen genannt: Dürre und Feuer, Regen und Hochwasser; von manchen – auch wenn sie voneinander nicht abhängig waren – berichtete Kreis zusammen, weil sie im selben Jahr oder innerhalb von einer kurzen Zeit erfolgten. Das beste Beispiel ist Kreis' Erwähnung über das „während des Dreißigjährigen Krieges schlimmste“ Jahr 1633, als die Stadt gleichzeitig von Feuer, Pest, Plünderung,

„außerordentliche“ Überteuerung sowie hohen Kontributionen und Einquartierungen heimgesucht wurden.

In den 430 Jahren, die von der Chronik thematisiert wurden, kommt es immer wieder zu denselben Katastrophen. Durch Mangel an Hygiene in der Stadt, an der Kanalisierung, durch Konzentration der Menschen innerhalb der Stadtmauer sowie Holz als Hauptbaustoff waren die Einwohner von Sprottau und der Dörfer aus dessen Umgebung den oben genannten Unheilen ausgesetzt. Die Situation verbesserte sich, wie auch in anderen Städten Schlesiens, erst im Laufe des 19. Jahrhunderts. Die Berichte über das Sprottaufer Unglück sind nicht nur ein typisches Beispiel der schlesischen Chronikschreibung, sondern auch eine Quelle von Informationen über das Leben in den Städten des 19. Jahrhunderts und darüber, wie die damaligen Menschen mit ihren Problemen umgingen.

Übersetzt vom Grzegorz Kowalski





VARIA BIBLIOTECZNE

Gabriela Balcerzak

Czytając Herberta

*Błogosławmy klasycyzm i miejmy nadzieję
że nie przeminął na zawsze*

Cz. Miłosz

Zabójcze abstrakcje

Motto, wyjęte z *Pieska przydrożnego*¹ Czesława
Miłosza, z powodzeniem uznać można za przesłanie

całej twórczości Zbigniewa Herberta – poety i autora
esejów o sztuce. Klasycyzm w sensie wartości i cech
stylu – to skarbiec dla jego wyborów estetycznych
i moralnych. Cała twórczość jest – niczym dobra baba
wielkanocna – rodziną – suto utkana sugestiami
i definicjami ulubionych, wyrażanych osobiście
i wprost, przekonanych. Jak to, wyjaśniające wybór
zasadniczy – dlaczego klasycyzm :

¹ Cz. Miłosz, *Pieśń przydrożna*. Kraków 1998.

generałowie ostatnich wojen
[...]
skomlą na kolanach przed potemnością
zachwalając swoje bohaterstwo
i niewinność

Tucydides mówi tylko
że miał siedem okrętów
była zima
i płynął szybko ²

Spośród wielu słów pięknych i pociągających, Herbert zawsze wybiera konkrety, choć mniej efektowny i skromniejszy nieporównanie. Począwszy od tomu debiutanckiego (*Struna światła*, Warszawa 1956), konsekwentnie opowiada się po jego stronie:

broda oparta o pierś
kolano podkurzone
ręka jak martwa gałąź ³

– Tyle obraz: jasny, konkretny, celny. W tym samym utworze poznajemy też bliżej bohatera, który wyrzeka się nadmiaru, wszystkiego, co mogłoby go rozproszyć: *wyrzeka się „nawet Eos (...) wyrzeka się zbroi miedzianej / pięknego hełmu (...) tarczy (...) i włóczy (...) wyrzeka się świata”*. To postawa, jaką poeta i sobie, i nam, stawia przed oczami. Powtarza ją wielokrotnie, z uporem: oto *Nike która się waha* ⁴, a przecież „ma ogromną ochotę (...) ale boi się”. Wstydi się wzruszeń, byłoby ekstrawagancją, więc cnotę czyni z umiarkowania:

w końcu postanawia
pozostać w pozycji
której nauczyli ją rzeźbiarze.

Umiarkowanie to cnota pokory, znającej dobrze swoją wartość. Ta uwaga dotyczy tyleż bohaterów wierszy Herberta, co postawy poety ⁵.

Swoje zafascynowanie konkretem i konkretnością w sztuce, głównie w architekturze i malarstwie, unaocznia w słynnych esejach, przede wszystkim *Barbarzyńca w ogrodzie* oraz *Martwa natura z wędzidłem*. Tu poetycki „gorset” nie obowiązuje, wypowiedź jest bezpośrednia, żywa i osobista, wielokrotnie – polemiczna. Jeśli malarzom bizantyńskim zarzuca się pogardę dla szczegółu (czyli, zdaniem wielu, brak realizmu), to zarzut ten – powiada Herbert – nie dotyczy Duccia, który miał niebawem zmysł detalu ⁶. Ten sam talent zachwyca poetę u „małych mistrzów” holenderskich, których ceni znacznie wyżej niż wielu artystów uznanych za wybitnych przez autorytety naukowe. Wskazuje w ich malarstwie i umiowanie drobnych przejawów życia, kryjących się w ujmującym konkretyzmie rzeczy (mały piesek w rogu obrazu, blask aksamitnej sukni, światło przepływające poprzez szkło dzbanka...), i ukochaną przez siebie cechę: brak ostentacji. Herbert podkreśla z uznaniem i nieukrywają zazdrością, że w tym kraju przywiązanie do rzeczy było tak wielkie, że zamawiano wizerunki i „portrety” przedmiotów, aby potwierdzić ich istnienie i przedłużyć trwanie. Na marginesie odnotować można, że identyczne cechy oraz gesty widzieć w Holandii można i dziś – oto troskliwe polerowanie klamek u drzwi tuż po najmniejszym nawet deszczu, oto przedłużanie trwania zużytych przedmiotów: wazom bez pokrywki, garnkom bez ucha czy miedzianym rondlom z przepalonym dnem, pełniącym teraz z dumą funkcję doniczek na rośliny ozdobne, ustawiane na parapetach, werandach czy schodach.

Na cześć unieśmiertelnionej w obrazach codzienności wznosi Herbert strzeliste akty zachwyty. Torrentiusa nazywa „Orfeuszem martwej natury” ⁷, a jednocześnie wyznaje: „najpiękniejszy jest przedmiot / którego nie ma” ⁸, negując tym samym jego wartość. Przedmiot jest pusty, „niemowny”, dodawał poeta w tomie *Pan Cogito* i – dalej: „Żeby wywieść przedmioty z ich królewskiego milczenia, / trzeba albo podstęp, albo zbrodni” ⁹.

² *Dlaczego klasycy* (z tomu *Napis*, Warszawa 1969), *Wiersze zebrane*, Warszawa 1982, s. 198.

³ Z. Herbert, *Fragment wazy greckiej*, op. cit., s. 46.

⁴ Tamże, s. 47.

⁵ Zob. J. Bocheński, *Z Herbertem w labiryncie*, „Gazeta Wyborcza” 3-4 marca 2001.

⁶ Zob. Z. Herbert, *Siena*, [w:] *Barbarzyńca...*, op. cit., s. 109 – 112.

⁷ Zob. Z. Herbert, *Martwa natura z wędzidłem*, [w:] *Martwa natura...*, op. cit., s. 91.

⁸ Zob. Z. Herbert, *Studium przedmiotu*, [w:] *Wiersze zebrane*, op. cit., s. 154.

⁹ Zob. Z. Herbert, *Żeby wywieść przedmioty*, [w:] *Wiersze zebrane*, op. cit., s. 221.

Konkret w poezji i zachwyt nad takimi cechami natury ludzkiej, jak subtelność, staranność czy wierność, jednoczą się i konkretyzują w osobie poety, widzianego „prawdziwie”, bo nie pozbawionego elementu niedoskonałości, jak ten związany z baedekerem. Raz, w szkicu *Kamień z katedry*¹⁰ pisze Herbert, że nie rozstaje się z Przewodnikiem po Europie, wydanym w roku 1903 we Lwowie przez Akademicki Klub Turystyczny. Mówi o nim: „nieoceniona ta książka z ojcowskiej biblioteki (...)”, w innym zaś miejscu notuje: „rzeczowy i powściągliwy baedeker roku 1911, z którym się nie rozstaję”¹¹ To zupełnie nie podważa zaufania do poety; wierzymy mu całkowicie, gdy oświadcza: „jestem przygotowany, bo po stokroć o tym wszystkim czytałem”.

Tęskniąc za harmonią, doskonałością i powściągliwością, wie jednocześnie, że całkowicie od hałasu (i chaosu) nie da się odgradzić. Ani uciec. Pisz:

Odeszły pasterskie fletnie
złoto miedzianych trąbek
zielone echa waltorni

i skrzypce także odeszły

pozostał tylko bęben
[...]
dyktator muzyk rozgromionych¹²

„Dyktator” – jest w tym słowie buta, dominująca siła, bezwzględność. Gdzie tu miejsce na wytęsknioną harmonię, która jest symetryczna, miarowa, niezawodna i – doskonała? Pisz Herbert: „Piękno architektury klasycznej da się ująć w liczby i proporcje poszczególnych elementów w stosunku do siebie i całości”¹³ – tak wyraża szacunek dla rzetelności i talentu budowniczych gotyckich katedr, nadających swoim imponującym budowłom – „miliony miliony ton kamienia”¹⁴ – cudu powietrznej lekkości.

Zestawianie wartości wykluczających się stanowi dla poety źródło oszałamiającej syntezy i olśnienia. Do podobnych stanów nagłego zachwytu prowadzi zetknięcie malarskiego widzenia i poetyckiego zapisu. Ten ostatni podobny jest do mozolnego przesuwania ciężkich mebli, wolno rozwija się w czasie, podczas gdy wizja malarska jest nagle i „całościowa”; dokonuje się w mgnieniu oka, jak krajobraz ujrany w świetle błyskawicy¹⁵.

Nic więc dziwnego, że poeta w malarstwie unika dosłowności Mony Lisy, przesady Goi¹⁶, chłodnej szczegółowości Gerarda Dou – „...nieskazitelną, precyzyjną (...) opowiadano anegdotę, jak to całymi dniami maluje miotły i szczotki włosy po włosku”¹⁷. Choć jednocześnie – pamiętajmy! – we freskach Martiniego zachwycają go „kapitałne szczegóły” (Siena, [w:] *Barbarzyńca...*), ale wyławia je z większej całości niebywale celnym – nieomylnym – spojrzeniem. Domyślamy się, że wynajdowanie szczegółów ceni podobnie jak odkrywanie smaków wina, rozprawianego językiem na podniebieniu – wolniutko i z rozmysłem¹⁸.

Sekret oglądania przez Herberta obrazów polega na wędrowaniu od szczegółu do szczegółu – zauważmy przy tym, że ten „konkret” wcale nie oznacza dosłowności. Poeta ujawnia to w szkicu Gerard Terborch. Dyskretny urok mieszczaństwa¹⁹, gdy przedstawia nam siebie samego w chwili patrzenia na „Chłopca iskającego psa” tego artysty. Najpierw zauważa łagodną i szlachetną tonację („zgaszona, oliwkowa zieleń ścian” – tamże), a później koncentruje się na dwóch żywych akcentach kolorystycznych („niebieskie portki chłopca i białobrazowa sierść psa”, tamże). Uwielbia wirtuozerię kolorystyczną i budowanie formy kolorem w tym samym stopniu, co nie lubi dużych, zmysłowych obrazów Jordaensa oraz Sodomy, o którym wyraża się wprost z niechęcią: „jest tłusty, wulgarny, a jego forma cierpi na wodną puchliznę”.

10 Z. Herbert, *Kamień z katedry*, [w:] *Barbarzyńca...*, op. cit., s. 147.

11 Z. Herbert, *Delta*, [w:] *Martwa natura...*, op. cit., s. 9.

12 Z. Herbert, *Pieśń o bębnie*, (tom *Hermes, pies i gwiazda*. Wrocław 1957), [w:] *Wiersze zebrane*, s. 90.

13 Z. Herbert, *U Dorów*, [w:] *Barbarzyńca...*, op. cit., s. 45.

14 Z. Herbert, *Kamień z katedry*, [w:] *Barbarzyńca...*, s. 180.

15 Zob. Giorgione *Burza*, której reprodukcję przyjął poeta na okładkę tomu *Epilog burzy*, Wrocław 1998.

16 *Barbarzyńca...*, op. cit., s. 14.

17 Z. Herbert, *Cena sztuki*, [w:] *Martwa natura...*, op. cit.

18 Z. Herbert, *Siena*, [w:] *Barbarzyńca...*, op. cit., s. 149.

19 W tomie *Martwa natura...*, op. cit.

Pewnie z tych samych powodów niechętny jest barokowi w sztuce – pisze o tym w Elegii na odejście ²⁰:

mniejsza o barok którego nie znoszę

Jak przebiega linia rozdziału preferencji estetycznych Herberta? Jest kapryśna, swobodna, nie liczy się z sądami autorytetów. Rozdziela mniejszy obszar niechęci od większego – zachwyty i przychylności. Poza wspomnianymi artystami, nie lubi też Siemiradzkiego, Gerardów: Dou i Terborcha (w stosunku do jego obrazu *Zaprzysiężenie pokoju w Muenster*). Ceni i podziwia Duccia, Mantegnę, prymitywów z Duocenta, Ambrogia Lorenzettiego, Pierra della Francesca, Jana van Goyen, Torrentiusa oraz gotyk, drobne i bezbronne ułamki rzeczywistości (*tavoletta di bicerna*), zgaszoną i łagodną tonację obrazów, a także akwedukty i katedry.

Nie szuka wartości estetycznych w sposób metodyczny (naukowy). Biegle posługuje się intuicją (jak ją rozumiał Maurycy Mochnacki i romantycy polscy, to jest „czucie”), a to oznacza, że nie prowadzi „badań”, ma zbyt emocjonalny stosunek do przedmiotu. Kreuje się na szlachetnego dyletanta-amatora, a nie specjalistę.

Rozpoczęłam te rozważania odwołaniem do Pieska przydrożnego Miłosa i teraz do niego wracam. W naturze pieska leży obwąchiwanie wszystkiego, co napotka ciekawość, a nawet dezynwoltura (podnosi nogę to tu, to tam), ale też posilanie się tym, co los postawi przed psim nosem i gdzie popadnie. Podobnie w naturze autora Barbarzyńcy w ogrodzie, kontemplującego wytwory ludzkiego geniuszu, leży „picie z różnych źródeł”, a to objawia się ciekawością wszystkiego, co wzrusza serce albo inspiruje wyobraźnię. To zresztą właśnie charakteryzuje dyletanta: brak wyraźnej specjalizacji. Warto w tym miejscu powrócić do wiersza *Trzy studia* na temat realizmu z tomu *Hermes, pies i gwiazda*. Każda z trzech wyróżnionych w utworze części przedstawia artystę innej formacji. Przed nami kolejno pojawia się opis walorów malarstwa naiwnego, naturalisty-

cznego i abstrakcji geometrycznej. Decyzja wyboru opcji estetycznej należy do nas:

wybieraj na co czekasz
wybieraj
zachęca i poganiasz nas poeta.

Zauważmy na koniec, że aczkolwiek nie darzy Herbert zaufaniem słów, przypisując im kanciastość, bezforemność: „niezrozumiałe gulgotanie” ²¹, to sam operuje nimi bezbłędnie, po mistrzowsku wyczarowując za ich pomocą obrazy świetnie komponowane, interesująco waloryzowane kolorystycznie, a w dodatku brawurowo trzymające napięcie emocjonalne. Przykładem tych zalet może być utwór *Mademoiselle Corday* z tomu *Rovigo* ²²:

W sukni siennej jak skała – Charlott`a – słomkowy
kapeluszyk
dwie wstążki mocno zaciśnięte pod brodą
– pochyla się nad Maratem

[...]
za ścianą turkot miasta Bębny Rewolucji
A dalej – las – pole – strumień – pierzaste obłoki
– skłony powietrza – dziki tulin – ślaz

można powiedzieć, że obraz ożywa i wyraziście „staje” przed naszymi oczami. Tylko mistrz zwyczajnymi słowami wprowadzić nas może w nieśmiertelny świat cichych przestrzeni i konkretnych przedmiotów, wszelką pompę, wzniosłość i uniesienia pozostawiając na boku:

marzenia o mowie cherubinów
zostawiał w ogroju marzeń ²³
Idą za nim ci, których wzywał i wzywa.

Wierne czytanie

Czytam ostatni wydany za życia poety tomik wierszy, *Epilog burzy*, który ukazał się staraniem wiernego Herbertowi od wielu lat Wydawnictwa Dolnośląskiego ²⁴. Na skrzydełkach wydrukowane

20 Z. Herbert. *Elegia na odejście*. Wrocław 1993.

21 Z. Herbert, *Głos*, (tom *Hermes, pies i gwiazda*), op. cit., s. 57.

22 Z. Herbert, *Rovigo*, Wrocław 1992.

23 Z. Herbert, *Pana Cogito przygoda z muzyką*, [w:] *Elegia na odejście*, Wrocław 1993.

24 Z. Herbert, *Epilog burzy*, Wrocław 1998.

zostały reprodukcje rękopisów dwóch utworów, wchodzących w skład omawianego tomu: *Kwiaty* i *Strefa liryczna*²⁵.

Porównuję obie wersje, odręczną i drukowaną *Kwiatów*, utworu nawiązującego jednoznacznie do tradycyjnych sposobów budowania wypowiedzi poetyckiej: czterowersowe strofy ze skłonnością do uzgodnienia ilości zestrojów akcentowych w wersji czy też, inaczej mówiąc, z tendencją do wyrównania wersów, a także bliskość rymowa, np. sine/zimy, komu/domu, płatki/statki.

Aczkolwiek poeta rezygnuje z użycia środków interpunkcyjnych (co, naturalnie, zaciera czytelność struktur zdaniowych), ale konsekwentnie pozostaje przy stosowaniu dużych liter; one otwierają każdy kolejny wers rękopisu. Wydawnictwo rezygnuje ze stosowania nagłosowych dużych liter i nie jest to jedyne odstępstwo od oryginału.

O ile autorskie duże litery z początków wersów uznać można za utrwalony tradycją zapisu wierszowego nawyk poety, który może podlegać „rutynowej” korekcie redakcyjnej, podobnie jak usunięcie ewidentnych błędów pisowni („ponsowe” zamiast „pąsowe”, „chojne” w miejsce „hojne”), to inne zabiegi budzą poważniejsze wątpliwości, gdyż zniekształcają sensy utworu. Przytoczmy ostatni dwuwiersz drugiej strofy *Kwiatów*.

W wersji drukowanej czytamy (wszystkie podkreślenia moje – G.B.) :

niebo przecięte bielą wapienną **ciszę** domu
mgły się snują po polach **odpływają** statki

podczas gdy zapis rękopiśmienny wiedzie czytelnika ku odmiennym konkretyzaczom:

Niebo przecięte bielą wapienną **ciszą** domu
Mgły się snują po polach **Odpywają** statki

Zacznijmy od wersu końcowego. Nauczenni praktyką Herberta wiemy, że poeta niejednokrotnie buduje codę piętrowo, dwoma, trzema szybkimi, krótkimi zdaniami, z których drugie wymowę całości poszerza (uogólnia), uściśla lub pogłębia. Na przykład

w zakończeniu wiersza *Co robią nasi umarli* (tom *Hermes, Pies i gwiazda*) czytamy:

a my im z wdzięczności wielkiej
wymyślamy nieśmiertelność
zacisną jak norka myszy

Podobnie, w sposób piętrowy, rozwija się skala emocji w *Rozmyślaniach Pana Cogito o odkupieniu*.

nie powinien przysyłać syna
lepiej było królować
w barokowym pałacu z marmurowych chmur
na tronie przerażenia
z berłem śmierci

W interesującym nas utworze stosuje poeta – tak sądzę – identyczną „technikę” ekspresji, to jest rozpisuje swoją myśl na dwa niezależne zdania: „mgły się snują po polach” – mamy tu opis świata bliskiego i „odpływają statki” – próba ogarnięcia szerszych, może pozaziemskich, horyzontów. Statki odpływają bowiem poza horyzont, w zaświaty, niczym „aniołowie fal” w wierszu Słowackiego *Rzym*²⁶. Analogiczne konstrukcje pojawiają się już w pierwszym tomiku poezji Herberta, *Struna światła*, w utworze *Wrózenie*²⁷:

po co przyciskasz dłoń do oczu
wrózbę stawiamy Kogo pytasz

Forma graficzna takich rekapitulacji może być taka jak w *Kwiatach* albo *Wrózeniu*, bądź też jak w wierszu *Rozmyślania Pana Cogito o odkupieniu* lub *Dlaczego klasycy* (z tomu *Napis*), gdzie kolejne części składowe refleksji znajdują się w odrębnych wersach, a nie w oddzielnych zdaniach jednego wersu:

to co po nas zostanie
będzie jak płacz kochanków
w małym brudnym hotelu
kiedy świtają tapety

25 Ibidem, *Kwiaty* – s. 25, *Strefa liryczna* – s. 45.

26 J. Słowacki, *Rzym*, [w:] *Utwory wybrane*, t. I. Warszawa 1967, s. 25.

27 Ibidem, s. 46

Nikomiu, kto przyjrzy się rękopiśmiennej wersji wiersza *Kwiaty*, nie sprawi najmniejszej trudności stwierdzenie, że „O” w słowie „Odpywają” występuje w utworze jako duża litera. Jest owalne i wydłużone, gdy małe „o” jest u Herberta malutkie i okrągłe; nie wychyla się ani o jotę poza swoje miejsce w szeregu innych małych liter. Dlatego nie mogą zgodzić się na tego rodzaju poprawkę, która de facto zmienia ostateczną wymowę tego wiersza.

Oba, wypełniające ramy wersu, zdania są celne i krótkie, niby cięcie nożem splatają w jeden obraz pojawiające się w utworze wątki i zarazem stanowią do nich komentarz – do wątku przyniesionych z ogrodu kwiatów, wyjętych z naturalnego ich otoczenia („odjęte pszczołom [...] trwonią [...] aromaty”) i umierających, ginących zwolną, zupełnie podobnie jak to „omdlewające ciało” (drugi wątek), tkwiące w „wapiennej ciszy domu, w woskowej ciszy pokoju”. Poeta zestawia oba trwania – nietrwania i ukazuje znikomość tych tragedii, tych odejść, które nie burzą w stopniu najmniejszym ustalonego i trwałego porządku świata. Bo oto w niezmaconym spokoju „mgły się snują po polach”, a statki – jak każdego dnia – odpywają. Dodać można, że motywy odpywających statków uporczywie przywodzi na myśl przywoływany wiersz Słowackiego *Rzym*:

za mną był morski brzeg i nad falami
Okrętów tłum jako łabędzi stado

a z nim obraz dusz podążających w zaświaty.
Z innego typu różnicą między obrazem rękopiśmieniem a drukowanym, mamy do czynienia w przedostatnim wersie utworu:

niebo przecięte bielą wapienną **ciszę/ciszą**
domu

Jak rozłożyć akcenty w wersji drukowanej („ciszę”)? Jeśli umieścimy średniówkę po słowie „wapienną”, a na taką ewentualnie wersję wskazywałaby logika, cóż wówczas począć z zakończeniem?, z czym powiązać „ciszę domu”? Nie znajduję na to pytanie dobrej odpowiedzi. Przekonana jestem, że należy pozostać przy takiej formie deklinacyjnej, jaką przyjął autor: „wapienną ciszę domu” takiemu czytaniu sprzyja cała sytuacja liryczna: nieporuszone niebo niczym niemy świadek tkwi ponad „sceną”, na której dokonują się dwie tragedie, dwie opisane

równolegle przez poetę śmierci. Za tragicznością idzie niebawym spójność tego obrazu – łagodny, opisany „ciszą domu”, zakłóca go jedynie wchodzący w kadr widzenia zarys budynku, cichego, wapnem bielonego. Wszak mówi się potocznie o ścianach domów „bielonych wapnem”, a zatem mamy w wierszu do czynienia z dookreśleniem *jakości* bieli.

Na koniec warto zwrócić się w stronę pozostałych informacji znajdujących się w tomiku, a pochodzących od poety. Myślę o projekcie okładki oraz o tytule tomu. Poeta wybrał na okładkę *Burzę* Giorgiona, jedno z arcydzieł weneckiego Museo dell'Accademia, obraz powstały na przełomie XV i XVI stulecia, przepysny wyraz gasnącego renesansu. Przed nami majestatyczną urodę roztaacza obraz. W centrum po dwakroć niebo: to w górze oraz to w dole, odbite w wodzie. Sielski liryzm pejzażu zakłóca tylko błysk gromu. Zwróćmy uwagę na istniejące analogie – oto w omawianym wierszu doskonałość nieba „psuje” wdzierająca się w nie „wapienna biel domu”. Wróćmy do obrazu. U dołu po lewej – żołnierz; w dole po prawej młoda, prawie naga kobieta karmiąca niemowlę. Obie postaci istnieją w obrazie niezależnie od siebie, nie dostrzegają się, nie reagują na swą obecność; żołnierz i kobieta pozostają ani wrodzy, ani bliscy sobie, lecz obcy. I znów nieodparcie nasuwa się podobieństwo do lirycznej sytuacji z wiersza *Kwiaty*, gdzie brak wzajemnego zainteresowania notujemy między „omdlewającym ciałem” a kwiatami, które „trwonią swoje aromaty” w scenerii obu tym bytom obcej, niezestrojonej z nimi sytuacji lirycznej.

Tytuł zbioru, *Epilog burzy* jest – jak przystało na poezję – niejednoznaczny. *Epilog* to zakończenie, zebranie wątków, ta kwestia nie budzi wątpliwości, natomiast „burza” może być odczytana jako metafora życia, podobnie jak „gwałtem obrotne obłoki” z *Sonetu* / Mikołaja Sępa Szarzyńskiego. *Epilog burzy* byłby wówczas synonimem końca życia. Podsumowaniem życia. – Poety (?). Ale słowo „burza” równolegle kieruje naszą uwagę ku obrazowi Giorgiona (z okładki) i każe cały tomik poetycki uznać za „ciąg dalszy” historii „opowiedzianej” w obrazie, jej poetycki epilog. Omawiany wiersz jest wyraźną prezentacją sądów Poety na temat wciąż dyskutowanej tajemnicy tego płótna: wciąż dokonują się wydarzenia banalne (idzie drogą żołnierz, ktoś przynosi z ogrodu naręcza kwiatów), wydarzenia tajemnicze (dlaczego siedząca nieopodal traktu kobieta karmiąca piersią

dziecko jest naga?) i wydarzenia tragiczne (omdlewa ogarnięte umieraniem ciało, wędną pyszne barwą kwiaty). Pędzel malarza „opisuje” te zdarzenia z precyzją i z beznamietnością. To samo, ale za pomocą pióra, czyni Poeta. Stąd też nienaruszoność nieba i niezmiennność rytuałów przyrody (snujące się po polach mgły), a także rutynowość ludzkich czynności (niezmacona regularność odpływających statków). Bo czymże jest tragedia? Nie ma jej bez emocjonalnego zaangażowania świadka. Świadkowie *Burzy* Giorgiona pozostali tam, w obrazie; nie ma też świadków tragedii opisaney w *Kwiatach* Herberta ani

świadków epilogu życia Poety, bo w ostatnią drogę każdy wyrusza samotnie.

Interpretacja wiersza jest zawsze jakimś nadużyciem. Poezja Herberta od początku kusiła bogactwem odczytań, nie pozwalając jednak na całkowitą dowolność. Poeta wciąż czuwa i daje znaki skrupulatnie zapisując je w utworach. Oto dlaczego rychłe dokonanie poprawek w drukowanej wersji *Kwiatów* jest niezbędne. Jeszcze teraz, gdy „odstępcza” forma nie utrwaliła się dość mocno w świadomości czytelników, stosunkowo łatwo można usunąć z tekstu nieścisłości i błędy.



* * *

uczucia do wzięcia
więc bierzesz
niby dobrowolnie
oddaję w nich
całą siebie
ekshibicjonizm duszy
ale taki
nienaturalny

zostanie mi przeszczep
mózgu w miejsce serca
transgenicznie obciążony
prostotą myśli

tyle po tobie

* * *

próbowałam
zdefiniować
chwilę

przygwoździło ją
wybicie godziny

czas minął
game over

na poziomie
podstawowym

* * *

po omacku
rozbieram cię
ze wspomnień
nie składałam ich
rzucam w kąt
gdy nie patrzysz

chowam się w szafie
tak
dla przyzwoitości

może uduszę się
nadmiarem wolności

Chwilopylanie

wczoraj po deszczu
urodziłam miłość
tak po prostu
chwilopylanie
szybko
żebyś nie zauważył
jak bardzo
mi zależy

teraz pielęgnuję ją
depresją poporodową
przyzwyczajam się

będzie dorastała
krzyczała po nocach

w papierach zapiszą
ojciec nieznany
chwilopylany
po deszczu

Zielonogórska prasa

Fragment publikacji pt. „Zielona Góra w niemieckim piśmiennictwie do roku 1945 (w ujęciu historyczno-bibliograficznym)”

Pierwsza połowa XIX w. to początek prasy zielonogórskiej. Wszystko zaczęło się za sprawą drukarza Heinricha Augusta Kriega, który podjął pionierskie próby wydania lokalnego tygodnika *Grünberger Wochenblatt*. Krieg zorganizował zakład

drukarski, gdzie 2 lipca 1825 r. wytłoczono pierwszy numer gazety, która stała się nieodzownym elementem życia mieszkańców Zielonej Góry na ponad 100 lat. Od 1836 r. redakcja i wydawnictwo gazety przeszły w ręce Martina Wilhelma Sieberta. Najczęściej jednak periodyk kojarzony jest z nazwiskiem kolejnego wydawcy - Wilhelma Levysohna (1815-1871), którego firma wydawała pismo do początku lat 30-tych XX w.¹ Gazeta przeżywała swoje upadki i wzloty. W połowie wieku XIX, ustawy antypasowe doprowadziły wydawnictwo niemalże do bankructwa. Po śmierci Wilhelma firmę przejął jego syn Ulrich, który rozbudował i unowocześnił zakład, a *Grünberger Wochenblatt* osiągnął w roku 1900 nakład 10 tys. Egzemplarzy². Gazeta i drukarnia pozostały we władaniu Levysohnów do momentu dojścia hitlerowców do władzy. Levysohnowie – z pochodzenia Żydzi, nie mieli możliwości prowadzenia interesu w nazistowskim państwie. Pismo przekształcono w oficjalny organ NSDAP.

Oprócz artykułów dotyczących wydarzeń w kraju i na świecie, periodyk zawierał wiele cennych informacji z życia codziennego miasta na przestrzeni ponad 100 lat – informował o ważnych lokalnych przedsięwzięciach i wydarzeniach, publikował ogłoszenia tutejszych firm, instytucji oraz osób prywatnych, które po dziś dzień stanowią bezcenne źródło informacji dla badaczy dziejów „grodu



Strona tytułowa pierwszego numeru „Grünberger Wochenblatt” z 1825 r.

1 D. Kotlarek, Książka w życiu..., s. 82-85.

2 T. Czyżniewski, Mieli nakład 580.000. Subiektywny przewodnik po Zielonej Górze – odcinek 176, „Gazeta Lubuska” 2007, nr 239, s. 4

Bachusa". Do gazety dołączano wiele różnego rodzaju dodatków. W latach 1921-1935 ukazywał się dodatek *Aus der Heimat* (w roku 1930 zmienił tytuł na *Welt und Heimat*) zawierający sporą dawkę informacji na temat przeszłości miasta i regionu. Gazeta, choć w nazwie zawierała słowo „tygodnik” (raz w tygodniu wydawano ją w latach 1826-1842), ukazywała się także w poszczególnych okresach czasu jako dwutygodnik (do końca 1825 oraz w latach 1843-1885), następnie trzy razy w tygodniu (od 1886), a od roku 1920 jako dziennik³. O Levysohnach, ich gazecie i wydawnictwie napisano już sporo publikacji. W dotychczasowych opracowaniach mniej skupiano się natomiast na pozostałych pismach wydawanych w Zielonej Górze.

W artykule J. P. Majchrzaka *Polska i Polacy w prasie zielonogórskiej lat 1825-1870*, autor zamieścił informację, iż 30 czerwca 1843 pojawiła się w mieście druga gazeta *Grünberger Tageblatt*⁴. Zdanie to nie jest jednak do końca prawdziwe. Rzeczywiście, od tego dnia zaczął ukazywać się kolejny periodyk, jednak pod nazwą *Grünberger Intelligenzblatt*⁵. Jej twórcą był Friedrich Weiss, księgarz z Frankfurtu nad Odrą, który 1 czerwca 1842 przejął drukarnię po zmarłym Adolfie Kurzmannie przy ul. Berlinerstrasse 100 (dziś ul. Jedności). Dokładnie w rok później Weiss rozpoczął ekspedycję nowej gazety. *Intelligenzblatt* ukazywał się początkowo jako tygodnik, w piątki. Po politycznych wstrząsach połowy XIX w. przybrał charakter urzędowy, wydawany był dwa razy w tygodniu pod nazwą *Grünberger Kreis und Intelligenzblatt*. 1 czerwca 1873 r. Weiss odsprzedał zakład (z księgarnią i wydawnictwem *Grünberger Kreis und Intelligenzblatt* oraz założonej w 1868 *Das Deutsche Wollengewerbe*) Hugo Söderströmowi. Nowy wydawca zmienił częstotliwość ukazywania się periodyku. Od 1 listopada 1878 ukazywał się codziennie pod zmienionym tytułem *Niederschlesisches Tageblatt*. Od 1 kwietnia 1882 r. na zlecenie starostwa powiatowego drukowano urzędowe pismo *Amtliche Verordnungen des Grünberger Kreises*, którego edycją zajmowała się firma Söderströma. 1 października 1890 Heinrich Feder przejął wy-

dawnictwo *Niederschlesisches Tageblatt*, a 1 września 1892 Söderström sprzedał drukarnię i wydawnictwo *Deutschen Wollengewerbes* firmie Löbner u. Co., podczas gdy księgarnię zajął się Jahn Ruhlemann. Zmiany właścicieli *Niederschlesisches Tageblatt* trwały jednak nadal. Najpierw Heinrich Feder odsprzedał gazetę baronowi von Lancken-Wakenitz (1 października 1896 r.), a dokładnie po pięciu latach, odkupił ją drukarz Eduard Weller. Do roku 1907 drukowana była w zakładzie Löbner u. Co. 1 kwietnia tegoż roku nowy właściciel założył własną drukarnię. Okres I wojny światowej mocno doświadczyły zakład Wellera. Właściciel w 1919 r. postanowił odsprzedać *Tageblatt* kolejnej firmie – Niederschlesische Verlags- und Druckereigesellschaft m. b. H. Oprócz właściciela zmienił się także tytuł gazety – *Grünberger Tageblatt*. W zbiorach GŚ Biblioteki Uniwersytetu Wrocławskiego ostatni numer pochodzi z 1935 r. Periodyk miał stanowić ideologiczną przeciwwagę dla prezentującego liberalne poglądy levysohnowskiego



3 B. Burda, D. Dolański, T. Dzwonkowski, Zielona Góra do 1945 roku. Źródła i literatura, Zielona Góra 1994, s. 52.

4 J. P. Majchrzak, Polska i Polacy w prasie zielonogórskiej lat 1825-1870, „Rocznik Lubuski” 1984, t. 13, s. 215-216.

5 A. Schildt, Die Kunst Gutenbergs in Grünberg und die Entwicklung der Buchdruckerei W. Levysohn, „Grünberger Wochenblatt” 1925, nr 151, 3. Beilage zur Jubiläums-Ausgabe.

tygodnika. Abstrahując od politycznych treści pisma, podobnie jak konkurencja, gazeta publikowała wiele cennych artykułów i informacji stanowiących ciekawe źródło historyczne, dokumentujące życie codzienne Zielonej Góry w XIX i na początku XX w.

Trzecią zielonogórską gazetą był *Grünberger Sontagsblatt* założony w 1895 przez Hansa Hauptstocka, dotychczasowego redaktora w *Niederschlesisches Tageblatt*⁶. Pierwsze numery tłoczono w Sulechowie. Gazeta ukazywała się następnie dwa razy w tygodniu pod tytułem *Grünberger Nachrichten*. W roku 1902 ponownie zmieniono nazwę. Odtąd jako *Grünberger Volkszeitung* wydawano ją trzykrotnie w tygodniu. 1 sierpnia zmienił się ponownie właściciel, pieczę nad gazetą przejął Otto Höhne, który kontynuował jej wydanie do 30 kwietnia 1916 r.

Na miejscu redagowano również inne wydawnictwa o charakterze ciągłym. Najbardziej wartościowym pod względem poznawczym jest

*Grünberger Hauskalender*⁷, drukowany w latach 1911-1941 (ukazywał się nieregularnie). Był to swego rodzaju almanach, zawierający część kalendarzową oraz część zasadniczą, na którą składały się różnego rodzaju publikacje: proza, poezja oraz teksty dotyczące powiatu zielonogórskiego. Oprócz artykułów historycznych prezentowano tu materiały krajoznawcze, przyrodnicze prezentujące piękno okolic Zielonej Góry, które zawierają sporą dawkę informacji służących współczesnym badaczom przeszłości. Dodatkowo rocznik zawierał dane informacyjne o odbywających się targach, administracji powiatowej, instytucjach użyteczności publicznej itp. Całość zdobi unikatowa ikonografia.

Własne periodyki wydawały także różnego rodzaju zielonogórskie instytucje. Gimnazjum Realne Fryderyka Wilhelma drukowało własny program-informator ukazujący się przez lata pod różnymi tytułami: *Programm der städtische Realschule zu Grünberg...*, *Programm der Friedrich-Wilhelms Schule zu Grünberg*, *Jahresbericht über die Friedrichschule zu Grünberg*. Pismo składało się z dwóch części. W pierwszej prezentowano naukowe publikacje, głównie autorstwa kadry profesorskiej szkoły. Druga część poświęcona była sprawom organizacyjnym placówki. Zamieszczano tu plany i programy nauczania, informacje z życia szkoły, wykazy lektur, dane statystyczne. Zdekompletowane roczniki wydawnictwa nie pozwalają na określenie dokładnej daty ukazywania się informatora. Od roku 1871 pojawiła się numeracja rocznika. Numer XVIII przy tej dacie może sugerować, iż pismo ukazywało się od roku 1853.

Innym periodykiem związanym z wyżej wspomnianą szkołą był ukazujący się w latach 1919-1941 *Grünberger Blätter*, wydawany przez stowarzyszenie absolwentów (Verein der ehemaligen Angehörigen des Friedrich-Wilhelm-Realgymnasiums in Grünberg). Oprócz wspomnień dawnych uczniów placówki, pismo zawierało wiele publikacji poświęconych najbliższemu regionowi, artykuły historyczne i biograficzne, zdobione ilustracjami i zdjęciami.



⁶ Tamże.

⁷ Rocznik ukazywał się także pod tyt. „Hauskalender für den Kreis Grünberg in Schl.“, „Heimatkalender für die Kreise Grünberg und Freystadt”



OBRAZY PROWINCJI SZLACHECKIEJ

Jarosław Kuczer

Podróżnik, dyplomata, fundator śląski doby renesansu

Joachim von Berge (1526-1602) oczami biografa Karla Kellera

W 1824 r. wydana została jedna z niewielu istniejących do dziś prac o charakterze biograficznym dotycząca szlachcica śląskiego. Do dzisiaj powstały wprawdzie nieliczne monografie poszczególnych rodzin, brak jednak prac, które traktowałyby o życiu jednej postaci. Autorem dzieła pozostaje królewski nadintendent i pierwszy pastor szprotawski, Karl

Benjamin Gottlob Keller. Ukończył swoją pracę w 1834 r. i wydał ją w oficynach głogowskiej i lipskiej Carla Heymanna. Keller był stypendystą fundacji Bergów, funkcjonującej z powodzeniem jeszcze w XIX w. i jak wyznał, właśnie to było lejtmotywem jego pracy. Ta z kolei nie powstałaby, gdyby nie materiał źródłowy przekazany Kellerowi przez gło-

gowskiego radcę sądowego, niejakiemu Ziekuscha. Radca ten nie tylko udostępnił akta, ale też zrekonstruował tablice genealogicznych zamieszczonych na końcu pracy. Depozyt majątku Bergów: Żukowice, był częścią zasobu archiwalnego urzędu miasta Głogów. Autor zastrzegł we wstępie, że nie fantazjował i spisywał jedynie to, co odnalazł w owych aktach, jednak w jego tekście znaleźć można zbyt wiele uwielbienia dla opisywanej postaci, by można by wszystkim zawierzyć.

Praca stanowi zapis życia Joachima von Berge i dziejów jego fundacji wspierającej finansowo młodzież szkolną i akademicką.

Joachim von Berge urodził się 23 marca 1526 r. w Żukowicach, w roku śmierci króla Czech i Węgier Ludwika II Jagiellończyka i w przeddzień przejęcia Śląska z całym Królestwem Czeskim przez dynastię Habsburgów. Jego rodzicami byli wiekowy, siedemdziesięcioletni już Hans von Berge i Katharine z domu Braun z Przecławia w księstwie głogowskim. Sam Joachim nie pamiętał swego ojca, który zmarł dwa lata po jego narodzinach.

Wykształcenie

Matka Joachima zawierzyła wykształceniu syna Hermannowi Bolchowi z Frankonii, nauczycielowi stale przebywającemu w majątku. Z ukończeniem dwunastego roku życia (1538) posłano Joachima na pięć lat do książęcego gimnazjum w Złotorii prowadzonego przez Valentina Trotzendorfa. Było ono w ówczesnym czasie ośrodkiem, jak nie centrum nauczania protestanckiego tej części Europy. Był von Berge jednym z wielu młodych nobilitów, którzy ścigali tu z całego Śląska.

Po ukończeniu nauki w gimnazjum, w 1544 r. udał się na studia do protestanckiej Wittembergi. Kronikarz rodziny z pewnością znacznie przesadził w opisach uniesień i podziwu, jakich miał doznawać Joachim podczas odczytów Marcina Lutra, jednak młodzieniec musiał z zainteresowaniem śledzić – podobnie jak cały świat – rozwój idei protestanckich i wydarzenia, w których centrum się znalazł. Brał zresztą udział w ceremonii pogrzebowej Lutra. Według Kellera miało to silny związek z aspiracjami naukowymi Joachima, które koncentrowały się

w tym czasie głównie wokół teologii. Wiemy, że młodzieniec odebrał gruntowne wykształcenie, które miało w przyszłości zapoczątkować karierę w strukturach państwa habsburskiego. Wraz z nadejściem pod miasto wojsk cesarskich pragnących rozprawić się z armią protestancką, chcąc nie chcąc rozpoczął się *Kavalierstour*, czyli „podróż edukacyjna”, Joachima von Berge.

Była ona w istocie dłuższa (1548-1556), niż późniejsze wojaże będące przedśmionkiem do pracy w administracji cesarskiej, a mimo to wiemy na jej temat dużo mniej. Z Wittembergi wyjechał w popłochu w 1548 r., podobnie jak cała kadra profesorów, kiedy zagrożone zostało całe władztwo kurfirsta saskońskiego Moritza, a cesarscy podeszli pod miasto, pałac jego przedmieścia. Najpierw w początkach 1548 r. udał się do Lipska, Torgau a następnie wrócił na Śląsk, zarzucając aspiracje naukowe. Joachim nie stronił od wydarzeń, które nosząc wymiar religijny, były w istocie w XVI w. wydarzeniami o charakterze politycznym. I tak przykładowo w czerwcu 1551 r. przysłuchiwał się otwartemu synodowi wyznania augsburskiego, jaki miał miejsce w Wittemberdze. Po (kolejnej) wizycie u Filipa Melanchtona wyruszył w podróż po Europie, która jednak z uwagi na swój odrębny charakter, zasługuje na poświęcenie szczególnej uwagi. Łącznie przeżył na niemieckich uniwersytetach dwanaście lat, do świąt wielkanocnych 1556 r. i warto zaznaczyć, że był to okres znacznie dłużej niż jakiegokolwiek ze znanych nam szlachciców śląskich, dla których w ówczesnym czasie już dwu-, trzyletni pobyt w mieście uniwersyteckim traktowany był jako nobilitujący.

Konfesja z wyboru

Takie wychowanie – najpierw wprowadzie pod okiem katolickiego preceptora, ale następnie w gimnazjum złotoryjskim, i uniwersytecie wittemberskim, centrach reformacji – przyniosło w efekcie przejście Joachima na protestantyzm. Nie wiemy dokładnie kiedy to miało miejsce. W zasadzie wystąpił on przeciw silnym zasadom obu rodziców. Ojciec Joachima bowiem do końca swoich dni pozostał silnie związany z wyznaniem katolickim i negatywnie odnosił się do wszelkich nowinek jakie przyniosła ze sobą reformacja. Matka przez całe dzieciństwo przypominać miała Joachimowi o sto-

sunku ojca do nauk Marcina Lutra. Wbrew jednak upodobaniom młodego Berga i tradycji pisarskiej – jak uważa K. Keller zapoczątkowanej przez jezuitów – w Żukowicach nigdy nie przebywał Filip Melanchton, a nowe wyznanie zaszczerpione zostało w dobrach Bergów dopiero za zgodą matki Katharine, która w 1554 r. zezwoliła synowi na sprowadzenie tu z Koźuchowa (centrum protestantyzmu śląskiego od 1521 r.) niejakiego Bartela Schönborna. Joachim miał wtedy dwadzieścia osiem lat. W krótkim czasie poszedł nawet dalej, skłaniając się w kierunku kalwinizmu, zwłaszcza po wykładach egzegety Crucigersa.

Na marginesie napomknijmy, iż mimo afirmacji protestantyzmu w Żukowicach część rodziny pozostała przy katolicyzmie. W 1718 r. na Żukowicach Górnych spotykamy właśnie katolika, hrabiego Johanna Carla Heinricha von Berge, podczas gdy właścicielem Żukowic Dolnych był Hans von Berge, luteranin. Ponieważ w XVI, jeszcze silniej niż w XVII w. wyraźny był podział na linii katolicki/cesarski a protestancki/stanowy, katolicy Bergowie z pewnością stali w sojuszu z polityką Wiednia, o czym świadczyć mogą również wystawiony im tytuł hrabiowski.

Le Grand Tour – w poszukiwaniu protekcji i wpływów

Le Grand Tour pozostaje dziś określeniem nie tylko podróży kształcącej, ale w zasadzie jej rozwinieciem. Wojaż taki był realizowany w celu pozyskania znajomości, protekcji, a za ich pośrednictwem przyjaźni i wpływów. Wiódł już nie zawsze szlakiem uniwersytetów, a raczej dworów królewskich, książęcych i hrabiowskich całej Europy. Z pewną dozą wyrafinowania i premedytacji wybierano najświetniejsze spośród nich, te pełne splendoru. Nie każdy jednak był w stanie uzyskać pełnomocnictwo i dostać się przed oblicze takiej ilości władców, jak to stało się udziałem Joachima von Berge. Poniżej staramy się zobrazować szlak wędrowki przyszłego polityka. Rozpoczęła się ona z końcem lata 1556 r.

Niemcy – Nadrenia

Pierwszym miastem „wielkiej podróży” stał się Lipsk. Zawitawszy do niego ponownie, Joachim von Berge znalazł się na dworze hrabiego Guenthera

von Schwarzburga, z którym odwiedził Sonderhausen. Ten z kolei polecił go hrabiemu Wilhelmowi Starszemu von Nassau, od którego zaproszenia zależały dalsze kolejne wyprawy. I tak znalazł się w Dillenburgu, gdzie spędził pewien czas. Od tej pory w zasadzie każda następna wizyta rodziła kolejne zaproszenia i pobudzała prawdopodobnie wyobraźnię Joachima. W Dillenburgu został zatrzymany do ślubu córki Wilhelma z brabanckim hrabią von Bergk. Możliwe, że odwiedził też znany wówczas, jako niewielkie centrum kulturalne, Weimar.

Niderlandy

Kolejnym celem podróży była Bruksela, gdzie właśnie przebywał dwór króla Hiszpanii Filipa II. Tam, znów dzięki poleceniu hrabiego von Schwarzburga, uzyskał audiencję u hrabiego Egmonta, jednej z większych postaci ówczesnej polityki europejskiej. Nie było wątpliwości, że była ona szczególnie ważna. Egmont dzięki swoim zasługom jako namiestnika królewskiego i wielkiego dowódcy, posiadał rozległe wpływy i stał wówczas szczególnie blisko samego króla. Był w stanie otworzyć przed nim wiele drzwi. I tak zaprosił go między innymi na uroczystości zamkniętej elity rycerzy Złotego Runa (dzień św. Marcina 1556). Niedługo potem Egmont popadł w niełaskę i został skazany na śmierć.

Królestwo Anglii

Prosto z dworu Filipa II, za sprawą właśnie hrabiego Egmonta, uzyskał pełnomocnictwa na dwór małżonki króla Hiszpanii, Marii – królowej Anglii. Egmont był bowiem stałym pośrednikiem pomiędzy obydwojma dworami. Maria przyjęła go w grupie gości w dniu św. Tomasza 1556 r. Wprowadzony przez trabantów do opactwa westminsterskiego ucałował dłoń królewską w obliczu całego dworu i zgromadzonego tłumu, co było jednym z najwyższych zaszczytów, jakiego był w stanie dostąpić człowiek jego stanu. Następnie z polecenia królewskiego został poproszony przez mistrza dworu (ceremonii) do codziennego stołowania się wraz z dworzanami. Jeśli zawierzyć Kellerowi, Berge dostał też swoich przewodników na potrzebę zwiedzania miasta i okolic. Prawdopodobnie więc podróż do Anglii ograniczona została do samego Londynu. Zresztą rzadko zdarzało się, aby udawano się jeszcze

dalej na północ. Już samo pojawienie się na dworze londyńskim nie było częstym. Po Joachimie najznamienitszymi gośćmi były takie osobistości śląskie jak książę Henryk XI legnicko-brzeski.

Królestwo Francji

Kolejnym etapem podróży szlachcica była w 1556 r. francuska Boulogne. Jego długi pobyt na dworze angielskim potraktowany został tutaj z dużą podejrzliwością, co przyniosło jego aresztowanie już w pierwszych dniach po zejściu na ląd. Policja królewska dokonała przeszukania bagażu i wszystkich rzeczy osobistych. Na podstawie znalezione go przy nim listu królowej Anglii dokonano aresztowania. Jego pojawienie się we Francji zbiegło się bowiem z wypowiedzeniem pokoju hiszpańsko-francuskiego. Z opresji miało go wyciągnąć pismo pewnego pośła francuskiego do gubernatora Pikardii, w którym został przedstawiony jako Niemiec, któremu obce były interesy angielskie. Zanim jednak przyjęto zawarte w nim wyjaśnienia, Joachim zdążył spędzić piętnaście dni w więzieniu. Odzyskawszy wolność we Francji, uzyskał nawet zaproszenie do stołu królewskiego. Tutaj miał widzieć Henryka II wraz z cieszącą się złą sławą małżonką Katarzyną Medycejską, delfina, późniejszego Franciszka II, Karola księcia Lotaryngii, króla Nawarry wraz z braćmi, Marię Stuart, wielu książąt i kardynałów w rzeczywistości dzierżących stery rządów w państwie.

Kolejnym miastem Francji był Orlean, gdzie miał uczyć się na prelekcje znanego wówczas prawnika Annasa du Bourg, radcy funkcjonujących jeszcze do 1614 r. Stanów Generalnych. Dalej udał się do Blois gdzie przebywał sam król. Również w Blois miał miejsce wypadek, jaki przydarzył się mu podczas wyprawy konnej z hrabią Heinrichem von Eisenbergiem i Philipsem von Hanau. W kolejnej miejscowości, Bourges spotkał się z uznanym jurystą, Franzem Duarenusem, uczniem Budaeusa. Takie są też ostatnie zapiski K. Kellera dotyczące pobytu Joachima we Francji.

Republika Szwajcarii

K. Keller podaje informację, iż Berge pojawił się też w Genewie, gdzie przysłuchiwał się wykładom Jana Kalwina. Zważywszy na czas jego pobytu w mieście, nie jest to wykluczone. Następnie odwiedził Zurych, Brno i Bazyleę. Jego biograf utrzymywał, że i tam spotykał się z ludźmi nauki i polityki. Tutaj poznał dwóch znakomitych filozofów

włoskich: Caeliusa Secundusa i Vinzenza Magnusa. Zwłaszcza ten drugi był znany jako interpretator Arystotelesa i Horacego.

Kraje południowych Niemiec

W drodze powrotnej Joachim zawiązał jeszcze do Freiburga, a następnie przekroczywszy Ren znalazł się w Strasburgu, gdzie przedstawiono go Janowi Sturmowi, twórcy tamtejszego modelu gimnazjum, nazywanego według ówczesnej mody niemieckim Ciceronem, Platonem, a nawet Arystotelesem. Kolejnymi miejscami odwiedzionymi przez Joachima był Ulm, Augsburg – gdzie dzięki znajomości z Antoniuszem Fuggerem mógł zwiedzić bibliotekę, pałac i ogrody tej wielkiej bankierskiej rodziny. Po kilku dniach pobytu kontynuował podróż po Bawarii, by znaleźć się w Tyrolu, a następnie w Lombardii.

Kraje i miasta włoskie

Najważniejszymi miastami, które zwiedził na terenie Włoch były Padwa, Bolonia, Wenecja i Rzym. W Padwie spotkał swego serdecznego przyjaciela, Martina Gerstmann (zm. 22 marca 1585 r.), które to znajomość okazała się jakże ważną zwłaszcza gdy Gerstmann uzyskał mianowanie na biskupa wrocławskiego i kanonika ulmskiego. Ten niegdyś hofmistrz dworu synów Maksymiliana II cieszył się uznaniem władcy. Podczas pełnienia przez siebie funkcji dokonał potwierdzenia zwierzchnictwa arcybiskupstwa gnieźnieńskiego nad biskupstwem wrocławskim. Gerstmann zaprosił nawet swego ziomka do wspólnego zamieszkania. Wówczas to miała zawiązać się późniejsza przyjaźń obu Ślązaków, mimo różnic w wierze, jakie ich dzieliły.

W Bolonii wystarał się Joachim o wstęp na wykłady prawnika Arminiusa, a w Wenecji dzięki nowej znajomości z radcą dożów weneckich, Antoniuszem Megą udało mu się nie tylko dokładnie poznać miasto, ale i zrozumieć funkcjonowanie systemu politycznego republiki. Miał zostać wprowadzony nawet do skarbca weneckiego, która to informacja wydaje się jednak mało prawdopodobna, a raczej wymyślona przez K. Kellera, z uwagi na fakt, że historia skarbca i jego zawartość pozostawała dalece bardziej niż legendarna. Pobyt w Rzymie przebiegł podobnie i związany był głównie ze zwiedzaniem wiecznego miasta i poznawaniem jego

walorów artystycznych. Dalej widzimy Joachima w Kampanii i Królestwie Neapolu.

Kraje austriackie, Królestwo Węgier, Rzeczpospolita Obojga Narodów

Z Włoch via Wenecja, a następnie kraje austriackie: Styria, Kraina, Karyntia i sam Salzburg, Wiedeń, częściowo Węgry i Polskę wrócił Joachim na Śląsk. W Polsce miał zabawić dłuższy czas w Piotrkowie, podczas odbywającego się tam sejmku Rzeczypospolitej zwołanego przez Zygmunta II Augusta. Znajomość polskich obyczajów a nawet języka nie była zresztą niczym obcym w tym czasie w odniesieniu do szlachty śląskiej. O posługiwaniu się nimi i priorytecie poznania słyszymy w relacjach dotyczących rodzin hrabiowskich von Schönaich, czy von Oppersdorff. Na Śląsku, wówczas właśnie, po raz pierwszy miał przyjechać do jego stołecznego miasta: Wrocławia.

Udało się więc Joachimowi odwiedzić najpotężniejsze dwory Europy: hiszpański, angielski, francuski, i być na nich przyjętym. Oczywiście takich jak on było dużo i przyjmowani byli oni zazwyczaj w dużych grupach. Nie pomniejszało to jednak faktu, że tylko wsparcie możnych przynosiło podobny zaszczyt. Największą uwagę jego biograf zwrócił na fakt, iż „poznał kraje sąsiadujące z Niemcami, ich obyczaje, przyzwyczajenia, tradycję, starania, jak i podbite ziemie, przywileje społeczeństw, poddaństwo, cnoty i wady, zagrożenia jakie mogą przynieść mroczna północ, jak i uśmiechnięte południe, wesoło usposobiony zachód i niewolniczo usposobiony wschód...”, a więc na wartość uniwersalną, jaką pozostawał horyzont myślowy i zasięg intelektualny świata w jakim zwykł się Joachim później poruszać. W Żukowicach pojawił się w Wigilię świąt Bożego Narodzenia 1558 r. Podróż trwała więc około dwa i pół roku.

Udział w życiu publicznym Cesarstwa Niemieckiego

Wspomniane wyprawy przedsięwziął Joachim z całkiem pragmatycznych pobudek. Poszukiwał bowiem możnych, wpływowych opiekunów

i zwierzchników, którzy mogli by wprowadzić go na salony świata europejskiego. W pierwszych latach po studiach musiał zdawać sobie bowiem sprawę, że ma zamknięte drzwi do kariery w administracji cesarstwa (wojsko wydaje się nigdy nie interesowało Joachima) w państwie Karola V, który zwalczał siłowo opozycję stanów protestanckich.

Dzięki biegłości w prawie i obyczajach politycznym mianowany został zastępcą starosty glogowskiego, Christopha von Lobkowitza (1557-1565) i zastępował go przez długie okresy czasu na tym urzędzie w trakcie nieobecności. Prowadzenie spraw księstwa połączyło jego karierę ze sprawami całego Królestwa Czech. Już w 1559 r. zaczął pracować jako wysłannik stanów na sejm augsburski, a niedługo potem Ferdynand I przyznał mu tytuł tajnego radcy cesarskiego. Z opisu K. Kellera wynika, że czasowo był agentem stanów glogowskich u dworu wiedeńskiego. Tam poznał się na nim niejaki Joachim zu Neuhaus, kanclerz czeski i rycerz Złotego Runa, dzięki której to znajomości miał Joachim zająć stanowisko radcy dworu Rzeszy. Zaprzysiężenie miało miejsce w dniu św. Michała 1560 r. Później nieprzerwanie pracował dla Maksymiliana II, a za czasów cesarza Rudolfa II osiedlił się nawet w Pradze, dokąd przeniósł się cały dwór. Joachim brał udział w pochodzie koronacyjnym Rudolfa II, ceremonii odbywanych w Pradze, Frankfurtu nad Menem i Bratysławie. Z polecenia cesarza wprowadził nawet na urząd starostę Górnej Austrii w 1565 r.

Kolejnym etapem były już misje dyplomatyczne (1565-1571). W końcu 1565 r. bowiem stanął na czele poselstwa do zwaśnionych książąt saksońskich Johanna Friedricha i Johanna Wilhelma. W rok później powierzono mu trudne zadanie zjednania sobie protestanckich książąt Rzeszy i sprowadzenie ich na sejm do Augsburga. W 1567 wysłany został do Konstantynopola jako ambasador, a w 1568 r. uczestniczył w poselstwie rozjemczym do Kopenhagi mającym na celu likwidację zagrożenia wojny szwedzko-duńskiej, które godziło w interesy ekonomiczne cesarstwa, zwłaszcza w import soli. Nie wiemy z jakich względów nie podjął się misji moskiewskiej, która miała przynieść sojusz w wojnie z Turcją. Możliwe, że uznał ją za zbyt niebezpieczną. K. Keller wymienia jeszcze wiele posłannictw i misji Joachima. W Wiedniu, w 1571 r., po dwunastu latach służby, wystarał się o dymisję, osiedlając się w rodzinnych stronach, by tam założyć rodzinę i wypełniać

urzędy starszego ziemskiego oraz sędziego ziemskiego. Zbiegło się to w czasie z pierwszym małżeństwem Joachima. W późniejszym czasie jedynie sporadycznie angażował się w poselstwach cesarskich.

Fundacja edukacyjna Joachima von Berge

Dzięki Joachimowi von Berge, rodzina von Berge stała się jedną z protektorek kształcenia młodzieży na Śląsku. Czerpiąc z doświadczeń uniwersyteckich i analizy struktury szkolnictwa śląskiego, dokonał fundacji stypendium pozwalającego na finansowanie nauki w gimnazjach luteranckich siedmiu synom mieszczańskim powyżej piętnastego roku życia, dalej studiów dwóm osobom spośród szlachty (w praktyce przyznawano je wyłącznie Bergom) oraz dwunastu młodym mieszczanom. Każda osoba miała być wspierana przez trzy lata. Stypendyści wystawiali rewers, w którym zobowiązywali się do posłuszeństwa, pilności i prowadzenia skromnego stylu życia. Stypendium mogli otrzymać obok mieszczan również chłopci, a wybierali ich osobiście fundatorzy oraz miasto Szprotawa. Wysokość funduszu określono w testamencie pana Żukowic i Kłody z 1601 r. Przykładowo Zielona Góra otrzymywała na ten cel 60 talarów śląskich rocznie, płatnych w dniach świąt wielkanocnych, św. Michała i św. Marcina. Kozuchów i Szprotawa otrzymywały 180 tal. rocznego stypendium. Te i inne miasta weichbildowe otrzymywały bowiem odsetki od ufundowanych 7000 tal. śl., a Zgorzelec i Gubin od 11 000 tal. śl. Fundacja stypendialna objęła również Świebodzin i Kozuchów. W 1626 r. została czasowo zawieszona, w związku z działaniami wojennymi toczonymi na terytorium księstwa głogowskiego i w obliczu mających wkroczyć wojsk austriackich generalissimusa Walensteina. Jej fundusze zamierzano nawet przeznaczyć na utworzenie powstających w tym czasie seminariów jezuickich. Stało się to jednak dopiero w 1680 r. na rozkaz katolickiego starosty głogowskiego hrabiego Bernharda von Herberstein. Formalnie więc stypendium funkcjonowało nadal, jednak zahamowano odpływ funduszy w ręce niekatolików. Rozkaz na dobre wszedł w życie dopiero w 1706 r., a fundacja Bergów w swoim pierwotnym kształcie reaktywowana została dopiero pod rządami pruskimi i osiągnęła wówczas zdolność finansową 31 000 talarów Rzeszy, obejmując dodatkowo Żagań i Bolesławiec. W ten sposób Bergowie wystąpili jako

rzecznicy aspiracji naukowych szlachty i mieszczaństwa, rozciągając opiekę nad ich utalentowanymi synami.

Uwagi końcowe

Joachim von Berge zmarł 3 marca 1602 r. niemal w wieku 77 lat. Około 1570 r. ożenił się z Dorotheą von Knobelsdorff, wdową po Joachimie von Berge na Niwiskach. Z dziesięciorga dzieci pozostała mu tylko córka Abigaile, która jednak zmarła w wieku piętnastu lat (26 marca 1587 r.). Została pochowana wraz z matką, złożoną do grobu trzy lata wcześniej (20 sierpnia 1584). W kolejny związek małżeński wszedł z Barbarą von Knobelsdorff z Ochli i miało to miejsce w czerwcu 1587 r. Nie możemy mówić, aby Joachim był niedoceniany za życia. Z pewnością tak nie było, o czym świadczy fakt, iż do późnych swych dni pełnił urzędy wymagające dużego zaufania stanów głogowskich. Był człowiekiem niepospolitym i za takiego go z pewnością uważano. Z perspektywy czasu i dzisiejszego stanu badań dziwi jednak, że cesarz nie przyznał Bergowi tytułatury baronowskiej, która zwykle wieńczyła dzieło, jakimi były zasługi dla państwa. Nie widzimy też, aby w efekcie zasług powiększony został majątek Bergów. Ważnym osiągnięciem było natomiast uzyskanie przez Joachima dla dóbr Żukowic i Kłody statusu fideicommissu, czyli własności niepodzielnej i niezbywalnej. Dzięki temu Bergowie utrzymali się w majątku aż do końca Drugiej Wojny Światowej.

Kariera Joachima jest rzadko spotykanym przykładem kariery Ślązaka w strukturach ogólnopolskich. Trwała ona nieprzerwanie pod skrzydłami trzech władców. Nie zdarzało się to często i wiele innych życiorysów osób stojących tak blisko dworu bywało przerwanych nagle. Mamy do czynienia z przykładem *selfmademana* swych czasów, oczywiście z zachowaniem wszelkich proporcji. Niskim rangą szlachcicom trudno było bowiem osiągnąć tak szerokie wykształcenie oraz odnieść podobny sukces w życiu publicznym, jakie zdobył Joachim. Był jednym z niewielu, którzy sami zrezygnowali z zaszczytów i wycofali się z życia publicznego. Niestety mimo bogatych podróży nie zachowały się żadne zapiski Joachima, ani pamiętniki, które stanowiłyby bezcenne źródło nie tylko dla dziejów rodziny, ale realiów i mentalności szlachcica śląskiego doby renesansu. Ponieważ K. Keller z biografistyki momentami zbaczał niemal w kierunku „nowoczesnych gestów”,

nie jesteśmy w stanie z całą pewnością potwierdzić całości wydarzeń, jakie miały miejsce podczas podróży Joachima von Berge. Nie można też dawać wiary opisywanym przez autora odczuciom i emocjom glogowianina. Jednak ponieważ duża część informacji zawartych w jego relacji znajduje potwierdzenie w pracach powstałych tak wcześniej (J. Sinapius, *Schlesische Curiositäten...*, Leipzig 1720), jak i później (edycje źródłowe K. Wutkego: *Codex Diplomaticus Silesiae...*, t. 24, 28; prozopograficzne studia C. Zonty), a te opierają się często na źródłach zgoła odmiennych, niż akta majątku i rodziny, na których bazował K. Keller, możemy z wysokim prawdopodobieństwem przyznać, że relacja Kellera wytrzymuje współczesną krytykę przedstawionego materiału. Nie jest to wprawdzie praca tak dokładna, jak przykładowo opisująca dzieje rodziny von Schönaich, (D. Klopsch, *Die Familie von Schönaich...*, t. 1-4, Gross-Glogau 1857-1863), choć utrzymana w podobnie apologetycznym tonie. Prace te były pisane przecież na zlecenie rodzin, tyle dla zachowania, co i dla uświetnienia ich pamięci i wkładu w historię Śląska. Należy je czytać z pewną ostrożnością, ale nie można odrzucać, ani nie doceniać zawartych w nich informacji.

Literatura:

Archiwum Państwowe we Wrocławiu, Depozyt miasta Kozuchów, Rep. 132 a., sygn. 32.

Archiwum Państwowe w Zielonej Górze, Akta miasta Zielona Góra, sygn. 1.

Codex Diplomaticus Silesiae. Die Inventare der nicht-staatlichen Archive Schlesiens, t. 24, Die Kreise Grünberg und Freystadt, wyd. K. Wutke, Breslau 1908.

Codex Diplomaticus Silesiae. Die Inventare der nicht-staatlichen Archive Schlesiens, t. 28, Kreis und Stadt Glogau, opr. K. Wutke, Breslau 1915.

Dumrese H., Dumrese E., *Kirchengeschichte der evangelischen Gemeinde Freystadt*, Freystadt 1909.

Gryphius A., *Glogauesches Fürstenthums Landes Privilegia aus dem Originalen an tag gegeben...*, Lissa 1653, [Register Der Hauptleute in Glogischen Fürstenthumb unter oberwehnten Fürsten und Herren].

Hoffmann H., *Fürst Carolath contra Glogauer Jesuiten*, Ein Beitrag zur Fridericianischen Kabinettsjustiz, ASK, 1: 1936, s. 167-201.

Keller K., Joachim v. Berge und seine Stiftungen. Ein wichtiger Beitrag zur Geschichte Schlesiens, Glogau 1834

Kuczer J., *Szlachta w życiu społeczno-gospodarczym księstwa glogowskiego w epoce habsburskiej (1526-1740)*, Zielona Góra 2007.

Kuczer J., Strzyżewski W., *Spisy dóbr ziemskich księstwa glogowskiego z lat 1671-1727*, Warszawa 2008.

Matuszkiewicz F., *Geschichte der Stadt Sprottau*, Sprottau 1908.

Minsberg F., *Geschichte der Stadt und Festung Gross-Glogau*, t. 1-2, Glogau 1853.

Sinapius J. *Schlesische Curiositäten erste vorstellung*, Darinnen die ansehnlichen Geschlechter Des Schlesischen Adels, t. 1-2, Leipzig 1720.

Tiede T.F., *Die denkwürdigsten Jahrstage Schlesiens*, t. 4, Glatz 1802-1804.

Zonta C., *Schlesische Studenten an italienischen Universitäten. Eine prosopographische Studie zur frühneuzeitlichen Bildungsgeschichte*, Stuttgart 2004.



Reisender, Diplomat, schlesischer Stifter der Renaissancezeit

Joachim von Berge (1526-1602) in den Augen seines Biografen Karl Keller (Zusammenfassung)

Im Jahre 1824 wurde eine der wenigen bis heute vorhandenen biografischen Arbeiten über einen schlesischen Adligen veröffentlicht. Es entstanden zwar mehrere Monografien einzelner Familien, es fehlt aber an Beiträgen, die nur einer Person gewidmet wären. Der Verfasser dieses Beitrages war der königliche Superintendent und erste Sprottauer Pfarrer, Karl Benjamin Gottlob Keller. Sein Werk war 1834 fertig. Keller war Stipendiat der Berg-Stiftung, die noch im 19. Jahrhundert erfolgreich war. Der Biograf nutzte Quellen, die ihm vom Glogauer Gerichtsrat Ziekusch übergeben wurden. Der Rat gewährte Keller Zugang zu den Urkunden und rekonstruierte die Stammbäume, die am Ende der Originalausgabe veröffentlicht wurden.

Das Werk ist eine Darstellung des Lebens von Joachim Berg und der Geschichte seiner Stiftung zur finanziellen Unterstützung von Schuljugend und Studenten.

Joachim von Berge wurde am 23. März 1526 in Herrndorf geboren und starb am 3. März 1602, also mit fast 77 Jahren. Es kann nicht behauptet werden, dass man Joachim zu dessen Lebzeiten nicht zu schätzen wusste. Dass es nicht der Fall war, wissen wir schon dadurch, dass er bis ins hohe Alter Ämter innehatte, die großes Vertrauen der Glogauer Stände voraussetzten. Er war ein ungewöhnlicher Mensch und wurde für einen solchen gehalten. Aus der Perspektive der Zeit und angesichts der heutigen Forschungen muss es allerdings wundern, dass der Kaiser Berg nicht den Titel eines Freiherrn verliehen

hatte, der doch meistens die Krönung des staatlichen Dienstes eines Adligen darstellte. Auch das Vermögen der Familie Berg scheint sich infolge der Verdienste nicht vergrößert zu haben. Es war allerdings eine wichtige Errungenschaft, dass Joachim für Herrndorf und Kladau den Status eines Fideikommisses erhalten hat, das heißt eines unteilbaren und unveräußerlichen Eigentums. So konnten die Bergs ihr Vermögen bis zum Ende des 2. Weltkrieges behalten.

Joachims Laufbahn ist ein seltenes Beispiel der Karriere eines Schlesiers in den staatlichen Strukturen. Sie dauerte ununterbrochen unter drei Herrschern. Das war kein häufiger Fall und viele Laufbahnen von Menschen, die dem Hof so nahe standen, fanden ein plötzliches Ende. Wir haben hier mit einem *Selfmademan* seiner Zeiten zu tun, natürlich im entsprechenden Größenverhältnis. Adelige niedrigeren Ranges konnten nämlich nur selten eine so breite Ausbildung und einen solchen Erfolg im öffentlichen Leben erringen, wie es Joachim schaffte. Er war einer von nur wenigen, die selbst ihre Ehren aufgaben und sich aus dem öffentlichen Leben zurückzogen. Obwohl er viel reiste, gibt es keine Notizen oder Tagebücher von Joachim, die doch eine unschätzbare Quelle nicht nur für die Geschichte seiner Familie dargestellt hätten, sondern auch für die Forschungen an der Lebensumständen und der Mentalität eines schlesischen Adligen der Renaissancezeit.

Übersetzt vom Grzegorz Kowalski



Z TEKI HISTORYKA FILOZOFII

Wojciech Rarok

Witelon i pomysł założenia uniwersytetu w Legnicy

Okres rozbicia dzielnicowego niesłusznie cieszy się złą sławą. Stosunkowo powszechny jest sposób myślenia o tych czasach w kategoriach degeneracji, upadku, chaosu czy wielkich przegranych. Tymczasem te długie lata przygotowywały grunt pod późniejszy rozwój Polski. Rozwój nie tylko polityczny, którego zwieńczeniem była królewska korona na

skroniach Łokietka, ale też rozwój kulturalny, którego skutkiem była fundacja Akademii Krakowskiej.

Pierwszy uniwersytet na polskich ziemiach mógł jednak powstać cały wiek wcześniej, w drugiej połowie wieku XIII, zwanego także Wiekiem Rozumu. Nigdy nie dowiemy się jednak „co by było gdyby”, takie są prawa historii. Możemy się tylko

domyślać, że gdyby taka uczelnia rzeczywiście powstała, to związana byłaby z postacią pierwszego znanego filozofa polskiego pochodzenia Witelona.

Urodził się w roku 1237 w okolicach Legnicy. Jego ojcem był kolonista z Turyngii Henryk de Cize, zaś matką Polka wywodząca się z rodu rycerskiego. Sam Witelon nazywał siebie „synem Turyngów i Polaków”, zaś o Polsce wspomina jako „swojej ziemi”. Biorąc pod uwagę różnice w rozumieniu obywatelstwa, a także anachroniczny charakter sporów o narodowość, pewnie byłby to szczegół nie wart uwagi, gdyby nie fakt, że wątek pochodzenia Witelona był wykorzystywany w celach ideologicznych. Próbowano bowiem, powołując się między innymi na życiorys Witelona, uprawomocnić przyłączenie Ziemi Zachodnich do PRL. Jednym z autorów, którzy starali się tak wykorzystać postać Witelona był ceniony skądinąd historyk Henryk Barycz. Wychodząc od tego, że Witelon uważał Polskę za swoją ojczyznę, Barycz pokazywał, że ziemie te już od czasów średniowiecza kulturowo przynależały do Polski. Stąd nazywanie ich „odzyskanymi” było zupełnie uprawnione.

Pierwsze nauki pobierał Witelon w szkole parafialnej przy kościele św. Piotra w Legnicy. Dalszym etapem jego edukacji była szkoła katedralna we Wrocławiu, gdzie nauczano wówczas nie tylko łaciny, ale także przedmiotów matematycznych. W latach pięćdziesiątych udał się Witelon do Paryża, aby studiować na tamtejszym uniwersytecie filozofię. Choć nie przybywał wcale z kulturalnej prowincji, to z pewnością ówczesny Paryż zrobił na młodym Witelonie wrażenie. To tam wciąż biło serce europejskiej filozofii.

Europa Zachodnia, zbudowana na gruzach *Imperium Romanum*, przez wieki płaciła wysoką cenę za decyzje ostatnich cesarzy rzymskich, którzy upatrując przyczyn upadku państwa w greckiej nauce i kulturze, wyrzekli się jej i wygnali ze swego kraju epigonów starożytnej greckiej myśli. Owi kontynuatorzy Platona, Arystotelesa i innych gigantów czasów antycznych, znaleźli spokój dopiero w krajach wschodnich, między innymi w Syrii i Persji, które zostały podbite przez plemiona arabskie. Podczas gdy myśliciele wschodni pełnymi garściami czerpali z dorobku starożytnych, w Europie Zachodniej znano bardzo niewiele dzieł filozofów antycznych.

Sytuacja jednak zaczęła się zmieniać na przełomie XII i XIII w. Zetknięcie się kultury łacińskiej

z arabską spowodowało odkrycie przez łacinników skarbnicy antycznej wiedzy.

Największym poważaniem pośród starożytnych uczonych cieszył się Arystoteles. Jego filozofia, zwłaszcza interpretowana naturalistycznie, spowodowała przeobrażenie łacińskiej nauki. Pod jej wpływem przestano patrzeć na świat tylko jak na symbol dany od Boga. Uczni zauważyli, że fakty przyrodnicze można opisywać i wyjaśniać bez odwoływania się do sił nadprzyrodzonych.

Wraz z naturalistycznymi prądami w filozofii, do Europy dotarły owoce greckich i arabskich nauk szczegółowych. Astronomia Ptolemeusza, wiedza medyczna Galena, Hippokratesa i Awicenny, matematyka hinduska wraz z rewolucyjnym dziesiętnym systemem cyfr.

Jak nietrudno się domyślić, zachodził światopoglądowy konflikt między postawą naturalistyczną a chrześcijaństwem. Warto jednak podkreślić, że Kościół próbował pogodzić Arystotelesa ze swoją doktryną. W tym celu papież powoływali specjalne komisje, które jednak różnie radziły sobie z tym zadaniem. Wielką postacią dla chrześcijańskiej interpretacji arystotelizmu był Tomasz z Akwinu, który stworzył system filozoficzno-teologiczny, w którym podjął próbę pogodzenia obu stanowisk.

Dzieło Tomasza nie spowodowało jednak, że recepcja arystotelizmu w średniowiecznej Europie przebiegała łagodnie. Pojawiły się także rozwiązania bardziej radykalne, które proponowały rozróżnienie między prawdą naukową a objawioną, czyli tzw. teorię dwóch prawd. Stanowisko ostatnie związane było z postacią arabskiego filozofa z XII wieku, w wersji zlatynizowanej zwanego Awerroesem. Przeszedł on do historii jako jeden z największych interpretatorów i komentatorów myśli Arystotelesa, i tak jak ten ostatni nazywany był po prostu Filozofem, tak Awerroes znany był jako Komentator. Zwolennicy jego interpretacji arystotelizmu, których na Uniwersytecie Paryskim nie brakowało, zwani przez historyków filozofii awerroistami łacińskimi, głosili, że świat jest wieczny, że nie ma początku i końca, rozwija się zaś dzięki wewnętrznym impulsom, które można poznać metodami naturalnymi.

Napięcia między zwolennikami różnych interpretacji myśli Stagiryty dały początek sporom doktrynalnym na Uniwersytecie Paryskim. Owe spory nie pozostały bez wpływu na filozofię Witelona, który po zdobyciu dyplomu wrócił na krótki czas do

ojczyzny, by w roku 1262 udać się na studia prawnicze do Padwy. Prowadził tam także wykłady z filozofii. Wciąż pogłębiał swą wiedzę czytając nie tylko Arystotelesa czy Awerroesa, ale także innych klasyków myśli antycznej i arabskiej. Następnie rozpoczął samodzielną pracę twórczą. W okresie studiów w Padwie pisze między innymi traktat *O najwyższej przyczynie pokuty i o naturze demonów*.

Już na wstępie pracy Witelon ujawnia swoje poglądy teoriopoznawcze. Podobnie jak wspomniani już awerroiści łacińscy, głosi doktrynę dwóch dróg poznania: drogi rozumu naturalnego i drogi objawienia. Czyni także uwagę, że ze względu na filozoficzny charakter rozważań będzie podążał ścieżką rozumu naturalnego, nie odmawiając jednak objawieniu walorów poznawczych.

Główną dziedziną jego zainteresowania w tradycji jest kosmologia. W koncepcji kosmologicznej którą przedstawia widać wyraźne piętno jednego z filozofów arabskich – Awicenny. Tworząc swój system, Awicenna bazował na dziełach Arystotelesa, interpretowanych jednak na modłę neoplatońską.

Jest to system ściśle zhierarchizowany, w którym bytem najwyższym jest Bóg, będący pierwszą przyczyną istnienia wszystkich bytów niższych, którym przekazuje swą moc i dobro. Rozważa także zagadnienia demonów, ich istoty i miejsca w świecie. Dochodzi do wniosku, że jeżeli demony rzeczywiście istnieją to muszą być stworzeniami żyjącymi na Ziemi, które, podobnie jak ludzie, żywią się i rozmnażają, są jednak doskonalsze od ludzi i mniej doskonałe od aniołów. Twierdząc to Witelon opierał się na dialogu *Timaios*, w którym Platon stwierdził, że muszą istnieć cztery rodzaje istot żywych, które różnią się od siebie stopniem doskonałości. W systemie Witelona są to anioły, demony, ludzie i zwierzęta bezrozumne.

Rozważając te kwestie, wspomina o ustnych przekazach dotyczących działalności demonów w świecie. Do wielu z nich odnosi się sceptycznie sugerując, że są efektem ludzkich lęków potęgowanych przez utrwalanie postaci złych duchów w bajkach, a także różnego rodzaju chorób, polegających na zaburzeniu równowagi płynów ustrojowych w ciele. Ujawnia tym samym postawę prawdziwego, krytycznego badacza i dobrego obserwatora.

Po uzyskaniu w roku 1268 stopnia magistra prawa kanonicznego, udaje się Witelon do Viterbo,

gdzie znajdowała się papieska kuria, mając nadzieję na znalezienie tam pracy. Spotyka wybitnego tłumacza i poliglotę Wilhelma z Moerbecke. Pod jego wpływem porzuca niebezpieczne z punktu widzenia ortodoksji chrześcijańskiej poglądy i zajmuje się pisaniem swojej najsłynniejszej pracy – traktatu optycznego *Perspektywa*.

W tworzeniu *opus magnum* pomaga mu Wilhelm, który tłumaczy dla niego greckie traktaty matematyczne i optyczne. Prócz tego, zwraca uwagę Witelona na rolę światła w przyrodzie i inspirowa do modyfikacji koncepcji kosmologicznej. Odwdzięczając się za tę pomoc Witelon dedykował mu swoje dzieło.

Perspektywa była bogatym kompendium ówczesnej wiedzy optycznej i geometrycznej. Przy pracach nad nią korzystał Witelon z wielu źródeł, często nieznanych wcześniej łacińskiej nauce. Wartość tego dzieła polegała nie tyle na nowatorstwie poglądów, ile na zebraniu i usystematyzowaniu tego, co już o optyce wiadano.

Witelon nieprzypadkowo zajął się kwestią światła i prawami jakim ono podlega. Jego zhierarchizowany system kosmologiczny generował pewne problemy. Jednym z nich było pytanie o to, co łączy byty wyższe i niższe. Zainspirowany przez Wilhelma, sięgnął Witelon do prac zmarłego kilkanaście lat wcześniej Roberta Grosseteste'a, uważanego za ojca Uniwersytetu w Oksfordzie. Grosseteste w ramach racjonalnej, arystotelesowskiej nauki wplatał wątki arabskie. Pisał o dwu rodzajach światła – cielesnym, które jest przedmiotem dzisiejszej optyki, a także duchowym – które ma charakter metafizyczny. Podobny podział odnajdujemy u Witelona. Uważał on, że Bóg działa na świat za pomocą Boskiego Światła, poprzez które przekazuje bytom niższemu życie i możliwości poznawcze.

Jednak przede wszystkim zajął się światłem cielesnym i jego wpływem na postrzeganie. W tych dziedzinach czerpał z dorobku nauki arabskiej, a zwłaszcza matematyka i astronomia z X wieku – Alhazena. Ten ostatni dokonał przewrotu w dziedzinie optyki, odrzucając starożytną teorię ekstremitaryjną sformułowaną przez Platona i podtrzymywaną przez Euklidesa, głoszącą, że widzenie polega na emisji z oka promieni wzrokowych ujmujących rzeczy. Zastąpił ją teorią intromisyjną, twierdzącą, że widzenie jest możliwe dzięki promieniom światła, które docierają do oka. Teorię intromisyjną przejął od niego Witelon.

Po krótkim epizodzie w roli kapelana króla czeskiego Przemysła Ottokara II, Witelon powrócił do Legnicy. Tu zajął się duszpasterstwem i uczeniem młodzieży w szkole parafialnej św. Piotra. Kształciła ona tylko na stopniu niższym, lecz ambitny nauczyciel zapragnął uczynić z niej poważniejszy ośrodek. Stopniowo więc rozszerzał program szkoły prowadząc wykłady na poziomie uniwersyteckim. Nie było to w smak władzom kościelnym, które nie dość, że nie wydały na takie przedsięwzięcie zgody, to nie po to łożyły przecież środki na rozwój szkoły katedralnej we Wrocławiu, żeby w pobliskiej Legnicy wyrastała dla niej konkurencja. Witelon szukał poparcia, ale w biskupie Tomaszu I miał w tym sporze wroga, zaś na księcia Henryka IV liczyć nie mógł, ten bowiem wciąż zmagał się z agresywnymi kuzynami, którzy jego kosztem chcieli powiększyć swoje dzierżawy.

Po niepowodzeniu swoich planów Witelon opuścił Śląsk. O dalszym jego życiu wiemy niewiele. W kwestii daty jego śmierci nie ma jednoznacznego stanowiska, jedne źródła podają, że dokończył żywota przed 1292, inne zaś, że mógł żyć jeszcze w roku 1314.

Witelon dokonał w swym życiu wiele. Jednak studiując jego życiorys, a także wiedząc jakim poważaniem cieszył się w oczach innych uczonych, takich jak Leonardo da Vinci, Kopernik czy Jan Kepler, dojść można do wniosku, że jego potencjał nie został w pełni wykorzystany. Zajmował się optyką, która później, w okresie renesansu wzbudzała ogromne zainteresowanie. Możliwym jest, że gdyby Witelon trafił pod skrzydła zamożnego mecenasa to nie poprzestałby na zebraniu i usystematyzowaniu

wiedzy optycznej, ale rozpocząłby jej krytyczną analizę, otwierając sobie tym samym furtkę do bardziej twórczej działalności. Niewiele także brakowało, a stałby się najważniejszą postacią pierwszego uniwersytetu w środkowej Europie. Nie starczyło jednak szczęścia, warunki polityczne także nie sprzyjały doprowadzeniu takiego przedsięwzięcia do końca. Spełniony był jedynie warunek podstawowy: istniała – w osobie Witelona – naukowa siła, która mogła udźwignąć początkowo ciężar pracy nad powołaniem uniwersytetu. Nie brakowało mu bowiem energii, wiedzy, doświadczenia dydaktycznego, znajomości uniwersytetów europejskich czy kontaktów naukowych. Gdyby, podkreślimy: gdyby, rzeczywiście tak się stało, geografia ośrodków intelektualnych Polski, której centrum przez późniejsze wieki stała się Galicja i Kraków, wyglądałaby przynajmniej przez pewien czas inaczej.

LITERATURA:

1. H. Barycz, *Ślązacy w polskiej kulturze umysłowej*, Wrocław-Warszawa 1946.
2. J. Burchardt, *List Witelona do Ludwika we Lwówku Śląskim*, [w:] "Studia Copernicana" Wrocław 1979.
3. R. Palacz, *Klasycy filozofii polskiej*, Zielona Góra 1999.
4. W. Seńko, *Jak rozumieć filozofię średniowieczną*, Warszawa 1993.
5. S. Szpilczyński, *Okoliczności trzeciego wydania dzieła Witelona *Źródło Dódekal**, [w:] *Witelo, matematyk, fizyk, filozof*, red. J. Trzynadłowski, Wrocław 1979.
6. Witelon, *Perspectiva*, [w:] J. Burchardt, *List Witelona do Ludwika we Lwówku Śląskim*, [w:] "Studia Copernicana" Wrocław 1979.
7. *Witelon. Życie i twórczość naukowa*, red. K. Jaworska, Legnica 2004.

zimno

coraz trudniej mi marzyć
nawet gorycz już wsiąka
coraz trudniej
mi pisać
o szczęściu

pięść zaciskam na trawie
zamiast żelaza – mąka
płacę w rękaw
i wierzę
zakłębiciu

świat się zmniejszył
do celu drogi prosto nie wiodą
światła znikły
jak raki
w ciemności

gdzieś zaginął bieg lekki
za kolejną przeszkodą
i do wojny
z kłamstwami
skłonności

ty tu siedzisz i patrzysz
i słuchasz – nawet wierzysz
w moją rzekę
burzliwą
lecz płynną

to jest śmieszne, bo zobacz
strach swoje zęby szczerzy
i wciąż tobie
powtarzam:
„JEST ZIMNO”

kalt

meine träume ins niemandsland treiben
selbst bitterkeit versinkt im schlick
immer schwerer fällt's mir zu schreiben
geschichten über
liebesglück

an einen grashalm will ich mich lehnen
wie mehlstaub fliegt alles fort
ich verstecke meine tränen
glaub nur noch an ein
zauberwort

wie die wege endlos sich winden
durchs labyrinth der einsamkeit
und die lichter – sie verschwinden
wie krebse in der
dunkelheit

mit schwerem schritt durch des lebens parcours
hoch sind die hürden gestellt
zu leben mit der lüge nur
ist ziel der betrogenen
welt

hier sitzt du und wartest auf einen kuss
wie deine augen mir blinken
in meinem stürmischen redefluss
wirst, wenn du glaubst, du
ertrinken

sieh doch, ich schlage die augen nieder
die angst hat die fäuste geballt
und ich sage dir wieder und wieder:
es ist kalt, so kalt
„es ist kalt“

der schlag deines lides

dein ist der erde duft
des windes hauch

dein ist das grün des zweiges auch
auf dem du balancierst

dein ist die transparenz des frosches
der gläsern sich in mein wasser versenkt

dein ist das lied, das die nachtigall
mir und meinem traume schenkt

dein ist der duft meiner haut
noch atmend den schweiß wacher nächte

dein ist der süßliche saft
meines körpers liebevoller mächte

dein ist die farbe des weizens
sind die nebel überm tau

dein ist das geflecht des falters
feingliedrig wie du, zart und genau

dein ist meiner sonne strahl
auf dem du pirouetten drehst

der dich auf wundersame weise
durch mein universum trägt

dein ist meine ganze fülle
diese laute, bunte, stille

eine pflanze jungen triebes
ich schenk' sie dir

denn mein
mein
ist der schlag deines lides

gdy mrugając zamykasz powieki

to twój jest zapach ziemi
i powiew wiatru twój jest

twoja także jest zieloność gałęzi
na której balansujesz

twoja jest przeźroczystość żaby
która szkląc w mojej wodzie się zanurza

twoja jest pieśń, którą słowik
znowu mnie i mój sen odurza

twój jest zapach mej skóry
wdychającej jeszcze pot nieprzespanych nocy

twój jest słodkawy sok
mojego ciała pełnego miłosnych mocy

twoja jest barwa pszenicy
gdy mgły ponad rosą wznoszą się do góry

twój jest wzorec motyla
delikatny jak ty: wrażliwy i czuły

twój jest słońca mojego promień
na którym kręcisz piruety w lesie

a który ciebie w czarodziejski sposób
przez moje uniwersum niesie

twoja jest cała pełnia moja
ta głośna, barwna i ta spokojna

to ziarno młodości kiełkujące przez wieki
daruję ją tobie

gdyż mój
tylko mój
jest moment
gdy mrugając zamykasz powieki

przekład poetycki Cezary L. Belzyt



RECENZJE I OMÓWIENIA

Tadeusz Różewicz, *Kup kota w worku (work in progress)*, Biuro Literackie, Wrocław 2008, s. 112

Na skrzydełku obwoluty ostatniej książki Tadeusza Różewicza, zawierającym (po raz drugi dopiero w kilkudziesięcioletniej karierze poety) utwory żartobliwe, odnajdziemy wyznanie (pochodzące ze wstępu do jednego z tekstów zawartych w tomie), które dla tych, którzy znają jego twórczość nie będzie zaskoczeniem: „Ja nie jestem człowiekiem śmiechu, jestem raczej człowiekiem uśmiechu i uśmiechów”. W rzeczy samej nie jest to twórczość pisana ku uciesze czytelnika, jednakże przy całej swojej skomplikowanej problematyce, podszyta tym subtelnym i wyrafinowanym poczuciem humoru, posiadanym przez Tadeusza Różewicza, a właściwym jedynie ludziom o błyskotliwej inteligencji i ponadprzeciętnej przenikliwości umysłu. Autoironia i dystans wobec rzeczywistości były czasem jedynym sposobem na przezwycięzenie egzystencjalnego lęku i grozy istnienia

w obliczu szaleństw i pułapek historii. Parodia jako odrębny literacki gatunek nie będzie - jak już wspomnieliśmy - pojawiać się u Różewicza często, ale wcale nie dlatego, że jest to gatunek niełatwy, bo wymagający umiejętności docierania do ukrytego sensu rzeczy i zjawisk, do indywidualnych stylu, języka, a nawet, czy może przede wszystkim - cudzego sposobu myślenia. Wychowany na *Słówkach* Boya przyznaje się Różewicz do namiętnego jej uprawiania już w czasach gimnazjalnych, kiedy pisał pastisze i parodie Przybosa i Leśmiana. Te pierwsze próbki i podróbki literackie z mniej (pastisz) lub bardziej (parodia) polemiczną intencją były dla początkującego poety wstępnym etapem na drodze wypracowywania własnego idiomu poetyckiego – wyprawkami, etiudami czy ćwiczeniami umożliwiającymi samookreślenie się wobec zastanej tradycji literackiej, wybicie się na poetycką niezależność.

Znacznie późniejszym świadectwem takich prób i jednocześnie dowodem na nieustające twórcze poszukiwania i autoweryfikację poety jest również, przypominana w nowym tomie, parodia opowiadania Kornela Filipowicza z roku 1970. Wychwycona znakomicie przez Różewicza drobiazgowość i aluzyjność psychologizującego opisu rzeczywistości jako dominanta stylu Filipowicza już na pierwszy rzut oka pozostaje w zasadniczej sprzeczności z założeniami poetyki autora *Niepokoju*; z jego lakonicznością, zwięzłością, nazywaniem po imieniu, powrotem do pierwotnych sensów i znaczeń słów i fraz zużytych w trakcie poetyckiego używania i nadużywania, programową w obliczu hekatomby wojennej rezygnacją z wszelkich literackich ozdobników i upiększeń.

Tragizm wojennej generacji, której pamięci pozostaje poeta nieodmiennie wierny, a także tematyka jego twórczości dotyczącej najbardziej newralgicznych problemów współczesności nie sprzyjał jednak w późniejszych latach kontynuowaniu literackich zabaw i gier. Wyjątek to tomik satyr z roku 1955, w którym jednak – jak można się spodziewać – śmiech nie jest celem samym w sobie, lecz środkiem do celu prowadzącym, bo jedynie w tej formie można było przemycić własne zdanie na temat absurdów PRL-owskiej rzeczywistości, choć i to był uśmiech przez łzy, bo zaprawiony goryczą rozczarowań związanych z nową Polską, której poeta, jak się wkrótce okazało, mocno na wyrost zaufał.

Nie byłby jednak Tadeusz Różewicz sobą, gdyby zrezygnował z refleksji nad sprawami nurtującymi jego twórczość od samego początku: *conditio humana* zatem w dobie cywilizacyjnych i historycznych przemian także w zbiorze *Kup kota w worku* wysuwają się na plan pierwszy. U Różewicza, jak u Gogola – śmieszno i straszno zarazem, gdy poetyckie zwierciadło odbija świat, w którym żyjemy i nas samych, nie tyle poprzez deformację co intensyfikację pewnych cech, ukazując obraz niezbyt zaiste budujący tego, co nijak złożyć się nie może (trawestując tytuł znanego wiersza poety) w sensowną całość. Medialny bełkot i zgiełk, niekończący się festiwal obłudy i pozorów, płytkość sądów i opinii, demoralizacja, rażące braki edukacji i intelektualna indolencja pokolenia „wychowanego na internecie” to tylko niektóre przykłady na postępujący kryzys duchowy, kulturowy i społeczny. Jego najwyraźniejszą manifestacją i przejawem jest dla Różewicza wulgaryzacja i zubożenie języka, co – jak pisze w kapi-

talnej parodii blogu szesnastolatki zatytułowanym *przyj dziewczę przyj* – „przepowiedzieli zresztą [...] zakichani futurologi lingwiści którzy stwierdzili że będą zanikały kolejno języki mniejszych plemion i grup etnicznych - na rzecz języka angielskiego jako języka globalnego i superjęzyka amerykańskiego. Toteż niewielki nasz kraj już w roku 2004 i dwa tysiące 5 – zaczął tracić nie tylko zasoby oleju rzepekowego do głowy a także zasoby wody ale również zauważono gwałtowne zubożenie zasobów leksykalnych a nawet parająęzykowych... obok słowa kurwa które zastąpiło prawie połowę zasobów językowych obie półkule mózgu (!) zajęło słowo dupa które odmianiane jest nagminnie w pismach kolorowych [...]” (s.7). Gorszące? Jeszcze jak! Dlaczego jednak tylko w tekście znanego poety – prowokacyjnie zdaje się pytać Różewicz - a nie na co dzień: na ulicy, w sklepie, w autobusie, w szkole, w przemówieniach polityków, w naszych domach... Ubóstwo i trywializacja komunikacji językowej to tylko objaw, prawdziwą przyczyną problemu jest ubóstwo i trywializacja myślenia i wartościowania, opisana przez poetę nie drętwą mową moralistycznego banału i – jak rzekłby Boy – dydaktycznego smrodku, ale soczystym pastiszem języka współczesnej nastolatki, w którym myślowy i pojęciowy chaos dorównuje bylejakości wystawienia młodych ludzi w „internecie gadzecie i innych mass-mediach bo nie tylko mówi się że ten papież Benedykt XV może XVII? jest fajny choć się stara to po polsku mówi gorzej od naszego ale to nie szkodzi bo nasz język zanika więc niema co się uczyć busz też powiedział po niemiecku że jest berlinerem i od tego mur się jakiś zawalił [...] fajna jest też woda habsburga co się nią w telewizji jedna aktorka oblewa co gra też w fajnym serialu *kiepski klan bliżej noszy* [...] owszem filmy zanuskiego są fajne ale ja jestem smutna bo szukałam siebie ale jak znalazłam to aż uciekłam w depresję [...]” (s. 8). Szczątkowa i fragmentaryczna wiedza o historii i kulturze z wciąż pokutującymi w nich duchami romantycznej przeszłości i bogo ojczyźnianym frazesem upadłego solidarnościowego etosu sąsiaduje tu z fizjologizacją oglądu rzeczywistości i światoodczucia, filozofia spod budki z piwem ze skompromitowaną sceną polityczną, cyberseks z pseudopsychologizmem udającym głębię uczuć, prowincjonalizm z narodową megalomanią, zapłodnienia in vitro z ptasią grypą, erotyki Tetmajera (tetmajera?!), z częstochowskimi rymami, real z wirtualiem (?)...

Wszystko zderza się tu ze wszystkim tworząc istną wirówkę nonsensu, współczesne pandemonium bez początku i końca, w którym, jak w słynnej metaforze znakomitego socjologa Zygmunta Baumana, płynność, a nie stałość jest zasadą rzeczywistości. Brak środka i punktów odniesienia, brak już nawet dna, od którego można by się odbić. Jest tylko ciąg nic już nie znaczących słów i obrazów jak niekończący się telewizyjny serial tasieniec – namiastka sztuki i życia, rzeczywistość zamieniona w wodewil czy farsę i teatr, w którym utalentowany aktor „biegł po schodach reklamując środek wigor na pobudzenie energii i ledwo zdążył zadekklamować dialog terejzjasza – lub innego bohatera – reżyser współczesny wydłuża przedstawienie do sześciu a czasem do ośmiu godzin – w ten sposób osiąga miano genialnego ale jest to złudzenie ponieważ każdy może przeciągać strunę lub słowo[...]” (s.40; *Nowa dramaturgia*).

Żartobliwe autotematyczne dywagacje poety i dramaturga przemieniają się w parodię Wielkiej Improwizacji, która jednak nawet w swojej popkulturowej, masowej, i kiczowatej postaci nie przestaje być – dziś szczególnie – wołaniem o utracony sens, o wartości, które im bezwzględnie wydrzwiane, ośmieszane i komercjalizowane, tym bardziej upragnione i niezbędne. I trzeba dziś odwagi i bezkompromisowości Różewicza, by odróżnić prawdę od kłamstwa, światło od ciemności, miłość od nienawiści, sacrum od profanum... Ale to już znamy. Dziś Różewicz mówi jeszcze bardziej bezpośrednio i wprost, co myśli o kimś, kto „(przyprawił) / przykleił do twarzy Odaliski [Ingres’a] / maskę małpy”; tej odaliski, która dla poety „pozbywała się szat / płynęła przez wszystkie / sale Luwru”:

to gdzieś w Wenecji na
tym ostatnim biennale
sprytny artysta wizażysta
zamiast klapsa i kopa w d...
dostał brawko

była frajda
fajne było to 51. biennale w Benatkach

Alla Biennale di Venezia
„tutto e perduto anche il pudore”
(„stracono wszystko łącznie ze wstydem”)
pisał w lipcu 1964 roku M. Porębski

(s. 78-79; *Odaliska Ingres’a*)

Czy zatem rzeczywiście wszystko stracone i pozostaje jedynie pewność, że

największą prawdą XXI wieku
i największą tajemnicą jest TO
że nie ma prawdy
prawdziwy świat
został skradziony ludziom
i bogom
na to miejsce Księżę tego świata
podsunął ostatnim ludziom
świat fałszywy
ociekający złotem krwią ropą?

(s. 89; *Credo*)

Czy ta ponura diagnoza to ostatnie przesłanie największego żyjącego polskiego poety? Popatrzmy, jak od operetkowej dezynwoltury parodii doprowadza nas do filozoficznej refleksji nad istotą rzeczywistości, jak – sięgając po coraz to nowe środki i wykorzystując wciąż nowe sposoby mówienia, gatunki i konwencje – nie pozwala adresatowi swej twórczości usnąć i zgnuśnić w rutynie i nawykach czytelniczego przyzwyczajenia i odbierania świata. Różewicz to nie bezbronny i bezradny starszy pan, lecz niezwykle – jak zawsze dotąd – precyzyjny diagnosta naszego status quo, bezlitośnie tropiący w nas wirusa pychy, samozadowolenia, konformizmu, próżności, zakłamania, fałszu i głupoty...

Dopóki więc jeszcze (oby jak najdłużej!) mamy „poszukiwacza poezji”, który „pochylony nad mętną / gnuśną pełną odchodów / rzeką życia” wygłasza swoje credo:

zaczynam od początku
zaczynam jeszcze raz
zaczynam od końca

(s. 91; *Credo*)

sprawiając, że „okrwawiona ślepa poezja / zaczyna mówić” – dopóty jest nadzieja. Spróbujmy jej nie zmarnować, a przynajmniej ... spójrzmy na siebie z dystansu, bo „Tu jest nie tylko pies / ale i kot pogrzebany...”.

Anna Szóstak

Gdy czyta się wiersze młodych, współczesnych autorów, niewiele ryzykując w uogólnieniu i uproszczeniu, można by powiedzieć, że często przypominają wybuch granatu czy też (bardziej) „petardy...” Efektowne, hałaśliwe, sprzedające każdą świętość i intymność, za wszelką cenę próbujące zwrócić na siebie uwagę czytelnika.

Na szczęście, trafiają się pisane wierszem i książką inne. Tym razem – „Gdzie szybki Drawy bieg” autorstwa choszczeńskiego poety – Władysława Łazuki (rocznik 1946). I nie chodzi tu o budowanie uproszczonego międzypokoleniowego porównania... Może jednak nie bez znaczenia dla twórcy jest życiowy bagaż, doświadczenie lat? Władysław Łazuka dzieciństwo i wczesną młodość spędził w Zatomiu, wsi – w której mieszkał przez 25 lat. Daleko od najbliższego miasta, w bajkowej Krainie Drawy, bliżej drzew, zwierząt, zieleni, niż ludzi. Prace na roli, w gospodarstwie, dorabianie w lesie przy wycinie drzew, musiały wywrzeć niebagatelny wpływ na psychikę, życiorys poety. Łowienie ryb, pieczenie chleba, spławianie drewna... Może właśnie tak osiąga się indywidualny ton słowa, rytm i podmiotowe „ja”, o których w posłowniu książki pisze Czesław Sobkowiak. *Cała gra poetyckich napięć, która w tym tomiku nieustannie się ujawnia, wynika z faktu „wyjścia”. Nie ma już możliwości powrotu do dawnego status quo – domu, pola, lasu, tytułowej rzeki Drawy, strumienia z wyskakującymi pstrągami, ulubionych jabłonek i zapachu siana. Rzeczy są te same, ale zarazem już nie te same.*

Władysław Łazuka kroczy więc własną, zieloną drogą. Mamy też świadomość, że ta ścieżka wiąże go z tradycją realistyczną i naturalistyczną obecną w polskiej literaturze, najwyraźniej sformułowaną w doktrynie naszych autentystów – Stanisława Czernika i Bolesława Ożoga. Doktrynie rdzennie naszej, bo nie będącej kalką estetyki przejętej

„z Zachodu” (jak to bywało i bywa...). Właśnie – autentyzm, polski „wynalazek”, który obok teorii i praktyki unizmu Władysława Strzebińskiego i lwowskiej szkoły filozoficznej reistów, stanowi oryginalny nasz wkład w sztukę i filozofię. Przypomnijmy więc, że zalecali autentycyśi jedność prawdy artystycznej i życiowej. Przeżycia i doznania twórcy miały być udokumentowane doświadczeniami własnymi i biografiami. Wszystko to miało być powiedziane

niejako wprost, bez deformacji i literackich sztuczek. Właśnie jak u Władysława Łazuki: *Noc płynie rzeką / w uśpiony sad / zagłada w okna / W stogu ptak krzyczy / głucho echo / powtarza las* („Dal”)

Autentycyśi chętnie mitologizowali swe życiorysy, czyniąc je bardziej chłopskimi i „zielonymi”, przeciwstawiali się cywilizacji urbanistyczno-technicznej. Podobnie jak autor omawianej książki *Teraz idę ulicą miasta / powtarzam / róże, malwy / W wysokim oknie błękitu / zaginał ptak* (xxx *We śnie...*). Także w wierszu „Trwanie” czytamy w zakończeniu

... odszedłem wracam zawracam / dokąd / Mieszkacie wszyscy we mnie / buku ptaku i wietrze / w drzwi pukam przez sen nocą / Zamknięte. Dodajmy na koniec, że przypisywana autorowi „szkoła” kształtowała się w 20-leciu międzywojennym i wywodziła się ze środowiska młodej inteligencji wiejskiej. Właśnie programowa dla autentyzmu jedność prawdy artystycznej i życiowej (swoiste „życiopisanie” odnoszone później najczęściej do twórczości „poetów drogi” Edwarda Stachury, Ryszarda Milczewskiego – Bruno, Jerzego Szatkowskiego, Andrzeja Babińskiego), łatwo wskazać w wielu wierszach autora „Gdzie szybki Drawy bieg”: *Idę / w kurzu / drogi / prosto we wschodzące / słońce domu / W znajome progi / Prowadź („Powrót”), „ w ogrodzie ława i studnia / kołowrót skrzypi gdy nawijam kręgi / wody w wiadrze pogiętym / jakbym czas chciał wrócić / przybliżając twarz by zmarszczki / wygładzić i ugasić pragnienie („Po ból”).*

Dwaj mistrzowie zdają się świecić nad tą urokliwą krainą – Józef Czechowicz (jego liryczne klimaty, nostalgiczne nastroje) i Tadeusz Nowak, którego cień przywołuje wiersz pt. „Okolica” *Kosiarz powraca skrajem / zmierzchu a w oknie / jego żona / przy stole mytym do białości / otwiera nożem wnętrze chleba / jakby czytała księgę psalmów.*

Łazukowy, zielony, pogański świat jakby bez Boga, samo-stwór, istniejący sam z siebie i dla siebie... Na równych prawach żyją tu ludzie, liście i ryby. Jak blisko stąd do panteistycznej koncepcji stoików i Spinozy, utożsamiających Boga z witalną, immanentną siłą natury: *jest zagubiony czas / łódka z papieru którą porwał wiatr / tu obok dojrzewa w kłosach lato / sięgając po płomień / wierzymy w kulę słońca* (xxx „Brzegiem żrenic”). Władysław

Łazuka budzi też baśń, mit o Arkadii, dawniejszych wyobrażeniach i utworach zapisanych przez ludzi. „Bukoliki” Wergiliusza a w nich krainę prostoty, szczęścia, ładu, harmonii. Świat wolny od zagrożeń, zbudowany na naturalnym porządku. A jeszcze przedtem biblijny Eden, żyzną krainę, otoczoną czterema rzekami, z pięknymi roślinami, pełnymi jadalnych owoców. Symbol harmonii między naturą a człowiekiem. Władysław Łazuka pisze

Liście buków delikatne / że wiatru nie słysząc / nad warkocz nurtu / wyskakuje pstrąg / Znowu jestem tu / wśród świata zwierząt / roślin i ptaków („xxx „Liście buków”). W ten sposób nasz autor wpisuje się i w polską arkadyjską tradycję, którą wyznaczyły m.in. dzieła Jana Kochanowskiego, Franciszka Karpińskiego oraz autorzy współcześni m.in. K.I. Gałczyński, Ernest Bryl. Czytamy w cytowanym już wierszu pt. „Okolica”: *Oto jest moja okolica / drzewa liść każdy / trawa każda / biegacz złotawiec / zimorodek / i pstrąg co strumień / w olchach trąca.*

Świat wierszy Władysława Łazuki kojarzy mi się też z pismami mistrzów, poetów taoizmu, którzy uczą, że wszystkim rządzą prawa natury a o szczęściu człowieka decyduje umiejętność współżycia z przyrodą, z własnym organizmem. Malarskie wizje choszczeńskiego poety przywołują delikatną, oszczędną kreskę japońskiego malarstwa, chińskiej grafiki i kaligrafii. Podobna lekka linia, wyszukane kontrasty, kompozycja. Pejzaże zza mgły, w oparach poranka, lekko zaznaczone elementy krajobrazu. Władysław Łazuka nie pierwszy i nie ostatni, przypomina kontakty naszej sztuki z estetycznymi koncepcjami Wschodu, dla którego *...charakterystyczne jest przekonanie, że tematem równie ważnym jak człowiek może być pejzaż, ptak, kot, domowe ptactwo czy roślina. Takie myślenie miało korzenie w filozofii zen. Weiss przejmuje wrażliwość Wschodu na przyrodę, nobilituje w swoich szkicach mleczę i podbiały, kontempluje ogórki i łodygi pomidorów. Poetycko-melancholijny nastrój wielu takich przedstawień wiąże się z buddyjskim poczuciem smutku wobec nieuchronności przemijania,* czytamy w recenzji krakowskiej wystawy Wojciecha Weissa, w „Rzeczpospolitej”.

Pragnę też tu przywołać wiersze współczesnej chińskiej poetki Lisy Choi, w której strofach europejski czytelnik czuje się jak barbarzyńca, który włamał się do ogrodu i zrywa kwiaty, zjada owoce, tratuje ścieżki... Nieświadom ich kompozycji, symboliki, wreszcie metafizyki przestrzeni zamkniętej a przecież na kosmos otwartej? Mogę się tylko domyślać, że ślizgam się po powierzchni tych snów. Odzywają się tu stare zasady taoizmu, pojętego jako droga postępowania zgodnie z prawem żywej materii, rządzącej się własnymi zasadami, regułami. Ani szczyty górskie, ani głębokie wody nie wymagają, nie oczekują ludzkich zmysłów, nauk, komentarzy. Istnieją same przez się, jakby dla siebie.

Obszar doświadczeń, niby zakreślony cyrklem, jak w okupacyjnym utworze Czesława Miłosza „Świat – poema naiwne”, tak ciasny a rozległy, płaski a zarazem głęboki. Stąd i język tych wierszy – nie szuka, nie przełamuje przyjętych wyobrażeń o poetyckości. Władysław Łazuka nie eksperymentuje, nie łamie słów. Tak jest i w tekście, zamieszczonym na okładce książki, noszącym znamiona autorskiego credo *...Matka, dom, dalej pole okolone lasem, rzeka, pierwsza podróż pociągami, światła miasteczka, później rytm dużego miasta. Pierwsze obrazy, pierwsze wrażenia zapisane najtrwalej w pamięci dźwiga się ze sobą jak bagaż i wtedy ze zgiełku ulic wraca się... do tamtych miejsc... dni mijają...czas zmienia wszystko i chciałoby się minione ocalić, zatrzymać – wyjazdy, powroty... zamyślenia... tęsknota... powstaje wiersz – próba zapisu zdarzeń, lat.*

W książce „Gdzie szybki Drawy bieg” udało się Władysławowi Łazuce stworzyć świat spójny, wiarygodny, trafiający do wyobraźni i serca czytelnika. Jak niegodni, przypadkowi świadkowie, stajemy się uczestnikami aktu narodzin i śmierci, tajemnicy stworzenia. Nosiciele profanum, uczestniczącymi w akcie sakralnym, niepojętym, przerastającym nasze możliwości czucia i pojmowania. Książka piękna – i pożyteczna, bo wydana nakładem Urzędu Miejskiego w Drawnie, ma pełnić i rolę poetyckiego przewodnika po urokliwej krainie rzeki i serca poety.

Jerzy Grupiński

*(...) ciało, miłość, śmierć – te trzy rzeczy stanowią jedno.
Bo ciało to choroba i rozkosz i ono jest źródłem śmierci, tak,
i miłość, i śmierć, jedna i druga, są natury cielesnej,
i stąd ich groza i wielka ich magia!*

Tomasz Mann, *Czarodziejska góra*

Miłość i śmierć to dwie chyba największe tajemnice nurtujące ludzkie umysły od stuleci, skłaniające do snucia refleksji i do ich uzewnętrzniania, znajdujące wyraz w religiach, ideologiach, wreszcie w sztuce – w malarstwie, rzeźbie, muzyce, a nade wszystko w literaturze. Wydawać by się mogło, że te dwa tematy z czasem „zużyją się”, stracą na znaczeniu i przestaną być atrakcyjne dla pisarzy. Jak jednak dowodzi powieść szwedzkiego dramaturga i prozaika P.O. Enquista „Opowieść o Blanche i Marie” – zagadnienia te nie tylko były aktualne sto lat temu, ale są niezwykle bliskie również współczesnemu czytelnikowi i wciąż budzą w nas gwałtowne uczucia – niczym za dotknięciem „punktów hysteriogennych” palcem doświadczanego psychoanalityka.

Enquist snuje przed nami historię dwóch niezwykle kobiet, żyjących na przełomie XIX i XX wieku – Marii Skłodowskiej-Curie oraz Blanche Wittman. Pierwsza z nich jest dobrze znana polskiemu odbiorcy powieści jako wybitna uczona, chemiczka i fizyczka, zajmująca się zjawiskiem promieniotwórczości, dwukrotna noblistka. Tyle lub niewiele więcej wie o niej przeciętny Polak. Autor „Opowieści o Blanche i Marie” pokazuje, że choć takie szkolne informacje są zgodne z historią, bynajmniej nie odzwierciedlają całej prawdy o człowieku, a o tym, jak bardzo warta jest ona poznania, przekonują nas kolejne rozdziały powieści. Maria Skłodowska-Curie to nie tylko uhonorowany Nagrodą Nobla naukowiec, ale przede wszystkim pełna namietności kobieta, zafascynowana swoją pracą, obdarzona silnym charakterem, niezłomną wolą i gorącym sercem. Towarzyszy jej piękna, choć okaleczona przyjaciółka i współpracownica – Blanche Wittman, której pamiętniki – rzekomo odnalezione przez autora – stały się kanwą powieści. Blanche to była pacjentka szpitala Salpêtrière w Paryżu,

histeryczka „leczona” przez słynnego neurologa Jeana-Martina Charcota, jego kochanka, asystentka Skłodowskiej-Curie, wraz z nią poznająca tajniki radu i polonu; to wreszcie niezwykle, fascynująca osobowość, będąca źródłem prostych pytań i niezwykle trudnych odpowiedzi, zamknięta w ciele kalekim, bo pozbawionym obu nóg i jednej ręki.

To wszystko mówi nam narrator o bohaterach swej opowieści już na jej wstępie, nie oznacza to bynajmniej, iż później nie mamy już nic do odkrycia. Książka napisana jest w sposób nietypowy, autor rezygnuje bowiem z klasycznych wzorców narracji, przekreśla dramatyczny schemat przebiegu akcji i zaskakuje formalnymi rozwiązaniami. Często powtarza przekazane już informacje, ale czyni to tak umiejętnie, że pod wpływem nowego kontekstu uzyskują odmienne znaczenia, stają się niejednoznaczne, sprawiają, iż czytelnik przerywa czytanie i zastanawia się nad ich sensem. Czytanie to zresztą nietypowe – wydawać by się mogło, iż powieść niejako pozbawiona osi fabularnej znudzi lub znudzi (tak zresztą często działa na czytelnika znaczna część współczesnych „eksperymentów” literackich), okazuje się jednak, że może porwać tak samo gwałtownie jak najlepszy kryminał, z tą jednak różnicą, iż porwa nie w przód, ale w głąb. Historia o Blanche i Marie zatacza koncentryczne kręgi, wychodząc z tego, co ogólne, zewnętrzne, „szkolne”, a dążąc do sedna, które utożsamiać można z odpowiedzią na najtrudniejsze pytanie w dzienniku Blanche: „Czym jest istota miłości?”.

Czytanie powieści Enquista stanowi swoistą literacką podróż, jej celem są jednak nie tylko miejsca (choć i pod tym względem powieść jest fascynująca, jako że poznajemy niezwykle, historyczny świat szpitala Salpêtrière czy rozjaśnione mistycznym, tajemniczym blaskiem radioaktywnego promieniowania laboratorium Marie Skłodowskiej-Curie). Podróżujemy przede wszystkim w cudzą psychikę. Sądzę, że książka szwedzkiego pisarza w pełni zasługuje na miano powieści psychologicznej, narrator wnika bowiem w labirynty ludzkich myśli, szuka przyczyn postępowania, stara się wyjaśnić motywy, a jednocześnie nie usprawiedliwia, nie rozgrzesza, co najwyżej sympatyzuje z tymi spośród bohaterów, których odwaga i determinacja powinny budzić

powszechny szacunek. Autor nie ogranicza się do zarysowania sylwetek Marie – naukowca i Blanche – gwiazdy pokazów hipnotycznych Charcota, ale za pomocą bogactwa środków ekspresji (niedopowiedzenia, wykrzyknienia, szeregi pytań, obrazów snów, fantazji, wspomnień) ukazuje nam Blanche i Marie, które miały dość mocy, aby kochać grzeszną miłośćią w świecie konwenansów, które podjęły pracę, o jakiej współczesne im kobiety nie mogły nawet marzyć, które wreszcie nie załamały się pod ciężarem nieszczęścia, lecz znalazły w sobie tyle siły woli, aby zrealizować swe dążenia: odebrać drugą Nagrodę Nobla w obliczu publicznego ostracyzmu (Marie) czy wobec wyniszczającej choroby znaleźć odpowiedź na pytanie o istotę miłości, a zarazem o sens istnienia (Blanche).

Niewątpliwą zaletą książki Enquista są właśnie niezwykle sylwetki bohaterów. Nie są to postaci czarno-białe, lecz w odcieniach szarości, niejednoznaczne, o skomplikowanej umysłowości, ludzkie w swej ułomności, a przez to bliskie czytelnikowi. Z drugiej strony potrafią to, co jest udziałem niewielu: „Dać z siebie w swoim dziele wszystko – oto triumf każdego, kto tworzy. Ropucha, rodząc rozupuszkę, stwarza arcydzieło. Wątpicie? Spróbujcie zrobić to, co ona” (Victor Hugo, *Człowiek śmiechu*). I tak Blanche całkowicie oddaje się pisaniu swego pamiętnika i z niezwykłym zapamiętaniem uczestniczy w pokazach Charcota, Marie poświęca się pracy naukowej, podobnie zresztą jak Charcot. Ponadto wszyscy oni poświęcają swoje życie, karierę, szacunek społeczny dla miłości – tej niesamowitej siły, całkowicie przejmującej władzę nad człowiekiem i destrukcyjnej, a jednocześnie upragnionej, upajającej i sycącej doskonale niż jakkolwiek inny owoc z drzew biblijnego Raju. Bohaterowie, świadomi zbliżającej się śmierci fizycznej lub metaforycznej – śmierci w oczach świata – zdają się podzielać lęk Gabriela Garcii Marqueza, który w „Miłości w czasach zarazy” napisał: „Jedynym bólem, jaki przeraża mnie w śmierci, jest to, że można umrzeć nie z miłości”.

Choć „Opowieść o Blanche i Marie” to niewątpliwie historia o miłości, nie należy uznawać jej za powieść rzewną i sentymentalną. Wręcz przeciwnie – często jest brutalna w swym realizmie (bo i dla realizmu znalazło się miejsce w Enquistowej konwencji), łączy emocje z fizycznością, daje obraz ludzkiej niesprawiedliwości, okrucieństwa i zaślepienia tłumu, realiów epoki. Ponadto stanowi interesującą formę biografii Blanche Wittman, Marii Curie-Skłodowskiej, Jeana-Martina Charcota i Jane Avril (francuskiej tancerki kankana, znanej z obrazów Henri de Toulouse-Lautreca). Czy jednak naprawdę jest to biografia? Można zarzucić powieści brak materiału faktograficznego. Nie mamy żadnych dowodów na to, iż dzienniki Blanche kiedykolwiek istniały. „Jako że jest to powieść, nie podaję źródeł, z jakich korzystałem” – tłumaczy autor w „Podziękowaniach” kończących utwór; w wywiadzie udzielonym dla „Wysokich Obcasów” (8 stycznia 2007) wyjaśnia natomiast, iż wszystko, co opisuje w książce, jest zgodne z prawdą historyczną. Jakkolwiek by nie było, sądzę, iż powieść Enquista jest warta poznania sama w sobie – nie jako dokument czy biografia, ale jako historia ludzkich namiętności, które nie omijają ubogich tancerek kankana, uleczonych histeryczek o amputowanych kończynach ani dwukrotnych noblistek. Kimkolwiek byśmy nie byli, mamy do czynienia z miłością, przyjaźnią, śmiercią, chorobą, szczęściem czy cierpieniem, a książka szwedzkiego pisarza może stanowić próbę odpowiedzi na pytanie (co prawda nie zadane wprost przez Blanche w jej pamiętniku, ale stawiane chyba przez każdego z nas samemu sobie): jak unieść to ludzkie brzemień? Szukanie owej odpowiedzi jest jednak przeżyciem subiektywnym; podobnie lektura powieści Enquista to indywidualna podróż pojedynczego człowieka, dlatego odsyłam Cię, drogi Czytelniku, do pierwszego drogowskazu na szlaku „Opowieści o Blanche i Marie” – do zdania rozpoczynającego powieść: *Amor Omnia Vincit*.

Agnieszka Szpylma

Nie omówiłem do tej pory, i nikt zresztą tego nie zrobił, trzech niezbyt obszernych zbiorów lubuskich poetów, a mianowicie tomików (wymieniam w kolejności według tego jak stały na mojej bibliotecznej półce): Anny Marii Szewczuk-Szwedo „Wybrana Pani”, Haliny Bohuty-Stapel „...i wiersze napisałam i bajkę kiedyś splotę...” oraz Adama Bolesława Wierzbickiego „429 / 01”. Książki ukazały się, więc zasługują na kilka słów opisu, a nawet jest taki obowiązek by czyjejs pracy, jakkolwiek by nie była, nie przemilczać, bo to bardzo bolesne dla każdego autora. Więc nie przemilczam. Cieszę się nawet, że poeci pracują i to, co im się ułoży wydają, a niektórzy nawet na mój adres pozwalają sobie wysłać lub osobiście wręczyć dokonania, za co bardzo dziękuję.

Anna Maria Szewczuk-Szwedo, *Wybrana Pani*, Bon Livre, Zielona Góra 2008, 32 s.

Zacznę od „Wybranej Pani”, a raczej od zwrócenia uwagi na fakt dołączenia do autorskiego nazwiska, już zaznaczonego w poprzednich wydaniach, dodatkowo nazwiska męża. Niby to zabronione nie jest, ale czy konieczne i czemuś ma służyć zmiana tego rodzaju. Mógłbym tu przytoczyć lokalny przykład, który dał wręcz groteskowy efekt. Nie o to chodzi. Nazwisko nazwiskiem, ale też trzeba dbać o pewną stałą, w tej sferze. Jednak liczy się głównie poezja, wydana książka, której dwie osoby nie pisały, tylko jak poprzednio ta sama, jedna, Anna Maria. Jest to już szósta pozycja w jej twórczym dorobku. Jak wcześniej zauważyłem niezbyt obszerna, bo 32. stronicowa. Ciekawostką w tym przypadku może być to, że „Wybrana Pani” została opublikowana niejako nakładem własnym, bowiem w wydawnictwie Bon Livre, które autorka założyła. Klimat samych wierszy oraz styl liryczny nie odbiega od poprzednio już opublikowanych we wcześniejszych zbiorach. Bo już były fascynacje zmysłową miłością, ale i metafizycznymi jej aspektami, np. „Modlitwa II”: „Mój Pan / często spełnia / moje marzenia”. To jest kontynuowane. Jest też ta sama wrażliwość na istnienie świata czy raczej wszechświata, którego definiowania się poetka podejmuje („Powstanie Wszechświata”), nie zawsze wychodząc poza pewne już znane

tropy, niezbyt głęboko je rozwijając, i być może czyni to świadomie, bowiem to co dopowiada ma jakby wyłącznie formę konceptu, pomysłu każącego zwrócić uwagę, że chodzi nie tylko o biblijne stworzenie, ale w wymierzalnej codzienności emocjonalnej i życiowej. To się Szewczyk już wcześniej udawało i udaje obecnie. Relacje międzyludzkie to również pole jej penetracji. Też chodzi o to coś więcej, bo „(w Trójcy)”. Materia doświadczeń jest, ale głównie sygnalizowana, dotykana, bardzo zwięźle, dyskretnie, na zasadzie szkicu, bez pokusy o głębsze i całościowe konstruowanie świata myśli i przeżyć. Może to sposób na uniknięcie jakiegoś większego błędu. Anna Maria chce mówić, ale nie za dużo, trochę jak nieśmiała lub wystraszona dziewczynka, która nie posługuje się pełnymi zdaniem, ale poprzestaje na pojedynczych słowach, chwytach retorycznych, które musimy już w swojej wyobraźni sami uzupełniać. Czasem te niedopowiedzenia wywołują stan napięcia, a czasem ma się poczucie, że poetka upraszcza sobie poetyckie zadanie i omija trudy pracy twórczej. Można rzec, mamy do czynienia z daleko idącym uproszczeniem stylu, prezentowaniem jednej myśli, jednego obrazu, ale banalne to nie jest. Poetka ma na uwadze sprawy poważne jak choćby w „Liście do świętego Jana”. Myślę, że w rezultacie wychodzi w tym zbioru mimo wszystko obronną ręką.

Halina Bohuta-Stapel, *i wiersze napisałam i bajkę kiedyś splotę*, Zielona Góra 2008, 24 s.

Kolejny zbior, to małego formatu książeczka, niewielka objętościowo, bo zaledwie 24. stronicowa, wręcz szkatułka z kilkoma wierszami Haliny Bohuty-Stapel, również wydany nakładem „ze środków własnych autorki”, zapewne w symbolicznym nakładzie, przy współudziale Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Zaciekał mnie z jednego głównie

powodu. Cały poświęcony jest mamie autorki. Na okładce zresztą jej młodzieńcze zdjęcie, piękne korale, zdjęcie wykonane w 1948 roku. To są nie tylko liryczne zwroty, typowo dziękczynne, często w bardzo poważnej tonacji i nastroju, ale barwny portret poetyckiej mamy-artystki, który z zaciekawieniem przeczytałem. Dużo poetce z Wilkanowa się udało,

a więc utrzymanie lekkości słowa, adekwatności leksykalnej, a nawet dowcipu, poczucia humoru w sytuacji, którą do zabawnych zaliczyć raczej trudno, gdyż chodzi o śmierć. Myślę, że poetka ociera się o ryzyko, bowiem pisze niemal frywolnie o momencie ostatecznego odejścia. Jednak mimo takich np. obrazowań: „I dwie pary / obcasików / zastukały / i udały się / obydwie / w szarość nieba” nic złego się nie dzieje. Gdyby nie dobre spuentowanie, to odebrałbym ten wiersz („Ostatnia koleżanka”) jako brak poczucia tactu i smaku.

Końcówka jest jednak prawdziwie bolesna, jak i następny tekst. Może nawet nie za dużo tu prawdziwego wzruszenia poetyckiego, pewna powierzchowność, raczej jakby kilka reminiscencji, przywołań sytuacji, dość szkicowo ujętych, prezentacja niezwyklej osobowości mamy, która miała „tyle butów”. Jednak żywość słowa i autentyzm reakcji (nieco miejscami barokowy) wciągają w lekturę. Zostajemy przekonani, że mama była osobą nietuzinkową. W jakimś stopniu to jest wystarczające. Ale tylko w jakimś stopniu.

Adam Bolesław Wierzbicki, 429 / 01, Dłuzek 2007, 32 s.

Tomik A. B. Wierzbickiego przeleżał, wciśnięty między inne papiery, dokładnie rok. Teraz nadeszła pora na kilka czytelnich uwag. To trzecia książka autora, który w krótkim portrecie sporządzonym przez Kumpla na ostatniej stronie okładki jest określony jako ten, który do pokornych nie należy, bo nie chce należeć. Życiem i twórczością stara się demonstrować lekceważenie dla zaściankowości i prowincjonalnego myślenia, zbuntowany wobec „drobnomieszczańskich nawyków tzw. porządných obywateli”, „Człowiek wolny, nieobliczalny, czasami wręcz szalony”, wróg „moralnego błota”. Portret jak portret, na pewno mający być skutecznym w kreacji wizerunku poety postępującego jak postępował niegdyś Wojacek, Bursa, Stachura czy Milczewski-Bruno. To sprawa oczywiście osobowości. Zastanawiać się można, czy to jest ta droga, ta postawa łamania norm, zasad, manifestacji za wszelką cenę własnego ja, nieuchronnego wyboru destrukcji, najbardziej efektywna, najlepsza do realizacji. Bo poza wszystkim, jakoby wartościowym i słusznym, może tkwić w niej także epatowanie własną osobą, mitologizowanie postawy straceńczej. Czy chodzi w tym o wspieranie swojej poezji, czy o gest wywyższenia własnej osoby nad resztą przeciętniaków. Jeśli to drugie ma być celem, to mamy do czynienia z jakimś rodzajem pychy i próżności. I po prostu nie warto płacić tak wysokiej ceny, bo komu cokolwiek się udowadnia, jeśli samemu już się o świecie aż nadto wiele wie. Nie, nic z tych rzeczy, nie chcę moralizować, ani strofować, ani ustawiać Wierzbickiego. Przemysleć jednak nie zaszkodzi. Jego wiersze od

początku tchnęły niekonwencjonalnym obrazowaniem, pewną dozą mocy i świeżości spojrzenia, poeta łączył ze sobą tkliwość z okrucieństwem ludzkiego losu. Na to jest szczególnie wyczulony. Interesowały go i jak widzę nadal interesują zagadnienia ostateczne, próbuje rozwiązać dylemat, czy warto żyć mimo degradacji egzystencjalnej, czy przeciąć linię życia. To oczywiście nie jest łatwy wybór, na szczęście Wierzbicki zastanawia się „owijając wokół swej szyi / czarny jedwabny szalik” nie tylko nad tym „Co będzie mnie czekać / po przejściu na drugą stronę / rzeki zapomnienia”, ale czy w ten sposób zaoszczędzi „cierpień / wielu niewinnych ludzi”. Za tymi słowami kryje się bezbrzeżny dramat „chłopaka z prowincjonalnego miasteczka”. Potrafię ten dramat zrozumieć. Wszystkie ostre sytuacje w pierwszym rzędzie w podmiot uderzają. Nie mogą cenić jednak, gdy dość cierpiętniczo poeta wdaje się w swoistą poetycką wiwisekcję dokonywaną z pozycji kogoś bezwolnego. bo to już czysta epatacja. Mam jednak pewność, że wybór straceńczy oznaczać mógłby przegraną podmiotu, podczas gdy prawdziwy bunt i bohaterstwo w jednostkowej sferze wiązać powinno się z przewycięzeniem samego siebie. To drugie jest oczywiście po stokroć trudniejsze, bo nie jest „duktym wybrukowanym / szlachetnymi intencjami”, ale może oznaczać uruchomienie w sobie „poczucia rzeczywistości”. Tej wartości, której chyba Wierzbicki nie lekceważy. To znacznie ciekawsza perspektywa i horyzont działania. Z tym jednak założeniem, że wystarczy woli i sił, by pokonać największego przeciwnika, czyli samego siebie.

Skrypturalik odłożony... Utwory laureatów II Konkursu Literackiego „O Laur Dziewina”, eMBePe Miejska Biblioteka Publiczna, Żary 2008, 56 s.

Z Żar, a ściślej, z Miejskiej Biblioteki otrzymałem książkę, a raczej zeszyt opatrzone oryginalnym tytułem „Skrypturalik odłożony...”. Jest to wydawnictwo pokonkursowe w związku z rozstrzygnięciem II Konkursu Literackiego „O Laur Dziewina”, który wspólnie organizują: Biblioteka oraz Żarskie Towarzystwo Kultury. Dyrektor Jan Tyra lubi, i dobrze, zatrzymywać w okolicznościowych skrypturalnikach zdarzenia, które w jego placówce mają miejsce. To obyczaj godny pochwały, zwłaszcza, że zapewne nie tak bardzo znowu kosztowny. Konkurs obejmował kategorię poezji i prozy. Jak czytam, w tym roku zafunkcjonował już jako ogólnopolski. Jeśli ta tendencja się utrzyma, to ten fakt będzie podnosić jego rangę. Żary literacko nie są zastygłe, dzieła się tam

coś już wcześniej, można doliczyć się sporego grona literatów, wielu już książek, czasami ta działalność nieco przygasła, ale pojawiają się nowe osobowości, które w tym konkursie zresztą dały o sobie znać. Powstał Klub Literacki. W prozie zwłaszcza, co może szczególnie cieszyć laureatami zostali żaranie: Wenancjusz Kłudkowski, Mirosław Żandarski, Katarzyna Gielicz, Rafał Szymczyk. Życzę im, by pisali coraz dojrzalej. I niech ta rozpoczęta tradycja ma w przyszłości kontynuację, bo jest szansa, że za sprawą tego konkursu, który ma znamienitego patrona, nabierze żywych rumieńców także miejscowe życie literackie.

Czesław Sobkowiak

Adam Wiesław Kulik, *Leśmian, Leśmian...*, Słowo / obraz terytoria; Gdańsk 2008, 260 s.

Bolesław Leśmian – autor niedoceniony i lekceważony przez swoje czasy, dziś zajmuje zasłużone miejsce w panteonie najwybitniejszych polskich poetów. Kolejne wydania jego utworów, jak i publikacje naukowe dotyczące tejsze twórczości, świadczą o wyjątkowej atrakcyjności tych niejednoznacznych dzieł. Póki są one czytane i omawiane, autor żyje w „świadomości literackiej”. Innym aspektem pośmiertnego losu jest paradoksalna sytuacja: przez dziesięciolecie brakowało kompletnej biografii, a równocześnie postać poety zaczęła obrastać w anegdoty, jakieś plotkarskie historyjki, które wymagały sprostowań. Tę lukę badawczą wypełnił w dużej mierze Piotr Łopuszański, autor książek: *Leśmian* (Wrocław 2000), *Bolesław Leśmian. Marzyciel nad przepaścią* (Warszawa 2006) i biografii paralelnej *Zofia i Bolesław Leśmianowie* (Kraków 2005). Ciekawą pozycją jest także *Leśmian: encyklopedia* Jarosława Marka Rymkiewicza (Warszawa 2001). Z niektórymi zawartymi w niej poglądami polemizuje Adam Kulik. W tym roku ukazała się jego książka, która co prawda nie rości sobie prawa do bycia kompendium wiedzy o życiu autora *Łąki*, ale zawiera szereg relacji ludzi, którym dane było poznać skromnego reagenta – genialnego poetę. Mowa o: *Leśmian, Leśmian... Wspomnienia*

o Bolesławie Leśmianie zebrane przez Adama Wiesława Kulika.

Adamowi Kulikowi udało się dotrzeć m.in. do pracowników notariatu Leśmiana, sąsiadów, znajomych córek, gimnazjalistów z czasów, gdy dyrektorem szkoły w Zamościu był przyjaciel poety, Adam Szczerbowski. Odkrył także niepublikowane dotąd dokumenty (grupowe zdjęcie ze współpracownikami, liścik do Zofii Wiktorowiczowej, wywiad z twórcą w gazetce gimnazjalnej „Nasza Myśl”), a także... biurko, przy którym Leśmian pracował w hrubieszowskim notariacie. W poszukiwaniu pamiętających go osób, Kulik spenetrował Hrubieszów i Zamość. Odwiedził też Iłżę, gdzie rozpoczął się największy romans poety, z Teodorą Lebenthal i gdzie mieszka znawca tego okresu w biografii Leśmiana, Adam Bednarczyk – autor książki *Taka cisza w ogrodzie... Iłżeckie miłości Leśmiana*. Z zapisu rozmowy z Bednarczykiem, w której pojawia się m.in. nazwisko Jacka Trznadla, wyłania się obraz ludzi pasjonujących się życiem i twórczością Leśmiana. Jak stwierdził Kulik: „Podążając przez lata tropem poety, zauważyłem, że – niepostrzeżenie – stał mi się bliski jako człowiek”. Ta fascynacja autorem *Sadu rozstajnego* nie jest udziałem wszystkich, których wspomnienia zostały zamieszczone w publikacji.

Z relacji osób wydobywa się postać skromnego, niepozornego mężczyzny. Podobnie jak we *Wspomnieniach o Bolesławie Leśmianie*, zebranych przez Zdzisława Jastrzębskiego (Lublin 1966), tak i tu rozmówcy podkreślają nieatrakcyjność fizyczną artysty: „Jakiś śmieszny Pan”, „Takie pół mężczyzny”, „Nie był przystojny, taka kruszynka”, „To był człowiek jak kurka”, „Z wyglądu: ot, idzie jakiś chłopina”, „Na pierwszy rzut oka uderzała jego brzydota”. Znajomym kojarzył się z owadem. Olbrzym wyobraźni funkcjonował w pamięci innych jako niski, łysawy człowiek o wydatnym nosie, a przy tym marzyciel, łatwowierny i trochę skrupowany w kontaktach z innymi, ale życzliwy i dobry dla swych współpracowników.

Co ciekawe, rozmówcy Kulika często mieli lekceważący lub negatywny stosunek do poezji Leśmiana, bądź też nie interesowali się nią wcale. Autor wybitnych dzieł przemknął przez ich życie prawie niezauważalnie i dopiero teraz, gdy tak pożądane są wszystkie ślady po tworzącym rejencie, wygrzebuje z zakamarków pamięci strzępy informacji. Według Marii Bachniak, emerytowanej pracownicy zamojskiej hipoteki: „Chodziły pogłoski, że pisze, ale specjalnie nikt się jego poezją nie interesował, sam się tym nie chwalił”.

We wspomnieniach zostały przemyczone informacje nieprawdziwe, plotkarskie albo takie, które rozmówca mógł poznać dopiero z opracowań, na pewno nie od samego Leśmiana czy jego bezpośredniego otoczenia. Kulik, zdając sobie sprawę z istotnej kwestii szczerości i obiektywizmu relacji, z reportersko-detektywistyczną intuicją wytropił nieścisłości w słowach rozmówców. Nie ingerował jednak w samą strukturę poszczególnych wypowiedzi, ale wskazał pewne fakty w przypisach. Dopełnienie zbioru wspomnień stanowi także Kalendarium.

Ponadto niewątpliwym atutem książki jest jej forma graficzna. Zastosowane rozwiązania w rozmieszczeniu tekstu uatrakcyjniają publikację, a ogromna ilość ilustracji (zdjęć, dokumentów, obrazów, widokówek i in.) uświadamiają rzecz oczywistą: Leśmian

nie tworzył w próżni, żył w konkretnym miejscu i czasie, wśród ludzi, którzy zwykle nie rozumieli jego poezji. Wspomnienia, dotyczące przede wszystkim dwóch etapów w jego biografii – okresu hrubieszowskiego (1918–1922) i zamojskiego (1922–1935), dużo mówią o małomiasteczkowych społecznościach międzywojnia.

Adam Kulik dokonał rzeczy niezwykle istotnej, otóż niejednokrotnie udało mu się – jak sam napisał – „zdążyć przed Panem Bogiem”. Jego książka ocala od zapomnienia świadectwa obecności Leśmiana wśród ludzi. Te wspomnienia są jednocześnie dowodem na... nieobecność, bowiem wyłania się z nich obraz człowieka wyobcowanego ze świata, pogrążonego w fantastycznej (nie)rzeczywistości własnej poezji, który miałby problem z odnalezieniem się w każdych czasach. Niezwykle trafne wydały mi się słowa jednego z rozmówców Kulika, Edwarda Kopcińskiego:

„Osobiście, gdybym potrafił, zwracałbym się ku jego [Leśmiana – J. W.] dziełu przede wszystkim, nie szukając go w pozorach zewnętrznych i faktach jego skomplikowanej doczesności. Akurat w życiorysie tego poety nic nie zdradza, skąd się wziął ten duch w tak drobnym, wątłym i niepozornym ciele, zdolny analizować wręcz laboratoryjnie duszę ludzką samą w sobie, na materiale bardzo codziennym, często kalekim, raczej bardzo zwykłym, powszechnie zrozumiałym (...)”.

Leśmian w swojej poezji dał wyraz przekonaniu, że pamięć przekształca obrazy. Ten truizm potwierdzają też zebrane przez Kulika relacje. Materia wspomnień, z uwagi na dystans czasowy i niekiedy bardzo emocjonalny stosunek do przywoływanych zdarzeń, nie jest wolna od przeinaczeń czy też wyraźnych sprzeczności. Niemniej zgromadzony materiał z pewnością zainteresuje miłośników twórczości Leśmiana, a nie-miłośników może i skłoni do zapoznania się z tą wyjątkową poezją i odkrycia dysonansu między wątłą posturą człowieka a geniuszem poetyckim artysty.

Joanna Wawryk

Powieść Iana McEwana, jednego z najwybitniejszych współczesnych pisarzy brytyjskich, to przykład dobrej, zajmującej prozy, inteligentnej, pełnej uczuć i namietności, ale zarazem bardzo ciekawej od strony formalnej. Nie jest to książka, która można czytać od niechcenia, zostawić na parę dni, by potem sięgnąć po nią bez „czytelniczego szwanku”. Trzeba ją czytać wnikliwie, bo tylko wtedy odstania całe piękno i bogactwo. Spotkałam się z opinią, że ciężko przebrnąć przez pierwsze kilkadziesiąt stron, może czytelnicy, a zarazem widzowie współczesnego kina są już przyzwyczajeni do szybkiego rozwoju akcji i stąd ten zarzut. Pierwsza część świetnie odzwierciedla angielski klimat wiejskiej posiadłości i jej mieszkańców w pewien brzemienisty w feralne skutki letni dzień 1935 r. Rzeczywistość ukazana jest w wielu drobiazgach i szczegółach, wręcz czujemy upał letniego wieczoru, czy chłód wody w fontannie, poza tym możemy lepiej zrozumieć motywy postępowania bohaterów dzięki zastosowaniu polifoniczności, wielogłosowości w narracji. Chociaż akcja rozwija się wolno to aż kipi tu od emocji, skrywanych, rozwijających się, by wybuchnąć w finale z zadziwiającą siłą. Dawno nie czytałam już tak pięknie opisanych narodzin uczucia miłości. Jest też, niestety, tragedia pomyłki, błędnego mniemania nastoletniej Briony Tallis, dziewczynki wrażliwej, utalentowanej literacko, ale jeszcze dziecka... Dziecka, które błędnie zinterpretowało rzeczywistość, czego efektem było skazanie niewinnego człowieka i totalny rozpad więzów rodzinnych. Na tragedię osobistą straszliwym cieniem kładzie się globalna tragedia II wojny światowej. Jej opisy to kolejny przykład wirtuozerii McEwana, nie ma tu bohaterów, jest zwierzęca wola przetrwania, a w przypadku Robbiego

miłość, jako jedyne uczucie, które pozwala przetrwać okropności ewakuacji w Dunkierce. Odnosi się też wrażenie, że nad tym fragmentem powieści unosi się gdzieś lekko duch Remarque’a. Fascynują wręcz także kapitalne opisy londyńskich szpitali wojennych, widzianych z perspektywy zwykłych pielęgniarek. Ogrom pracy, zmęczenia, pruskiego drylu i przede wszystkim niewyobrażalnego cierpienia rannych żołnierzy. Ale co z tytułową pokutą? Briony Tallis pokutuje jako pielęgniarka, nie kończy żadnej prestiżowej szkoły i pisze powieść, pierwszą z kilku kolejnych wersji tego pamiętnego wydarzenia, tak jakby twórczość mogła przynieść upragnione katharsis. Całe jej życie naznaczone jest piętnem tej dziecięcej, ale tragicznej winy. Chociaż jest moment, kiedy wydaje się, że można naprawić zło, ale tak naprawdę pokuta się nie kończy. Nie wiemy, czy skrzywdzeni kochankowie żyli długo i szczęśliwie. Wprawdzie tajemnica sprzed lat zostaje odkryta, ale przecież nie oficjalnie, zakończenie powieści zaś jest otwarte... I tu mamy zaskakującą literacką voltę. Może wcześniej czytałismy tylko kolejną wersję powieści Briony Tallis, znanej i cenionej w latach dziewięćdziesiątych pisarki, której powieści weszły do kanonu szkolnego. Jak rzeczywiście potoczyły się losy głównych bohaterów? Czy pisarka mogła być tak okrutna, aby uśmiercić Cecylię w ataku bombowym w Londynie, a Robbiego pod Dunkierką? Czy czytelnicy przyjęliby takie zakończenie? Tego się nie robi sympatycznym bohaterom, a może jednak, bo rzeczywistość jest okrutna i bezlitosna...

Prawda czy fałsz? Żłuda literatury? Pisarz jak Bóg kreujący świat swoich bohaterów? Na to pytanie każdy odpowiada sam, ale chyba warto.

Maria Macała

KRONIKA LUBUSKA

wrzesień – listopad 2008

- Na rynku w Sulęcinie 5 września można było obejrzeć wystawę *Znaki czasu*. Zaprezentowano 150 zdjęć tego miasta i okolic, będących efektem Polsko-Niemieckiego Pleneru Fotograficznego.
- W gorzowskiej bibliotece wojewódzkiej 5 września wystawiono rysunki Marka Żuławskiego. Były to ilustracje do pierwszego polskiego tłumaczenia *Gilgamesza* z 1922 r.
- Tego dnia w Zielonej Górze otwarto trzy wystawy: w Galerii Pro Arte – *Dni Zielonej Góry – Winobranie 2008*, po konkursie na plakat; w Galerii BWA – *Korzenie, rekwizyty, próby*, fotografie Krzysztofa Gierałtowskiego; w Galerii Jadwigi Bocho-Kokot – *Madagaskar*, malarstwo Michała Smółki.
- Również 5 września zainaugurowano sezon artystyczny w Filharmonii Zielonogórskiej. Utwory kompozytorów baroku i romantyzmu wykonali: Konstanty Andrzej Kulka, Tomasz Strahl i Krzysztof Jabłoński. Orkiestra Symfoniczna wystąpiła pod dyrekcją Czesława Grabowskiego.
- W sobotę 6 września w Zielonej Górze rozpoczęło się Winobranie. Z tej okazji Zielonogórskie Towarzystwo Śpiewacze „Cantores” zorganizowało koncert winobraniowy. W konkatedrze pw. św. Jadwigi zagrała orkiestra Cantores et Collegium Virdimontanum pod dyrekcją Jerzego Markiewicza.
- W gorzowskim amfiteatrze Teatr Muzyczny z Łodzi wystawił *Zemstę nietoperza*.
- 7 września w zielonogórskiej Palmiarni odbył się koncert *Hej, winobranie!* w wykonaniu chóru Moderato z Uniwersytetu Trzeciego Wieku. W programie wykonano także piosenki, wiersze i skecze.
- Organizatorzy Winobrania zaplanowali na niedzielę (7 września) szereg atrakcji. Na scenie głównej (na Starym Rynku) grały m.in. orkiestry: Blasorchester Cottbus, Młodzieżowa Orkiestra Dęta ZSB w Zielonej Górze. Wieczorem z koncertem na deptaku wystąpiła Budka Suflera.
- Także w niedzielę rozpoczął się XXIII Międzynarodowy Festiwal Folkloru. Zespoły biorące w nim udział pokazały się również w innych miejscowościach. W poniedziałek, 8 września zespół z Bułgarii zaprezentował się w Świebodzinie, a zespół z Mołdawii – w Sulechowie. We wtorek z kolei zespoły z Białorusi, Ukrainy i Polski wystąpiły w Nowogrodzie Bobrz., natomiast zespół z Gruzji w Świebodzinie.
- 10 września w ramach XXIII Międzynarodowego Festiwalu Folkloru na winobraniowej Scenie Głównej dały koncert kolejne zespoły. Jeszcze w tym dniu Stary Rynek gościł duet – Alicję Majewską i Włodzimierza Korcza.
- 11 września w WiMBP im. C. Norwida zaprezentowano dwie ekspozycje: w holu – Winobranie 2007 w obiektywie Łukasza Sawickiego; w salonie wystawowym – wystawę na 10. Konkurs na Rysunek Satyryczny.
- Tego dnia na Starym Rynku dał koncert zespół rockowy Kobranocka.
- 12 września w zielonogórskiej kawiarni ZOK odbył się finał konkursu plastyczno-poetyckiego o tematyce wina *Toast Bachusa*.
- W piątek, 15 września na winobraniowej Scenie Głównej dalszy ciąg występów folklorystycznych. Wystąpiły: Ziemia Żywiecka i Balet Folklorystyczny z Meksyku. I kolejny rockowy wieczór: Szymon Wydra i Carpe Diem.
- 13 września rozstrzygnięto Konkurs Win, a na scenie zaprezentowały się zielonogórskie kluby taneczne. Na deptaku można było oglądać galerię „Arka” (pokazano tu prace lubuskich artystów).
- W sobotę na scenie pod Centrum Biznesu aktorzy Lubuskiego Teatru i inni artyści udowodniali, że *Zielona Góra jest kobietą...* Winobraniowe widowisko okazało się show pełnym tańca i muzyki.
- Również 13 września w amfiteatrze odbył się Koncert Galowy XXIII Międzynarodowego Festiwalu Folkloru.
- 14 września w ofercie Muzeum Etnograficznego w Ochli znalazły się m.in. takie atrakcje: uprawa winnego krzewu, ekspozycja – *Tradycje winiarskie, Stara Winna Góra, Fenomen starego piernika*, zbiór winogron i degustacja wina.
- Oficjalnie zakończenie Winobrania odbyło się 14 września na Starym Rynku. Wystąpiły zespoły: Melodia, Leśniowianki, Nietkowianki, Rytm oraz orkiestry: Orkiestra Dęta „Zastal”, Towarzystwo Muzyczne z Helmond.

- W zielonogórskiej Galerii Projekt 15 września otwarto wystawę fotograficzną Dietera Franza *Sam fałsz*.
- W Zielonej Górze z okazji Dnia Sybiraka (17 września) odbyła się uroczystość patriotyczna przy obelisku katyńskim.
- Podczas trzydniowego Jarmarku Świętego Michała (19-21 września) w Żaganiu wystąpili: Denzel, Hey i Doda.
- 20 września w Gorzowie Wlkp. rozpoczęły się Międzynarodowe Spotkania Orkiestr Dętych, w których wzięło udział 320 wykonawców z różnych krajów.
- W Strzelcach Kraj. również 20 września odbył się festyn Pożegnanie Lata, a w niedzielę – impreza charytatywna.
- 21 września na zielonogórskim Rynku już po raz drugi odchodzono Jarmark Miodu i Wina. Organizatorem imprezy było Towarzystwo Upiększania Miasta.
- Z inicjatywy Jerzego Szewczyka „Gazeta Lubuska” ogłosiła 23 września Dniem Spadającego Liścia, co spotkało się z dużym odzewem czytelników.
- 25 września w Klubie Pro Libris WiMBP w Zielonej Górze miała miejsce promocja tomików poetyckich: Bronisławy Raszkiewicz *Welon na wiśniach* i Haliny Bohuty-Stapel *W tonacjach dur i moll*.
- Tego samego dnia w Gorzowie Wlkp. wystartowała 7 edycja Filmostrady. Podczas święta dobrego kina pokazano 7 ambitnych filmów.
- II Polsko-Niemiecki Festiwal Młodzieży rozpoczął się 26 września. W czasie jego trwania młodzi ludzie z obu państw brali udział w zajęciach w pracowni ceramicznej, tańca współczesnego, malarstwach i plastycznych.
- W sobotę 27 września odbył się XV festiwal form artystycznych domów pomocy społecznej województwa lubuskiego Sulęcín – Tursk 2008.
- W Zielonej Górze, w sali Hydro(za)gadka ZOK-u 27 września wystąpił Maciej Wróblewski z recitalem *Do nieba schody*.
- 2 października w Lubuskim Teatrze wystąpiła czołówka wokalistów polskiej sceny jazzowej, m.in.: Grzegorz Karnas, Aga Zaryan i Grażyna Auguścik.
- 3 października w sali Międzynarodowego Centrum Muzycznego Filharmonii Zielonogórskiej solistą koncertu był wielokrotnie nagradzany na konkursach Łukasz Gothszałk.
- Na Uniwersytecie Zielonogórskim 6 września za-inaugurowano VI Dni Niemieckie. Z tej okazji odbył się koncert w wykonaniu Niemiecko-Polskiej Orkiestry Młodzieżowej z Frankfurtu n.O i Zielonej Góry.
- Tego też dnia w zielonogórskim klubie 4 Róże dla Lucienne zespoły: Closterkeller i Izmail otworzyły Festiwal Rock Nocą.
- 6 października WiMBP im. C. Norwida zainaugurowała Dni Kultury Kresowej. W salonie wystawowym Biblioteki otwarto ekspozycję *Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej małą ojczyzną wielu narodów*. Okazją do zorganizowania wystawy był jubileusz 20-lecia Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.
- Klub 4 Róże dla Lucienne gościł 10 października zespół Nagielbank. Koncert był gratką dla miłośników piosenki żeglarskiej.
- W tym też dniu w zielonogórskiej Galerii BWA otwarto wystawę artystów sztuki współczesnej *Medium... Post... Mortem...*
- W ramach koncertu z okazji Dnia Papieskiego (10 października) w Filharmonii Zielonogórskiej można było usłyszeć *Tryptyk Mariacki* Romualda Twardowskiego, Koncert Fortepianowy a-moll Ignacego J. Paderewskiego oraz Oratorium *Stworzenia świata* (fragmenty) Josepha Heydna.
- W dniach 10-12 października odbyła się XXXIV Biesiada Kozłarska w Zbąszyniu. W centrum miasta koncentrowały kapele i soliści.
- Muzeum Etnograficzne w Ochli zaprosiło na *Łupaczkę z tańcem*. Podczas imprezy (12 października) można było obejrzeć żniwa kukurydziane po bukowińsku. Wystąpiły zespoły bukowińskie. Odbył się także kiermasz wyrobów rękodzielniczych oraz degustacja regionalnych dań.
- Cykl koncertów Filharmonia Pod Palmami rozpoczął się w niedzielę (12 października). Na scenie zielonogórskiej Palmiarni wystąpił kwartet smyczkowy FZ.
- W dniach 17-19 października odbywała się Prezentacja Kultury Polaków z Kresów Wschodnich. Przez dwa dni na scenie Lubuskiego Teatru prezentowały się zespoły śpiewacze, kabarety, chóry i tercety. W trzecim dniu na zamku w Kozuchowie miał miejsce koncert galowy.
- W Palmiarni Zielonogórskiej 14 października obchodzono Dzień Nauczyciela.
- W WiMBP im. C. Norwida 16 października miała miejsce konferencja historyczna ph. *Kultura i spo-*

teceństwo na Środkowym Nadodrzu w XIX i XX wieku.

- 16 października w Galerii BWA odbył się performance i koncert Audrey Chen i Keiko Higuchi.
- W klubie 4 Róże dla Lucienne dla miłośników ska i reggae zorganizowano 17 października 3.edycję Dialogues Of Sounds. Wystąpili: Taumaturgia, Odkrywczy Nieodkrytych Łądów, Ustafka, No Problem Sound System.
- W Galerii Grafiki Wydziału Artystycznego UZ 17 października otwarto wystawę Janiny Kraupe-Świdorskiej. Wystawiono grafiki z Kolekcji Działu Zbiorów Specjalnych Biblioteki Uniwersytetu Zielonogórskiego.
- 17 października w Galerii Nowy Wiek Muzeum Ziemi Lubuskiej odbył się finał, czyli zamknięcie wystawy *Marian Szpakowski – Kontynuacja*, na której prezentowano prace młodych artystów nawiązujące do twórczości legendarnego „Szpaka”.
- Także 17 października w Galerii Pro Arte Okręgu Zielonogórskiego ZPAP miał miejsce wernisaż zatytułowany *Natura Optima*. Swoje prace pokazali: Grażyna Michalak-Bazylewicz, Stanisław Dziubak i Zdzisław Bazylewicz.
- W gorzowskim Teatrze Osterwy 17 października odbył się koncert finałowy XIX Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. J. S. Bacha. Laureatom towarzyszyła Gorzowska Orkiestra Kameralna pod batutą Katarzyny Szymko.
- 18 października w Małej Galerii GTW zaprezentowano prace Sławomira Tobisa – czarno-białe fotografie Karkonoszy.
- W Teatrze Osterwy 19 października wystąpił muzyk światowej sławy, Victor Bailey. Wielu fanów przyszło posłuchać jednego z najlepszych gitarzystów basowych fusion, czyli mieszkanki jazzu i rocka.
- 23 października w sali widowiskowej Żarskiego Domu Kultury, w ramach XV Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Wiedeńskiej, wystąpiła Orkiestra Akordeonowa Concertino z Mołdawii.
- W tym dniu nowosolska Kawiarnia Teatralna gościła Jana Kondraka, autora tekstów, kompozytora i wykonawcę.
- W dniach 24–26 października odbyły się trzy koncerty XVIII Festiwalu Smyczkowego *Mistrzowie polskiej wiolinistyki* im. T. Wrońskiego. W piątek w sali FZ wystąpili symfonicy pod batutą Cz. Grabowskiego i soliści. Sobotni koncert miał miejsce w Zborze w Sulechowie, gdzie zagrał kwartet smyczkowy FZ. W niedzielę z kolei koncert symfoniczny odbył się w sali FZ.
- W Klubie Piekarnia Cicha Kobieta 25 października miłośnicy bluesa przybyli na koncert Niny Van Horn & Her Band.
- 26 października w Teatrze Osterwy można było posłuchać wariacji utworów Chopina. Zagrał znakomity pianista, Andrzej Jagodziński, na kontrabasie towarzyszył mu Adam Cegielski, na perkusji zaś Czesław Bartkowski.
- W zielonogórskiej Galerii Pro Arte 29 października odbył się wernisaż Krystyny i Jerzego Nowakowskich zatytułowany *Rzeźba*.
- Żarski Dom Kultury zaprosił na Zadaszki Artystyczne. 31 października w sali widowiskowej Luna można było obejrzeć spektakl *Małe zbrodnie małżeńskie* w reżyserii Romana Krzywotulskiego.
- W sobotę, 1 listopada w kościele pw. Najświętszego Zbawiciela odbył się koncert w wykonaniu Orkiestry Kameralnej FZ pod batutą Jacka Kraszewskiego. W programie znalazły się utwory m.in.: J. S. Bacha, E. Griega, A. Vivaldiego i T. Albiniego.
- W klubie 4 Róże dla Lucienne Maciej Wróblewski 2 listopada poprowadził Wieczór Zadaszkowy. Bard wspominał nieżyjących twórców i ich utwory.
- 6 listopada w Muzeum Ziemi Lubuskiej, podczas Zielonogórskich Zadaszek wspomniano tych, którzy odeszli. Refleksji towarzyszyła muzyka w wykonaniu kwartetu smyczkowego FZ, a także poezja Jana Pawła II, ks. Jana Twardowskiego i Marka Grechuty, zaprezentowana przez aktorów Lubuskiego Teatru.
- W Bibliotece Norwida 5 listopada otwarto wystawę prac współtwórców „polskiej szkoły ilustracji” – Teresy Wilbik i Zdzisława Witwickiego.
- Z okazji Roku Herberta w dniach 6-7 listopada w sali dębowej zielonogórskiej WiMBP odbyła się konferencja poświęcona twórczości tego poety. Zorganizowała ją Biblioteka i Uniwersytet Zielonogórski.
- 7 listopada w sali Międzynarodowego Centrum Muzycznego FZ wystąpiła Tatiana Szabanowa. Wybitnej pianistce towarzyszyła orkiestra symfoniczna pod dyрекcją Czesława Grabowskiego. Artystka wykonała II koncert fortepianowy f-moll F. Chopina.
- W klubie 4 Róże dla Lucienne 9 listopada koncertowały kapela Leniowiec i The Bill.

- Wojewódzkie Obchody Święta Niepodległości odbyły się 11 listopada w Gorzowie. W programie uroczystości znalazły się: montaż słowno-muzyczny w wykonaniu aktorów Teatru Osterwy i msza św. w intencji Ojczyzny. Druga część obchodów odbyła się na Skwerze Wolności.
- Brak daty!!!!!! W Galerii Nowy Wiek w Muzeum Ziemi Lubuskiej otwarto wystawę Marcina Berdyszaka, zatytułowaną *Kontynuacje*. Zaprezentowane instalacje były związane z tematem naszej obecności w Unii Europejskiej.
- 14 listopada w zielonogórskiej galerii Projekt odbyło się otwarcie wystawy fotografii Jerzy *Lubczyński jakiego pamiętamy*.
- Tego też dnia w BWA zaprezentowano prace czworga młodych malarzy z Warszawy, z pracowni Jarosława Modzelewskiego. Wystawę zatytułowano *Trofeum*.
- 15 listopada w Lubuskim Teatrze miała miejsce premiera sztuki *Stworzenia sceniczne* w reżyserii Roberta Czechowskiego.
- W niedzielę, 16 listopada rozpoczęły się jubileuszowe XXV Gorzowskie Spotkania Teatralne. Przegląd otworzył monodram Krystyny Jandy *Ucho, gardło, nóż*. Podczas Spotkań zagrali: Ignacy Gogolewski, Małgorzata Foremniak, Janusz Gajos i Jerzy Radziwiłłowicz.
- W zielonogórskim Kawonie wystąpiła grupa Akurat. Wykonywane utwory (z nowej płyty *Optymistyka*) to mieszanka reggae i jazzu (16 listopada).
- Również 16 listopada w sali Filharmonii Zielonogórskiej wystąpił Wojciech Waglewski z synami – Fiszem i Emade. Rodzinny projekt nosił tytuł *Męska rzecz*.
- 20 listopada gościem Czwartku Lubuskiego w WiMBP w Zielonej Górze był poeta Henryk Szyłkin. Okazją do spotkania był podwójny jubileusz: 80-lecie urodzin i 50-lecie pracy twórczej poety oraz promocja pamiątkowej monografii *Jesienna księga losu*.
- W Domu Kultury w Nowej Soli 22 listopada wystąpił zespół Carrantuohill. Grupa zaprezentowała muzykę rodem z Irlandii i ze Szkocji.
- 22 listopada w hali sportowej MOSiR w Zielonej Górze odbył się jubileuszowy koncert z okazji 55-lecia Lubuskiego Zespołu Pieśni i Tańca.
- W tym też dniu zaśpiewała Renata Przemyk w sali Hydro(za)gadki w Zielonogórskim Ośrodku Kultury.
- Środowiskowy Dom Samopomocy oraz Galeria BWA zaprosili na dwa spektakle. Pierwszy – *Niewidzialne* zaprezentował Zespół Efemeryczny Smok, drugi – *Wilki* – wrocławski Euforion (22 listopada).
- Munięk Staszczuk wraz z T. Love zagrał 23 listopada w klubie Kawon.
- 25 listopada w Filharmonii Zielonogórskiej wystąpili: Grzegorz Turnau i Andrzej Sikorowski. Krakowscy muzycy dali koncert *Pasjans na dwóch*.
- W Muzeum Ziemi Lubuskiej 26 listopada miało miejsce otwarcie wystawy Leona Wyczółkowskiego – *Malarstwo, rysunek, grafika*.
- 28 listopada w Filharmonii Zielonogórskiej odbył się koncert andrzejkowy. Orkiestra Symfoniczna wystąpiła pod gościnną batutą Jana Walczyńskiego, towarzyszył jej tenor Piotr Rafałko.
- W sobotę, 29 listopada w sali Hydro(za)gadka wystąpił kabaret Super Duo, w składzie: Marian Opania i Wiktor Zborowski.
- Tego samego dnia w Teatrze Osterwy zagrał Freddy Cole. Podczas jedyne polskiego koncertu tego muzyka można było wysłuchać niezwyklej mieszanki jazzu, rocka, rock and roll'a, a także muzyki komercyjnej.
- 30 listopada w klubie 4 Róże dla Lucienne fragmenty swojej nowej płyty zagrała szczecińska grupa The Analogs. Impreza odbyła się w ramach cyklu Maximum Punkrocka.

Archeologia w studiach nad najstarszymi dziejami Krosna Odrzańskiego, zespół red. Marlena Magda-Nawrocka, Alicja Nawojka, Jerzy Szymczak, Gmina Krosno Odrzańskie, Krosno Odrzańskie 2006, s. 199

Bory Lubuskie. Leśny Kompleks Promocyjny, pod red. Leszka Jerzaka i Grzegorza Gabrysia, Nadleśnictwo Lubsko, Lubsko 2007, s. 219

Hajduga Jerzy, *Rozerwanie nieba*, LIST, Kraków 2008, s. 146

Hajduga Jerzy, *Wynajęty widok*, Wydawnictwo ANAGRAM, Warszawa 2008, s. 48

Lubuskie uniwersytety trzeciego wieku, praca zbiorowa, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2008, s. 183

Lazuka Władysław, *Kilka słów*, Wydawnictwo Książkowe IBIS, Warszawa 2008, s. 94

Markiewicz Czesław, *Ale i tak*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2007, s. 71

Okowiński Leon, *Dawne dzieje Sulechowa i okolic ludowymi podaniami pisane*, Sulechów 2007, s. 71

Okowiński Leon, *Sulechów przez stulecia. Szkice z przeszłości miast i okolic od pradziejów do 1945 roku*, Sulechów 2007, s. 526

Piotrowski Robert, Leszczyński A. Paweł, *Luteranie w Gorzowie (1537–2007)*, Komisja Historyczna Parafii Ewangelicko-Augsburskiej Św. Trójcy w Gorzowie, Towarzystwo Przyjaciół Archiwum i Pamiątek Przeszłości w Gorzowie, Gorzów 2007, s. 60

Pozaroszczak Mieczysław, *Szprotawa w swym 750-leciu*, „Chroma” Drukarnia Krzysztof Raczkowski, Żary 2007, s. 192

Powiat krośnieński. Skarby Natury, red. Andrzej Sibilski, Starostwo Powiatowe w Krośnie Odrzańskim, Zielona Góra 2008, s. 65

Przeciwko stanowi wojennemu. Wydarzenia 31 sierpnia 1982 r. w Gorzowie, pod red. Małgorzaty Machałek i Dariusza A. Rymara, Wydawnictwo Kadruk, Szczecin 2007, s. 122

Skrypturalik odłożony... Utwory laureatów II Konkursu Literackiego „O Laur Dziewina”, red. Jan Wiktor Tyra, Janina Wilga-Lorenc, eMBPe Miejska Biblioteka Publiczna, Żary 2008, s. 53

Szymczak Jerzy, Ciesielczyk Michał, *Zamek Piastowski w Krośnie Odrzańskim*, Gmina Krosno Odrzańskie, Krosno Odrzańskie 2008, s. 106

Świata Bogusław, *Wschowa. Miasto królewskie w blasku historii*, „Apostolicum” Wydawnictwo Księży Pallotynów Prowincji Chrystusa Króla, Ząbki 2007, s. 139

Werstler Jan Janusz, *Kunickie strofy*, Kunickie Stowarzyszenie Inicjatyw Pozarządowych, Żary 2008, s. 52

Wieczorek Grzegorz, *Generał Kazimierz Głabisz (1893–1981). Zarys biografii*, Polskie Towarzystwo Naukowe Kultury Fizycznej. Sekcja Historii, Polskie Towarzystwo Historyczne. Oddział w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wielkopolski 2007, s. 260

Ewa Andrzejewska

Zielonogórska poetka, autorka tekstów piosenek, a także rysunków i satyr publikowanych w miesięczniku PULS. Prowadzi klub poetycki Szufladera w MDK „Dom Harcerza”.

Gabriela Balcerzak

Doktor nauk humanistycznych, historyk literatury. Zajmuje się literaturą i kulturą XIX i XX wieku oraz historią i teorią idei artystycznych.

Leszek Belzyt

Wieloletni pracownik naukowy instytutów badawczych w Berlinie i Lipsku. Obecnie profesor Uniwersytetu Zielonogórskiego; autor monografii historycznych i książek poetyckich.

Halina Bohuta-Stapel

Ur. w Poznaniu; poetka, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów. Mieszka w Wilkanowie.

Dorota Cygan

Germanistka (studia we Wrocławiu i Berlinie); specjalizuje się w krytycznej recepcji literatury niemieckiej lat 30. XX wieku. Tłumaczy dla programów transgranicznych, prowadzi kursy językowe.

Edward Derylak

Ur. w 1953 r. Prozaik, członek grupy literackiej „Dysonans”. Autor powieści, opowiadań, współautor almanachów. Laureat konkursów literackich.

Lidia Głuchowska

Historyk sztuki i literatury, animator kultury. Doktoryzowała się w 2004 r. na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. Od 2005 r. prowadzi zajęcia z historii sztuki i kultury na Uniwersytecie Europejskim Viadrina oraz Uniwersytecie Zielonogórskim.

Jerzy Grupiński

Ur. w 1938 r. we Wronkach.. Poeta, autor książek poetyckich i książki dla dzieci, organizator konkursów literackich, redaktor almanachów. Współzałożyciel Salonu Artystycznego im. Jackowskich w Pobiedziskach. Członek ZLP, potem SPP. Laureat nagród literackich i wyróżnień

Anna Janczys

Stypendystka ministra nauki i szkolnictwa wyższego. Doktorantka w Instytucie Historii UZ.

Krystyna Kamińska

Gorzowska dziennikarka (m.in.: „Ziemia Gorzowska”, „Arsenał Gorzowski”, „Głos Wlkp.”, „Kurier Gorzowski”, „Radio Zachód”, Telewizja „Vigor”), właścicielka Wydawnictwa Artystyczno-Graficznego „Arsenał”. Popularyzatorka kultury regionu.

Jacek Katos Katarzyński

Ur. w 1966 r. w Koninie. Zielonogórski poeta, performer i filmowiec. Współzałożyciel antyrockowego kabaretu ROZkROCK, wydawca art-zina „Dada Rzyje”. Współtwórca i członek grupy filmowej Sky Piastowskie. Autor książek poetyckich.

Agata Komorowska

Ur. w 1988 r. w Zielonej Górze. Poetka, autorka tomiku wierszy „Międzysercowa”, laureatka ogólnopolskich konkursów poetyckich dla młodzieży. Studiuje na Uniwersytecie Gdańskim.

Janusz Koniusz

Ur. w 1934 r. w Sosnowcu-Niwce w rodzinie górniczej. Poeta, dziennikarz, redaktor antologii wierszy, opowiadań, reportaży, baśni i legend lubuskich, pamiętników mieszkańców Środkowego Nadodrza oraz osób niepełnosprawnych. Opublikował kilkanaście zbiorów wierszy, opowiadań oraz esejów historyczno-wspomnieniowych. Autor słuchowisk radiowych i widowiska telewizyjnego. Laureat konkursów literackich, członek ZLP.

Jarosław Kuczer

Historyk, tłumacz języka niemieckiego. Adiunkt w Instytucie Historii UZ. Dwukrotny stypendysta Fundacji Lanckorońskich (Wiedeń). Prowadzi badania nad fenomenem kulturowym szlachty śląskiej w strukturach monarchii habsburskiej. Autor książek poświęconych temu zagadnieniu.

Eugeniusz Kurzawa

Poeta, dziennikarz. Prezes Lubuskiego Oddziału ZLP. Pracuje w „Gazecie Lubuskiej”. Mieszka w Wilkanowie pod Zieloną Górą.

Michael Kurzwelly

Ur. w 1963 r. Niemiecki artysta (dyplom z malarstwa w Alanus Kunsthochschule w Alfter/Bonn); studia ukończył w Poznaniu, gdzie prowadził. Międzynarodowe Centrum Sztuki. Wykładowca na Uniwersytecie Viadrina we Frankfurcie n.O (kulturoznawstwo), współpracownik Stowarzyszenia Artystyczno-Edukacyjnego Magazyn. Najbardziej znane projekty to: „Słubfurt” oraz „Biała strefa”.

Nadzieja Łukaszevska

Ur. w 1923 r. w wiosce Wierchosień pod Moskwą. Poetka, członek Związku Literatów Polskich, laureatka wyróżnień poetyckich.

Maria Macała

Uczestniczka Dyskusyjnego Klubu Książki przy Wypożyczalni Główniej WiMBP im. C. Norwida. Mieszka i pracuje w Zielonej Górze.

Wojciech Mielczarek

Ur. 1959, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego.

Wojciech Rarok

Ur. w 1986 w Częstochowie. Ukończył filozofię na Uniwersytecie Zielonogórskim z tytułem licencjata. Obecnie studiuje na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Czesław Sobkowiak

Ur. w 1950 r., poeta, krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich.

Ulrike Stark

Tłumaczka, lektorka języka francuskiego, angielskiego i arabskiego z Bad Liebenwerda. Autorka książek dla dzieci oraz licznych publikacji poetyckich.

dr hab. Anna Szóstak

Ur. w 1965 r. Dr hab., historyk literatury, kierownik Pracowni Literatury Współczesnej UZ.

Agnieszka Szpyłma

Studentka filologii polskiej UZ. Uczestniczka Dyskusyjnego Klubu Książki przy Wypożyczalni Główniej WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze

Anna Tokarska

Ur. w 1936 r. w Łodzi, poetka, laureatka Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za 2001 r. Mieszka w Zielonej Górze.

Joanna Wawryk

Ur. w 1983. Absolwentka filologii polskiej UZ. Pracuje w WiMBP w Zielonej Górze.

Jacek Wesołowski

Artysta i teoretyk nowej sztuki, literaturoznawca, doktor nauk humanistycznych. Mieszka w Berlinie i Białowicach w Lubuskiem.

Monika Wielgus „Dzika”

Ur. w 1986 r. Członek zielonogórskiej grupy poetyckiej Klub Szufladera w MDK „Dom Harcerza”; prowadzi blogi poetyckie. Obecnie studiuje w Poznaniu.

Grażyna Zwolińska

Dziennikarka. 25 lat pracowała w prasie wrocławskiej. Po przeprowadzce w 1994 r. do Zielonej Góry, związała się z „Gazetą Lubuską”. Specjalizuje się w szeroko pojętej tematyce społecznej. Pisuje m.in. reportaże.

Redakcja informuje, że kolejne numery pisma „Pro Libris” na rok 2009
można będzie nabywać wyłącznie drogą zakupu.
Wynika to z rosnących kosztów wydawniczych.

Cena 1 numeru wynosi 10 zł (+ koszty przesyłki),
całoroczna prenumerata (4 numery) 40 zł.

Więcej informacji można uzyskać na stronie internetowej

www.wimbp.zgora.pl

KSIAŻKI OFICYNY WYDAWNICZEJ
WOJEWÓDZKIEJ I MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. C. NORWIDA W ZIELONEJ GÓRZE



